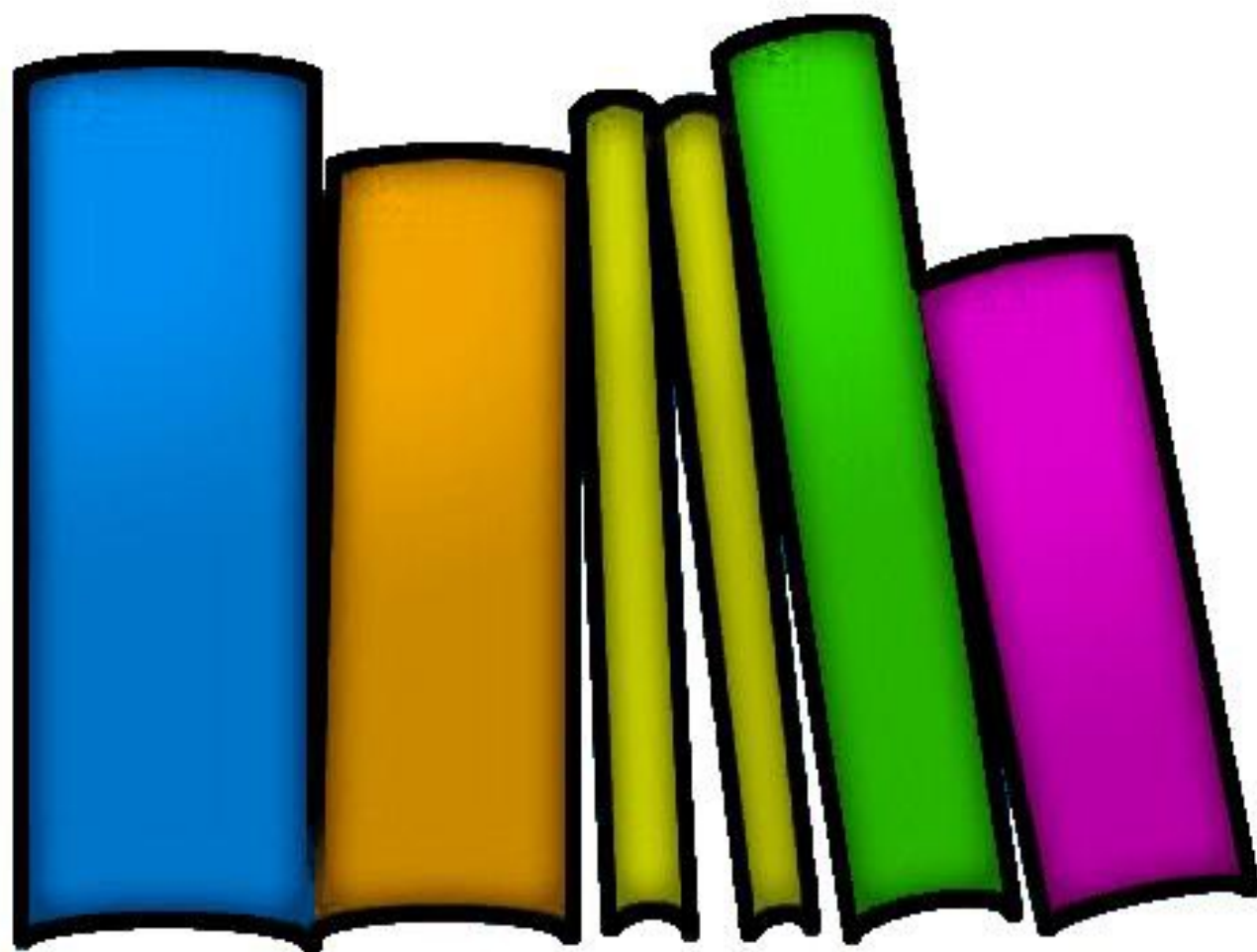


Krolowa Pajecznych Otchlani

Kidd Paul



[calibre 0.6.53]

Ostatnim razem niemal zabiła ich wszystkich.

Teraz drużyna bohaterów walczy o życie.

Żeby uchronić świat przed nieskończonym złem,

piątka przyjaciół musi dostać się do samego serca ciemności

i zabić najbardziej szalonego demona w Otchłani...

Królową Pajęczych Otchłani!

GREYHAWK

Książki ze świata Greyhawk

wydane przez ISA Sp. z o.o.

KRÓLOWA PAJĘCZYCH OTCHŁANII

PAUL KIDD

ŚWIĄTYNIA ZŁYCH ŻYWIOŁÓW

THOMAS M. REID

GTW

GREYHAWK

Królowa

Pajęczych Otchłani

Paul Kidd

Dla Tima Baverstocka, mistrza kalamburów,

nieustraszonego turysty i osoby,

bez której ta książka nigdy by nie powstała!

(Kocham cię na zawsze, GI-san!)

Początek

Tym razem wszystko poszło nie tak.

Głęboko w sercu podbitych ziem kwitł ruch oporu. Trwała twarda, bezlitosna i dzika wojna bez wytchnienia, honoru, chwały. Wojna, w której małe oddziały ludzi zmuszały potwory Iuza do płacenia krwią za swe czyny.

Hordy Iuza zmiotły z powierzchni ziemi wioski, miasteczka i miasta, zabijając także tych, którzy z nich uciekli. Mężczyzn, kobiety, dzieci i zwierzęta zaszlachtowano, a następnie wskrzeszono jako gnijące, bezwładne legiony potępionych. Iuz popędził do przodu z nieumarłymi potworami, wyrzynając wszystko na swej drodze, ale na ziemiach z tyłu nieświadomie pozostawił raka, który wgryzał się w jego serce.

Wędrownie oddziały bojowników o wolność znały się na zabijaniu. Składały się z twardych, milczących ludzi z głuszy, tropicieli, którzy nie podolali obronie granic i uświęconych ostępów, byłych strażników bezsilnych w obliczu hord demonów. Nadeszły wojska Iuza - demony i gnijące ciała otoczone gęstymi chmurami padlinożernych much - i zostawiły te niegdyś żyzne ziemie pokryte błotem i popiołem. Wojska przeszły, a za ich plecami powstała do walki rozrzucona garstka tropicieli.

Było ich niewielu, lecz budzili grozę. Bezdomni wojownicy atakowali kolumny zaopatrzeniowe Iuza, wyrzynali jego posłańców i skrycie zabijali zwiadowców. Nocami miecze kończyły życia wartowników. Zatrutowano studnie i szykowano pułapki na drogach. Wkrótce całe oddziały musiały eskortować pojedynczych posłańców, a kolumny zaopatrzeniowe konwojowały legiony. Iuz wycofał żołnierzy z wojsk ofensywnych, żeby rozgromić wewnętrznych wrogów, ale zabójcy nadal uderzali. Walczyli nieustannie, podstępnie, z nieskończoną przebiegłością i bez krzty litości. Pozostawiając za sobą jedynie ciała, okaleczali nawet własnych zmarłych, tak aby nie przydali się oni nekromancerom Iuza. Nie udało im się obronić własnych ludów, więc teraz odpłacali najeźdźcom samobójczą wojną.

W końcu szczęście przestało im sprzyjać. Iuz porzucił plany podboju na rzecz rozprawienia się z oddziałami bojowników o wolność. Połowa z nich zginęła w ciągu kilku zaledwie tygodni. Reszta walczyła z dziesięciokrotnie większym gniewem, rano, w południe i w nocy. Iuz zajął się wnętrzem podbitych ziem, zmniejszając armię, a ludzie, elfy i krasnoludy z sąsiednich państw krok po kroku zaczęły spychać demony ze zdobytych obszarów. Iuz przegrał wojnę. Bojownicy wolności, co do jednego, wyczerpani, udrczeni i umierający, nadal walczyli wiedząc, że wygrali. Spłacili swój dług.

Nadeszły ostatnie dni wojny, czas, kiedy można odpocząć wiedząc, że koszmar wkrótce się skończy. Niektórzy jednak zasmakowali w walce i rzezi. Była w nich *sila*, która wynikała z działania, a napięcie stało się dla nich niczym narkotyk.

Najdzikszym, najbardziej śmiałym ze wszystkich przywódców wojennych oddziałów był Recca - mistrz szermierki i ostatni lord trawiastych elfów. Od trzystu lat nauczał sztuki władania bronią, wybierając tylko najbardziej oddanych, przebiegłych i najdoskonalszych uczniów. Jego ostrze cięło szybciej niż myśl, a w walce poruszał się jak w tańcu. Jego miecz, smoliście czarny z głównią w

kształcie czaszki wilka, był wystarczająco ostry, by przeciąć konia na pół.

Gdy wojna z Iuzem miała się ku końcowi, przy Recce pozostało jedenastu towarzyszy - tropicieli i bitewnych magów zaprawionych w boju. Miał także jednego ucznia, który różnił się od niego tak jak żelazo różni się od jedwabiu: zamyślonego, wielkiego, ponurego człowieka, który nie miał już imienia.

Recca był charyzmatyczny i nonszalancki, szykowny i przebiegły, sprytny i uwielbiany. Przyjął tego ucznia, ponieważ wyglądało na to, że chłopak umie słuchać i szybko się uczy. Recca nauczył go walczyć, tropić, polować, a przede wszystkim myśleć. Odbyli razem wiele długich tajnych misji - nauczyciel i uczeń, przywódca i podopieczny. Oddanie ucznia oparte było na dziwnym poczuciu honoru, które pielęgnował w głębi duszy. Recca wątpił, czy kiedykolwiek wpoi mu odpowiedni zmysł praktyczny.

Mistrz i uczeń leżeli we wrzosach, ramię przy ramieniu. Pancierz Recci, chociaż pogięty i porysowany w wielu bitwach, wciąż przyciągał uwagę, hełm wykonano na podobieństwo krzyżącego orła. Ekwipunek ucznia był zniszczony, pogięty i pozbawiony ozdób. Ci dwaj różnili się jak ogień i woda. Recca był szczupły i szalenie przystojny z bursztynowymi oczami i złotymi, jedwabiście delikatnymi włosami, a jego uczeń, niemal niewidoczny w otaczającej go roślinności, ogromny i odpychający. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Recca sądził, że chłopak jest zbyt duży i zbyt masywny, żeby poruszać się bezszelestnie, jednak, o dziwo, zawsze skradał się cicho niczym kot. Nie, nie kot - niedźwiedź, ciemny, przerażający i wielki.

Wojna nauczyła chłopaka, jak przegrywać, pokazała mu nienawiść i pustkę. Posługiwał się mieczem z surową zręcznością, którą Recca uważał za prostacką. W jego ruchach nie było żadnej ekstrawagancji, żadnego stylu - jedynie brutalna, nieuchronna skuteczność. Sława Recci miała źródło w jego geniuszu, bezlitosnej szybkości i wybujałej charyzmie. Ale w ciężkich czasach pocieszenia szukano w ludziach niestrudzonych, skutecznych. W ludziach takich jak uczeń Recci.

W miarę, jak trwała wojna, przyzwoitych celów było coraz mniej. Jedyne oddziały Iuza, jakie napotykali, wycofywały się, i małe grupy bojowników wolności mogły jedynie gnębić ich zwiadowców.

Nagle jednak najeźdźcy popełnili błąd. Generał demon zgromadził oddziały pomocnicze, by wybudować umocnienia polowe. Znajdował się tam generał, oficerowie, urzędnicy - i to strzeżeni tylko przez niezdarne, gnijące zombie uzbrojone w łopaty i grabie. Żadnych otchłannych nietoperzy, żadnych demonów. Bojownicy mieli zabić generała Iuza. Byłby to ich największy sukces w całej wojnie. Sława Recci miała stać się nieśmiertelna.

Wojna miała się ku końcowi i nadszedł czas, by pomyśleć o przyszłości. Nowe pokolenie będzie potrzebowało bohaterów, żeby uczynić z nich władców. Imię Recci, jako bohatera ruchu oporu, zabrzmi w setkach tysięcy uszu...

Recca sądził, że ten atak będzie łatwy, ale jego uczeń się z nim nie zgadzał. Wielki człowiek przyglądał się rozrzuconym grupkom zombie, kopiącym doły i ciągnącym kamienie. Spojrzał na namioty generała i na niewielu strażników stojących na wzgórzach, i ponownie schował się w trawie.

- Wycofajmy się. To pułapka.

Mówił basem - cichym, ponurym, zdecydowanym. Elf obrócił się, żeby popatrzeć na swego ucznia i uniósł brew.

-A skąd to wiesz?

- Źle mi to pachnie.

- Co? Stałeś się pół człowiekiem, pół piekielnym ogarem? -Rozbawiony Recca obrzucił go kpiącym spojrzeniem. - Kłopot z ludźmi polega na tym, że nie potrafią pogodzić się z logiką! Przewagę zapewnia nam inteligencja i wykształcenie, a wykszoliłem cię przecież znakomicie. Każdy twój ruch jest należycie precyzyjny. - Uśmiechnął się. - Pamiętaj: zło może i jest sprytne, ale nigdy przebiegłe ani wyrachowane.

Gdyby jego uczeń był niedźwiedziem, pewnie zaryczałby z wściekłości. Wielki mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale Recca zdążył już ześlizgnąć się ze szczytu wzgórza, aby wydać rozkazy swym ludziom.

Leżeli tam w ukryciu - wymalowani, zakamuflowani i prawie niewidoczni. Cała jedenastka słuchała przywódcy, powierzywszy mu swoje życie. Recca rozejrzał się po okolicy i wypełnił umysł obrazami swego zwycięstwa i chwały.

- Nadchodzą! Kolejne iuzowe szkodniki, które trzeba wyplenić! Generał, i to bez widocznej ochrony! - Elfi dowódca dzielił się z nimi swoją pewnością. - Zabijemy go.

Generał Iuza. Jedyne demoniczne dowódca zabity w tej wojnie, i jego głowa miała przypaść właśnie Recce! Recca rozsunął roślinność i przedstawił swym ludziom zwycięski plan.

- Umacniają tę dolinę. To znaczy, że musimy działać szybko. - Recca zabierał się do dzieła z przejęciem godnym artysty. - Przeszukają to wzgórze. To doskonałe miejsce na środek ich umocnień. Tak więc ukryjemy się i zaatakujemy, gdy pojawi się generał. Chciałbym, żebyście wspólnie zaatakowali robotników. To ściągnie na was ich uwagę. Wtedy zabiję generała. Uciekniemy w dół wąwozu, do tamtego lasu. Rozstawcie pułapki, żeby pozbyć się pościgu. Spotkamy się przy złamanej sośnie godzinę po zmroku. - Poklepał ludzi po plecach i pożegnał się. - Dobrych łowów!

Uczeń nie odszedł. Ogromny i ponury mężczyzna ociągał się. Nigdy się nie uśmiechał, nigdy nie śmiał na głos i nigdy nie męczył. Jego miecz sterczał za pasem, stale gotowy, by go szybko wyciągnąć.

- Będę cię osłaniał, mistrzu Recco.

- Nie potrzebuję cię. - Elf wolno położył dłoń na rękojeści swego czarnego miecza, który zawsze należał do mistrza szermierki elfów. - Mój miecz i ja mamy robotę.

Uczeń stał nie wzruszony.

- Wobec tego zapewnię ci dość miejsca, żebyś mógł tego dokonać.

Poprowadził swego mistrza do najlepszego z możliwych ukrycia - nie oczywistej kryjówki, ale terenu, gdzie schować mógł się jedynie tropiciel. Uczeń użył miecza, żeby ściąć cienki dywan martwej, suchej trawy i wślizgnął się pod niego. Zniknął. Nie chcąc pójść jego śladem, samotny Recca stał dumnie na szczycie wzgórza, aż w końcu rozwaga powiedziała mu, że należy się schować.

Wkrótce rozległy się niemrawe kroki. Nieumarli słudzy przyszli, by zbudować mur dla swego pana. Z nimi nadszedł nadzorca - generał, jego skrybowie i doradcy - wszyscy przekonani, że nic im nie grozi, skoro znajdują się tak daleko za własnymi liniami. Nagle zabrzmiały odgłosy ataku - wojenne okrzyki tropicieli i dźwięki zakłęb. Recca ujrzał swoją ofiarę. Generał stał i patrzył na walczących. Elf podniósł się cicho, przemykając, by zaatakować go od tyłu...

I wtedy wszystko poszło nie tak.

Jedenastka Recci zajęła się nieumarłymi, ale nagle w powietrzu rozległy się przeszywające krzyki. Niezdarne, gnijące ciała na zboczu pękły, gdy znajdujące się w martwych kształtach postacie wzbily się w powietrze. Zombie rozpadły się i przybrały postać pokrytych wnętrznościami, wyjących potworów z szarą skórą, kłami i pazurami. Krwiożercze i oszalałe z wściekłości monstra rzuciły się na bojowników o wolność.

Upiory!

Recca ciął mieczem, ale jego ofiara była zaledwie iluzją -czarem rzuconym przez wroga, który okpił go i ośmieszył. Z namiotów Wzleciały w powietrze inne kształty, otchłanne nietoperze i ogromne, gnijące demony z czaszkami zamiast głów, podczas lotu wypluwające z siebie kwas. Chmura kwasu trafiła w ludzi Recci, zmieniając trzech z nich w nagie szkielety i rozpraszając pozostałych.

Demon podobny do ropuchy rzucił się z chichotem w górę zbocza w kierunku Recci. Od stóp do głów okrywały go ropiejące wrzody, wściekle szczyrzył kły. Biegąc, pazurami krzesał iskry z głazów. Skoczył i wylądował na wzgórzu, rycząc z żądz krwi i radości.

Gdy potwór zbliżał się, trzy upiory zaatakowały Reccę. Okręcił się wokół jednego, ciął, okręcił, ciął ponownie. Ostatni potwór uderzył. Recca pobiegł i skoczył, wirując niczym akrobata. Wylądował za ofiarą, pchnął mieczem w tył i poczuł, że trafia. Uwolnił ostrze, obrócił się i jednym oślepiającym uderzeniem ściął głowę wroga.

Za sobą usłyszał miecz uderzający z nieprawdopodobną prędkością - raz, dwa, trzy ciosy trafiły z potworną siłą. Recca zobaczył, jak jego uczeń wstaje, umazany ziemią i kurzem. U jego stóp leżały dwa martwe upiory, każdy niemal rozpołowiony.

- Odwrót! - zagrzmiął Recca. - *Natychmiast!*

Puścił się biegiem. Pędził tak, jak mógł to zrobić tylko trawiasty elf - najszybszy biegacz całego Flanaess. Ominął pułapki, schronił się w gęstych krzakach i głazach zbyt wielkich, żeby mogły

tu wlecieć ogromne nietoperze, i spojrzął za siebie na wzgórze.

Widząc otchłanne nietoperze i upiory atakujące ich oddział, uczeń posłuchał go. Odwrócił się i rzucił w kierunku doliny, biegnąc ciężkimi susami ogromnego człowieka wąwozem zastawionym pułapkami. Dotarł do głazów, obrócił się i spostrzegł walczących niedaleko towarzyszy. Ocalało tylko pięciu, ale kierowali się do wąwozu i wystawili plecy na atak wroga. Uczeń rzucił okiem na walczących i ruszył do przodu.

- Mistrzu, pójdę pierwszy. Odwrócę ich uwagę, a ty zaatakujesz zza moich pleców.

Recca jednym spojrzeniem ocenił sytuację i schował miecz do pochwy.

-Nie.

Jego uczeń popatrzył zdumiony, jakby nie rozumiejąc słów, które przed chwilą usłyszał.

- Dlaczego?

Honor! Ludzie tacy jak Recca i jego tropiciele nie mogli sobie pozwolić na luksus honoru. To rzecz głupich rycerzy siedzących w zamkach. Przeżycie to sztuka praktyczna. Jedyne ci, co przeżyją, wracają do walki, zabijają i zwyciężają. Recca zmierzył ucznia pogardliwym spojrzeniem. Gardził miałym rozumem człowieka.

- Masz zbyt rozwinięte poczucie sprawiedliwości.

- Możemy ich uratować!

- *Nie możemy!* - Recca popchnął ucznia do przodu. - Przegraliśmy, więc uciekajmy, póki jeszcze możemy i ocalmy życie, by ich pomścić!

Uczeń wpatrywał się w niego, zszokowany i zagubiony.

- Zrobili, co im kazałeś!

- Bo musieli to zrobić! - Recca coraz bardziej denerwował się na górującego nad nim ucznia. - Są żołnierzami, a żołnierze to narzędzia! Pozbywasz się ich, kiedy nie są już potrzebni.

Recca odwrócił się, by odejść. Jego uczeń obserwował go przez chwilę, odwrócił się...

I zaatakował.

Był młody, ale miał w sobie siłę, która mogła przenosić góry. Rzucił się przez trawę i wbił miecz w otchłannego nietoperza, pozbawiając go skrzydła. Nietoperz wrzasnął i wyrzucił z siebie chmurę kwasu. Uczeń zanurkował, przetoczył się i kwas chybił, obalając kolejnego nietoperza. Mężczyzna podniósł dłoń i trawa ożyła, przykuwając stwora do ziemi. Wtedy jednym płynnym ruchem zamachnął się mieczem i dwa nietoperze padły martwe.

Tropiciele biegli, przedzierając się w stronę wąwozu. Upiory wyskakiwały z trawy niczym włócznie, ale uczeń ciął je, osłaniając rannych towarzyszy, którzy wzajemnie pomagali sobie w ucieczce. Walczył jak nigdy dotąd - szybko, mocno, precyzyjnie. Był jak śmierć - szybki, bezlitosny i nieustępliwy. Skamieniały Recca patrzył na walkę swego ucznia.

Ten człowiek powstrzymał demony. Zatrzymał ich! Jeśli ocalali powrócą z wieściami o ucieczce Recci z pola walki, jego marzenia o władzy legną w gruzach. Elf parsknął i rzucił się do walki. Spektakularnym saltem przeskoczył wroga, obracając się, by ciąć zmiennokształtnego w kręgosłup.

Demon-ropucha przyglądał się walce z oddali. Stał na tylnych łapach, krtań nabrzmiała mu, gdy wyzywająco zaryczał. Z takim demonem nie mógł się zmierzyć nikt prócz mistrza szermierki. Recca porzucił bitwę i pobiegł w kierunku upatrzonego wroga. Krzyknął przeraźliwie, czując w swych żyłach moc orła. Był Reccą, niezwyciężonym mistrzem ostrza!

Demon miał własny miecz, ale nie zadał sobie trudu, by go wyciągnąć. Nagle znikł z pola widzenia. Zdezorientowany Recca stanął, rozglądając się dookoła. Po chwili jednak zatoczył się, gdy coś przeszło mu plecy. Demon stał za nim, rycząc z uciechy. Recca okręcił się i ciął, ale monstrum znikło. I znowu pazury rozpruły go z tyłu, rozdzierając pancerz i szarpiąc ciało. Recca zatoczył się do przodu i ciął na oślep, a potem coś wytrąciło mu miecz z dłoni. Demon zarechotał, a jego krtań napuchła. Recca sięgnął po sztylet i rycząc z wściekłości rzucił się na przeciwnika.

Chichocząc, demon uderzył, trafiając w złotego orła i przeszywając pazurami pierś Recci. Elf padł na kolana i patrzył w niemym przerażeniu. Demon cofnął szpony i Recca poczuł, jak rozdziera mu płuca. Nagle jednak z rykiem odskoczył do tyłu. Przed oczami błysnął mu miecz. Uchylił się, ale nie uniknął kopniaka solidnym butem. Zatoczył się i dojrzał napastnika. Był to uczeń Recci.

Demon znikł. Uczeń zawirował i zamachnął się, ale potwór krzycząc znalazł się za jego plecami. Chwycił miecz i złamał klingę. Uczeń obrócił się i z gniewnym pomrukiem wyrwał czarne ostrze ze słabnącego uścisku Recci. Ciął szybkim i okrutnym ciosem, ale demon znikł na sekundę przed tym, zanim ostrze trafiło.

Uczeń odwrócił miecz i pchnął w tył, uderzając demona, gdy zjawił się ponownie. Z trzewi potężnej ropuchy trysnęła czarna, parująca krew. Potwór krzyknął, wyrwał z ciała ostrze i znowu znikł. Wirując, uczeń ciął w dół potężnym ciosem zamierzonym w pustą przestrzeń za swymi plecami.

Demon pojawił się znowu. Cios rozciął go na dwoje, przechodząc przez czaszkę i pierś. Inne potwory, widząc śmierć swego przywódcy, zaczęły się wycofywać. Kiedy wojownik ryknął, uciekły w mrok.

Recca jeszcze żył. Żył dość długo, by zobaczyć, jak jego uczeń wygrywa walkę, którą on sam przegrał.

* * *

Uczeń pracował w milczeniu. Z kamienną twarzą odciął dłoń i stopę Recci, by nekromancerzy

nie mogli wykorzystać ożywionego ciała do walki, i pogrzebał swego mistrza w tej samej płytkiej, zakurzonej szczelinie, w której krył się przez atakiem. Umieścił głowy zabitych przez Reccę przy jego głowie i stopach. Nie modlił się, ponieważ bogowie to oszustwo, które zniewala słabych.

Recca odszedł. Stał do próby i nie zdołał jej przejść. Uczeń wziął jego miecz, by uczcić mistrza, pozwalając ostrzu dalej wykonywać swoje dzieło.

Ściemniało się. Żaden ranny nie przeżył, a potwory miały wkrótce powrócić. Uczeń - bezimienny wojownik - po raz ostatni rzucił okiem na miejsce ostatecznej bitwy swego mistrza. Spojrzał raz, odwrócił się i odszedł.

- *Skurwiele!*

Trzech zdeformowanych niewolników w podskokach uciekało przez drzwi pałacu, ale w końcu eksplodowali, a ich wnętrzności i kości uderzyły o ściany. Demoniczni służący nie wazyli się uciekać. Ukłonili się pokornie, skuleni, kiedy do pomieszczenia wkroczyła ich mroczna pani.

Lolth, Demoniczna Królowa, Pani Pająków, Królowa Drowów, Mroczna Cesarzowa otchłannych hord była niezadowolona. Tron czaszek, jezioro krwi, pałac z krzyczących ciał potępionych - wszystkie te przyjemności, na jakie mogła sobie pozwolić królowa demonów, stały się nudne i bezbarwne. Orgiastycznym rytuałom brakowało smaku. Torturowanie ofiar zdawało się być bezcelową nudą. Nawet rozmnażanie legionów zmutowanych pająków było teraz stratą czasu.

Lolth wpadła do swoich komnat, rzuciła się na kanapę z żywych ciał i zawrzała gniewem.

Świat Oerth ją upokorzył. Jej główna świątynia została zniszczona, drowich kapłanów zdziesiątkowano. Setki lat żmudnego planowania zaprzepaszczone w kilka godzin. Pierwotna energia wystrzeliła z magicznego portalu, niszcząc podziemną świątynię Lolth, jej wysokie kapłanki i akolitki, oraz kwiat szlachty drowów. Jaskinia zawaliła się, grzebiąc rozległe podziemne miasto stworzone przez jej sługi. Co gorsze, ciało Lolth w tamtym świecie zostało zniszczone - dobre, potężne ciało ogromnego pająka, przed którym drżeli królowe i demony. Wszystko na nic. Wszystko zrównane z ziemią.

Co za hańba! Jej wrogowie spili ją winem faerie, kpiąc z jej wspaniałości! Stała się teraz pośmiewiskiem Otchłani, a lordowie tanar'ri dzień w dzień przysyłali do jej pałacu wino i środki na kaca. Zrezygnowana Lolth opadła z sił i westchnęła. Bez końca niszczyła i mnożyła potwory. I wszystko na nic... Gniew i frustracja sprawiły, że jej świat wydawał się ponury i pozbawiony smaku.

Oerth...

To miejsce gnębiło ją dzień i noc. Są inne światy, inne kampanie. Ma armie zła podbijające kontynenty we wszystkich sferach. Oerth jest niczym. Pyłkiem! Malutką błyskotką we wszechświecie skarbów...A jednak zakpiło z niej! Upokorzyło Lolth piękną, Lolth doskonałą! Ośmieliło się drwić z majestatu pajęczej królowej!

Sypialnia Lolth znajdowała się w pałacu umieszczonym w mechanicznym pająku o wysokości trzydziestu metrów. Twór przemierzał sfery poruszając się od świata do świata, gdy Lolth nadzorowała swe sługi i ich kampanie wojenne. Leżąc twarzą w dół na kanapie, Lolth czuła marszowe kołysanie fortecy, a jej gładka elfia twarz kipiała gniewem i nienawiścią. Jej oczy miały barwę płomienia, skóra smoły, a faliste włosy - srebra. Jej gibkie ciało spoczywało na kanapie, a palce bębniły dziko, gdy obserwowała odliczający minuty zegar z brązu.

Zegar wybił głęboki, ponury kurant i Lolth poderwała się do góry, naga i z włosami w nieładzie. Bezkształtni słudzy popęzli, by otworzyć drzwi i wezwać czekających. Stali tam drowia kapłanka i pomniejszy tanar'ri oraz podskakujący demon - ropucha o wzroście ponad dwóch metrów.

Grupę prowadził wielki, nagi demon o prawie ludzkim ciele i czterech zdeformowanych ramionach zakończonych szczypcami. Bestia skłoniła się podchodzącej Lolth, a następnie powstała, żeby zdać jej raport.

- Wasza Wspaniałość! Dobre nowiny! - Szeroko otworzył szczypce i uśmiechnął się. - Czary przynoszą efekty. Mamy jedynie drobne komplikacje. Niestety, muszę powiedzieć, że nowe ciało nie będzie gotowe na czas...

Jedyną odpowiedzią Lolth był nieskładny okrzyk. Uderzyła demona dłonią, wyrrywając mu bijące jeszcze serce. Krzycząc, wyrzuciła ów bezużyteczny przedmiot. Krew demona opryskała jej nagie ciało. Pająki wielkości owczarków na wyścigi rzuciły się na skrwawione szczątki.

- Natychmiast dawać mi to przeklęte ciało! Do roboty! Do roboty! - Lolth rozrywała ofiarę na strzępy, jednak ciało demona wciąż krzyczało. Wyrwała parujące narządy, a jej twarz zmieniła się w maskę szału. - Chcę je teraz! - Demony w popłochu rzuciły się do ucieczki. - Bez wymówek! Już! Już! Już!

Nagle przez drzwi wpełzła do komnaty demonka, a wraz z nią wionęła fala spokoju. Ociekająca wilgocią, szczupła i wspaniała Lolth podniosła wzrok.

Sekretarka była chłodna i szczupła. Miała dolną część ciała węża i trzy pary rąk. Zatrzymawszy się przed Lolth z wdzięcznym ukłonem, rzuciła okiem na martwego demona, wyraźnie zdegustowana bałaganem na podłodze.

- Nowe ciało jest gotowe, Wasza Wspaniałość.

Lolth skoczyła na równe nogi, a po jej skórze przebiegł płomień ognia. Popędziła kamiennymi korytarzami ruchomego pałacu, a jej pajęczce maskotki biegły u jej stóp jak podeksycytowane szczeniaki. Królowa Pajęczych Otchłani mijając komnaty pełne gigantycznych arachnidów, i metalowe ściany, gdzie malutkie impopodobne quasity krzątały się w ciemności. Wysoka i szczupła, z ciałem bogini i duszą czarnej wdowy, Lolth wbiegła do warsztatów i triumfalnie stanęła w drzwiach.

Trudno zabić lordów tanar'ri. Umierają tylko we własnym świetle. Poza nim śmierć oznacza dla nich tylko kilkaset lat oczekiwań na powrót do dawnej siedziby. Ciało Lolth na Oerth zostało zniszczone, przygotowanie zastępstwa zajęło sto dni. Marnowała zasoby i trwoniła siły, żeby stworzyć dla siebie nową powłokę. W końcu wspaniała nowa skorupa była gotowa i oczekiwała na swe triumfalne przebudzenie. W sali pełnej luster Lolth spojrzała na nią i uśmiechnęła się promiennie.

Nareszcie. Żadnych gigantycznych pajaków. Oerth zostanie pokonany magią i stałą, a rządzić w nim będzie cesarzowa o nieskończonej urodzie. Nowe ciało Lolth było kopią jej obecnej formy - wysoką, szczupłą, ciemną kobietą elfem. Nie tolerowała żadnych rywalek, które mogłyby dorównać jej urodą. Ciało Lolth zawsze wykonywano więc absolutnie perfekcyjnie. Były silne, zwinne i oszałamiająco zmysłowe.

Nowe ciało leżało w kaplicy głęboko w trzewiach Oerth, w jednej z niewielu ocalałych

świętyń Lolth. Ku frustracji pajęczej królowej pracowali nad nim jej niewolnicy, długo doprowadzając je do perfekcji. Lolth, starając się ukryć podniecenie, krytycznie popatrzyła na swoje nowe kształty przez magiczny portal.

Doskonale.

Bogini obdarzyła ciało ostatnim, zachwyconym spojrzeniem, a następnie wyszła mijając służących i sekretarzy. Schodami weszła do komnaty od frontu pałacu i wychyliła się przez balustradę balkonu. Ogromny metalowy pajak-pałac kroczył przez ziemie poryte popiołem. Zniszczone miasta płonęły, a potwory żerowały na padlinie. Legiony Lolth miały tu sporo pracy, cierpliwie przeprowadzając podbój. Jej plany zakładały, że będzie się on posuwał wolno i ostrożnie, żeby nie wzbudzić gniewu i zazdrości innych bóstw. Powoli i ostrożnie. Zabezpieczała ukryte placówki jak pajak czyhający w stercie drewna - była to metoda, którą Lolth stosowała od setek lat.

Ale teraz nadszedł właściwy czas, żeby pokazać wszystkim, że pajak gryzie!

- Przyprawdźcie mi ocalałą wysoką kapłankę z Oerth.

Poruszając się niczym leoparc Lolth przeszła przez komnatę i usadowiła się na tronie. Dwie obdarte, przerażone drowki weszły do pomieszczenia - stworzenia przyćmione wspaniałością mrocznego piękna Lolth. Ich białe włosy zwisały w strąkach. Ciemna skóra wyglądała niezdrowo. Togi pozszywano z kawałków ocalonych ze zniszczonego królestwa. Dwie wysokie kapłanki oddały honory bogini i czekały, klęcząc na podłodze.

Szczupła, elegancka i zmysłowa Lolth spłynęła z tronu. Jej czarna skóra zapłonęła blaskiem palącego się miasta, kiedy oparła się o framugę okna.

- Moje dzieci!

- Wasza Wspaniałość. - Kapłanki były zachrypnięte. Ich miasto zostało zniszczone, czas upływał im teraz na rzucaniu czarów mających powstrzymać padlinożerców krążących wokół ocalałych drowów. - Powiedz nam, jak możemy ci służyć.

- To my będziemy służyć wam, dzieci! Ponownie mamy ciało w waszej świątyni. Powrócimy na Oerth! Zapewnimy bezpieczeństwo waszemu ludowi i wtedy nagrodzimy wiernych. Tak... - Głos Lolth brzmiał niczym chór elfich dziewczynek. - Dobrze się spisaliście. A teraz powiedzcie mi, znaleźliście już wampirzy staw?

Kapłanka - wystraszona, poparzona i przybita - nie ośmieliła się spojrzeć w oczy bogini.

- N-nie, Wasza Wspaniałość.

Lolth otworzyła szeroko oczy, w komnacie nagle zapanowało przeraźliwe zimno.

- Dlaczego nie?

Jedna z kapłanek w przerażeniu oblizwała wargi.

- N-nie mamy r-robotników, Wasza Wspaniałość. Brakuje nam zaklinaczy! Zostało tylko kilkuset. Upadek miasta...

- To bez znaczenia - Lolth nie miała ochoty słuchać wymówek i żalów. Oerth miał znaleźć się w jej uścisku! - Będziecie miały zaklinaczy i żywiołaka ziemi. Szukajcie! Odkryjcie staw!

- Tak, Wasza Wspaniałość.

Pałac zakołysał się, przechodząc przez grań. W dole Lolth dostrzegła stada figlujących harpii, dręczących jej wrogów. Demoniczna królowa uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Tak. Kopcie. Najpierw staw. Potem zróbcie korytarze. Będziemy potrzebowali kwater dla pomocników, których wam przyślę.

- Pomocników, Wasza Wspaniałość? - Kapłanki popatrzyły po sobie z obawą. Ocalałe drowy ledwo żyły w Podmroku wyjadając resztki z ruin. - Jak-jak wielu pomocników?

Lolth wzięła długi, powolny oddech, patrząc, jak jej armia ucztuje pośród gruzów. Były tam pajęczce istoty i demony, legiony nieumarłych i paskudne, pełzające stwory ściągnięte z tuzina innych światów. W innych sferach Lolth miała wiele armii, które oczekiwały w ukryciu, żeby wykonać diabelski plan swej pani.

Dwie drowki zaryzykowały spojrzenie w stronę bogini.

- Wasza Wspaniałość? Jak wielu pomocników chcesz nam przysłać?

Lolth odwróciła się, żeby spojrzeć na wynędzniałe kapłanki i uśmiechnęła się gniewnie.

- Miliony.

Demoniczna królowa oddychała nierówno, podekscytowana wizją zemsty, chwały... potęgi! Nadszedł czas, żeby pokazać wszechświatowi, że Lolth to siła, której należy się bać! Odkryje wszystkie kawałki układanki w ogniu chwały! Ściągnie swe oddziały schowane w setkach światów i zbierze je w jedną siłę, która zaleje Oerth. Oerth padnie, zrównany z ziemią i zniewolony. Powstanie świat demonów. Świat, w którym panowanie Lolth zostanie uczczone. Inni lordowie tanar'ri będą bili jej pokłony - i będzie to słodka zemsta za to, że kpili z Lolth po jej porażce!

Zdobędzie cały świat. Rozpocznie nowa erę. Lolth zostanie królową tanar'ri, panującą na tronie zbudowanym z gnijących trupów Oerth. Ale zanim to się zacznie, znajdzie trochę czasu na zabawę. Lolth przez chwilę delectowała się tą myślą, a następnie przemówiła do sekretarki słodkim głosem.

- Powiedz pilotom, żeby zabrali nas z powrotem do Demonicznej Pajęczyny. Niech zabiorą nas do domu. Zwołaj dowódców ze wszystkich światów na spotkanie za osiem godzin.

Długa, wężowata sekretarka Lolth robiła notatki na trzech tabliczkach jednocześnie. Pracowała wszystkimi sześcioma dłońmi z nachmurzoną twarzą. Rozkazy wydano. Zwinne sukkuby przy dźwigniach i kołach kontrolujących pałac wzięły się do pracy. Pałac zatrzymał się z jedna pajęczką

nogą wiszącą w próżni, a następnie wolno zaczął zwracać. Jego kroki brzmiały niczym dźwięki gigantycznych cymbałów, kiedy metalowy potwór powoli zmierzał tam, skąd przyszedł, miażdżąc odnóżami ciała pokonanych.

Lolth przez chwilę rozkoszowała się cudownym zapachem płonącego mięsa przyniesionym przez wiatr, potem odwróciła się, a jej czerwone oczy zapłonęły radością.

- Więc zabierzmy się do tego, co ty na to?

Demoniczna sekretarka spojrzała na swą panią ze złością, wkładając rysik do pisania za długie ucho. Ze wszystkich sług Lolth jedynie ona nigdy nie okazywała strachu, tylko tworzyła wokół siebie atmosferę męczeństwa i przepracowania, którą Lolth uważała zresztą za wyjątkowo zabawną.

- Wasza Wspaniałość, jeżeli zgromadzimy siły, będziemy musiały jakoś je wyżywić.

- Szczegóły, szczegóły! - Przyszłość miała rozkwitnąć niczym kwiat i Lolth tańczyła z radości. - W końcu zmierzamy do celu! Pomyśl o tym! Podbój wszechświata! Kosmiczna dominacja! Są światy, które można opanować, niewolnicy, których można zdobyć i wrogowie, których trzeba zniszczyć. Czekają nas orgiastyczne rytuały nurzające się w oceanach ludzkiej krwi!

Sekretarka zachmurzyła się.

- Czy Wasza Wspaniałość dobrze się czuje?

- Och, czuję się jak mała dziewczynka! - Lolth zatrzymała się w trakcie piruetu. - Niech kucharz podeśle mi coś na górę!

Niepoczyszona sekretarka pośliniła koniec ołówka i zapisała coś na tabliczce.

- Wasza Wspaniałość? Czy mogę jeszcze raz spytać o zaopatrzenie oddziałów?

- Wyżyjemy z ziemi! Oerth jest żyzny. Znajdziemy jakieś pozbawione znaczenia miasto i zdobędziemy je, a następnie wykorzystamy ludność jako prowiant. Pozwolimy zabawić się potworom! - Lolth westchnęła z zadowoleniem, rozmyślając nad wspaniałością swej zemsty. - Musimy się z tego cieszyć, moja mała skwaszona żmijko.

Demoniczna królowa obróciła się, położyła ręce na głowach dwóch wysokich kapłanek z Oerth i uśmiechnęła się.

- Szukajcie. Znajdźcie mi wampirzy staw, a zostaniecie nagrodzone. Zwrócę wam wasze królestwo po tysiackroć!

Lolth czuła, jak pałac idzie po ziemi obcego świata i myślała o swych legionach i armiach jak o dobrze nastrojonych instrumentach w jej dłoniach. W końcu miała moc, żeby się zemścić. Miała potęgę. Miała wolę.

Świat Oerth wyśmiał ją, więc zginie...

Teoretycznie wciąż zmierzali do Hommlet.

Podążali łańcuchem pokrytych kurzem wzgórz, na których rosły osmalone ogniem drzewa. Pierwszy szedł Justicar, ogromny, ponury, z ogoloną głową i w pancerzu z łusek czarnego smoka. Na jego głowie i plecach ułożył się Popiół - rozumne, szczerzące zęby futro piekielnego ogara, który ciągle machał z radości ogonem. Przy pasie Justicara wisiał magiczny miecz imieniem Benelux. Miał głownię w kształcie czaszki wilka i sprawne, mówiące ostrze, szczerze mówiąc, wyjątkowo zręczliwe. Nawet milcząc, miecz ten stwarzał wrażenie, że obecny stan rzeczy zupełnie mu się nie podoba.

Za Jusem szedł Henry - wysoki, chudy osiemnastolatek, który wyglądał tak, jakby składał się głównie z kolan i łokci. Jego piegowatą twarz otaczały blond włosy. Spod peleryny rzadkimi błyskami dawała znać o swoim istnieniu porządna elfia kolczuga przepleciona zieloną nicią, żeby nie chrzęściła. Uzbrojenie chłopca stanowiła solidna magiczna kusza, którą niósł na ramieniu, idąc krok w krok za Justicarem i dzielnie starając się nie okazywać zmęczenia.

Henry rzucał ukradkowe spojrzenia na zadowoloną z siebie samicę sfinksa, która szła tuż obok niego. Enid była większym niż lew, nieśmiałym, ładnym stworzeniem z piegami na nosie, białymi piórami w skrzydłach i włosami zaplecionymi w tysiące warkoczków. Jej wielkie łapy spokojnie stąpały w kurz, a ogon rzucał cień pośród plam światła na drodze. Na grzbiecie niosła dużego borsuka, który wciąż smarował coś w pogniecionym dzienniku. Polk - woźnica wskrzeszony jako to milutkie leśne zwierzę, był, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej denerwujący niż kiedykolwiek przedtem. Od jednego końca drużyny do drugiego, ubrana w kostium tak bijący w oczy, że zakazany w sześciu zewnętrznych królestwach, pracowicie uwijała się Escalla, faerie. Pełne energii małe stworzonko leciało nieopodal głowy Jusa i wymachiwało dłońmi, w których ścisnęło patyk.

- No dobrze, piesku! Uwaga! - Escalla zawisała nad drogą i rzuciła patyk. - Przynieś! No dalej! Aport!

Patyk uderzył o ziemię dziesięć metrów przed nimi. Escalla popatrywała z zadowoleniem to na niego, to na Popioła, który leżał na hełmie Justicara. Machnęła rękami, próbując zachęcić piekielnego ogara do biegu.

-No dalej! Aport!

Niestrudzenie maszerujący drogą Justicar zdecydował się o nic nie pytać i niczego nie komentować. Henry przyglądał się z zaciekawieniem, Polk wytrwale zapisywał swe kroniki w heroiczne rymy, a Enid zbierała patyki dla Escalli.

- Hej, Escalla - zawołał zaintrygowany Henry. - Co robisz?

- Próbuję nauczyć pieska aportować! - Nagrywając tę chwilę na klejnocie spowalniania czasu, mała faerie, pełna nieograniczonego entuzjazmu, rzuciła Popiołowi kolejny patyk.

- Dalej, Popiół! Aport!

- Aha. - Henry usiłował poprawić kuszę na ramieniu. - Hhm, czy to nie jest trudne, skoro on jest... no wiesz, pustą skórą? - wyszeptał pochyliwszy się do ucha faerie.

Escalla rzuciła okiem na Popioła i odciągnęła Henry'ego poza zasięg słuchu ogara.

- To mój plan, żeby go rozruszać.

- Rozruszać?

- Spójrz: piesek może machać ogonem, może podnieść uszy.... Myślę, że rozruszanie go to tylko kwestia przewagi umysłu nad materią. - Uderzyła patykiem w swą małą dłoń.

- Sprowadźmy to do podstaw! Jeżeli skutecznie wykorzystamy instynkty, możemy przezwyciężyć jego mentalną blokadę!

- Przez aportowanie patyka?

- Hej! - Faerie pomachała dłońmi. - Psy przynoszą patyki! Wszystkie książki mówią, że to robią.

- Naprawdę? - Henry z namysłem popatrzył na wielkie zębiska Popioła. - To piekielny ogar. Może one przynoszą kości lub czaszki, albo inne takie?

- Escalla - z ciężkim westchnieniem odezwał się Justicar. - Nie sądzę, żeby Popiół nadawał się do przynoszenia patyków.

- Ha! Wy, ludzie, musicie nauczyć się wytrwałości! Potrzebujecie trochę samodyscypliny! - Escalla rzuciła kolejny patyk.- Popiół! Aport!

Na szlaku drużyny leżało przynajmniej dwieście patyków. Niepokonana Escalla żwawo gestykulowała na Popioła, który jedynie szczyrzył zęby. Odrobinę zniecierpliwiona, dziewczyna zmierzyła go zamyślonym spojrzeniem.

- Naprawdę próbujesz czy nie?

- *Zabawne!* - Piekielny ogar pomachał ogonem. - *Dobre ćwiczenie dla zabawnej faerie!*

Escalla zachmurzyła się.

- No, co ty, piesku, przestań! To poważny eksperyment!

- *Długi dzień. Popiół zmęczony.*

- Cóż, no dobrze. - Escalla wyrzuciła na bok ostami patyk. - Dam ci chwilę odpocząć. Nie chcę nadwerężyć twoich, hm... jakichkolwiek mięśni, które pozwalają ci się poruszać. Ale dzisiaj

wieczorem będziesz ćwiczył przez godzinę! I dostaniesz kawałek węgla za każdy przyniesiony patyk!

Justicar uniósł brew.

- Escalla, w dniu, w którym przyniesie pierwszy patyk, dostanie cały furgon węgla.

- Hej, piesku! Słyszałeś? - Escalla wylądowała na ramieniu Jusa i naraziła na szwank słuch człowieka i ogara. - Widzisz! On w ciebie wierzy!

- *Popiół szczęśliwy!*

- To dobrze. - Justicar podniósł dłoń, by poklepać czaszkę piekielnego ogara. - Dobry pies.

Ścieżka wiodła przez opustoszałe lasy, ruiny starożytnej wieży i dalej, do ślicznych, spokojnych wzgórz. Ten pusty kraj oddzielał cywilizowane królestwa południa od dzikich królestw północy, gdzie czyhały potwory Iuza. Jednak nawet tak daleko na południu ziemie wyludniły Wojny o Greyhawk. Oddziały wojsk przeszły tu przed laty, wyrządziły szkody i znikły. Teraz wzgórza były ciche, a stare kości powoli zamieniały się w pył.

Brakowało zwierzyny. Żaden jeleni nie wybiegł z lasu. Zające i gołębie nie uciekały przed śmiałkami kroczącymi starą, opuszczoną drogą. Wszystko to budziło podejrzenia. Justicar zboczył nieco ze szlaku i przesunął dłońmi nad potarganą kępą trawy, spoglądając na odchody jelenia, które zbierały pod działaniem słońca i deszczu. Henry natychmiast się ukrył, ładując magiczną kuszę. Jus pozwolił chłopcu dokończyć, a potem zaczął obserwować teren i wchłaniać zapachy lasu.

- Popiół?

- *Nie ma zapachu zwierząt. Nie ma śladu jelenia. Tylko robole!* - Popiół odkrywał świat zmysłami ostrzejszymi niż zmysły człowieka, wyczuwając magię unoszącą się w powietrzu. *-Był tu ktoś zły. Teraz poszedł.*

-Zły?

-*Może troll. Może goblin. Może pająk. Zapach sprzed dnia.*

Escalla trzepotała skrzydłami gdzieś w górze, niewidzialna pośród drzew, osłaniając Jusa i Popiōła. Powoli ponownie pojawiła się w polu widzenia i śmignęła w dół, wpatrzona w gałęzie drzew.

- Kłopoty?

- Kłopoty. - Justicar przebierał palcami w trawie. - Nie ma tu dzikich zwierząt. Niczego większego od myszy. Popiół wyczuwa za to trolle i goblina.

- Trolle? - Escalla wyjęła lodową różdżkę i przygotowała się na kłopoty. - O, to fajnie.

- Nie mogą tu mieszkać. Nie tutaj.

- Więc skąd przyszły? - spytała Escalla, wachlując skrzydłami.

- Właśnie... - Justicar spojrział na spokojne wzgórza. - Skąd przyszły?

- Chłopcze, co się dzieje? - W ciszę wdarł się głos Polka. - Czekamy! Jesteś zbyt powolny. Nie przywykłeś do szlaku. To wynik byle jakiego życia, chłopcze! Jesteś leniwy! Niezdyscyplinowany! Musisz pragnąć życia na szlaku, synu. Stać się prawdziwym twardym poszukiwaczem przygód tak jak ja! - Polk dumnie wypiął pierś. - Mogę służyć ci za przykład, synu! Nie mam nic przeciwko temu. Właśnie po to tu jestem! Mam być przykładem. Żywą inspiracją! - Borsuk pomachał łapą. - Dalej, synu! Musimy zachować tempo i znaleźć jakąś cywilizację, zdobyć wyposażenie na wędrowkę po podziemiach i zabrać cię na porządną przygodę!

Jus i Escalla spojrzeli złowieszczo na borsuka. Jus podniósł się z trawy.

- Potrzebujemy jedzenia, Polk. Potrzebujemy piwa. Potrzebujemy składników do czarów Escalli. Jeżeli kupisz jeszcze jedną przeklętą linę...

- Ach, tak! - Enid promieniała humorem. - A Escalla chce składniki do wielu eliksirów gigantycznego rozmiaru!

- Co takiego? - Jus podrapał się w głowę.

- Ciii! Nic! - Escalla dała Enid kuksańca w żebra i zagryzła wargę. Ubrana w rękawiczki do łokci, spódniczkę i legginsy, które wyglądały tak, jakby były namalowane wprost na jej skórze, zdała sobie sprawę, że wszyscy na nią patrzą. Zarumieniła się, poprawiła spódniczkę i spojrzała się na Polka, który wpatrywał się w nią wyczekująco.

- Co takiego?

- Ogłuchłaś? - Borsuk sporządzał listę zakupów. - Pytałem, po co nam eliksiry wzrostu podczas poszukiwania przygód?

- Cóż, jak najbardziej wierzę, że to będzie przygoda! - Faerie zawirowała w powietrzu.

- Polk! Nie potrzebujemy żadnego ekwipunku do poszukiwania przygód! Nie kupujemy święconej wody, tojadu, srebrnych luster czy jucznych mułów. A jedyny czosnek, na jaki mam ochotę, to ten smażący się w oliwie z liśćmi laurowymi i kawałkami jagnięciny!

- Już mamy tojad - parsknął Polk. - Jest w moich pakunkach. A po czosnku mam gazy.

- Próbowaliśmy cię o tym ostrzec - Escalla podleciała do borsuka i podparła dłonią podbródek. - Jeżeli kapłani wskrzesili cię jako borsuka, to może powinieneś jeść to, co borsuki?

- Co? Robale, korę i tygodniowe króliczeta? - Polk parsknął z wyższością. - Może jestem futrzakiem, ale nie jestem głupi! A teraz ruszajmy. Znajdźmy miasto. Mam ochotę na pieczone, szarlotkę i zimne piwo, i to niekoniecznie w tej kolejności!

- Hen? - Escalla skinęła na Henry'ego, żeby wyszedł z kryjówki. - Ruszaj, skarbie!. Czas się zbierać.

Droga opadała w doliny, następnie wspinała się na wzgórze, w końcu prowadząc w dół do nędznego miasteczka. Rzeka płynąca tuż obok wylała z brzegów podczas wiosennych roztopów, zmieniając niziny w mokradła. Powódź dotarła aż do murów. Uciekinierzy z zatopionych wiosek opanowali miasto, a zapach tego miejsca ściągał muchy z setek kilometrów.

Wędrowcy spojrzeli z góry na rozpościerający się przed nimi krajobraz. Enid wyglądała na zaszokowaną i machała ogonem, żeby pozbyć się atakujących ją much. Escalla zerknęła na panujący w okolicy bałagan i westchnęła z irytacją.

Jedyną szczęśliwą osobą był Polk. Rozwinął ogromną mapę i rozłożył ją na zadzie Enid, a jego pysk wprost promieniał z radości.

- W końcu dotarliśmy! Oto Greyhawk, synu! Stolica śmiałków całego Flanaess!

- Polk, to nie jest Greyhawk. Greyhawk leży czterysta pięćdziesiąt kilometrów w tamtą stronę. - Justicar już dawno zabronił Półkowi planować marszrutę. - Jeżeli ci uchodźcy, których spotkaliśmy dwa dni temu, mieli rację, to ta rzeka nazywa się Att, a do Verboboncu jest jeszcze przynajmniej sto pięćdziesiąt kilometrów na południe.

- Verbo-co?

- Nie wymyślałam nazw miast, Polk. Ja je tylko odnajduję.

- Cóż, wobec tego, co to za miejsce?

- Nie wiem. - Justicar wzruszył ramionami. - Pewnie jakaś dziura na zachód od Furyondy. - Poczul, że Popiół żywo macha ogonem. - Popiół?

- *Cuchnie!*

- Myślałem, że jesteś zmęczony.

- *Zmęczony patykami! Nie wachaniem! Do miasta - zabawa!*

Justicar podejrzliwie spojrział na piekielnego ogara.

- Żadnego palenia - ostrzegł. - Nic! Tym razem mówię poważnie!

- *Popiół dobry pies! Nigdy nic nie pali!*

- Pamiętasz Trigol? Pamiętasz miasto namiotów na równinach?

- *To wypadek!*

- W porządku. - Justicar położył dłoń na rękojeści miecza. -A teraz po zapasy.

Benelux parsknął z wyższością.

- Sądzę, że powinniśmy sporządzić skargę na sposób, w jaki nas potraktowano w tym kraju! Jesteśmy najprzedniejszej klasy podróżnikami. Zaslugujemy przynajmniej na to, żeby na granicy powitał nas komitet możnych. Może nawet król!

- Słuszna uwaga, kolczasty. - Escalla poklepała pochwę miecza. - W porządku, ludzie! Miecz sporządzi pisemną skargę, jak tylko wyndzie sobie parę sprawnych rąk. Pozostali, ty Jus i Henry zajmijcie się dokumentami i aspektami prawnymi. Enid i ja bierzemy na siebie zakupy. Dzięki temu wydostaniemy się z tej kloaki tak szybko, jak to tylko możliwe.

Henry zamrugął.

- Czy jesteś pewna, że dacie sobie radę bez ludzi?

- Weźmiemy Polka. On jest w pewien sposób człowiekiem. - Faerie uszczypnęła Henry'ego w podbródek. - Hej, nie martw się! To nasz żywioł.

- Naprawdę?

- Pewnie! Zaufaj mi. Jestem faerie!

Zdecydowali, że odpoczną kilka minut, zanim przejdą ostatnie kilka kilometrów dzielących ich od miasta. Polk zaczął grzebać w swoim pojemniku na zwoje, szukając aktu własności Hommlet i okolic - zakupu, który Escalla dokonała w odległej przeszłości. Enid lizała łapę i ścierała kurz drogi z piegowatej twarzy. Widząc, że Justicar siada na kłodzie przy drodze, Escalla podleciała do niego, usiadła i złożyła skrzydła.

Przez chwilę siedzieli razem w milczeniu, ogromny wojownik w czarnym pancerzu i szczuplutka, mała faerie ze sprytnymi, rozradowanymi oczkami. Razem spoglądali na wzgórze, nie całkiem pewni, co zrobić. Nagle ich przyjaciele wydali im się bardzo odlegli.

Mijały długie chwile. Jus spojrzął na cuchnące miasto, zapchane ludźmi i przepełnione śmieciami, i westchnął ze znużeniem.

- Przepraszam. Wiem, że miałaś nadzieję, że to będzie bardziej ekscytujące.

- To jest ekscytujące. Mamy przed sobą głuszę, którą należy zbadać, w pobliżu są diabelskie ruiny...

- Więc naprawdę chcesz, żebyśmy rozdzielili się w mieście?

- Ooch, myślę, że pachnie tu jak w miejscu, które chcielibyśmy jak najszybciej opuścić. - Escalla przysiadła na dłoniach, żeby utrzymać je w jednym miejscu, i pochyliła się do przodu. Jej długie blond włosy falami spływały na kłodę. - Ale Enid i ja musimy... no wiesz, coś kupić.

-Co?

- Hm, babskie sprawy - Escalla zarumieniła się. -No wiesz... coś.

- Ach, rozumiem. - Justicar przypisał jej zmieszanie tajemniczości kobiet. - Cóż, mamy z tonę złota wyniesioną z jaskiń drowów.

- Taak, myślę, że zdołam tyle wydać. - Escalla uśmiechnęła się nagle. - Zamierzam kupić jakąś błyskotkę dla Enid i jeszcze szcnotkę! W końcu, jak mamy zdobyć dla niej miłego androspfinksa, jeżeli całe dni spędza z nosem w książkach? Ta dziewczyna potrzebuje jakiegoś romansu, żeby rozjaśnić sobie życie.

- Romansu? - Justicar zaśmiał się na tę myśl.

Popatrzyli na siebie. Uśmiech zastygł na ich twarzach i zmieszani odwrócili spojrzenia w przeciwne strony. Potężny, łysy tropiciel poróżowiał, a Escalla czuła, że jej policzki płoną czerwienią. Zamaskowała to, udając przesadne zainteresowanie widniejącym w oddali miastem.

- Więc... ruszamy?

- Tak. - Justicar ponownie westchnął. - Sądziłem, że będzie to przyjemniejsze.

- Przyjemniejsze?

- Chciałem przenocować dzisiaj w jakimś przyzwoitszym miejscu. - Wielki mężczyzna siedział na swoich rękach. - Może... może by tak zostawić tamtą trójkę i pójść gdzieś na chwilkę? - Kaszlnął, poróżowiał i wpatrzył się w swoje dłonie. - Cóż, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

- O czym? - Escalla głośno przełknęła ślinę.

- O czymś naprawdę... ważnym.

Za plecami Jusa kłoda zabrzmiała pustym, rytmicznym dźwiękiem. Jus i Escalla zamrugali, a następnie spojrzeli na Popioła, który wisiał w swym zwykłym miejscu, okrywając hełm i plecy mężczyzny. Zęby piekielnego ogara lśniły, oczy świeciły, a ogon machał z radością dudniąc o pustą kłodę.

-Zabawne!

Escalla zerknęła na stworzenie jednym okiem, a następnie skierowała uwagę na Jusa.

- Chcesz, ach... chcesz być sam? - Zawahała się. - To znaczy, tylko ze mną?

Jus wyciągnął dłonie przed siebie i pocierał kostki. Spostrzegł, że to robi i wbił oczy w ziemię, chrząkając.

- Ja... tak. To znaczy... Chciałem sprawdzić coś dotyczącego ciebie.

-Tak?

- Coś, o czym chciałem... z tobą porozmawiać.

Serce Escalli podeszło do gardła, czuła, że całe jej ciało drętwieje.

Justicar próbował przejść do sedna.

- Cóż, chodzi o to, że chciałem...

-Tak?

- Posłuchaj... myślałem. . -Mhmm!

Jus kaszlnął i chrząknął.

- To znaczy... Chciałem zapytać...

- *Zabawne, zabawne!*

Piekielny ogar jeszcze mocniej walił ogonem. Zrozpaczona Escalla skoczyła na równe nogi.

- Piesku!

- *Ładna faerie!*

- Posłuchaj, Popiół. Czy będziesz miał coś przeciwko, jeżeli położymy cię tu na chwilę? - Escalla zatargała Popioła na pniak i wepchnęła mu do pyska duży kawałek węgla. - Masz. Jedz!

- *Zabawne!*

Powróciwszy do Jusa, Escalla usiadła, wygładziła skórzane legginsy i spróbowała powrócić do rozmowy.

- Porozmawiać? Ze mną?

- Na osobności, tak.

Justicar stawiał czoła licz-lordom i tanar'ri w śmiertelnej walce. Szturmował wylomy w murach fortec i polował na demony w mrocznych, martwych lasach Iuza, ale w tej chwili czuł, że ogarnia go idiotyczny strach. Trzasnął dłońmi o uda, wypuścił powietrze i zdecydował się zrobić to, co już dawno powinien. Zebrał się w sobie, wziął głęboki wdech i postanowił sprostać potrzebie chwili z odwagą wojownika.

Nagle od jego pasa dobiegł zrzędlivy głos.

- *Cóż, chciałbym, żebyś ją wreszcie zapytał i miał to już za sobą! Niektórzy z nas mają zadanie do wykonania!*

Benelux wiercił się niespokojnie w pochwie. Zdenerwowany Jus odpiął broń i rzucił ją w trawę obok Popioła. Popiół nastawił wielkie uszy i zachichotał. Jus zakomunikował mu, żeby pilnował własnego nosa, i nagle doskonale zdał sobie sprawę, że skóra Escalli promieniuje ciepłem tuż przy jego udzie.

Była blada i piękna, szczupła, ale pełna wewnętrznej energii. Oczami tak zielonymi jak dzikie młode liście - sprytnymi, niewinnymi i nieśmiałymi - spojrzała na niego, czekając na każde słowo.

Jus sięgnął, żeby pogłaskać palcem jej delikatny policzek. Escalla łagodnie przytrzymała jego dłoń przy twarzy, zamknęła oczy i z lubością poddała się pieszczocie.

- Znalazłem! Verbobonc! Dokładnie tu na mapie! - Polk wychynął spod kłody, wpychając się pomiędzy nich. - Verbobonc. Niezależne miasto-państwo.

Jus i Escalla odsunęli się od siebie, płonąc z zażenowania. Polk zignorował ich zmieszanie.

- No, i po co ta gadka? Jeżeli masz coś do powiedzenia, mów głośno, chłopcze! Powiedz, co masz na myśli! Wiadomościami należy się dzielić! Na tym właśnie polega wymiana poglądów! Kręgosłup postępu! - Borsuk strącił Jusa z kłody. - W każdym razie, dość grzebania się! Pora ruszać. Tracimy czas! Życie jest cenne. Ten, kto rusza w drogę, nie rdzewieje! Nadchodzą pozostali! - Polk pomachał do Enid i Henry'ego. - No dalej, chłopcze! Odwalmy papierkową robotę i ruszajmy na tę przygodę!

Burcząc pod nosem przekleństwa, Escalla kopnięciem rozbiła muchomora w drobny mak. Rozradowani Enid, Henry, Polk i Popiół zgromadzili się wokół i wypchnęli oboje na drogę. Bezsilni wobec takiego entuzjazmu, Jus i Escalla rozpoczęli podróż do miasta, do jego smrodu, tłumów i much.

Wściekły Justicar przywiązał Popioła do hełmu, chwycił miecz, wymienił sfrustrowane spojrzenie z Escallą i zajął miejsce na czele drużyny.

- Kiedy dotrzemy do miasta, ty Henry, pójdziesz ze mną. Sprawdzimy, czy jest tu jakiś oficer tropicieli, spytamy o najlepszą drogę na południe, i dowiemy się, czy są jakieś problemy, o których powinniśmy wiedzieć. Escalla, ty i Enid zajmiecie się prowiantem, narzędziami, i co tam jeszcze... Spotkamy się przy bramie, kiedy wszystko załatwimy.

- No, dalej. - Rozzłoszczona Escalla usiadła na głowie Enid. - Załatwmy, co trzeba i ruszajmy do domu.

Henry popatrzył uważnie na faerie.

- Czy zamierzasz coś zrobić ze swoim wyglądem?

- Hej! - Obrażona Escalla spojrzała na swą czarną spódniczkę. - To strój z prawdziwej skóry salamandry! Najkrótsza ognioodporna spódniczka w całym Flanaess!

- Hm, po prostu zastanawiałem się, czy faerie i sfinks nie wzbudzą... odrobiny zainteresowania.

- Dzieciaku, kiedy носи się spódniczkę taką jak ta, nie narzeka się na brak zainteresowania. - Escalla strzeliła palcami. - Wszystko w porządku. Obmyśliłam to.

- Naprawdę? - Zawahał się Henry. - Cóż, dopóki ktoś nie spróbuje cię zmusić, żebyś dała mu garniec złota...

- Hej! Nikt nie rusza faerie. - Escalla westchnęła z rezygnacją i odleciała, żeby sprawdzić drogę. - Dalej! Ruszajmy, żebyśmy w końcu znaleźli trochę spokoju!

Po chwili stała się niewidzialna. Jus zwiesił głowę, chwycił miecz i ruszył przed siebie. Polk usiadł na zadzie Enid, wpatrzony w mapę, którą trzymał w łapach do góry nogami. Wpatrując się w plecy Jusa, Enid pochyliła się, żeby szepnąć w ucho Henry'ego.

-Psst! Zapytał ją?

- Nie. - Henry poprawił elfią kolczugę. - Chyba nigdy tego nie zrobi. Cały czas się waha! Dlaczego po prostu tego nie powie?

- Ach, biedne stworzenie. To musi być trudne. - Sfinks po przyjacielsku położył skrzydło na ramionach Henry'ego. - Myślę jednak, że potrzebuje jedynie zachęty ze strony przyjaciół.

Wzgórza na zachód od Nyr Dyv, wewnętrznego morza Flanaess, odbijały leniwie aksamitno-purpurowy blask słońca. Wiosna przyniosła pokryte rosą poranki i zakurzone popołudnia. Kraina ta wyglądała na zatopioną w wiecznej drzemce, na miejsce, gdzie jaszczurki mogły wygrzewać się w promieniach słońca, a zające spokojnie harcować w cieniu.

W starożytnych ruinach porośniętych martwymi, czarnymi winoroślami z trzaskiem otworzyły się drzwi krypty. Mrugając boleśnie, nieprzyzwyczajona do światła, wysoka kapłanka drowów przepchnęła się przez otwór, powiodła niewidzącymi oczami po ruinach, a następnie skłoniła się pokornie w stronę ciemności.

- Tutaj, Wasza Wspaniałość. To jedyne ocalałe wyjście z tunelu w pobliżu wewnętrznego morza.

Lolth podeszła do wyjścia, krzywiąc się, gdy światło wbiło się w jej oczy niczym igły. Skinieniem ręki przywołała wokół siebie ciemności, podczas gdy tunel z Podmroku wypluwał jej kapłanki, pająki i demonicznych strażników. Przypełzła sekretarka Lolth - sześcioramienne tanar'ri z górną połową ciała kobiety i dolną węża. Jej czarne włosy były krótkie i gęste, a węzowata część ciała wypolerowana do perfekcji. Niosła rogowy puchar, kryształową kulę, łopatę i zbiór notatników i ołówków.

Bezpieczna w obłoku ciemności, Lolth przeciągnęła swe długie, gibkie ciało i zmarszczyła nos.

- Co to za smród?

- Świeże powietrze, Wasza Wspaniałość - odpowiedziała wysoka kapłanka, pozostając w ukłonie. - Odór trawy, pyłków, gazów bydła i legowisk zwierząt.

- Co za okropieństwo. Powinnyśmy coś spalić, żeby pozbyć się tego zapachu. - Lolth odwróciła się i rzuciła zaklęcie na jednego z niewolników. Stworzenie buchnęło płomieniem. - O! Tak jest dużo lepiej!

Sekretarka pajęczej królowej westchnęła, zdegustowana myślą o dodatkowej pracy, jakiej będzie wymagało znalezienie następnych niewolników. Wszystkimi sześcioma rękami zabrała się do sporządzania notatek. Ignorując milczącą reprimendę sekretarki, Lolth raz jeszcze przeciągnęła się z gracją i patrząc na wzgórza i doliny Oerth ogrzewała się przy ogniu.

Coś zakwiliło w trawie. Pomknąwszy w przód, lekka niczym tancerka, Lolth odsunęła zasłonę starego bluszczu i w mroku znalazła skulonego człowieka. Mężczyzna trzymał przyciśnięte do piersi jagnię.

- Och, popatrz! Pasterz! Cóż za sielanka! - Wyciągnęła dłoń, pokazując przestraszonemu mężczyźnie, żeby wyszedł z ukrycia. - Chodź! Dalej! Przecież cię nie zjemy!

Sekretarka skrzywiła się i popatrzyła w bok, rzucając ogonem. Wrzaski mężczyzny zdawały się

trwać wiecznie, a krew tryskała po starych kamieniach i trawie. Sekretarka odwróciła się znowu, kiedy wszystko się uspokoiło.

- O, tak - odezwała się Lolth, pokryta krwią i dysząca w ekstazie. - Będziemy się tutaj dobrze bawić.

Ruiny tworzyły łuk pełen pajęczyn i starych, uschniętych kwiatów. Na końcu rzędu kolumn migotała delikatna mgiełka magii. Lolth podeszła tanecznym krokiem do łuku, złapała muchę i nakarmiła ją małego pajęczka zwieszającego się z kamieni.

Oddziały już wyruszyły. W ciągu następnej godziny wyjście z tunelu miało wypełnić się koszmarami z otchłani, gotowymi zaatakować osadę, którą Lolth wybrała jako pierwszą „spizarnię”. Demoniczna królowa rzuciła okiem na sekretarkę.

- Tak! Skończyliśmy? Nasza mała wyprawa po jedzenie jest gotowa?

- Tak, Wasza Wspaniałość. Wszystko gotowe. - Sekretarka niecierpliwie poruszyła ogonem i poprawiła notatki. - Zdobyć jedno miasto, a ludność przeznaczyć na prowiant. Szczegóły do uzgodnienia w miarę postępów...

- Ale najpierw czeka nas kilka niewielkich, błahych zadań! - Królowa Pajęczych Otchłani strzeliła palcami na sekretarkę. - Chodź! Reszta ma zostać tutaj i nie robić nic głupiego!

Stając pod łukiem, Lolth wyciągnęła zza pasa sakiewkę z czarnymi cierniami i rzuciła garść przez łuk. Magia zamigotała i pojawił się lśniący portal. Osłaniając oczy przed blaskiem, Lolth przeszła przez otwór, pokazując sekretarce, żeby poszła za nią.

- Rusz się! Zawsze musisz być taką prukwą!

Magiczne przejście błysnęło, a Lolth i jej sekretarka wynurzyły się z łuku wykonanego z czarnego bluszczu głęboko w lesie. Na wpół zagrzebane w masie starych liści posągi dawno zmarłych królów ze złością patrzyły na demonkę, gdy ta rozłożyła ramiona.

- Sto jeden dni! Jedna trzecia roku od zniszczenia mego podziemnego królestwa. - Czarny jedwab lśnił, gdy nowe, demoniczne ciało Lolth zawirowało w tańcu. - Czy wiesz, o czym rozmyślałam w każdej godzinie tych wszystkich stu dni?

Sekretarka spojrzała na swą panią z uciechą.

- O sprawach wagi państwowej, Wasza Wspaniałość?

-Nie, moja słodka, nudna dziewczynko. Planowałam zemstę. - Lolth pociągnęła nosem i spojrzała na swą towarzyszkę. - Jesteś taka bezbarwna!

- Tak, Wasza Wspaniałość.

Lolth przeszła się pośród drzew.

- Jest takie stare przysłowie, że zemsta to danie, które najlepiej smakuje na zimno. - Z gracją oparła się o gałąź. - Ja jednak sądzę, że zemsta najlepiej smakuje, gdy jest żywa i wierzga.

Sekretarka odpowiedziała pokornym westchnieniem. W sześciu dłoniach trzymała trzy notatniki i trzy pióra.

- Te stworzenia, Wasza Wspaniałość, zniszczyły całe miasto. Nie lekceważ ich.

- Och? - Królowa demonów kontemlowała srebrne brosze w kształcie czarnych wdów stanowiące główny jej stroju. - I jak, słodki ośle, ty byś sobie z nimi poradziła?

- Wysłałabym dwadzieścia demonów, żeby zabić ich we śnie. - Sekretarka dziabnęła notes piórem. - Zmieliłabym szczątki na proch i ziarnko po ziarnku wrzuciła do najgłębszego oceanu.

-I dlatego, moja droga, to ja jestem królową zła, a nie ty. - Lolth z niesmakiem popatrzyła na kobietę węża. - Nie chcę ich śmierci! Pragnę ich rozpaczy! Szoku, koszmaru, fałszywej nadziei, zupełnej paniki! Chcę męczyć ich dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Pragnę, żeby płakali ze strachu i wstydu!

Sekretarka popatrzyła na swą panią spod spuszczonej powiek.

- A potem ich zabić?

- Oczywiście! Niech zginą pożarci żywcem przez gigantyczne pająki, ich żywe czaszki będą moimi kielichami, a dusze mymi krzyczącymi zabawkami. - Lolth odegnęła te wizje. - Ale sednem jest pościgi Mówimy o jakości zemsty, nie o ilości! Potrzebujemy ironii z odrobiną czystej nieprawości! - Usiadła na głowie posągu. - Mój problem ma dwa imiona: Escalla i Justicar. - Założyła nogę na nogę i strzeliła palcami, biorąc od sekretarki kryształową kulę. - Plan jest prosty. Musimy zastanowić się, co najbardziej w świecie rozwścieczyłoby naszych małych przyjaciół?

Zbliżał się czas, kiedy pierwsze oddziały powinny przechodzić przez otwór tunelu. Sekretarka postukała piórem w notes, sprowadzając Lolth na ziemię.

- Czy nie powinniśmy zabrać się do roboty, Wasza Wspaniałość? Z pewnością ten dzień jest już stracony.

Zdenerwowana Lolth przetarła kryształową kulę.

- Czasami wystawiasz na próbę moją cierpliwość.

Sekretarka zamarła, otworzyła notes i spojrzała Lolth prosto w oczy, oczekując rozkazów. Prowadziła skomplikowaną grę. Lolth zniewoliła ją, więc jako asystentka stała się dla niej niezastąpiona. Obie wiedziały, że łączyła je delikatna więź oparta na obopólnej pogardzie i złości.

- Escalla, faerie. - Lolth prychając złapała kryształ, gdy pojawił się w nim obraz Escalli. - Próżna, egoistyczna i ubrana tak, że mogłaby wywołać orgię sukubów. Chociaż muszę przyznać, że podobają mi się jej rękawiczki. - Z uśmiechem przyjrzała się w kuli swej małej ofierze. - Córka

marnotrawna, którą ojciec ubóstwiał, co rozsierdziło jej siostrę, Tielle. Próbowaliśmy sprawić, żeby Tielle zdradziła dwór Seelie. Szkoda, że się nie udało.

Lolth rzuciła kulę na bok. Sekretarka pospieszyła i w ostatniej chwili ocaliła ją przed rozbiciem.

-W każdym razie jesteśmy tutaj po to, żeby uruchomić pierwsze trybiki.

Grzechotka na końcu węzowego ogona sekretarki zatrzęsała się niemrawo.

- A gdzie jest tutaj, Wasza Wspaniałość?

- Tutaj to miejsce, gdzie rozpoczyna się bieg wydarzeń! - Lolth wyglądała na zdenerwowaną. - Naprawdę, jesteś taka nudna. Przypomnij mi, jak się nazywasz?

- Morąg, Wasza Wspaniałość.

- Morąg? - Lolth wzdrygnęła się. - Ech! Powinam była się domyślić! Jak to koszmarnie pasuje. W porządku, jeśli pozwolisz, chciałabym jedną twoją łuskę.

Przez chwilę Morąg pomyślała, że mogłaby się sprzeciwić, ale w końcu zdecydowała, że miałyby to niewiele sensu. Skręciła się, wyrwała jedną łuskę z ogona i wręczyła ją królowej. Lolth przyjrzała się jej, wciągnęła aromat siarki i perfum i zeskoczyła ze swego siedziska. Podeszła do łuku, który tworzyły posągi przechylone tak, że dotykały się głowami.

Portal błysnął, gdy łuska demona dotknęła jego powierzchni. Brama przeniosła je do głębokiej, rozległej podziemnej komnaty rozjaśnionej przez bladoniebieskie stalaktyty, w której lśniło jezioro płynnego srebra.

Lolth zaplotła palce. Łuska znikła, pochłonięta przez portal.

- Koszmarne wygodny sposób podróżowania. Portale wiedzą przez cały ten skrawek Flanaess. Znają je tylko faerie! Jak dobrze, że mamy jedną w naszej drużynie. - Demoniczna królowa leniwie przechadzała się obok wielkiej, płytkiej sadzawki. - Oczywiście faerie nie wiedzą, gdzie prowadzi większość z tych portali. Ten mały raj znalazłyśmy przez przypadek. Czyż nie jest wspaniały?

Demoniczna królowa znalazła dla siebie miejsce do siedzenia i odprężyła się. Pozostawiona sama sobie Morąg podpełzła do srebrnej sadzawki. Ciecz falowała wolno, jak gdyby poruszana powolnym, żyjącym pulsem. Odłożywszy kulę, róg i notesy na bok, sekretarka pochyliła się nad sadzawką i spojrzała w dół na swe odbicie. Zaciekawiona, zmarszczyła brwi.

- Nazywają to wampirzą sadzawką. - Z tyłu dobiegł odbijający się echem głos Lolth. - Nie dotykałabym jej. - Królowa przyglądała się swym paznokciom. - Lubi krew bardzo dobrą lub bardzo złą, i nie powinna mieć twojej. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Kilka minut później błysk oznajmił, że magiczny portal znowu się otworzył. Lolth wstała z twarzą rozpromienioną uśmiechem.

- Ach! W końcu jesteśmy tu wszyscy!

W powietrzu unosił się męczyzna faerie - sprytna, ciemna istotka w ubraniu barwy dworu Seelie. Czarna skóra i maska skrywały jego tożsamość. Za nim w powietrzu płynęło ciężkie wiadro pełne dziwnej różowej mazi. Faerie spostrzegł stojącą przed nim wyniosłą i wspaniałą Lolth, której długie srebrne włosy spływały falami do podłogi. Ukłonił się lekko i elegancko, przewracając oczami.

- Wasza Wspaniałość. Jesteś dla mnie zbyt uprzejma.

- Tak. - Lolth przeszła z gracją między dziwnymi stalagmitami, nieśmiało zerkając na małego lorda faerie. - A przyniosłeś mi coś?

- Wasza Wspaniałość, oto prezent, o którym rozmawialiśmy.

- Ach. Doskonale. - Lolth ucieszenie pomachała palcami w stronę pulsującej sadzawki żywego srebra. - A tu jest twoja nagroda. W tej sadzawce jest moc, która może rozpętać chaos, jakiego sobie życzysz. Jeżeli pragniesz wybudować imperium z ciał swoich wrogów, znalazłeś się w odpowiednim miejscu.

Faerie podszedł do sadzawki i zafascynowany patrzył w fale srebrnego jeziora. Elegancka i piękna Lolth podeszła do niego na palcach i uśmiechnęła się do swego odbicia.

- Zła krew daje ci moc spalenia twych wrogów!

- Czy mam to stąd wydobyć? Wykąpać się w tym?- Faerie spojrzał w górę na Lolth, a jego spojrzenie wyrażało wyłącznie chciwość.

- Dlaczego nie spróbujesz tego dotknąć?

Faerie wyszczerzył zęby w uśmiechu, a następnie zanurzył w wodzie dłoń. I już był martwy. W jednej chwili stał z palcem w sadzawce, a w następnej zmienił się w wysuszoną skorupę, pozbawioną krwi. Sekretarka z niesmakiem pociągnęła nosem. Stojąc przy krawędzi sadzawki, Lolth kopnęła wysuszoną, pustą skorupę do stawu. Ciało znikło z pluskiem, tworząc fale. Płyn świecił teraz czerwono.

Lolth popatrzyła na zirytowaną Morag.

- Jestem królową demonów. - Wzruszyła ramionami. - Dlaczego ktoś miałby słuchać moich sugestii? - Podeszła do wiadra pozostawionego przy magicznym przejściu. - A teraz do roboty.

Bezceremonialnie odwróciła wiadro dnem do góry. Po chwili z wolna zaczęła wypływać z niego różowa maź ozdobiona parą oczu i rozrzuconymi kępkami włosów. Oczy mrugnęły w kierunku Lolth i rozszerzyły się ze zdziwienia. Królowa zaplotła palce i posłała w stronę mazi mały deszcz magii, nucąc krótką melodię. Cieszyła się jak dziecko.

- Do góry! Powstań! Powstań! - zawołała.

I nic. Maż zamrugwała, Lolth skrzywiła się, a Morąg westchnęła.

- Będziesz musiała użyć silniejszej magii - zauważyła. - Czar został rzucony przez faerie Escallę.

- Wiem o tym! - Tym razem Lolth postąpiła właściwie. Stojąc nad różową mazią, otworzyła dłonie, pomiędzy którymi przebiegła energia. Wtedy królowa klasnęła, krzyząc:

- Powstań!

Różowa maż u jej stóp napięła się i zmieniła kształt. To była przebiegła kombinacja czarów: ciało zamieniono w kamień, kamień w błoto, a potem zdjęto czar zaklinający ciało w kamień. Tielle, siostrę Escalli - morderczynię, intrygantkę i zdrajczynię rodzaju faerie - zamieniono w ten sposób w żywą kałużę ciała. Maż zamknięto następnie w lochach dworu Seelie, by czekała tam na łaskę Erlkróla. Bogini Lolth przedarła się przez magię Escalli. Rozległo się westchnięcie i oto Tielle leżała skulona na lodowatym kamieniu, który okryły fale jej blond włosów.

Faerie poderwała się do góry - przerażona, zaskoczona, ale żywa. Z radości wyrzuciła ręce nad głowę, przypatrując się swemu odtworzonemu ciału, a następnie uniosła oczy, by w skrajnym zdziwieniu spojrzeć na Lolth. Poniżono ją, ale teraz ktoś ocalił ją i nagroził!

Lolth stała z głową przechyloną na bok. Skinęła dłonią na Morąg, która wręczyła jej róg do picia.

- Droga Tielle! Daję ci tę sadzawkę. To woda święcona lub jej przeciwieństwo, w zależności od tego, co do niej dodasz. - Lolth zanurzyła w cieczy róg, który zaczął wciągać płyn, stając się srebrno-czerwony. - Jeżeli wlejesz w nią złą krew, woda będzie palić dobro! Kiedy znajdzie się w niej dobra krew, wtedy zacznie palić zło! Ten róg pozwoli ci na przenoszenie takiej ilości cieczy, jaka będzie ci potrzebna. Rozumiesz? By spalić swych wrogów, musisz poświęcić jakąś bezużyteczną złą istotę i wrzucić ją do sadzawki!

Oszołomiona Tielle popatrzyła na sadzawkę, a następnie przeniosła spojrzenie na Lolth. Demoniczna królowa łagodnie owinęła sobie jej długie, delikatne włosy wokół palca.

- Biedna Tielle. Przechytrzona przez siostrę. Ścigana, tropiona, upokorzona. Escalla pokonała cię w obecności wszystkich waszych przyjaciół i rodziny. Cóż za poniżenie!

Lolth rzuciła Tielle kryształową kulę. Widać w niej było malutki obraz rozradowanej Escalli, która zajmowała się codziennymi obowiązkami.

- Masz sadzawkę, róg, kryształowa kulę. - Lolth miękko objęła małą faerie, schylając się, by szepnąć w nadstawione ucho Tielle. - Czy teraz znajdziemy temat do rozmowy?

W mieście o nazwie Zakole Keggle panował tłok. Tutaj, do najwyższego miejsca w całym regionie, przybyła ludność z dziesiątek oddalonych miasteczek, farm i wiosek. Ludzie wypełniali ulice, tworzyli slumsy w bocznych uliczkach i wylewali się poza mury miasta. W każdej siedzibie władz górne piętra przeznaczono dla uchodźców, a każdy dom i sklep pełen był ubogich krewnych.

Ostrożnie przepychając się przez tłum, Justicar kiwał głową z aprobatą. Władze miasta stanęły na wysokości zadania, żeby zadośćuczynić potrzebom mieszkańców. Bezdomni otrzymali schronienie, biedni strawę. Urzędnicy miejscy prowadzili przez gąszcz ludzi żołnierzy, starając się uporządkować chaos i uprzątnąć brud, który mógłby wywołać zarazę.

Justicarowi podobało się to, co widział. Wykonano tu kawał dobrej roboty. Pewny siebie, spokojny mężczyzna poruszał się ostrożnie, torując drogę Henry'emu, który szedł jego śladem. Ulica przed nimi była wyjątkowo zatłoczona.

Jus wszedł na schody wiodące na blanki murów. Złapał Henry'ego za ramię i bez wysiłku podciągnął go na stopnie obok siebie. Przez chwilę stali niczym rozbitkowie na wyspie, którzy patrzą na wirujące przed nimi szczątki statku, a następnie wolno wspięli się na górę.

Jus trzymał dłoń na ramieniu Henry'ego, prowadząc go przed sobą. Chłopak odgarnął z twarzy niesforne włosy i ściągnął sznurki biegnące przez kolczugę, by uciszyć jej chrzęst. Szybko się uczył. Jus skinął głową i poprowadził go z dala od ulic. Wskazał mu łupkowe dachy Zakola Keggle.

- Tłumy. Nie grożą ci tutaj pociski, lecz sztylety. Jednak ktoś, kto chciałby cię ugodzić, musi się najpierw zbliżyć. Jeżeli tłum jest wystarczająco gęsty, będzie miał z tym problem. Nie zdoła uderzyć z siłą wystarczającą na przebicie pancerza. - Jus podejrzliwie przypatrywał się ulicom i dachom. - Głęboko w zbitym tłumie ostrze twego miecza to przeszkoda. Rękojeść bardziej się przydaje. Wyciągnij miecz i walnij nią w krocze przeciwnika. Mocno! Kiedy się schyli, możesz złamać mu nos kolanem. Człowiek ze złamanym nosem na trzydzieści sekund wyłącza się z walki.

Henry z powagą przysłuchiwał się każdemu słowu. Justicar dzielił się z nim swoją wiedzą, przypominając sobie własną młodość.

- Miasta nie są straszne. Wrogowie rzucają się tu w oczy. Przechodząc, sprawdzaj okna i dachy. Miejsca, gdzie światło nagle się zmienia, są dobre, by się w nich ukryć, zarówno dla ciebie, jak i dla wroga. Zawsze staraj się znaleźć w pobliżu miejsce, w którym mógłbyś się bronić. Zawsze szukaj najbliższej osłony. Szukaj miejsc, gdzie możesz zniknąć z widoku, poruszać się szybko i zaatakować z niespodziewanej strony.

Takie właśnie lekcje sprawiły kiedyś, że Justicar stał się śmiertelnym zagrożeniem dla swoich wrogów. Henry także był pojętym uczniem, jednak przemoc nadal budziła w nim strach. Nie znalazł jeszcze swojej ścieżki.

Doszli do ostatnich dziesięciu schodów. Popiół prychnął i wolno zjeżył futro. Justicar natychmiast zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać, a potem przykucnął z jedną ręką na rękojeści miecza.

- Co to?

- *Trzask i huk.*

Zrobiło się ciemno, choć do zachodu brakowało jeszcze wielu godzin. Popiół potrząsnął ogonem i nieszczęśliwy, położył uszy po sobie.

- *Zły trzask i huk.*

Henry trzymał kuszę w rękach, patrząc na swego mentora.

- Co on mówi? Trzask i huk?

- Wszystko w porządku. - Jus wyprostował się, kręcąc głową. - Słyszysz nadciągającą burzę.

- Och. - Henry zerknął na piekielnego ogara, który zaczął wypuszczać siarkowy dym. - Popiół boi się burzy?

- *Popiół odważny! Duży pies! Palić!*

Pokiereszowana, zarośnięta twarz Justicara rozpogodziła się odrobinę.

- *Kiedy jest B-U-R-Z-A, chciałby się S-C-H-O-W-A-Ć.*

- *Popiół lubi burzę. Piekielny ogar - dumnie uniósł uszy. -Burza jest zabawna. Wielkie bum! Drzewa zapalają się - ogień, ogień! - Parsknął. - Burza z deszczem zła. Mokro, mokro. Brak ognia. Ludzie pachną jak stare mokre skarpetki.*

Patrząc spod otoka hełmu, Justicar zrobił zamyśloną minę.

- Kiedy nauczyłeś się literować?

Zabawna faerie nauczyć! - Popiół promieniał uśmiechem. Był z siebie niezmiernie zadowolony. - *Popiół zna B-U-R-Z-A burza, I-Ś-Ć iść i K-Ą-P-I-E-L kąpiel!*

- Przypomnij mi, żebym jej podziękował.

Dzień kąpieli zawsze był dla Popioła ciężkim przeżyciem. Zresztą to właśnie Escalla sprawiła, że czynność ta stała się odrobinę bardziej trudna niż potrzeba.

- Dlaczego nauczyła cię literować?

- *Pozwolić faerie spać nago na futrze! Ciepło!*

- Cudownie.

Na szczycie murów, pilnie obserwując okolicę, stali strażnicy uzbrojeni w łuki. Jeden z nich uniósł dłoń w ostrożnym powitaniu, nieufny wobec ponurej, odpychającej postawy Justicara. Wielki

mężczyzna wyglądał tak, jakby z łatwością mógł swym mieczem oczyścić cały mur.

- Stać! - krzyknął strażnik. - Wejście tylko dla garnizonu. Nie wolno kwaterować na murach.

- Nie zamierzamy tu zostać. - Justicar skierował podbródek w kierunku południa. - Przybyliśmy z północy. Szukam twojego kapitana tropicieli, żeby zapytać go o drogę na południe.

Wzruszywszy ramionami, najbliższy strażnik wskazał łukiem w kierunku miasta. Ulice były zatłoczone niczym zagroda z bydłem.

- Jest gdzieś tam. Jeżeli chcecie, możecie poczekać tu na schodach. Niedługo wróci.

- W porządku.

Usadowili się wygodnie na szczycie stopni. Justicar odkorkował bukłak, nalał piwa sobie, Henry'emu, a następnie najbliższemu strażnikowi. Mężczyzna zawahał się, a potem przyjął poczęstunek. Była to resztką najlepszego ale z dworu faerie, przywiezionego z zewnętrznych królestw i mocnego jak hartowana stal. Strażnik wziął jeden ostrożny łyk, potem następny, w końcu oparł się o blanki, plecami do świata.

Skończył pić, wyglądał teraz na rozluźnionego i odprężonego. Obserwując go, Jus siedział z Popiołem na kolanach, głaszcząc czarne futro piekielnego ogara. Odebrał kubek i umieścił go z powrotem na bukłaku.

- Ciężko?

Żołnierz spojrzał na tłumy w mieście i westchnął z pogardą.

- Głośno, tłoczno, ale spichlerz pełen. - Wskazał podbródkiem na rzekę. - Powódź nie będzie trwać wiecznie. Przychodzi co dziesięć lat. Wkrótce odejdzie.

- *Powinno się coś z tym zrobić.* - Głos Beneluxa zabrzmiał echem w głowie Justicara. - *Prawdziwy władca zawsze załatwia sprawy u źródła, a nie tylko zwalcza objawy. Powinno się tu zbudować tamy lub kanały odpływowe!*

- Wojny mogły w tym przeszkodzić. - Justicar wilkiem popatrzył na miecz. - Zawsze sprawdź fakty, zanim kogoś oskarżysz.

Mokrym gałganem dokończył polerowanie futra Popioła, które błyszczało teraz pięknie. Strażnik obserwował go z głupim wyrazem twarzy, tym bardziej, że futro waliło ogonem o ziemię.

- To żyje?

- Taak - Jus oczyścił szczotkę i wyrzucił pozostały kłębek futra przez mur. - Nazywa się Popiół.

Cześć! - Wyszczrzył zęby piekielny ogar.

- Justicar. Henry. To miecz Benelux - przedstawił Jus wskazując kciukiem. - Zmierzamy do wioski na południu, do Hommlet.

- Hommlet! I przybywacie z północy?

- Taak.

- Mięliście jakieś kłopoty?

- Nie. Żadnych.

Justicar był zdecydowany i spokojny. Jego kompetencja mówiła sama za siebie. Strażnik potarł podbródek i spojrział w stronę wzgórz na północy. Dla niego była to bariera, za którą kończył się znany świat.

Jus położył sobie Popioła na ramionach.

- Możemy w czymś pomóc? - zapytał.

- Hommlet... - Strażnik zmierzwił brodę. - Czy znalazłoby się tam miejsce dla paru uchodźców?

- Nie wiem. Myślę, że może dla tylu, co tutaj. Moglibyśmy zabrać stąd parę setek ludzi, jeżeli dacie nam coś, czym można by ich nakarmić.

Strażnik skoczył na równe nogi i obciągnął tunikę.

- Poczekajcie tu! Pójdę po kapitana.

Mężczyzna odszedł w pośpiechu. Nalewając Henry'emu drugie piwo, Justicar wyglądał na nieporuszonego.

- Druga lekcja. Przeszkoda jest jak skała. Jeżeli nie możesz jej rozbić, obejdź ją dookoła. - Czarna zbroja Justicara zadzwoniła lekko, kiedy się odprężył. - Logika i instynkt to twoje najlepsze atuty. W życiu nie ma zagadek, których nie można by rozwiązać. Nie ma problemów, których nie dałoby się załatwić.

- Żadnych? - Henry zmarszczył brwi.

- Żadnych. - Jus pomyślał o Escalli i westchnął ciężko. - Niektóre wymagają po prostu więcej wysiłku niż inne.

Ciemności ogarnęły miasto. Z oddali dobiegało dudnienie letniej burzy.

- Ach. Tu jesteśmy. No, w końcu. Hm, całkiem tu przyjemnie. - Lolth stała w gąszczu martwej, poskręcanej trawy na zboczu wzgórza, gdzie z ziemi wystawały kości zabitych. - Wreszcie zniknął ten okropny zapach świeżego powietrza.

Czarna, lśniaca i wspaniała Lolth stała nieruchomo, pozwalając, by cuchnący wiatr pieścił jej włosy. Za nią tkwiła Morąg i patrzyła na boginię wilkiem. Czary królowej przeniosły ją tu w chwili, gdy piła poranny kubek herbaty.

- Wasza Wspaniałość? Co my tu robimy?

- Pozbywamy się problemu, zanim się zacznie. - Lolth wyciągnęła z ziemi dwie długie kości udowe i rzuciła na nie czar. - Czy masz torbę, którą ci dałam?

- Tak, Wasza Wspaniałość.

- Dobrze. Wypij herbatę.

Trzymając kości niczym różdżkę, Lolth ruszyła w dół zbocza. Morąg westchnęła, zebrała swoje zwoje i poszła za nią, ostrożnie wybierając ścieżkę obok kości martwego wyverna. Miejsce było straszliwie zimne, suche, a Morąg czuła, że pieczołowicie przygotowany plan dnia właśnie spala na panewce. Pośpieszyła za swą panią, idąc tak, żeby ta mogła widzieć terminarz spotkań.

Pajęcza bogini zignorowała ją, radośnie przeszukując martwą trawę za pomocą magicznej różdżki.

- To chyba terytorium luza. Przejmiemy je, kiedy się go pozbędziemy. - Lolth skrzyła w bok, gdy dwie kości zadrżały i zaczęły się krzyżować. Szła prędko, prowadzona przez swą różdżkę. Morąg niecierpliwie skrzyżowała wszystkie sześć ramion.

- Wasza Wspaniałość, za sześćdziesiąt minut zaczyna się operacja.

- Tak, tak, jestem boginią, Morąg. Mogę się teleportować. Nie potrzebuję napomnień. - Lolth pogardliwie popatrzyła na sekretarkę. - Nie bój się. Twoja mała wyprawa po zakupy jest zupełnie bezpieczna.

Kości skrzyżowały się w końcu, wskazując cel tej wędrówki. Na zboczu usianym kośćmi potworów w jednym miejscu widać było grób. Ziemia została usypana w charakterystyczny sposób. Najbardziej interesująca była jednak ropusza czaszka tanar'ri zostawiona na grobie, przebita i nadziana na złamany miecz. Lolth sięgnęła, żeby wyciągnąć go z ziemi i oparzyła się.

- A niech to szlag!

- Wasza Wspaniałość? - Podatność Lolth na błogosławione artefakty była powszechnie znana. - Czy dać ci bandaż?

- Nie bądź bezczelna! - Lolth dmuchnęła na palce, zraniona i zła. Wykopała z ziemi miecz i czaszkę i odsunęła je swym butem na obcasie. - Co za głupiec zostawia w ziemi magiczny miecz?

- Ktoś, kto ma lepszy miecz, Wasza Wspaniałość?

- Doskonale. - Lolth pogardliwie kopnęła grób. - Cóż, na co czekasz, masz sześć rąk. Kop!

Morąg jęknęła. Jej dłonie były smukłe i zręczne, a łuski dopiero co wypolerowane i wysuszone. Wolno odłożyła kolekcję broni, notesów, piór i dzienników i zabrała się do pracy, kopiąc w paskudnej, krzemiennej ziemi. Gdy pracowała, Lolth rozwarła ramiona i rzuciła zaklęcie. Chwilę później pojawił się przed nią dziki demon-sęp. Lolth przyjęła od stworzenia delikatny kieliszek, pozwoliła mu nalać odrobinę wina i usadowiła się na jakimś szkielecie, żeby popatrzeć na pracującą Morąg.

- Ach, wino. Zawsze lubiłam kieliszek po południu. Musimy przeszukać ten świat i zobaczyć, czy nie ma tu jakiś nowych roczników.

- Tak, Wasza Wspaniałość. - Morąg, tkwiąc już w dość głębokim dole, niechętnie przekopywała ziemię. - Jestem pewna, że faerie będą miały wolną butelkę czy dwie.

- Zamknij się. Kop.

Morąg grzebała się w ziemi, klnąc z cicha, przez dobre dziesięć minut. Złamała paznokieć, coś wpadło jej do oka i ubrudziła się od czubka głowy do końcówki ogona. W końcu odkryła wyschniętego zmarniałego kościotrupa w pancerzu, który łuszczył się brązową rdzą.

- Nie zniszcz kości, idiotko! - Dobiegł z góry władczy głos Lolth. - Wyłaż stamtąd!

Nie doczekawszy się jej pomocnej dłoni. Morąg ze złością rzuciła zaklęcie i wezwała własnych wasali: skaczące ptasie potwory, które cuchnęły jak otwarta kloaka. Stworzenia sięgnęły w dół, żeby pomóc jej się wydostać. Kiedy znalazła się na górze, wyrwała ręce z ich uścisku i zaczęła się skrupulatnie czyścić, podczas gdy Lolth kazała potworom ostrożnie wynieść kości z grobu.

Ciało było dobrze zachowane, wysuszone przez spieczoną ziemię wzgórza. Nosiło elfi pancerz, pocięty i poszarpany przez szpony, rozdarty na piersi w miejscu, gdzie zmarłemu wydarto serce. Na czaszce tkwił hełm wykonany na podobieństwo otwartego dzioba orła. Lolth zajęła się rysowaniem wokół ciała zakłętego kręgu, malując magiczne symbole krwią zaczerpniętą z białego kielicha. Za nią pojawiły się kolejne tanar'ri, przynoszące ludzkich niewolników, trolla, pajęczych służących i skrzynie na skarby. Na wzgórzu zrobiło się nagle tłoczno.

Lolth namalowała trzy ostatnie runy, a następnie wyrwała serce niewolnikowi, żeby uaktywnić swe czary. Oczyszczywszy się skrupulatnie, Morąg z obrzydzeniem odwróciła wzrok i sięgnęła po notesy i broń.

Zakłęty krąg błysnął i otoczył ciało życiem. Lolth rozłożyła zakrwawione ręce i wypowiedziała zaklęcie, a zimny wiatr zwichrzył jej włosy, unosząc jedwab na wspaniałym ciecie. Źrenice królowej załśniły czerwienią, gdy otworzyła ramiona i rzuciła straszne czary. Pomniejsze stworzenia ginęły od

jej magii. Owady, robaki i ptaki padały martwe wokół wzniesienia. Lolth stała w centrum burzy rozdzierającej energii. W wiatrach wiejących na wzgórzu powoli pojawił się ulotny kształt, który krzychał i wyrwał się, bo coś ściągało go w dół do innego świata. Tamtejsi strażnicy próbowali przyciągnąć ducha z powrotem, ale Lolth skinęła dłońmi i porwała ich burza.

Wysuszone ciało powoli podniosło się, uniesione z ziemi niewidzialną siłą. Martwe włosy, długie, złote i przybrudzone ziemią, wirowały w szalonym pędzie. Trup wygiął się w łuk, zrzucając z siebie błoto pod uderzeniami wiatrów. Lolth, z szeroko rozwartymi ramionami i skórą zbielełą od energii, weszła do zaklętego kręgu. Sięgnąwszy w dół, odgięła pancerz i rozdarła spróchniałe żebra.

- Mam tu serce dla ciebie, mój słodki. Świeże i nowe. Wepchnęła bijące jeszcze serce do klatki piersiowej trupa.

Syczała z radości, sącząc magię w martwe, wyschnięte ciało.

- A teraz trochę krwi, żeby było co pompować. Demony przyciągnęły czarnego bagiennego trolla. Wielkie stworzenie szarpało się z nadludzką siłą, jednak nie mogło nic zdziałać w szponach demonów. Lolth wzięła nóż od drowiego służącego i poderżnęła trollowi gardło. Oczy jej błyszczały, gdy okrutnie przekręcała nóż w ranie, trzymając ją otwartą, mimo że ciało stworza próbowało się zregenerować i uleczyć. Nappełniła krwią wiele mis. W końcu odepchnęła trolla na bok, żeby się uleczył. Potwór skomlał, gdy jego krew niesiono do unoszącego się ciała.

Lolth wlała ją do jego otwartej klatki piersiowej, rzucając przy tym czary. Krew wpływała pod skórę i do kości. Wpłynęła do wysuszonych, zgniłych żył. Z głośnym skwierczeniem stare ciało wolno zaczęło wypełniać się życiem. W końcu Lolth otworzyła usta trupa. Jedną ręką sięgnęła po unoszącą się obok niej krzyżącą duszę. Z trudem wepchnęła ją do ciała i tam zamknęła. Szarpiąc się trup zmagał się z niewidocznymi więzami. Ramiona poruszyły się, rzucając się w potwornej agonii, a gardło ryczało z palącego bólu. Lolth odsunęła się do tyłu z głową przechyloną jak u małej dziewczynki, opierając podbródek na zakrwawionym palcu. W magicznym kręgu ciało rzucało się i walczyło w agonii, aż sycząc opadło na ziemię. Zaklęty krąg zgasł. Trup wionął zimnem.

Ciało leżało na twarzy. Powoli otworzyło jedną szponiastą dłoń i złapało ziemię swego grobu. Lekka i wesoła niczym szczygieł, Lolth podeszła do trupa. Przykucnęła i odkurzyła orli hełm nieumarłego.

- Biedny bohater. Biedny, biedny bohater...

Lolth kucając przemówiła w języku trawiastych elfów, uśmiechając się, gdy nieumarły powoli podniósł się z ziemi. Ukląkł w pyle, zdezorientowany wodził z boku na bok lodowo-białymi źrenicami. Jego ostatnie wyraźne wspomnienia dotyczyły walki. Położył dłoń na dziurze w pancerzu, odnajdując śmiertelną ranę. Lolth przyglądała się temu z uśmiechem.

- Biedny bohater. Tak, powalony w piach - zdradzony i samotny.

Nieumarły po omacku szukał w pyle. Zagubiony spojrzął w dół, i gdy nie znalazł tego, czego szukał, na jego twarz pojawił się gniew.

- Nie ma. Nie ma miecza. Ktoś go ukradł! - zagruchała ze współczuciem Lolth. - Ktoś zabrał twój miecz! Zostałeś zdradzony, opuszczony, okradziony. Biedny bohater. Nie masz miecza i nie możesz się bronić. Nie masz miecza, żeby się zemścić.

Lolth wyciągnęła rękę i demon rzucił jej długi, ciężki miecz. Bogini złapała go i powoli wyciągnęła z pochwy. Ostrze świeciło paskudną czerwienią gęstej krwi, dymiąc, gdy powoli odkrywała stal.

- Tu jest miecz. Widzisz?

Trup popatrzył na broń. Syknął pożądliwie i powoli wyciągnął rękę. Lolth podroczyła się trochę, przez chwilę trzymając broń poza jego zasięgiem, a potem rzuciła mu ją w dłonie.

- Masz. Daję ci nowy miecz, lepszy. Mocny, potężny! Teraz możesz odzyskać wszystko, co straciłeś.

Nieumarły wojownik powstał nagle, rozglądając się dookoła. Zasyczał jak wąż, przyjmując pozycję bojową i rozglądając się na boki, jakby węszył krew.

Lolth stała beztrzesko z boku. Odgarnęła włosy z policzka i schyliła się, by szepnąć w ucho wojownika.

- Tak... zgubiony. Czy nie byłeś dowódcą? Czy nie byłeś żywy? To prawda. Bano się ciebie. Byłeś wojownikiem! Miałeś renomę! - Pajęcza królowa przykucnęła za nieumarłym ciałem, mrużąc do jego ucha. - Byłeś wspaniałym przywódcą, ale ktoś zabrał twoich ludzi. Został przywódcą zamiast ciebie. Ukradł twoją sławę, twoją legendę. Ukradł twoje życie... a w ogóle, to czy naprawdę mogłeś tu zginąć? Nie ty, nie taki wielki wojownik. Nie wielki szermierz Recca.

Lolth zakryła usta w udawanym zdziwieniu.

- Zdradził cię! Oczywiście! To jedyne wytłumaczenie! - Wyglądała na zaskoczoną. - I to po tym, jak nauczyłeś go wszystkiego! Po tym, jak mu zaufałeś, wychowałeś, traktowałeś jak syna! - Zbliżyła się do potwora i zmarszczyła brwi. - Zabrał ci wszystko, co miałeś. Co powinieneś zrobić?

Potworny wojownik ryknął. Obnażając zęby, wznosił miecz do nieba, krzycząc z żądzy zemsty. Zebrane przy krawędzi magicznego kręgu Lolth demony, pomocnicy i służący zaśmiali się z uznaniem.

Uśmiechnąwszy się Lolth wstała i pokazała palcem na chodzącego trupa.

- Cóż, teraz ja muszę być twoją przyjaciółką. Dałam ci miecz, dałam ci krew i serce. Taka dobra ze mnie przyjaciółka! - Gestem kazała zbliżyć się Morąg. - Chodź. Może mogę pomóc ci jeszcze trochę. Myślę, że może zabiorę cię tam, gdzie będziesz mógł dokonać swojej zemsty. W końcu po co są dobrzy przyjaciele?

Lolth radośnie podeszła do sekretarki. Nieumarły podążył za nią. Wskazując palcem Morąg, Lolth uśmiechnęła się.

- I jesteśmy! I to akurat na czas, żeby zacząć inwazję. Czy są jeszcze jakieś inne problemy, które przewiduje twój mały mózdek?

Morąg obdarzyła chodzące ciało spojrzeniem pełnym ironii.

- Bardzo niewiele, Wasza Wspaniałość. - Sporządziła notatkę w dzienniku. - Nawiasem mówiąc, Wasza Wspaniałość, to stworzenie nie ma lewej stopy i prawej dłoni.

Lolth błyskawicznie odwróciła się i zamarła. Z pewnością ciało pochował oddany żołnierz. Odciął mu prawą dłoń i jedną stopę, a potem prawdopodobnie spalił je i sproszkował, żeby nikt nie ożywił ciała jako chodzącego szkieletu. Brakujących części nie zregenerowała krew trolla. Lolth wyczuła szyderstwo Morąg i syknęła ze złością przebierając lepkiemi od krwi palcami.

- To nie ma znaczenia! - Odwróciła się i odeszła. - Sam znajdzie sobie nowe kończyny.

- Tak, Wasza Wspaniałość. Doskonała zdolność przewidywania, Wasza Wspaniałość.

- Zaadaptuje się, Morąg. Na tym polega urok tego czaru.

- Tak, Wasza Wspaniałość. Oczywiście.

Siedząc przy głównej bramie miasta, Polk choć raz robił to, co mu kazano: siedział na tyłku i trzymał się z daleka od kłopotów. Przycupnął przy stoliku na zewnątrz zatłoczonej gospody, machając z irytacją na obsługujących chłopców. Służba omijała go jednak szerokim łukiem, a goście zostawili cały stół. Borsuk poprawił czapkę na głowie i mruknął, że służba schodzi na psy.

Bycie borsukiem miało swoje wady i zalety. Z jednej strony był krzepki, ciężki i mógł gryźć niczym krokodyl. Z drugiej jednak strony, był futrzastym czworonogiem, którego większość ludzi traktowała jak obrzydliwego szkodnika, lub zagrożenie dla życia i kończyn. To właśnie ta ostatnia cecha w końcu sprowadziła dziewięciolatka, który niósł dużą drewnianą miskę i glinianą butelkę. Chłopiec ledwie sięgał głową do krawędzi stołu.

Polk pomachał łapą.

- Synu! Tutaj, synu! To moje zamówienie. Dla mnie - borsuka. To znaczy czworonoga. Futrzaka z czarnymi i białymi paskami. Nie możesz mnie nie zauważyć.

Chłopiec utrzymywał dystans i ostrożnie postawił zamówienie na blacie. Polk podrapał się po uchu tylną łapą.

- Synu, wyglądasz na zdenerwowanego! Jak kłębek nerwów, synu. To nie jest zdrowe! Taki chłopak jak ty potrzebuje odwagi! Potrzebuje dyscypliny! No, dlaczego jesteś taki bojaźliwy?

- Prze-przepraszam, proszę pana! - Przerażone dziecko wytarło ręce. - Nie... nie mamy tu wiele, hm, niedźwiedzi, proszę pana.

- Jestem borsukiem, synu. Jednak kiedyś byłem człowiekiem. Przytrafił mi się wypadek przy reinkarnacji. Rzucono na mnie zaklęcie po tym, jak heroicznie poświęciłem życie dla mych przyjaciół. To część z niebezpieczeństw zawodu bohatera, synu. Nie wstydzę się tego.

- Bohater? - Chłopiec szeroko otworzył oczy. - Był pan na wojnie?

- Na setkach, synu! Ale głównie jestem odkrywcą, obrońcą dam, pogromcą potworów. - Polk podreptał do drewnianej miski. - To moje zamówienie?

- Tak. Pełna butelka mocnej, zwałającej z nóg brandy wlana do miski.

- Dokładnie, synu. Od tego błyszczący futro! - Borsuk zmarszczył nos. - Czy mogę to odkręcić?

- Niestety, proszę pana.

- Nieważne. Ale, synu, musisz odkorkować butelkę. Musisz też nalać. Mam pazury. Wspaniałe do kopania, kiepskie do wyciągania kroków z butelek! I przynieś mi jeszcze sto butelek tej brandy!

- Sto butelek? - Chłopiec zamrugnął zdezorientowany. - Jak pan... pan je weźmie?

- Mam przenośną dziurę, synu. Międzywymiarowy kącik zwinięty do wygodnego rozmiaru. Nigdy nie wychodzę bez z niej z nory!

Chłopiec nalał brandy do miski i szybko uciekł. Polk pokręcił głową.

- To dziecko jest tak błyskotliwe jak lampa bez knotu. Borsuk przystąpił do dzieła i zdołał wypić ilość alkoholu niemal równą swojej wadze. Odsuwając miskę z westchnieniem, oblizał palce, usiadł na futrzanym zadzie i skierował wzrok na przelewające się obok tłumy. Zamyślił się i zmarszczył, a potem pyskiem rzucił na stół kilka monet. Ciężko zeskoczył na chodnik i rozejrzał się wokoło.

Niebo było smoliście czarne i zasłonięte czymś, co wyglądało na burzowe chmury. Borsuczyny Polka wyczuł jednak w powietrzu woń magii. Smród zła.

Dryfująca chmura srebrnych włókien osiadła na pobliskich dachach. Wyspały się z niej tysiące wypuszczających długie nitki malutkich pajęczków, które natychmiast rozbiegły się po dachach i rynsztokach.

Nurkując pod stołami i krzesłami, Polk wbiegł do alejki i obserwował lądowanie następnej gromady pajaków. Ta wylądowała w pobliżu. Były to czarne wdowy wręcz kipiące magią. Czarne wdowy, które czuć drowami.

Drowy!

Polk niemal przewrócił się, pędząc do tyłu, pozbierał się szybko i pośpieszył na ratunek miastu.

- Synu! Jus, chłopcze! Mamy problem!

* * *

Na ulicy Tysiąca Kafeterii wysokie ceny najwyraźniej przerzedziły tłumy uchodźców. Zataczając się szła nią wysoka kobieta z włosami zaplecionymi w tysiąc warkoczyków pod niezwykle kapeluszem. Szła niepewnie, chwiała się to w przód to w tył, chwytając się rynien i ścian, i najwyraźniej pozwalała prowadzić się kapeluszowi.

- Spokojnie... spokojnie.... Lewa noga, prawa noga, lewa noga, prawa noga.

Zmieniona w elegancki kapelusz z bażancimi piórami Escalla wzięła na siebie rolę przewodnika i nauczyciela chodzenia.

- Postaraj się, z odrobiną rytmu! Raz-dwa, raz-dwa! O tak! Potknąwszy się o własne stopy, Enid jęknęła i oparła się o ścianę. Escalli udał się jeden z najlepszych czarów zmiany kształtu, ale życie w przebraniu człowieka okazało się dla Enid odrobinę za trudne. Chodzenie na dwóch nogach było stanowczo przereklamowane. Chwiejąc się, Enid rozpostarła ręce i próbowała utrzymać równowagę.

- Nie jestem do końca pewna, jak ludziom udaje się poruszać.

- Zaraz załapiesz. A teraz chodź. Gdzieś w tym przeklętym mieście musi być piekarnia!

Nawet tutaj, na najdroższych ulicach, tłum był gęsty, chociaż ludzie wyglądali na zamożniejszych niż ci, których napotkali po drodze do miasta. W alejkach rodziny uchodźców rozkładały namioty, a dzieci bawiły się na bruku. W milczącym kręgu, z głowami pochylonymi w modlitwie, stała grupa trzydziestu mnichów. Kolejni mnisi ulokowali się na rogach ulic, zbierając pieniądze dla biednych. Panował zupełny chaos, co właściwie podobało się Escalli.

Większość sklepów z żywnością była zamknięta. Zapasy zarekwirowano dla uchodźców. Jednak kilka drogich, luksusowych sklepów wciąż oferowało towary. Escalla wypatrzyła ciastkarnię i wydała językiem odgłos jak dziewczyna kierująca opornym koniem, miotając się, by poprowadzić Enid we właściwym kierunku.

- Tam! Właśnie tego szukamy. W porządku, tylko pamiętaj, zawsze trzymaj jedną nogę na ziemi.

Rozpaczliwie próbując utrzymać równowagę, Enid skierowała się w stronę ciastkarni.

- Czy muszę być człowiekiem? Nie wiem, co zrobić z tymi głupimi ramionami!

- Każdy ma jakiś problem! Powinnaś się cieszyć, że nie jesteś ośmiornicą.

- Byłaś kiedyś ośmiornicą?

- Hej, jestem faerie! - Escalla nastroszyła pióra. Jej lodowa różdżka i laska licza służyły jako szpilki do kapelusza. Dwie wisienki pełniły rolę oczu. - Kiedyś w domu na zawody straszyłyśmy tak konie.

- Ty i twoja siostra robiłyście zawody w polimorfowaniu?

- Moja siostra nie musi zmieniać postaci. Ma twarz jak tyłek psa z kapeluszem na wierzchu - Escalla-kapelusz przyglądała pióra. - Tak czy inaczej jesteśmy w ludzkim mieście! Musimy wmieszać się w tłum. Faerie i sfinks mogłyby zwrócić na siebie uwagę. A tak jesteśmy niewidzialne. Nie wyróżniamy się z tłumu.

Wciąż nieszczęśliwa z powodu ramion, braku ogona i skrzydeł, Enid starała się iść ulicą najlepiej jak mogła. Pociągnęła nosem przechodząc obok kręgu mnichów, i już musiała ratować się przed nagłym upadkiem.

- Ramiona są głupie. Czy zawsze tak *wiszą*?

- Poruszaj nimi, kiedy chodzisz. Nie tak! Kiedy stawiasz nogę do przodu, ramię wędruje do tyłu - gderała Escalla. - W każdym razie będziesz potrzebować rąk do niesienia ciastek.

- Jakich ciastek?

- Ciastek, które kupimy w piekarni! Są na liście zakupów.

Enid oparła się o ścianę, schodząc z drogi wozom z ziarnem jadącym do miejskiego młyna. Wyciągnęła okulary i przyjrzała się liście zakupów, którą sporządziła dla niej Escalla.

- Zobaczmy. Wino, miód, cukier, owoce, ciastka faerie... - Enid przeczytała listę i zmarszczyła ładny nosek. - To takich zapasów potrzebujemy? Myślałam, że musimy kupić znacznie więcej.

- Hmm? - Escalla zatrzepotała piórami. - Nie, tylko to. Och i może trochę mięsa, chleba, warzyw i sera. Nie mogę myśleć o wszystkim!

- Rozumiem. - Enid ostrożnie schowała listę. Escalla miała metabolizm kolibra. - Sądzę, że powinnaś pozostawić resztę zakupów mnie.

- Jasne! Ale możemy kupić trochę śmietanki? Naprawdę mam ochotę na ciastka faerie z końcami na kształt tych małych motyli skrzydełek!

Dotarli do otwartego sklepu, nad którym dumnie wisiał drewniany szyld z wymalowanym ciastkiem. Szyld wyglądał na nowy. Escalla wierciła się, dopóki Enid nie skierowała się we właściwą stronę, a potem omal nie spadła jej z głowy, gdy wysoka dziewczyna weszła do niewielkiego, mrocznego sklepiku. Mnisi na ulicy przysunęli się bliżej. Gwar miasta ucichł, gdy zatrzasnęły się drzwi.

Na ławie stało wielkie lukrowane ciasto. Filigranowe kawałeczki, na jakie je pokrojono, były pokryte miodem, owocami, cukrem. W mieście, którego ludność oddawała się masowej produkcji prostego pożywienia dla uchodźców, takie ciasto było skarbem. Escalla spojrzała na nie i od razu zaczęła się ślinić.

Enid wciągnęła nosem powietrze, zmrużyła oczy i pochyliła się nad ciastem, by powąchać je z bliska. Escalla wyciągała pióra, ale Enid odsunęła się.

- O kurcze. Chyba zapomniałam portmonetki.

Escalla poruszyła się na głowie Enid, ostrożnie rozglądając na boki. Kapelusz zniknął z cichym trzaskiem i faerie wróciła do swych zwykłych kształtów.

Atak nadszedł z góry. Z wiszącej u powały chmury ciemności rozbłysła potężna błyskawica. Enid uchyliła się i czar roztrzaskał się o tarczę z roju złotych pszczół. Strop w jednej chwili zajął się ogniem, gdy iskra trafiła w niego rykoszetem.

Kula z pszczół migotała i kręciła się wokół Enid. Escalla wisiała w powietrzu, naga i opanowana, choć wściekła, przygotowując licza laskę.

- Nieźle, paskudo! Podobało mi się twoje zatrute ciasto -zadrwiła.

Enid syknęła niczym rozwścieczony kot, zgarbiła się i obnażyła zęby. Escalla spokojnie patrzyła w kolejną chmurę ciemności.

Następne zaklęcie uderzyło w nie burzą lodu. Tylne ściany sklepu zawaliły się, lada padła pod naporem szalejącej burzy lodowych odłamków. Bezpieczne w kuli pszczoł, Enid i Escalla patrzyły i czekały.

Burza ucichła, zostawiając pomieszczenie śnieżnobiałe i parujące mgłą. Beztrąsco trzymając laskę licza na ramieniu, Escalla z pogardliwym uśmiechem oceniła szkody.

- Dla niewtajemniczonych: siedzimy w mniejszej kuli niewrażliwości. Mamy więc tarczę antymagiczną. Chyba będziesz musiała rozprawić się ze mną własnoręcznie. - Czar Escalli działał w obie strony. Żadna magia nie mogła przedostać się do kuli, ale też żadna nie mogła się z niej wydostać. Ze złym uśmiechem faerie położyła dłoń na głowie Enid i wypowiedziała zaklęcie. - Spójrz, co tu mam.

Ubranie opadło w strzępach. Enid wróciła do postaci sfinksa i tylnymi łapami przewróciła resztki zburzonej ściany. Pokryte sierścią, uzbrojone w pazury stworzenie przykucnęło obok faerie. Stojąc na jego głowie, Escalla rozejrzała się po sklepie.

- Wyjdiesz się pobawić? - zapytała.

Jedyną odpowiedzią był szyderczy kobiecy śmiech, w którym brzmiała nutka szaleństwa.

Dach zapadł się, a Enid skoczyła przed siebie, przebijając się przez ścianę i lądując na ulicy. Escalla schroniła się przed gruzem pod jej skrzydłami. Czar tarczy tańczył i złotym światłem oświetlał bruk.

Pierścień zakapturzonych mnichów otoczył Enid i Escallę. Mnisi stali w milczeniu, gotowi, by zaatakować. Habity skrywały nieprzeniknionym cieniem ich dłonie i twarze. Escalla zawirowała z laską w ręce. Sfinks odkrył wielkie pazury i rozwinął skrzydła. Mnichów było prawie trzydziestu, ale zapewne żaden z nich nie potrafił latać.

Śmiech zabrzmiał ponownie. I znów zadźwięczała w nim dobrze znana Escalli nutka szaleństwa.

- To ty - prychnęła pogardliwie faerie, rozpoznając napastniczkę.

Tielle, siostra Escalli, w końcu się pojawiła. Natura obdarzyła ją hojniej niż siostrę. Miała okrągłe piersi i pełniejsze pośladki. Ubrana w kilka malutkich skrawków adamanitu i srebra, wesoło trzepotała skrzydłami.

- Słodka siostrzyczka i jej kiciuś! - Tielle przyjrzała się Escalli z nienaturalną uwagą jakby studiowała każdy centymetr jej skóry.

- W więzieniu było ciemno. Wiesz, że zrobili ze mnie maź? Maź w wielkiej, ciemnej dziurze. A wszystko z powodu twojego żartu. Tylko dlatego, że kochana, piękna Escalla uważała, że to zabawne.

- Tielle wpatrywała się w siostrę szeroko otwartymi oczami. - Och, Escallo. Moja cudowna

Escallo. - Tielle przytuliła do siebie róg i kryształową kulę, ściskając je tak, jakby przemawiały do jej duszy. - Tak bardzo pragnęłam widzieć, jak umierasz.

* * *

Biegając szybko ulicami miasta, Polk raz po raz zerkał na kolana, nogi i buty przechodniów. Jego borsuczy nos wyczuł drowy. *Drowy!*

Rzęził ze zmęczenia, grube futro falowało niczym przypływ. Na jego widok ludzie rozbiegali się, żołnierze krzyczeli. Jakaś kobieta pisnęła, gdy przemknął pod jej spódnicą. Wszyscy ustępowali mu z drogi.

Zrobił unik, gdy jakiś żołnierz zamachnął się na niego włócznią. W końcu znalazł mur miasta i rycząc pognął wzdłuż jego podstawy. Przedostał się przez stertę wiklinowych koszy i przedarł przez rząd namiotów, pozostawiając za sobą rozrzucone garnki i patelnie.

- Jus! Gdzie jesteś, synu? - wykrzykiwał. Nie otrzymał odpowiedzi, więc pognął dalej.

Trzech żołnierzy próbowało zablokować go tarczami. Polk minął ich pędem, wciskając się w szczelinę między nimi. Pobiegł dalej, niezgrabnie wdrapując się na blanki. Chmury nad jego głową przesłoniły słońce.

- Synu! Synu, gdzie jesteś?

- Polk! Co ty, na Cuthberta, wyrabiasz? - Justicar siedział na szczycie schodów z mieczem na kolanach, Popiołem na plecach i Henrym przy boku. Obok nich nad mapą pochylali się trzej strażnicy miejscy i ich kapitan. - Polk!

Borsuk zaryczał dziko. Skoczył przez trzy ostatnie stopnie i przewrócił Henry'ego, lądując na jego piersi. Pognął dalej pod nogami urzędników i z rozpędu wbił się w dużego pająka, który przełaził przez blanki.

Gigantyczny pająk przewyższał rozmiarami konia. Polk przemknął tuż pod jego szczękami i zaatakował. Borsucze zęby przegryzły chitynę. Trysnęła krew i Polk oderwał nogę pająka. Chwiejąc się na boki stworzenie rzuciło się na niego, obnażone kły sięgnęły do serca borsuka. Mgnienie oka później potwór zatoczył się w bok z ostrzem Jusa wbitym w głowę.

Miecz ciął mocno, szybko i cicho. Potwór zachwiał się. Ostrze Justicara odcięło mu jedną z przednich nóg, potem drugą, a później opadło w potężnym ciosie, który rozpołowił głowę pająka. Jus kopnięciem odrzucił wielkie cielsko na bok. Rozejrzał się po murach, a później obrócił się, by ryknąć na strażników.

- Ściągnijcie ludzi na blanki! Ruszać się! *Szybciej!*

Kapitan podniósł się, lecz chwilę później stracił tułów zmieciony bełtem balisty. Krew zachlapała mury. Z furkotem nadlatywał drugi bełt. Stał zadzwierczała, gdy Justicar rzucił się do przodu, uderzył w potężny drzewiec i posłał go w powietrze. Potem odepchnął żołnierzy, wbił ostrze

w nogę kolejnego pająka, który przełaził przez mur, i zabił go okrutnym pchnięciem miecza przez blanki. Przeciął także pajęczynę, która służyła mu za drabinę.

Żołnierze przyglądali się temu przez chwilę, potem chwycili kusze, oszczepy i łuki i rozbiegli się na swoje stanowiska. Wokół rozbrzmiewały okrzyki wojenne i wrzaski potężnej atakującej armii. Heroldowie zadęli w bojowe rogi i świat nagle oszalał.

Justicar krótko skinął głową borsukowi, a potem pomógł mu wdrapać się na blanki. Polk i Henry wyjrżeli przez mury i obaj osłupieli.

- Tego przed chwilą nie było! - zauważył niezbyt mądrze Henry.

Zasłony iluzji rozrzedziły się i opadły, odsłaniając wielką armię zmierzającą na Zakole Keggle. Zalane wodą, błotniste pola były kruczoczarne, kipiały od nawały pokracznych ciał. Na setki mil dokoła ziemię przesłaniała rycząca, dzika masa. Potworne czarne kształty szturmowały mury miasta. Widać było pająki wielkości talerzy, inne dorównywały rozmiarem dużym psom, a nawet koniom. Część potworów była uzbrojona w miecze, inni nieśli włócznie. Gdzieś nad tym tłumem górowały gigantyczne pająki, na których grzbietach umocowano balisty, obsługiwane przez wyjących wojowników. Potworom przewodziły czarne wdowy wielkości koni, które przedzierały się przez pokryte błotem pola, by wdrapać się na mury. Inne pająki już dotarły do blanków, wypuszczając za sobą sieci, do których dotarła właśnie pierwsza fala atakujących.

Tłumy rozbiegły się w panice. Dwie faerie rzucały czary, patrząc sobie prosto w oczy. Escalla otoczyła siebie i Enid tarczą ochronną przez strzałami i ostrzami. Kątem oka obserwowała krąg mnichów.

Kostium Tielle składał się głównie z klejnotów i pajęczego jedwabiu. Spoglądając na siostrę, Escalla pogardliwie uniosła brew.

- Niezły strój, obciste portki. Widzę, że więzienna stawa dobrze ci zrobiła.

- Zniewagi. - Oczy Tielle pojaśniały. - Och, wiedziałam, że będziesz sobie na mnie używać! - Gniewnie spojrziała na Escallę.

- Ty też wyglądasz pięknie. Chcę, żebyś się tak czuła. Musisz wiedzieć, że jesteś ładna! - Kiedy Tielle położyła ręce na dużym kryształowym rogu, jej oddech stał się głęboki i nierówny.

- A kiedy to do ciebie dotrze, obedrę cię ze skóry. Chcę cię spalić, Escallo i chcę, żeby to trwało, trwało i trwało...

Przechodnie uciekli. Escalla spojrziała na siostrę i zważyła laskę licza w dłoni.

- W porządku. Pewnie masz teraz coś więcej niż wtedy, gdy ostatni raz się spotkałyśmy. - Zatrzepotała skrzydłami. - Nie wiem, jak wydostałaś się z więzienia, ale tym razem wrócisz tam w kawałkach! A teraz, czy zamierzasz dalej tracić czary, czy przytaszczysz tu swój tyłek, żeby walczyć jak faerie?

Chroniona przed magią, pociskami, i wyposażona w zaklęcie zdolne odbijać śmiertelne ciosy, Escalla była gotowa do walki. Za jej plecami Enid syknęła niczym kot. Niemal nieświadoma niebezpieczeństwa, Tielle lekko podleciała do krawędzi magicznej tarczy.

- Ooo. Mniejsza sfera niewrażliwości! Co za cudowny, silny, mały czar. - Spojrzała z zaciekawieniem na siostrę. - Czy uważasz się za dobrą faerie?

- Walczę, gdy trzeba. - Escalla pogardliwie wzruszyła ramionami. - Naprawiam zło. Taak, jestem dobra. - Trzymała swą laskę niczym maczugę. - Co ci do tego?

- A nic. - Tielle wesoło założyła ręce za plecy. - Ale wiesz co? Mam mały sekret.

-Tak? Jaki?

-Taki!

Tielle poruszyła się. Escalla zauważyła to i szybko uniosła się w górę. Chwilę później z rogu Tielle z sykiem wystrzeliła struga płynu.

Escalla krzyknęła. Czerwona, przypominająca płynne srebro struga trafiła Enid w ramię, a

następnie skręciła, żeby osiągnąć lecącej Escalli. Wylądowała na jej udzie. Siła uderzenia okręciła faerie dookoła własnej osi i powaliła na bruk. Złote pszczoły magicznej tarczy rozprysły się na boki. Escalla rzucała się w agonii. Jej plecy wygięły się w łuk, a głowa uderzała o chodnik, gdy dziki ból szarpał jej nogę. Płyn syczał, rozpuszczając skórę i ciało.

Tielle zaśmiała się i potrząsnęła rogiem tuż przy uchu. Uśmiechnęła się radośnie, gdy usłyszała, że w środku chlupocze reszta płynu. Wycelowwała róg w Escallę i wyszczerzyła zęby.

- A teraz twoje ciało. Potem twarz...

Kolejna struga krwawo-srebrnego płynu wystrzeliła prosto w Escallę. Ta jęknęła i próbowała się przesunąć, ale ból ją sparaliżował.

Rozległ się ryk. Enid skoczyła, osłaniając Escallę własnym ciałem. Płyn trafił ją w bok, paląc skórę aż do kości. Tielle zaśmiała się szalonym, dźwięcznym śmiechem.

- Brać je! Teraz!

Mnisi zsunęli kaptury. Wijąc się z bólu, Enid mogła tylko patrzeć.

Zsunięte kaptury odsłoniły paskudne ciała, oszalałe oczy o źrenicach biegających w kółko i skórę ociekającą potem. Pomarszczone ciała potworów owijały zwoje łańcucha, czyniąc z nich stalowe mumie. Trzydzieści stworzeń z chichotem rzuciło łańcuchy w stronę Enid, która zatoczyła się i padła. Metalowe ogniwa owijały się wokół jej łap, skrzydeł i gardła. Za plecami swych sług Tielle klasnęła w dłonie i odtańczyła taniec radości.

- Czyż nie są cudowni? Pochodzą z Pandemonium, gdzie służą Królowej Wiatru i Bólu!

Szarpiąc wściekle łańcuchy, mnisi ciągnęli Enid w różne kierunki. Tielle przyglądała się temu z prawdziwą radością.

- Możesz mieć czary i moce, Escallo, ale ja mam przyjaciół!

Z jedną nogą spaloną niemal do kości i stopionymi, bezużytecznymi skrzydłami, Enid trzęsła się, usiłując dotknąć Escalli. Stała na tylnych łapach, szarpiąc łańcuchy, które próbowały obalić ją na ziemię. Walczyła zaciekle, uderzając na oślep i przewracając sługi Tielle na ziemię. Jednego z mnichów cios wyrzucił w powietrze. Stwór rozbił się o ścianę, uśmiechając się nadal nawet po śmierci. Wystrzeliły kolejne łańcuchy, ich ogniwa mocniej zacisnęły się na gardle Enid, a Tielle skwapliwie przysunęła się bliżej, by patrzeć, jak sfinks zaczyna się dusić.

Escalla zdołała osiągnąć łapy Enid. Kolejny łańcuch trafił w ranną faerie, owijając się wokół niej. Escalla złapała za futro sfinksa. Łańcuchowy mnich wrzasnął i skoczył na nią, bijąc łańcuchami powietrze, nie przeszkodził jej jednak wychrypieć zaklęcia. Nagle ulicę spowiła gęsta mgła.

-Nie!

Tielle pofrunęła wysoko ponad walczących. Łańcuchowi mnisi krzyczeli i wyli, ich

opustoszałe pęta z brzękiem opadły na ziemię. Tielle z krzykiem rzuciła czar w serce mgły. Kula ognia rozrzuciła w powietrzu kawałki bruku, przewracając mnichów i uszkodzając pobliskie domy. Tielle puściła się dół przez mgłę, machając dłońmi, by zobaczyć, co się dzieje. Pośród gruzu i kurzu leżały stopione kamienie i zniszczone stragany. Faerie nie znalazła jednak zmiażdżonych ciał, a jedynie puste zwoje łańcuchów.

Zaczęła odgarniać bruk gołymi dłońmi, próbując znaleźć siostrę. Szalejąc z wściekłości, czarami przedarła się przez powierzchnię, sięgając głębiej w ziemię. Dysząc, wycofała się, brudna, z twarzą zalaną łzami.

- Gdzie ona jest? Dlaczego ją puściliście? Dlaczego? Dlaczego?

Łańcuchowi mnisi rozbiegli się w strachu. Tielle rozdarła jednego z nich na części jednym ruchem palca. Jej włosy unosiły się wokół małego ciała, gdy rzucała się i krzyczała z wściekłości.

Jeden z łańcuchowych mnichów klęczał niedaleko w pyle. Jęczał i ręką przywoływał Tielle. Pokazał jej otwór w bruku, prowadzący do zalanych kanałów pod miastem. Z dziury wydobywał się straszliwy smród. Tielle podleciała i zajrzała do środka.

Dziura miała przekrój dłoni i prowadziła jakieś sześć metrów w dół do kanałów ściekowych miasta. Faerie uderzyła pięścią w kamień i ryknęła z wściekłości.

- Polimorfowanie! Escalla i jej wyleniała przyjaciółka zmieniły kształt i uciekły!

Tielle mogła zmienić postać i pognać za siostrą do kanałów, ale łańcuchowi mnisi nie mogliby wtedy pójść za nią. Potrzebowała ich, żeby pomogli jej złapać przyjaciół Escalli. Obróciła się do swych sług i obrzuciła ich przekleństwami.

- Rozwalcie ulice! Gdzieś tu musi być droga do kanałów! Znajdźcie ją!

Tielle szalała. Łańcuchowi mnisi ruszyli pędem, żeby wykonać jej polecenie. Pozostawiona na ulicy, faerie chwyciła wydarty skrawek czarnej spódnicy i rzuciła go na ziemię.

Wysoko w górze niebo nagle pocieniało. Miasto spowił mrok, a w powietrzu rozległ się odległy grzmot. Nadeszły legiony Lolth. Blanki wcześniej czy później zostaną zdobyte, powietrze wypełni się wrzaskami otchłannych nietoperzy, a ofiara Tielle być może zginie z ręki jednego z dziesięciu tysięcy potworów. Przeklinając, faerie szła wolno ulicami. Wysoko w górze rozbłysła błyskawica.

* * *

- Na ziemię!

Strażnicy miejscy na murach padli płasko na ziemię, gdy ze strony szarżujących hord nadleciała fala czarów. Błyskawice niszczyły kamienie blanków i paliły żołnierzy na popiół. Justicar popchnął włócznika do kryjówki, następnie obrócił się i ciał w błyskawicę. Benelux jęknął, po trosze z bólu, a po trosze z uniesienia.

- Henry! - wykrzyknął ostrzegawczo Justicar.

Chłopak dostrzegł wrogiego zaklinacza. Włożył pięć bełtów do magazynka kuszy, wycelował i zaczął strzelać. Magiczna cięciwa z brzękiem wyrzuciła w powietrze pięć strzał. W dole drowi zaklinacz okręcił się, krzyknął i padł przeszyty trzema bełtami. Henry przeładował, natychmiast wybierając nowe cele. Jus podszedł do niego. Ogon Popioła powiewał mu za plecami, a świetlisty miecz jarzył się w dłoni.

- Łucznicy, wybierajcie cele! Nie marnujcie strzał! Zabijajcie oficerów!

Potwory w dole dostały takie same rozkazy. Strzała pomknęła w kierunku Justicara, który pogardliwie strącił ją mieczem.

- Pozostali żołnierze, schować się! Chcę, żeby jeden na trzech został z tyłu w odwodzie.

Justicar kroczył blankami, wielki i silny. Jego wspaniałe białe miecze parowały krwią, a piekielny ogar na jego hełmie wypuszczał ogień i siarkę. Żołnierze rozstawiali się wzdłuż muru, a on wskazywał im, gdzie mają stanąć. Chwycił nowo przybyłego żołnierza i okręcił go w koło.

- Ty! Gdzie są twoi oficerowie?

- Nie żyją! - wykrzyknął zza jego pleców inny mężczyzna, uchylając się przed bełtem z dołu. - Zabiły ich ugryzienia pajaków! W koszarach są czarne wdowy! Miliony!

Polk ruszył na tyły, taszcząc ciężkie pudło bełtów do kuszy dla Henry'ego. Jus wyrzwał przez blanki i zobaczył ziemię zamienioną w piekło.

Atakujące hordy potworów przykrywały każdy skrawek ziemi. W dole roiły się dziesiątki tysięcy stworzeń - pająki, niektóre o rozmiarach wozu, inne nie większe niż monety, i troglodcy, gady śmierdzące jak kloaka. Były tam trolle, gargulce i demoniczne stwory ze stopionych kości i kolców. Były pół-pająki, które z krzykiem przedzierały się przez błoto w wyścigu do murów.

Gigantyczne pająki wielkości wojennych słoni przechadzały się wśród tej ciżby, a z opancerzonych kabin na ich grzbietach atakiem kierowały władcze drowy. Przedzierając się do przodu, wrzeszcząc w niepowstrzymanej żądzy krwi, pędziły paskudne postacie demonów tanar'ri. Zaklęcia ciemności zmieniły dzień w noc, niebo usiały otchłanne nietoperze.

Pająki i drowy. Jus zaklął i schował się za murem wieży, kiedy posypały się ku niemu strzały.

- *Lolth!* - Benelux wyglądał na osłupiałego. - *To jej robota! Ale przecież zabiliśmy ją! Pokonałeś ją! Dobro zatriumfowało nad złem!*

- Zło wciąż przyjmuje nową postać. - Justicar zamachnął się, a wielki miecz świsnął w jego dłoni niczym zabawka.

W ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że po części sam ponosi odpowiedzialność za to, że pod murami miasta pojawiła się armia Lolth. Chłodno oceniając tempo marszu wroga, szedł blankami,

kiedy nadleciała wielka chmura strzał i roztrzaskała się o mury miasta. Tysiące pocisków poleciało na ulice, a ludzie ściśnięci w tłumie zaczęli rozpaczliwie walczyć między sobą o schronienie w domach. Wybuchła panika. Wciąż nieporuszony, Justicar obserwował wroga. Odciął jeszcze jedną pajęczynę, schylając się, gdy bełt z balisty przemknął mu nad głową.

-Polk?

- Co takiego? Jestem zajęty! - Borsuk znalazł obsługę balisty i tachał ku nim dodatkową amunicję. - Są ich miliony, synu. To będzie ostatnia walka! Walka do końca, plecami do ściany, aż ostatni obrońca padnie na stercie zabitych wrogów! Muszę dostarczyć tu amunicję, a później znaleźć jakąś skrytkę na nasze kroniki. To może być przesłanie nadziei, synu. Światelko w ciemności dla dumnych dusz, które będą kontynuować walkę na długo po tym, jak zginiemy!

- Polk, przestań układać list samobójcy i znajdź Escallę! Potrzebujemy jej czarów! - Wielki mężczyzna czuł, że nad miastem gęstnieją ciemności, a mrok zmienia się w niezmaconą czerń. - Pochodnie! Przynieście na mur pochodnie!

Henry wyniósł ранego strażnika za linię ognia. Potraktował żołnierza twardo, wrywał strzałę z rany i przytknął do niej pajęczynę. Śmiertelnie blady, ranny mężczyzna patrzył ponad blanki.

- Muszą być ich setki tysięcy.

- Większość z nich nie jest prawdziwa. - Justicar ukucnął, mówiąc wystarczająco głośno, żeby usłyszeli go obrońcy. -Popiół?

- *Pierwsza fala to iluzja. Środek jest prawdziwy. Tylina linia to iluzja.*

- Tylko środkowa fala jest prawdziwa! - krzyknął Justicar do łuczników na murze. - Skupcie się na środkowych szeregach! Uważajcie! Kilku prawdziwych może być pośród fantomów! - Zaklął siarczyście. - To znaczy, że i tak jest ich ze czterdzieści tysięcy. Chcą szybko zająć miasto - Krzyknął na Polka, który zbiegał właśnie po schodach. - Szybko, Polk! Potrzebujemy tu magii!

Henry naciągnął kuszę, ładując zatrute bełty. Ciasno zapiął pasek hełmu i spojrzał się na Justicara.

- Nadchodzą.

Siła uderzenia sprawiła, że fundamenty muru zadrżały. Niezliczone drabiny zadudniły o ścianę. Żołnierze na górze zaczęli się podnosić, jednak Justicar pokazał im, żeby wrócili na miejsce.

- Schowajcie się i zamknijcie oczy! Oni nie są prawdziwi! -Wielki mężczyzna kroczył niczym bóg wojny. Czarny piekielny ogar błyszczał na jego plecach, a miecz wykonany z białej energii lśnił mu w dłoni. - Myślcie o dzisiejszej kolacji! Co jedliście wieczorem? Jak wam smakowało? Przypomnijcie sobie każdy kęs! Skupcie się!

Kiedy powietrze wypełniły dźwięczne okrzyki, jeden z żołnierzy zaczął się cofać. Justicar pochylił się, złapał mężczyznę za pancerz i popchnął z powrotem na miejsce.

- Gdzie, na Otchłań, się wybierasz? - Gniewnie zawrócił go do szeregu. - Jeżeli opuszczasz przyjaciół, to znaczy, że jesteś jednym z wrogów! Zabiję cię tu, gdzie stoisz!

Potworne iluzje rzuciły się przez mur. Justicar kroczył w ciemnościach, rozrywany niematerialnymi szponami. Przeszedł wśród potworów, kładąc dłonie na opancerzonych plecach żołnierzy i zmuszając ich, żeby zignorowali czary. Kiedy w końcu prawdziwi napastnicy przystawili drabiny do ścian, wychylił się za blanki, chwycił wrzeszczącego goblina i zrzucił go na bruk.

- W porządku! - zawołał. - Dalej! Zabijcie wszystkich!

Żołnierze skoczyli na równe nogi, gdy nowe drabiny zadudniły o mury. Wrzeszcząca fala potworów wspinała się coraz wyżej. Wielkie pająki wlażyły po kamieniach, a demoniczne tanar'ri pokazywały swym niewolnikom, gdzie postawić drabiny. Drowi zaklinacze wywołali smoliście czarne ciemności. Jus otworzył ramiona i rzucił jeden z własnych czarów. W ciemności rozblęskło światło. W półmroku rozdieranym krzykami, błyskawicami i ogniem, straże miejskie przyjęły na siebie pierwszą linię napastników.

Miecze uderzyły w hełmy goblinów i jaszczurcze łuski. Pająki przełaziły przez blanki, stając na tylnych nogach i wbijając szpony w zbrojnych, zanim poszatkowały ich halabardy. Henry walczył, panując nad swym strachem, krył się, ładował kuszę, a następnie wychylał przez mur, by strzelać do drowów. Ludzie przynosili kamienie, meble, nawet kadzie na wodę i zrzucali je z murów, żeby strącić napastników. Drabiny trzeszczały i łamały się, gdy z góry sypały się na nie głazy. Spadające potwory obalały swych kamratów i lądowały w błocie.

Justicar trzymał się z tyłu z jedną trzecią ludzi, uważnie obserwując fragment muru, przy którym czuwał. Żołnierze walczyli wściekle, ich miecze i halabardy szatkowały potwory wspinające się przez mur. Łucznicy i kusznicy strzelali szybko w wyćwiczonym rytmie. Żołnierzy tych zahartowały dekady wojny. Zaskoczyli wroga swoją zaciekłością.

Zakłęcie zachwiało odcinkiem muru, a dusząca chmura gazu rozpędziła obrońców. Justicar jednym rzutem oka ocenił sytuację i pognął do przodu, przywołując swych ludzi.

- Odwody! - Wielki mężczyzna użył swojego najlepszego czaru, rozpraszając magię trującego gazu. - Łucznicy zostają tutaj! Halabardnicy za mną!

Wtedy nadeszły, sycząc i łomocząc o mur, rozkładające się ciała z czarnymi dziurami zamiast oczu - nieumarli. Dwudziestu ludzi pobiegło za Justicarem, który zaatakował potwory. Popiół zionął ogniem, zamieniając co najmniej sześciu w płonące, pogruchotane kukły. Jeden trup wystrzelił z kuszy, ale strzała odbiła się od smoczej łuski pancerza Justicara, a wtedy halabardnicy uderzyli niczym stalowa ściana.

Ciężkie berdysze cięły i dźgały. Justicar ryczał wściekle, a jego biały miecz był szybki niczym wiatr. Nieumarli eksplodowali w chwili, gdy trafiał ich Benehuc. Stworzona z pozytywnej energii broń powodowała, że zajmowali się ogniem niczym papierowe lalki, płonąc od wewnątrz. Potwory krzyczały i padały, rozsypując się w proch pod najlżejszym dotknięciem. Justicar odciął parę ramion, które wylaniały się zza blanków i wtedy usłyszał krzyk Henry'ego.

Był to varrangoin - otchłanny nietoperz, siedzący na blankach. Rozpostarł skrzydła, ukazując magiczne runy wypalone na skórze. Rozwarł kościsty pysk, wydając okrzyk furii, i wylądował pośród ludzi na murach. Łucznicy w odwodzie wystrzelili, lecz strzały odbiły się od skóry potwora. Varrangoin wyprostował się triumfalnie i posłał w nich strugę płomieni. Ludzie krzyczeli, w jednej chwili zamieniając się w szkielety. Zginęło dwudziestu. Varrangoin przedarł się przez płomienie i zwycięsko zaryczał.

Justicar nadbiegł z zawrotną szybkością. Kiedy varrangoin wypuścił następną strugę płomieni, skoczył, odwracając się plecami do ognia. Poparzony i obolały nie przestał jednak biec, przeskoczył przez ogień i zamachnął się mieczem w morderczym cięciu. Benelux trafił w czaszkę varrangoina, wbijając się głęboko w ciało i sięgając kości. Potwór zachwiał się. Oślepiony, z szybkością błyskawicy zaatakował szponami, ale Justicar parował każde uderzenie. Upadł na ziemię i zamierzył się, celując w kolana przeciwnika. Poczul, że miecz sięgnął celu i szybko poderwał się z rykiem, by pchnąć mieczem padającego potwora. Varrangoin zachwiał się i upadł, przebity ostrzem Beneluxa.

Justicar przekręcił klingę i szerzej otworzył ranę. Zawodząc w agonii, varrangoin próbował się cofnąć. Upadł, opryskując krwią blanki. Justicar uniósł miecz, wydał triumfalny okrzyk i odciął łeb potwora. Pokryty krwią Benelux zapiszczał zwycięsko.

W dymiącym pancerzu i z białym mieczem ociekającym krwią w dłoni, Justicar uniósł w górę głowę varrangoina i wyrzucił ją przez mur. Troglodyci i gobliny w panice spadali z drabin, opuszczając mury. Atak załamał się, napastnicy rzucili się do ucieczki. Ogromne tanar'ri próbowały ich powstrzymać, zabijając uciekinierów. Henry i ocalali łucznicy zasypali ich gradem strzał.

Na innym odcinku murów obrońcy nie mieli tyle szczęścia. Rozległ się huk i blanki poleciały w dół, a fala triumfalnych okrzyków oznajmiła, że potwory sforsowały umocnienia. Z murów można było się tu dostać jedynie przez drzwi wieży. Justicar zebrał żołnierzy i poprowadził szarżę.

- Parzyste numery, za mną!

Jus zataczał się, ranny i poparzony. Otworzył drzwi wieży, przeszedł przez budowlę i przedarł się na następny odcinek muru. Ujrzał obraz klęski.

Tutaj obrońcy walczyli z iluzjami, podczas gdy prawdziwi napastnicy zamocowali na murze drabiny i haki. Strażnicy leżeli martwi, oprócz kilku, którzy wrzeszczeli torturowani przez lordów tanar'ri. Troglodyci, gigantyczne pająki i oszalałe krwią trolle rozlewały się niczym fala przyływu po ulicach, a ogarnięci paniką mieszkańcy miasta rozbiegli się, krzycząc przeraźliwie.

Przez mur przeszły już setki potworów. Kolejne tysiące zalewały wyłom w obronie. Justicar na czele dwudziestu ludzi mógł tylko wycofać się na swoje pozycje.

- Wycofać się! - zawołał, słysząc, jak kolejna fala napastników rusza ku miastu. - Jest tu jakaś baszta? Macie punkt zborny?

- Tak! - Żołnierz otarł krew z twarzy. - Po zachodniej stronie miasta jest cytadela!

- Biegiem! - Muru nie dało się już utrzymać. Napastników było zbyt wielu, a żołnierzy zbyt mało. - Biegiem do cytadeli!

Istniała szansa, że wróg zaatakował tylko zachodnią część miasta. Ludność mogłaby wówczas uciec na wschód, o ile siły Lolth zdołałyby powstrzymać wystarczającą liczbą żołnierzy. Wykrzykując rozkazy, Justicar zbierał wokół siebie obrońców. Henry trzymał się z tyłu, pilnując jego pleców. Gdy na mur z chrzęstem posypał się deszcz haków, chłopak załadował do kuszy ostatnie pięć bełtów.

- Sir, idziemy?

- Idziemy! - Jus złapał chłopca za kołnierz pancerza, popychając go na schody. - Polk? Polk? - Nie było odpowiedzi. Enid i Escalla także przepadły bez śladu. - W porządku! Idziemy na wschód! Biegiem!

Z miasta dobiegały krzyki demonów, wycie i odgłosy mordów. Jus, Henry i Popiół opuścili blanki. Za ich plecami zwycięzcy wyli i wrzeszczeli, przełaząc przez mur. Cieszyli się, że teraz mogą już bez przeszkód rozpocząć rzeź.

Płynąc w ciemnej wodzie, ogromny wąż prześlizgiwał się przez miejskie kanały. Smugi światła wpadające przez kratki ściekowe tworzyły lśniące sadzawki, poza tym wszędzie panowały ciemności, brud i potworny odór. Woda stała tu w miejscu i była pełna śmieci. Ranny wąż, szlochając rozpaczliwie, uciekał przed odgłosami walki dobiegającymi z góry.

Enid, bo ona była owym wężem, w końcu znalazła suchy występ skalny, wyslizgnęła się na półkę jęcząc z bólu i otworzyła paszczę, by położyć na kamieniu mniejszego węża. Ten był spalony na połowie długości. W mocnym uścisku ogona trzymał różdżkę i małą laskę, zaciskając pętlę tak, że nie rozluźnił uchwytu, gdy znalazł się na ziemi. Escalla - wąż jęknęła, oczy zamgliły jej się bólem, gdy próbowała podnieść głowę.

-Enid?

- Tu jestem. - Enid leżała zeszywniała z bólu. - Muszę tylko odpocząć... przez chwilę.

Z ujścia rynsztoka, sześć metrów nad ich głowami, kapłała krew. W otworze na chwilę pojawiła się dłoń, która zaraz potem znikła. Świat nad kanałami rozbrzmiewał krzykami umierających, dzikim wyciem i śmiechem demonów. Escalla położyła głowę na kamieniu i walczyła o każdy oddech.

- E-Enid? Co się tam dzieje?

- Tanar'ri! Na ulicach są setki tanar 'ri, drowów i jaszczurek.

- Drowów?

- Drowów. I pajaków. Zdobyli mury miejskie.

- Dziwka! - Escalla ledwie miała siły, żeby porządnie zakląć. - To sprawka Lolth. Tielle... na pewno z nią współpracuje.

Z krzykami i wyciem zmieszał się daleki chłupot. Coś, śmiejąc się, szło kanałami. Escalla usłyszała dźwięki i próbowała się poruszyć, ale na próżno.

- C-czy możemy wyjść na górę?

- Zmasakrują nas.

- Nie mogę się ruszać. Prze-przepraszam. - Escalla głośno przełknęła ślinę. Leżała sztywno na grzbiecie. - Możesz mnie nieść?

- Mogę.

- Płyn na wschód, jeśli zdołasz. Tam... jest rzeka. I na pewno jakiś odpływ.

Enid spojrzała na osad na ranach Escalli. Jej własny poparzony grzbiet także pokrywała warstewka brudu.

- W rany wda się zakażenie - zauważyła.

- Jus...temu zaradzi. On... potrafi wszystkiemu zaradzić. Enid wzięła do pyska Escallę, laskę i różdżkę i z wysiłkiem wślizgnęła się do wody. Obróciła się, rzuciła okiem w górę na ujście rynsztoka i ruszyła w dół strumienia.

W powietrzu rozległ się krzyk. Enid rzuciła się w bok, a chwilę później w ścianę obok niej uderzył łańcuch. Wiszący na stropie tunelu łańcuchowy mnich chichocząc celował w krtań Enid. Wąż zanurkował. Mnich trafił w ścianę, skoczył do wody i wygrzebał się z brudu na małą kamienną półkę. Zaskrzeczał, uderzając pętami łańcucha w swoją ofiarę. Enid skręciła w bok, bijąc potwora ogonem. Łańcuchowy mnich spadł do wody, rzucając się rozpaczliwie, ale ciężar pociągnął go w dół. Tuzin okrzyków odbił się echem od ścian kanałów, gdy pozostali mnisi podjęli trop.

Enid jęknęła i popłynęła, przeciskając się przez odpadki i starając się umknąć potworom. Tunel rozbrzmiewał ich skrzeczącym śmiechem, który w końcu zdawał się dobiegać zewsząd. Enid płynęła przed siebie, zeszywniała z bólu, a Escalla rzucała się i trzęsła w jej pysku.

Panowały zupełne ciemności. Nagle na łuskach Escalli pojawiła się słaba magiczna poświata i ranna faerie zadrżała.

- Cz-czar wykrywania. Namierzają nas. - Niemal szlochała, próbując podnieść głowę. - Tielle na pewno ma... kryształową kulę.

- Może nas znaleźć? - wysyczała Enid, nie rozwierając pyska, w którym trzymała Escallę.

- Nie. - Escalla przełknęła żółć zalewającą jej gardło. - Każdy kawałek ciemnego tunelu wygląda tak... tak... samo.

Kaszlnęła i zadygotała, a po chwili zupełnie zeszywniała. Wyglądała teraz jak kawałek drewna. Enid zamarła z przerażenia.

- Escalla?

Cisza.

Enid głośno przełknęła ślinę, czując, jak jej wężowa krew lodowacieje. Faerie zemdląła, albo i gorzej. Różdżka i laska wciąż mocno tkwiły w jej zwojach. Czy to dobry znak... czy zły?

Jus na pewno by to wiedział.

Escalla umierała. Enid z przerażeniem zerknęła na świat na powierzchni i z trudem zaczęła wspinać się po metalowej drabince, szczebel po szczeblu. Ponad nią płomienie rzucały do kanałów odbłyски czerwonego światła, a miasto rozbrzmiewało krzykami.

Na ulicach pojawiły się gargulce. Przerażeni mieszkańcy miasta rozpaczliwie starali się przed nimi ukryć. Potwory rzuciły się do przodu, wymachując szponami, by wyrwać serca krzyczących ze strachu ludzi. Jeden z nich uniósł swą ofiarę na wysokość miejskiej świątyni. Dwa inne brnęły przez tłum, kąpiąc się w krwi i żywym mięsie. Jeszcze inne walczyły o krzyczącego człowieka, rozdzierając go na pół i śmiejąc się, gdy zakosztowały świeżego, gorącego mięsa.

I wtedy zginęły.

Miecz Jusa uderzał w niemal zupełnej ciszy, straszliwe ciosy trafiały w żyłaste ciała. Pierwszy gargulec padł z rozpołowioną głową. Drugi obrócił się i przyjął cios mieczem w szyję i pierś. Zabulgotał, a Justicar uwolnił białe ostrze i natychmiast pchnął znowu. Prowadzony jego ogromną siłą Benelux wyszedł przez plecy potwora, który osunął się na kolana. Był martwy, zanim jeszcze dotknął ziemi. Jus uwolnił miecz i krzyknął kilka wskazówek w stronę uchodźców.

- Za mną, jeżeli chcecie żyć!

Tłum uciekinierów rozdzielił się i ruszył biegiem. Niektórzy pobiegli na wschód, inni ukryli się w domach i uliczkach. Kiedy wysoko w górze pojawiły się trzy varrangoiny, posyłając w dół płomienie i kwas, Justicar, przeklinając, schronił się pod okapem jednego z domów.

Henry namierzył potwory, ale te poleciały dalej. Jus zaklął i pociągnął chłopaka w tył. Budynek nad ich głowami runął w dół, ogarnięty ogniem. W niesamowitych ciemnościach miasta płomienie gęstniały niczym melasa. Henry i Justicar, pochyleni, popędzili przed siebie. Za ich plecami zapanował koszmar - najeźdźcy najadali się do syta.

Potwory obsiadły już blanki cytadeli. Jus dostrzegł gargulce, nietoperze i inne stworzenia, którym nikt nie stawiał oporu. Żołnierze widocznie nie dotarli do baszty. Ulice pustoszały, kto żyw starał się wydostać za bramy. Jus i Henry przystanęli w płonącej alejce, ukrywając się przed ciemną falą nadlatujących potworów.

Popiół nagle pociągnął nosem.

- *Lewo!* - warknął.

Skręcili. Z płonącej miejskiej biblioteki wybiegł borsuk ze sporą rolką czarnego sukna zatkniętą za pas. Uchylając się przed snopem iskier, Justicar podbiegł, by go złapać, zanim zniknie.

- Polk!

Borsuk zatrzymał się i rozejrzył dookoła, mrużąc oczy. Justicar podniósł go w górę.

- Polk, gdzie Escalla?

- Jestem borsukiem, synu! Krótkowidzem! Jeżeli jest gdzieś tutaj, to ja jej nie widziałem! Nie ma jej. Znikła! - Polk poklepał przenośną dziurę za swym małym pasem. - Ale spójrz, synu!

Czeka mnie wielkie zadanie. Lepiej zrobię to, póki jeszcze mam czas!

- Zadanie? - zamrugał Henry, wykorzystując pelerynę jako tarczę przed kamieniami lecącymi z walącego się budynku. - Co za zadanie?

- Mam przenośną dziurę, synu, tę, którą zdobyliśmy w Podmroku. - Dziura prawie nic nie ważyła bez względu na to, co znajdowało się w środku. Prowadziła do niesamowitej, niezemskiej komnaty w kształcie sześciangu o boku trzech metrów. - Idę do biblioteki świątyni, synu. Możemy ocalić święte księgi i zwoje. Możemy zachować wielkie dziedzictwo ludzkości dla przyszłych pokoleń!

Justicar walnął pięścią w mur.

- Polk, nie będzie żadnych przyszłych pokoleń! - Wręczył Henry'emu borsuka, przenośną dziurę i wszystko, co Polk zdołał zgromadzić. - Gdzie szukałeś Escalli? Sprawdziłeś kwartał kupiecki?

- Szukałem jej wszędzie! I widziałem tylko walczących!

Jus chwycił szczapę płonącego drewna i wsadził ją do pyska Popioła. Rozejrzał się po ulicach, próbując myśleć jak faerie.

- *W dół.* - Popiół pomachał ogonem. - *W górze niebezpiecznie. Faerie być w dole!*

-Co?

- *Mądra faerie. Sprytna jak pies!* - Popiół wyszczerzył zębiska. - *Nietoperze w górze -faerie w dole!*

Kanały! Ich studzienki miały wyloty na każdej ulicy. Jus przesunął zagradzające drogę ciało i odkrył metalową płytę wprawioną w bruk ulicy. Uniósł ją, odkrywając ściek i wyciętą w kamieniu drabinkę, wiodącą w dół.

Gdzieś z daleka w dole dobiegł kobiecy krzyk zabarwiony bólem i paniką. Justicar schował miecz do pochwy i skoczył do dziury, skrywając się w zupełnych ciemnościach. Henry zamarł, chwilę później usłyszał w dole potężny plusk. Z ciemności znowu dobiegł krzyk.

- Henry! Skacz!

Chłopak zrobił, co mu kazano, mocno ściskając zawodzącego Polka. Pokonał ciemną studzienkę i wpadł do ciepłej, cuchnącej wody, zanurzając się po czubek głowy, zanim stopami znalazł dno.

Justicar pomógł mu złapać równowagę, jednocześnie wyciągając z wody kuszę, Polka, zbroję i zwoje.

- Tu z boku jest półka. - Wskazał.

Stopy Henry'ego znalazły oparcie i chłopak przestał się bać, że się topi. Sunąc przez wodę niczym galeon, Justicar tworzył wielką falę piany. Nie dbając o zachowanie ciszy, pędem ruszył w dół strumienia. Jego miecz świecił niesamowitym światłem.

Rozległ się kolejny krzyk. Jus dotarł do następnej drabinki wiodącej na górę i pognął do przodu. Wielki wąż wisiał bezwładnie ze szczębła w połowie studni. Tuż nad nim zwieszał się wierzgający, bełkoczący potwór, który wyglądał jak mnich owinięty w łańcuchy. Wymachiwał ramionami, wyrzucając w górę metry łańcucha, by dosięgnąć i owinąć nimi węża. Ten, poparzony i ranny, panicznie łkał kobiecym głosem i próbował uciec.

Jus wbił miecz w plecy łańcuchowego mnicha. Z grubych zwojów blokujących cios posypały się iskry. Potwór warknął z wściekłością i próbował uderzyć napastnika owiniętą łańcuchem pięścią. Justicar uniknął dwóch ciosów, następny przyjął na miecz, a potem kopnął potwora w trzewia. Obrócił się i uderzył mieczem, zadając dwa potężne ciosy i przecinając pęta więzące węża. Mnich podniósł się, rzucając dwa łańcuchy, którymi pochwycił Justicara. Pociągnął mocno i mężczyzna poślizgnął się, a potem upadł. Przedzierając się przez wodę z tunelu wybiegł Henry i wystrzelił szybką serią w pierś potwora.

Bełty iskrząc odbiły się od gęstych zwojów metalowego łańcucha. Mnich okręcił się i wrzasnął z wściekłością. Wychynawszy z wody niczym wieloryb, Justicar pojawił się za jego plecami. Wielkimi ramionami oplótł gardło stworzenia, blokując rurkę do oddychania. Potwór szarpnął się i zamachnął w tył łańcuchami, oplatając je dookoła szyi mężczyzny. Ten jednak utrzymał uścisk, tylko mięśnie jego karku napięły się, gdy mnich zaciskał pęta.

Rozległ się trzask i łańcuchowy mnich zwiotczał ze skrzyconym karkiem. Jus ryknął i potrząsnął głową, luzując łańcuchy wokół gardła. Cały czas trzymał ręce na szyi potwora, by mieć pewność, że nie żyje.

Z ciemności wyprysnął drugi mnich. Jus pochylił głowę, a Popiół wyszczerzył zęby i gorący słup ognia trafił prosto w twarz nadbiegającego. Ten upadł i krzyknął, gdy woda z sykiem spotkała się ze spalonym ciałem i stopionym żelazem.

Odrzuciwszy ciało pierwszego mnicha, Justicar rzucił się w górę drabinki. Gardło miał opuchnięte i obolałe.

- Enid? - zapytał, kładąc dłoń na wielkim wężu.

- Jus! - Wąż wpadł w jego rękę niczym zwoje ciężkiego kabla. - Jus, Escalla jest ranna.

Justicar czuł, jak Enid trzęsie się ze zdenerwowania. Mały wąż zwisał ze szczębła ponad nimi. Henry powiesił kuszę na ramieniu i wspiął się po drabinie, ostrożnie biorąc go w ręce.

- Myślę, że to Escalla! - Henry starał się wyczuć puls. - Jest zimna!

- W końcu jest wężem! - Jus spojrzał nerwowo w górę drabiny. - Jest poparzona?

- Ciężko. Naprawdę ciężko. - Henry schodząc w dół starał się ostrożnie trzymać Escallę. - Nie

obudzi się!

Justicar był ranny. Miał poparzoną skórę, opuchnięte gardło i zapewne złamane żebro. Miał też trzy zakłęcia leczenia. Natychmiast chwycił Escallę i skierował dwa spośród nich w jej poparzone ciało, patrząc, jak oparzenia migoczą i goją się. Mały wąż wciąż był ranny - kwas wypalił mu skórę aż do kości - ale oddychał głębiej i żył. Trzecie zakłęcie Justicar rzucił na Enid, która podźwignęła się, jęcząc, gdy czar przyniósł lekkie uczucie chłodu na jej poparzonej skórze.

Nadpłynął Polk, szaleńczo wiosłując w kanale, zły na Henry'ego, że go porzucił.

- Ratunku! Synu, ratunku! Nie umiem pływać, synu! Tonę!

- Wszystkie borsuki potrafią pływać, Polk. - Justicar chwycił go za futro. - Dobrze ci idzie.

Henry trzymał na kolanach głowę Enid i oszalały z żalu głaskał ją łagodnie. Enid najwyraźniej wciąż była w agonii. Justicar złapał Escallę i pod szczęką węża poszukał pulsu, potem wyjął różdżkę i laskę z uścisku jej ogona i schował je pod napierśnikiem. Ułożył ją sobie na szyi, pod skórą Popioła, ponieważ gdzieś w ciemności rozległy się odgłosy kolejnych łańcuchowych mnichów.

- Enid, ilu ich jest?

- Przynajmniej trzydziestu. - Wąż osunął się w ramiona Henry'ego. - I Tielle! Ma... magiczną moc i jakiś rodzaj kwasu.

- Tielle!

- Na... namierza nas jakimś czarem. - Głos Enid brzmiał słabo.

- Więc ruszajmy. - Jus spojrzał w górę drabiny. Potwory ryczały, a powietrze wypełniał huk walących się, płonących domów. - Polk, chodź tutaj! Henry, musisz wziąć Enid. Trzymaj jej głowę wysoko. - Mężczyzna pozwolił Połkowi chwycić ogon Popioła i pociągnął go przez wodę. - Pójdziemy wzdłuż strumienia. Dalej!

Justicar prowadził z mieczem w dłoni. Kanały rozbrzmiewały krzykami potworów, a miasto w górze płonęło.

* * *

Kanały opadały łagodnie wzdłuż zbocza. Najwidoczniej od dawna nie były udrażniane i woda z rzeki zalała cały system tuneli. Poziom wody zwiększał się, a odległość od stropu malała centymetr po centymetrze. Z wysiłkiem ciągnąc za sobą rannego węża, Henry ledwo utrzymywał głowę nad wodą.

W jednym z tuneli żyły żądłowce. Była to najlepsza droga, jednak Popiołowi został jeszcze tylko jeden ognisty płomień. By mieć ich więcej, musiał się posilić. Jus uniósł wyżej miecz i borsuka i parł do przodu, wybierając tunele w labiryncie skrzyżowań i zakrętów.

Wężowe oczy Enid błyszczały z bólu.

- Cz-czy powinniśmy iść tak szybko? Gdzieś w ciemności... mogą być łańcuchowe potwory.

Justicar kroczył na przód, ciemny, ponury i pewny siebie.

- Ostatni atak nadszedł z tyłu. Jeżeli będziemy się szybko poruszać, zostawimy ich za sobą. - Szybko wyrzwał za róg, potem rozejrzał się na prawo i lewo.

- Popiół?

- *Najgorszy zapach po lewej. Odór-zło-odór!*

- Lewa, powiadasz?

Henry i Jus ruszyli przed siebie. Na skrzyżowaniu tuneli woda poruszyła się i z toni cicho wynurzyły się wielkie gumowate szypułki z oczami. Justicar obrócił się i zmierzył stworzenie złowieszczym spojrzeniem.

- Nawet o tym nie myśl.

Oczy mrugnęły nerwowo i zanurzyły się.

Woda była coraz gęściej usiana pływającymi śmieciami, aż w końcu wędrowcy musieli przekopywać się przez piętnasto-centymetrową warstwę odpadków. Henry podtopił się, jedną ręką trzymając głowę Enid nad wodą, i Justicar musiał go przytrzymać.

Tunel wprowadził ich do jaskini. Panowały w niej ciemności, a strop wznosił się zaledwie kilkanaście centymetrów nad poziomem wody. Zalewisko było nieruchome, a dno pokryte szlamem i zatopionymi odpadkami. Z głową ledwie wystającą ponad wodę i Polkiem przyczepionym do pleców, Justicar brnął do przodu, ciągnąc za sobą Henry'ego i Enid, póki nie dotarł do przeciwległego końca komory.

Kanał nagle się skończył. Powinien znajdować się tu jakiś tunel prowadzącego na zewnątrz, jednak zalał go powódź. : Odpływ prawdopodobnie był zablokowany metalową kratą. Justicar zdjął Polka z karku i zaczął przeszukiwać sakiewkę borsuka.

- Synu! Synu, nie histeryzuj! Nie jestem Escallą, synu!

- Cicho! - Justicar wyciągnął przenośną dziurę. Trzymając ją nad wodą, rozwinał rogi magicznej czarnej materii. - Będziemy musieli płynąć pod wodą. Do dziury, wszyscy.

- Ależ, synu!

Jus wrzucił Polka do dziury i skinał na Henry'ego.

- Wchodź. Podam ci Enid, później Popioła i Escallę.

- Co z panem, sir?

- To tylko kawałek. - Justicar schował miecz do pochwy i wrzucił go do dziury. Benelux krzyknął gniewnie, a Polk pisnął ze strachu. Podobnie potraktował swój hełm. - Władźcie, szybko!

Chłopak wspiął się niezdarnie przez krawędź dziury, wlewając do środka wodę.

- Sir? Czy nie moglibyśmy wrócić i spróbować uratować miasto?

- Następną lekcja: musisz wiedzieć, kiedy się wycofać, żebyś mógł uderzyć ponownie.

Podał Henry'emu Enid, a potem Popioła. Zdjął z szyi Escallę, sprawdził, czy puls wciąż bije i przygotował się do drogi.

Z ciemności dobiegł dziki śmiech. Coś zamigotało i pośród śmieci wypłynął morski diabeł. Głosem Tielle ryba obwieściła swą radość:

- Ach! W końcu się spotykamy! A gdzie twój piesek?

Za Teille przez wodę brnął tuzin rechoczących postaci. Łańcuchowi mnisi wymachiwali ramionami, żeby chwycić się poszarpanych i popękanych kamieni powały. Zerkając na Justicara, Tielle uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że będą z nią przyjaciele, więc sprowadziłam pomoc. Są cudowni, nie uważasz? Tak wspaniale jest mieć przyjaciół. - Głos Tielle był lekki i radosny, obserwowała Justicara z rosnącym podnieceniem. - Teraz, gdy jesteśmy wszyscy razem, możemy się pobawić.

Escalla poruszyła się słabo w dłoni Jusa. Skupiając wzrok na Tielle, podał ją w dół Henry'emu i zwinął płaskie wejście do przenośnej dziury. Schował materiał do wodoodpornej sakiewki, pewny, że tam będzie bezpieczny.

Jeżeli Tielle spodziewała się widowiskowego powrotu, zdecydowanie się zawiodła. Justicar zwyczajnie zanurkował i popłynął. Łańcuchowi mnisi ryknęli i rzucili się w przód, podczas gdy Tielle strzelała w mrok lodowymi sopłami.

- Brać ich! Już! - Z powrotem zmieniła się w faerie, brudną i nagą, pozbawioną pajęczej biżuterii. - Zablokujcie tunele!

Mnisi pomknęli, bijąc w wodę zwojami łańcuchów.

W mroku pod powierzchnią Justicar czuł, jak woda kipi i faluje. Obok niego mignął łańcuch. Ominął go, płynąc tuż przy dnie. Kolejne łańcuchy śmignęły w dół. Jus z ogromną siłą uderzył w zatopione odpadki, zgiął nogi i użył przeszkody, żeby się od niej odbić. Chwilę później w wodę skoczyli mnisi, niczym harpunami waląc łańcuchami w dno.

Jus trafił w kamienną ścianę i zaczął macać w poszukiwaniu wyjścia. Gdzieś musiał być odpływ do rzeki! Przesuwał dłonią po podłodze, a woda kipiała, gdy do jaskini wbiegali kolejni

mnisi. W końcu, już niemal tracąc oddech, Justicar dotarł do ściany, wypłynął, zaczerpnął powietrza i zanurkował.

Mnichów było zbyt wielu. Dwa potwory spostrzegły go i rzuciły się w pogoń, a ich dzikie krzyki ściągnęły kolejnych. Justicar okręcił się niczym delfin, gdy tuzin łańcuchów przeszło wodę. Jeden trafił go w nogę, odbijając się od buta mężczyzny.

Justicar od dawna wykorzystywał wodę jako miejsce zasadzek. Buty i pancerz ze smoczycz łusek spowalniały go, ale przyzwyczał się do pływania z ich ciężarem. Gdy łańcuchowy mnich wskoczył pod wodę i rzucił się na niego, popłynął do przodu i uderzył w pierś potwora. Zwarli się pod wodą. Mnich rzucał się wściekle i usiłował użyć łańcuchów. Chwytając jego owinięte metalem ciało, Justicar spróbował wykręcić mu rękę. Zwoje były jednak śliskie, więc mnich uwolnił się z uścisku. Jus poczuł, że łańcuch owija go w pasie i zanurkował między nogami potwora. Wychylił się za jego plecami, przedramionami złapał go za głowę i popłynął na powierzchnię. Z rykiem skrzył kark stworzenia jednym ruchem potężnych ramion.

Na wpół zanurzona w wodzie Tielle zaczęła krzyczeć.

- Tam! Tam, głupcy! *Tam!*

Łańcuchowi mnisi zatrzymali się i rzucili w ciemność. Jus zanurkował i porzucił ciało, zmierzając prosto do faerie.

Na powierzchni Tielle szalała z wściekłości. Rzuciła piorunem w miejsce, gdzie ostatnio widziała Justicara. Błyskawica trafiła w wodę i rozświetliła całą jaskinię niebieskim światłem. Łańcuchowi mnisi zadrżeli i zamarli. Tielle zaskrzeczała, gdy prąd wyrzucił ją na kamienie. Z daleka od wybuchu Justicar zwijał się pod wodą, mając wrażenie, że uderzył go młot. Trzymał powietrze w płucach, kręcił się w kółko i potrząsał głową, za wszelką cenę starając się zachować przytomność.

Błysk ujawnił ciemniejsze miejsce w posadzce jaskini, które znajdowało się niemal dokładnie pod Tielle. Jus popłynął w jego kierunku. Znalazł metalową kratę i złapał ją obiema rękami, z całej siły zmagając się ze stalowymi prętami.

Żelazo zgięło się. Wiedząc, że Tielle znajduje się tuż nad nim, Jus nie mógł nabrać oddechu. Przepchnął się przez kratę i znalazł w pionowym kanale. Ciśnienie rozsadzało mu uszy, gdy płynął w dół w ciemnościach. Tunel skręcił. Jus uderzył w dno, potem popłynął przed siebie przez czarną, mętną wodę. Oblepiły go jakieś rośliny. Raz coś podpłynęło i ugryzło go w pancerz, więc rozmiądzzył to o ścianę. Jego płuca domagały się powietrza, a ich ból niemal rozdzierał go na pół.

Dziura! Jus sięgnął po sakiewkę, znalazł przenośną dziurę i zaczerpnął z niej łyk powietrza. Odetchnął dwa razy i wcisnął materiał pod pancerz. Płynął dalej, póki nie zawadził o strop tunelu. Zaryzykował zakłęcie światła. Otoczyła go niesamowita magiczna poświata. Dostrzegł, że znajduje się w wodzie gęstej jak zupa i pełnej dryfujących odpadków. Tunel opadał lekko w dół, wypełniając mu uszy bólem. Jeszcze cztery razy nabierał powietrza z przenośnej dziury, zanim znalazł wyjście, zasłonięte kolejną żelazną kratą.

Pręty pękły po trzecim kopnięciu. Kończąc czar światła, Justicar przepchnął się przez wąski otwór do wolno płynącej rzeki. Popłynął szybko w dół strumienia, zmierzając do przeciwległego brzegu. Wziął kolejny oddech z przenośnej dziury i wreszcie wypłynął na powierzchnię.

Przy brzegu natknął się na trzciny, które zalała woda, gdy rzeka wystąpiła z brzegów. Przedarłszy się przez roślinność, wynurzył się z trudem. Wziął głęboki oddech, trzymając głowę nisko w gąszczu łodyg, i spojrzał na pokonane miasto.

Przed wschodnią bramą czyhały potwory. Gdy zbliżyli się uciekinierzy, którym udało się opuścić miasto, ukryte oddziały Lolth podniosły się z błota. Dźwiedziolaki prowadzone przez masywne trolle wpadły na ściśnięte grupy ofiar, przyciskając je do murów miasta. Rzeź powstrzymali drowi oficerowie. Miasto płonęło, a varrangoiny, gargulce i inne koszarne postacie polowały pośród dymu. Justicar patrzył przez chwilę, jak Zakole Keggle rozsypuje się w pył, a potem wycofał się w zarośla.

Ten odległy brzeg rzeki był pusty. Jus na brzuchu wyslizgnął się z błota i otarłszy twarz leżał, ciężko dysząc. Od uderzenia łańcuchem noga spuchła mu i bolała, a mięśnie niemal zupełnie zeszywniały na skutek elektrycznego wstrząsu błyskawicy Tielle. Przewróciwszy się na plecy, wyciągnął przenośną dziurę i otworzył ją szeroko, rzucając na równy kawałek błota. Ze środka wyczołgali się Henry i Polk, na wpół podtopieni i dyszący. Polk wypluwał wodę ze ścieku.

- Synu! Synu, wydostaliśmy się?

- Tak. - Justicar leżał na plecach i walczył o każdy oddech, jego masywna klatka piersiowa unosiła się gwałtownie. - Jesteśmy bezpieczni.

- No cóż, nie leż tak beztrosko, synu. Nasi wrogowie mogą nas wytropić. Kryształowa kula, synu, to magia! - Polk otrząsnął się z wody. - Musisz ruszać i zyskać trochę dystansu. Zostaniemy tutaj i zajmujemy się rannymi. Biegnij. I to szybko!

- Kryształowa kula? - Justicar przewrócił się na bok i zamrugał zdezorientowany. Szukał czegoś po omacku, póki Henry nie wręczył mu Beneluxa. - Co... co powstrzyma kryształową kulę?

- Znajdziesz sposób, synu. Wierzę w ciebie. Nauczyłem cię wszystkiego, co wiem. - Polk obrócił się i teatralnym szeptem powiedział w ucho Henry'ego: - Chce, żebym go przez cały czas niańczył. Ten chłopak boi się własnego cienia!

Z przenośnej dziury wyjęto Popioła. Piekielny ogar wyglądał na zabłoconego i przemoczonego. Zobaczył Jusa i pokiwał obwisłym ogonem.

- Cześć.

- Cześć.

- Zły dzień. Popiół chce przynosić patyki, później spać.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Jus zdołał usiąść. Położył sobie na plecach Popioła i przymocował go do hełmu. Potem złożył przenośną dziurę i wepchnął ją za pas, po czym zaczął czołgać się w błocie, ciągnąc za sobą miecz.

- *Ubłocisz mi pochwę* - z oburzeniem zasyczał Benelux. Ostrożnie oddalając się od miasta, Jus starał się chować za trzcinami, wypatrując latających potworów, ale powietrzne oddziały Lolth zebrały się, by pożreć smakowite kąski na murach miasta. Przedzierał się przez zalane wodą chwasty i trawę, aż dotarł do zniszczonego glinianego muru. Schowany przez wzrokiem strażników, rozejrzał się szybko, czy od strony rzeki nie nadciąga pościg, a potem przyjrzał się miastu.

Rzeź trwała w najlepsze. Potwory zrzucały ludzi z blanków lub rozdzierały ich na strzępy przy bramach, ocalałych systematycznie spędzali w stada słudzy Lolth. Rozrzucone ciała zmordowanych zostały na ziemi, żywych pognano niczym owce.

Pięciuset jeńców zaciągnięto do ogromnego kręgu o średnicy dwustu metrów, który widniał przed wschodnią bramą. Gdy drowi kapłani malowali magiczne symbole ludzką krwią, potwory zabijały swe ofiary i układały ich ciała w gigantyczną runę. Krąg błysnął mocą, stając się oślepiająco biały...

W polu widzenia pojawiła się ogromna pajęcza noga z mosiądzu. Magiczny krąg stanowił teraz podstawę migoczącej kopuły - wielkiego przejścia do Otchłani. Portal prowadził do świata, którego ziemię tworzyły krzyczące dusze, a powietrze rozbrzmiewało ich niekończącymi się jękami. Z koszmaru wyłonił się pająk tak ogromny, że trolle i ogry rozbiegły się jak myszy.

Pajaka, a właściwie maszynę - pałac wykonano z brązowo-zielonego metalu. Stał na ośmiu potężnych nogach i miał niezliczone okna przypominające okrutne ślepia. Wielkie kły z czarnej stali unosiły się nad wojskami przeklętych. Z sykiem i hukiem pajęczy pałac ruszył olbrzymimi krokami, potem zatrzymał się przy murach miejskich. Jego głowa kiwała się w przód i w tył, jak u bestii wężącej za zwierzyną. Na ziemi w dole drowy, pająki, trolle i troglodyci potrząsali okrwawioną bronią i krzyczeli z radości.

Z boku pałacu otworzyły się drzwi. Wielki metalowy pająk powoli obniżył się, a pomiędzy szczęk, niczym paskudny język, wyjechały schody. Gdy z ogłuszającym dzwonieniem mosiądzu pałac dotknął ziemi, w drzwiach pojawiała się mała, czarna postać.

Była idealna - szczupła, ze skórą czarną jak północ i srebrno-białymi włosami, które sięgały ziemi. Obwieszona biżuterią rozsiewała wokół siebie atmosferę koszmaru. Lolth, Pajęcza Królowa, Pani Drowów wyszła z pałacu, by popatrzeć na swoje zwycięstwo.

Za plecami Lolth przemknął tanar 'ri z kobiecym torsem, sześcioma ramionami i wężową dolną połową ciała. Szczupły i wypielegnowany demon pośpieszył za swą panią i wydawał rozkazy oddziałom, zmuszając je, by zostawiły swe ofiary.

Wściekły, rozgoryczony i bezsilny Justicar mógł się tylko przyglądać. Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na odległą postać i ostrożnie wycofał się.

-Lolth.

- *Popiół myśli, że czas iść.*

- Najzupełniej się z tobą zgadzam.

Justicar był sam i znowu uciekał, mając wokół siebie piekielną armię. Czuł się tak, jakby powróciły dawne dni. Przypomnił sobie postać w zbroi, trzymającą ogromny czarny miecz... Otrząsnął się ze wspomnień i powrócił do ciężkiej rzeczywistości. Dawne czasy, dawni przyjaciele, dawni wrogowie odeszli...Zaczęła się totalna inwazja. Lolth otworzyła wrota i zamierzała ściągnąć na Flanaess kolejne oddziały.

Justicar przeszedł przez roślinność z obnażonym mieczem, a później pobiegł na zachód, w stronę wzgórz. Choć zraniona noga krwawiła, a ciało bolało, zmusił się do biegu i wkrótce zostawił Zakole Keggle daleko w tyle.

* * *

Z monstrualnego mosiężnego pałacu za oddalającym się tropicielem ruszyła jakaś postać. Idąc, niszczyła trawę pod stopami, wydzielając przejmujące zimno. Trolle i bełkoczące demony odsuwały się ze strachu. Zardzewiały pancerz błyszczał kawałkami szronu.

Martwe źrenice przeszukały miasto i zlekcewały je. Popatrzyły na drogi i zarośla, i na tysiące innych kryjówek, które mogło dostrzec tylko wyszkolone oko. Wreszcie spoczęły na niewyraźnym tropie w błocie przy brzegu rzeki. Zarośla skrywały kilka cegieł, ślad ludzkiej pracy pochłoniętej przez wodę.

Trup zadrżał. Opuścił Lolth i jej demony, zostawiając za sobą płonące miasto. Zszedł do wody i zniknął z ponurym sykiem lodowej pary...

Sługi królowej demonów wybudowały dla Lolth tron z obdartych ze skóry ciał ofiar. Ta usadowiła się na nim wygodnie. Jeden czy dwa elementy mebla nie były martwe, niedbale rzuciła więc czar, żeby zachować ten stan. Wzięła czaszkę miejscowego najwyższego kapłana i naląła sobie wina, z westchnieniem przyglądając się zdobytemu miastu.

Z wciąż płonących budynków wyciągano ciała, które przy bramach lodowe impy zamrażały, by przechować je na dłużej. Setki ocalałych ludzi spędzono w wielkie rzędy wzdłuż murów miejskich. Odprężona, z winem w dłoni, Lolth uniosła brew widząc, jak Morąg prześlizguje się wzdłuż szeregów więźniów i pilnie liczy głowy.

- Morąg. - Lolth westchnęła ciężko. - Co ty robisz?

Z szeregu wysunął się człowiek uzbrojony w kawałek żelaza. Rzucił się prosto w kierunku pleców Morąg. Jednym niedbałym ruchem ogona sekretarka pochwyciła napastnika i uderzyła nim o pobliską ścianę. Zdegustowana, zmieniła zapis w aktach.

Zirytowana Lolth oparła łokieć na swym ruchomym tronie.

- Morąg! Dlaczego, do cholery, liczysz trupy?

- Podliczam nasze zapasy, Wasza Wspaniałość. - Sekretarka dziabnęła piórem w zapiski. - Odrobina matematyki powie nam, na jak długo wystarczą zapasy.

- Morąg - westchnęła Lolth - ci nędznicy mają nakarmić hordy moich wojowników. A teraz powiedz, co przede wszystkim wyróżnia hordy.

- Zapach, Wasza Wspaniałość? - Morąg uniosła elegancką brew.

- Nie. To, że jest ich mnóstwo, Morąg! Mnożą się, umierają, dzielą niczym zarazki! Nie ma ustalonych liczb i fiszek w aktach. - Demoniczna królowa skrzyżowała ramiona. - To chaos, Morąg! Chaos jest ekspresyjny, nieobliczalny i zawsze umie się przystosować! Czasami potrafisz być taka... *baatezu!*

Morąg złożyła notatki.

- Wasza Wspaniałość, musimy wiedzieć, jak długo możemy nakarmić wojsko.

- Jutro zaatakujemy następne miasto, Morąg. Później następne i następne. Tak wygląda podbój. W końcu cała populacja Flanaess będzie naszymi niewolnikami i bydłem, na całą wieczność. - Lolth napiła się z kielicha-czaszki. - Spróbuj czasem zaimprovizować, Morąg! Ja tak robię. To się nazywa geniusz.

Morąg wymamrotała coś, czego bogini nie dosłyszała. Lolth pociągnęła nosem i zwróciła swe niesamowite, wypełnione płomieniami oczy na sekretarkę.

- Morąg, czy ty się wyperfumowałaś?

- Tak, Wasza Wspaniałość, to czarny lotos.

- Absurdalne. Po co?

- Spotykam się z kimś, Wasza Wspaniałość. Z inkubusem.

- Z inkubusem! - Lolth spojrzała na sekretarkę z kpiącym zdziwieniem, z trudem powstrzymując uśmiech. - Ty? A co takiego robicie razem?

- Czytamy. - Morąg, wyczuła ironię Lolth i poczuła się dotknięta. - Tak się składa, że on jest intelektualistą!

- Och, Morąg. - Ocierając łzy ze śmiechu, Lolth próbowała zachować poważną twarz. - Zawsze zastanawiałam się, dlaczego nie mamy nadwornego błazna. - Głos rozbawionej bogini brzmiał niczym chór. - Teraz już wiem. No dalej, wracaj do swoich obowiązków. Powiedz dowódcom, że chcę ich natychmiast zobaczyć. Musimy przerzucić więcej oddziałów do tego cudownego małego świata.

Sekretarka zarzuciła ogonem. Dumna i zła, wsadziła notatniki pod ramiona.

- Morąg? - Dobiegł ją kpiący głos bogini. - Gdzie polazł nasz martwy przyjaciel?

- Odszedł, Wasza Wspaniałość. Mniej więcej wtedy, gdy posadziłaś swój ssaczy tyłek na tym krześle - mruknęła pod nosem.

- Doskonale. - Patrząc na Morąg spod oka, Lolth sięgnęła po następny kielich wina. - Kolejny plan przynosi wspaniałe owoce. - Uniosła puchar w stronę sekretarki. - No idź już! Jeżeli będziesz mnie potrzebowała, mój ssaczy tyłek i ja będziemy tutaj.

Wrząc gniewem, Morąg popęzła przez ciała, krew i gruz.

Justicar walczył z nadnaturalnymi wrogami przez całe dorosłe życie. Nie miał wprawdzie siły, by zablokować czar wyszukiwania, ale potrafił sprawić, że kryształowa kula Tielle stała się prawie bezużyteczna. Trzymał się chaszczki i drzew. Nie zbliżał się do strumieni, dróg i wzgórz, jakie mogłyby dać jej jakąś wskazówkę. Uparcie biegł przed siebie, utrzymując tempo, które zostawiłoby w tyle nawet kawalerię. Umiejętności te zdobył już dawno, w czasie wojen z Iuzem, i były dla niego tak naturalne, jak oddychanie powietrzem i chodzenie po ziemi.

Musiał znaleźć strumień, miejsce bez odsłoniętych skał lub ostrych zakrętów, takie, którego nie mogłaby wypatrzeć z powietrza faerie. Przystanął w krzakach nad brzegiem, przyglądając się przejrzyściej strudze o kamienistym dnie, a potem przykucnął niczym troll i rozejrzał się po okolicy w poszukiwaniu zagrożenia.

Nic.

- Popiół?

- *Nie ma ptaków. Nie ma smacznych zwierząt.*

Jus pokiwał głową. Obecność Lolth spowodowała, że atmosfera zła dotarła nawet tutaj. Słońce wyglądało na przyćmione, kolory zmieniły się niczym barwy gobelinu spłowiałego i zniszczonego upływem czasu. Mężczyzna zsunął się w kierunku wody, otworzył przenośną dziurę i obserwując niebo, wypuścił przyjaciół na świeże powietrze.

- Wejdźcie do strumienia i umyjcie się. Mydło znajdziecie w pojemnikach z ekwipunkiem. Użyjcie żwiru, by dokładnie wyczyścić skórę.

Położył Popioła na krzaku, gdzie zmysły piekielnego ogara mogły strzec ich przed niespodziewaną napaścią. Poruszając się zwinnie wziął od Henry'ego Polka, następnie delikatnie odebrał Escallę i w końcu wydobył Enid, obie w postaci węży, metr po metrze, zwój po zwoju. Henry wygramolił się sam, wciąż ubrany w pancerz i z nie naładowaną kuszą, którą trzymał w dłoni niczym miecz. Rozejrzał się szybko i przykucnął przy boku Justicara.

-Sir?

- Umyjemy się tutaj. Oczyszczyć cały ekwipunek. Pozbądź się brudu, zanim złapiesz jakąś chorobę. Musimy usunąć z siebie zapach, na wypadek, gdyby Tielle miała psy. Wyjmij dziurę i wyszoruj ją do czysta.

Świadom, że magiczne oczy mogą patrzeć, a magiczne uszy słuchać, Henry nie zadawał pytań. Odrzucił kuszę i zaczął zmagać się z mokrym skórzanym pasem.

- Umyję Enid - powiedział.

- Ja zajmę się Escallą, a później Polkiem.

- Sir, kobiety są w szoku. - Zmartwił się Henry. - Potrzebujemy ognia.

- Nic z tego. - Jus ostrożnie położył cicho jęczącą Escallę na ciepłym, płaskim kamieniu. - Zajmiemy się tym, kiedy się umyjemy. Najpierw zabierz się za ekwipunek. Na węże przyjdzie czas później.

Justicar szybko zdjął swój pancerz ze smoczej łuski, buty, skarpety, nawet kościany pierścień, który chronił go przed urokami. Nagi wskoczył do strumienia. Zanurkował, czując się w wodzie jak ryba, i brutalnie wyszorował się żwirem i piaskiem, a później mydłem. Potem sprawnie oczyścił w ten sam sposób miecz, pochwę, pancerz, buty i ubranie. Benelux wrzasnął głośno, gdy znalazł się w wodzie.

- *Sir! Sir Justicarze! Taki miecz powinno się czyścić jedwabiem nasączonym w oliwie...
auuu!*

Justicar obcował z bronią od dwudziestu lat. Sprawnie oczyścił trawą ostrze z krwi, potem przetrął je mułem i ponownie trawą. Nieziemski metal Beneluxa - twarda masa z pozytywnej energii - nigdy nie wymagał ostrzenia. Jus energicznie wytarł go naoliwioną szmatką, wysuszył wilczą czaszkę ozdabiającą rękojeść i zostawił go pod ręką na brzegu. Miecz kłął i prychał tak długo, jak służył za wieszak na bieliznę Jusa.

Wyszorowawszy się aż do bólu, Jus troskliwie podniósł Escallę. Włożył ją do chłodnej wody i umył tak delikatnie, jak tylko pozwoliły mu na to wielkie dłonie. Rana była okropna - wielka, głęboka i już wdało się w nią zakażenie. Zaklęcia Jusa mogły goić rany, a nawet leczyć, ale jego mały zasób czarów został wyczerpany. Na razie musiał polegać na prostszych środkach. Zastanawiał się nad tym, wyjmując Escallę ze strumienia.

- Popiół? Nagrzej tamten duży czerwony głaz.

Popiół zdołał jedynie wypuścić mały ogieniek, Jus położył go więc przy kamieniu, by go wolno rozgrzewał. Escallę ułożył na posłaniu z suchej trawy tuż obok. Tymczasem Henry dokładnie umył Enid w strumieniu. Jus pomógł mu wyjąć ją z wody i umieścić ją przy Escalli.

Na nagich żebra Jusa, z których dwa były zapewne złamane, widniały czarno-fioletowe siniaki. Starał się poruszać ostrożnie, by nie czuć bólu. Usiadł przy Escalli, ciesząc się, że głaz powoli się nagrzewa, i ujął ją za głowę.

- Escalla?

Nie miała powiek, a jej węzowe oczy błyszczały. Była przytomna, czy nie? Jus wolno głaskał jej satynowe łuski, próbując być czuły, a jednocześnie stanowczy.

- Escallo, zmień kształt. Musisz powrócić do postaci faerie. Mały wąż zadygotał i jęknął. Lodowata kąpiel wcale mu nie pomogła. W końcu jego rozdwojony język zadrżał. Cichutkim głosikiem Escalla wysyczała kilka słów.

- Enid?

- Jest z nami. Wciąż jest węzem.

- Muszę... się zm-zmienić.

Escalla na próżno próbowała podnieść głowę. Osunęła się na ziemię. Leżała dysząc, zeszywniała z bólu. Justicar pocałował ją czule tuż pod szczęką. Świadomość powróciła do jej oczu. Spojrzała na obity bok Jusa.

-Jus?

- Jestem przy tobie.

- Jus, gdzie jesteśmy? - spytała ochryple.

Hełm Jusa posłużył mu za naczynie, z którego napił Escallę.

- Jakież dwadzieścia kilometrów od miasta.

- Czy... czy mamy ten sam dzień?

- Byłaś nieprzytomna przez dwie godziny.

Jedną ręką Jus rzucił swą tunikę na gorącą skałę. Zasycała i zaczęła parować. Płomienie Popioła ostatecznie się skończyły i ogar leżał wyczerpany, dysząc ciężko.

- Biegłeś... przez dwie godziny... ze złamanymi żebrami? - spytała cicho Escalla.

- Musiałem to zrobić, dla ciebie.

Escalla zwiotczała, osłabła z bólu. Spojrzała na Justicara, leżąc na jego rękach.

- Musisz być najgłupszym, najbardziej bohaterskim sukinsynem we Flanaess.

Wąż zamilkł i znieruchomiał, a potem rozbłysnął magią. Chwilę później Escalla powróciła do swojej postaci. Na rękach Jusa leżała teraz mała kobieta, która oddychała ciężko, ogarnięta bólem.

Kwas poparzył jej całą nogę, biodro i plecy. Jej skrzydła wisiały na wpół spalone. Nie mówiąc jej, w jak rozpaczliwym jest stanie, Justicar ostrożnie wysuszył oparzenia. Jego czary leczenia zamknęły najgłębsze rany, ale nie zdołały uzdrowić jej całkowicie. Poparzenia wyglądały strasznie. Wdało się w nie zakażenie. Escalla zadygotała, gdy zaczęła ogarniać ją gorączka.

- Jest źle?

- Dasz sobie radę - Jus delikatnie odsunął mokre włosy z jej twarzy.

- Walczący o sprawiedliwość nie wciskają innym kitu. Escalla wyciągnęła się w kierunku Enid. Troskliwie trzymając wielkiego węża, Henry przysunął go bliżej. Faerie, drżąc z wysiłku,

przywołała zaklęcie i cofnęła czar, który rzuciła na jego ciało. Wielki wąż rozbłysnął, skurczył się, a potem urósł, przybierając postać sfinksa.

Mała faerie leżała osłabła i trzęsła się w ramionach Jusa, z przerażeniem spoglądając na poparzony grzbiet Enid.

- To był... jakiś... kwas. Z pucharu w kształcie rogu.

- Ciii. Już wszystko w porządku. - Jus ostrożnie zdjął ją z kolan. - Henry, utrzymuj obie w cieple. Muszę kogoś U-M-Y-Ć.

Popiół zaskomlał i zawył, wałąc ogonem niczym pies ścigany przez stado skorpionów. Nadaremnie. Bez swych płomieni nie mógł skutecznie się sprzeciwić. Jus bez przeszkód wrzucił go więc do rzeki, umył, wyszczotkował i wyżał, a potem powąchał i powtórzył całą operację. Potem położył ogara na gorącej skale, gdzie jego fulro zaczęło parować i syczeć. Nadąsany Popiół popatrzył na Justicara.

- *Nie zabawne!*

- Ale konieczne.

Popiół kichnął. Jego nos wypełnił się wodą, węch będzie miał przytłumiony przez kilka godzin.

- *U-M-Y-Ć oznacza kąpiel. Popiół pamięta*

- Przykro mi, Popiół. Musisz być czysty i suchy.

- *Popiół wybacza ci.* - Ogar przestał się boczyć. - *Pomóc ładnej faerie i miłej pani-kotu ogrzać się.*

- O to chodzi.

Jus zebrał korzenie sitowia i zmiażdżył je w hełmie rękojeścią Beneluxa. Potężną dłonią wycisnął sok z miazgi, ściskając tak mocno, że starł masę na proszek.

- Henry, opróżnij przenośną dziurę i wymyj ją. Przeszukaj schowane tam zapasy. Powinniśmy gdzieś mieć pudełko czystych bandaży.

Enid leżała na boku z pobladłą twarzą i nie spuszczała oka z krzątającego się Henry'ego. Jus przetrząsnął parę zapieczętowanych pudeł. Odnalazł ślubną suknię Escalli, worek monet, zapasowe ubrania, wreszcie bandaże. Zamoczył materiał w soku z sitowia i delikatnie położył go na ranach Escalli. Ostrożnie kropił sokiem poparzenia i delikatnie przykrywał je bandażem. Henry trzymał łapę Enid i za każdym razem, gdy wielki sfinks bladł z bólu, wyglądał na coraz bardziej zmartwionego. Kiedy Jus skończył, odmierzył trochę syropu z lotosu, który łagodził ból. Escalla wypięła, skrzywiła się i powoli rozluźniła, spoglądając smutno na Henry'ego i sfinksa. Nagle poczuła się bardzo stara i mądra.

- Wiem coś, czego nie wiedziałam wcześniej.

Henry głaskał twarz Enid, spoglądając na nią z miłością, a ona gładziła go po włosach. Jus, zakłopotany, chrząknął i odwrócił spojrzenie.

- Lotos sprawi, że zaśniesz.

-Ummm.

- Co możesz powiedzieć mi o kryształowych kulach? Pograżając się we śnie, Escalla westchnęła.

- Jedną z nich ma Tielle. - Szybko zamrugowała powiekami, próbując zebrać myśli.

- Może... widzieć obrazy, ale nic nie słyszy. Blokuje ją... gruby metal. Trudne czary...

Zasypiała. Enid także wkrótce uśnie, a wtedy nikt nie zdoła jej poruszyć. Ostatecznie śpiący sfinks ważył dobre pół tony. Nagi, z mieczem w dłoni, Justicar wstał i podszedł do przenośnej dziury, a potem wszedł do środka.

Dziura była sześcianem o głębokości i boku trzech metrów, z gładkimi, czarnymi ścianami, które lekko ugiwały się pod dotykiem. W środku stała drabina, pudła na ekwipunek i zamknięte tuby ze zwojami do prywatnej biblioteki Enid. Wszystkie te przedmioty nie poruszały się wewnątrz pomieszczenia bez względu na to, co działo się z wejściem do dziury na zewnątrz. Mokry i cuchnący jak stare skarpety Polk pracowicie pucował zakamarki dziury. Skończywszy pracę, wyniósł na zewnątrz wiązkę suchej trawy, która służyła mu za ścierkę, potem wrócił, wetknął łeb do środka i zachmurzył się.

- Synu, jesteś ranny? Ktoś ci przyłożył?

- Tak.

Jus położył płasko na ziemi wejście do dziury i wrzucił do środka trawę i paprocie, żeby przygotować łoża dla chorych. Wskoczył do środka, wzdygając się, gdy złamane żebra dały o sobie znać. Zrobił posłanie dla Escalli, większe dla Enid, a potem poustawiał pudła z ich skąpym wyposażeniem. Nie mieli jedzenia ani wody, z wyjątkiem tej odrobiny, którą Jus i Henry nosili w bukłakach. W lasach nie było zwierząt - prawdopodobnie wszystkie wytrzebiły w ostatnich tygodniach szukające pożywienia oddziały Lolth. Mimo wszystko musieli sobie jakoś radzić.

Jus wyszedł z dziury, podciągając się przez krawędź z twarzą skamieniałą z bólu. Znalazł Henry'ego i Polka. Obaj przewracali Popioła niczym naleśnik na gorącej skale. Z futra ogara buchały wielkie kłęby pary. Jus ukucnął obok.

- Zaniesiemy Escallę i Enid do przenośnej dziury. Musimy odejść od strumienia, bo może być wskazówka dla Tielle. - Sięgnął po wilgotne jeszcze i parujące ubranie. - Zatoczmy gorącą skałę do dziury, żeby dziewczynom było ciepło.

Polk ruszył do niego z długimi kawałkami bandaża wystającymi z pyska.

- Najpierw zajmijmy się najważniejszymi sprawami. Musimy zatroszczyć się o to, co mamy najlepszego. Chronić zasoby! - Polk pomachał łapą, - Masz złamane żebra, synu. Henry ci je owinie.

- To nie jest najważniejsze, Polk. - Justicar starał się nie okazywać bólu, jaki sprawiał mu każdy ruch.

- *Zgadzam się. To przerażające!* - Ostrze Beneluxa rozbłysło. - *Obwińcie go jakoś, zanim zobaczy to sfinks!*

Z pomocą przyszedł Henry. Owinął bandaż wokół potężnej klatki piersiowej Justicara, ściskając żebra i mocno zawiązując końce. Jutro powróci magia, którą będzie można wyleczyć rannych, ale teraz nie mieli ani mocy, ani czasu. Chłopiec odciął bandaż i pomógł Justicarowi założyć ubranie.

- Sir, czy wszystko w porządku?

- Przeżyję. - Justicar położył dłoń na ranie, zły, że nie potrafi opanować bólu. - Mogę iść.

- Ja to zrobię. - Henry niezdarnie założył zdarte, znoszone buty. - Powinien pan odpocząć w dziurze. Teraz moja kolej.

- Nie mogę zostawić cię tu samego.

- Wobec tego będę panu towarzyszył. - Henry spojrzał na niego hardo. - Polk może zostać w dziurze.

Justicar był zbyt wyczerpany zmartwieniami, żeby się sprzeczać. Z bagażów wyciągnął ostatni kawałek węgla i wetknął go w pysk Popioła. Piekielny ogar zaczął ssać żwawo, starając się odzyskać płomień. Jus pozwolił, by Henry pomógł mu nałożyć pancerz, krzywiąc się, gdy chłopak pochylił się, by zawiązać mu buty.

- Henry, nic mi nie jest.

- Tak, sir.

- Wepchnij tę gorącą skałę do przenośnej dziury i wsadź tam Enid, zanim zaśnie. Musimy ruszać!

Henry wstał, żeby wykonać polecenie. Gdy tylko się odwrócił, Jus oparł się ciężko na mieczu, zamknął oczy i próbował opanować ból. Polk ściągnął Popioła z gorącej skały i ostro spojrzał na Justicara.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak! - Jus zapiął hełm. Obrócił się i popatrzył w stronę strumienia, zły i niespokojny. - Dalej,

musimy ruszać.

- Jeśli Escalla jest w przenośnej dziurze, synu, nie można jej wytropić kryształową kulą!

- Ale nas można, Polk. Musimy iść tak, żeby Tielle nie mogła rozpoznać okolicy. Tak, żeby nie dawać jej żadnych wskazówek. ,

- Hmmm! - Polk usiadł, zamyślony. - To nie powinno być trudne.

Jus naciągnął Popioła na hełm i pozwolił, by gorąca skóra ogara spłynęło w dół jego pleców.

- Tielle nie jest głupia, Polk. Gdy słońce zacznie zachodzić, wystarczy, że spojrzysz, jak układają się cienie, i już będzie wiedziała, w którym kierunku zmierzamy.

Polk zastanawiał się przez chwilę.

- Rozsądnie, synu! Sam to wymyśliłeś?

- Kiedyś ktoś mnie tego nauczył, Polk. Robiłem to już wcześniej. - Jus wskazał podbródkiem na gęste krzaki i drzewa. - Dotąd trzymaliśmy się chaszczki między wzgórzami. Nad głową mieliśmy osłonę, w razie gdyby Tielle miała latających szpiegów. - Schował miecz do pochwy i odwrócił się. - Idziemy, przegrupowujemy się, później atakujemy. Tak właśnie wykonuje się tę robotę.

Błysk miecza był ostry i szybki. Czerwona smuga rozdarła smocze łuski i ciało. Justicar zawirował, krwawiąc z boku, gdy ogromne szkarłatne ostrze wychyło się ze strumienia. Gęste kłęby mgły uniosły się w powietrze.

Henry spojrział w kierunku strumienia dokładnie w chwili, gdy wściekła, sycząca postać wyskoczyła z wody. Ziemia dymiła spod jej stóp, gdy kierowała się w kierunku leżącego Justicara.

Henry krzyknął. Justicar leżał na ziemi w przeciętym pancerzu, a czerwone ostrze mignęło wśród mgły, żeby dokończyć dzieła. Henry ruszył na pomoc, ale Jusiticar przekoziołkował i wyciągnął ostrze, by sparować nachodzące z tyłu cięcie. Iskry posypały się niczym woda z fontanny, gdy zwały się miecze. Rozległ się huk.

Jus rzucił się do przodu, celując w nogi przeciwnika. Czerwone ostrze sparowało cios i cięło, trafiając w Beneluxa. Justicar podniósł się z ziemi i zaatakował z furją. Parł na przód niczym potężny czarny niedźwiedź. Białe ostrze jego miecza opadało z siłą, która mogłaby ściąć drzewo. Wróg przechwycił cios, obracając się i celując w kark Jusa. Ten sparował szybko i mocno, po czym wściekle zadał trzy kolejne ciosy.

Ostrza dzwoniły, spotykając się raz za razem. Para, którą wytwarzał potwór, stojący w kłębie lodowatej mgły, wypełniała powietrze. Widać było tylko jego rozdziawioną czaszkę i czerwoną poświatę miecza. Jus sparował cios i kopnął przeciwnika z siłą wystarczającą, by strzaskać kamień. Chybił. Potwór wykonał salto w tył, lądując trzy metry dalej i przybrał pozycję do walki. Justicar stanął na wprost niego, gotowy na kolejne zwanie. Potwór ruszył, obracając mieczem tak samo jak Jus.

Mgła rozrzedziła się. Jus zawahał się i nagle znieruchomiał. Z hełmu przeciwnika błysnął ku niemu złoty orzeł. Ten sam, którego dziesiątki lat temu wykonali rzemieślnicy Trawiastych Biegaczy. Pancerz potwora był zardzewiały i pozbawiony barw, jednak Jus znał na pamięć każdy jego centymetr. Spał, budził się, walczył i krwawił przy tej zbroi. Ciało wewnątrz metalowego okrycia zachowało resztki długich włosów. Wyschniętą skórę pokrywały tatuaże Trawiastych Biegaczy. Twarz Jusa spopieliała.

- Mistrz Recca?

Na dźwięk tego imienia trup szarpnął głową. Oczy pełne niebieskich płomieni spojrzały wprost na Justicara. Dłoń i stopę, które odciął kiedyś własnym mieczem zastąpiły inne - krwawiące, jasne ciało skradzione świeżym trupom. Dawny mistrz Jusa powstał z grobu. Otworzył usta w dzikim syku i skoczył z oslepiającą prędkością, by roztrzaskać mieczem głowę swego ucznia.

Ale Jusa już tam nie było. Uskoczył w bok, przechwytyjąc mieczem uderzenie, i przebiegł obok nieumarłego. Ten przeskoczył nad ostrzem, które ledwo zdołało go musnąć. Lądując za Jusem, zaatakował. Jus sparował ostro i mocno i zawirował, by zadać śmiertelny cios, jednak przeciwnik zdołał mu umknąć. Czerwone ostrze odbiło się od jego hełmu, tnąc Popioła. Uczeń sparował cios swego mistrza.

Trup odskoczył i stał trzy metry dalej, powarkując z cicha. Justicar zadał mu dwie długie, płytkie rany. Płonęły przez chwilę, a potem przygasły i wolno zaczęły się goić, gdy pokryła je gęsta, zielona krew. Potwór wymachiwał mieczem, którego ostrze lśniło piekielnym krwawym światłem.

Jus zataczał się. Miecz potwora ciął go wzdłuż uda, które przybrało teraz barwę popiołu. Wyglądało tak, jakby coś wysssało z niego krew.

Nieumarły zauważył Henry'ego, Polka i Enid. Ruszył w ich kierunku, sycząc cicho, gdy Jus zablokował mu drogę. Przerażony Henry podniósł miecz i ruszył z pomocą.

- Nie! - Justicar szybko podniósł dłoń.

- Jus! - Henry zatrzymał się niepewnie. - Sir!

- Do tyłu! Zostań tam! - Odpędził chłopca niecierpliwym gestem. - Włóż Escallę i Enid do dziury i uciekaj! Nie zatrzymuj się! Pamiętaj, czego cię nauczyłem.

-Sir?

- Zrób to!

Recca nie stracił nic ze swojej dawnej szybkości i imponujących umiejętności. Co więcej, teraz nie odczuwał bólu, zmęczenia ani litości. Zaskrzeczał, zbliżając się do Justicara.

- Henry, idź już!

Chłopak odwrócił się i zsunął Enid do przenośnej dziury. Nieumarły mistrz szermierki zaatakował, a Jus odpowiedział równie szybko, stawiając siłę przeciw zręczności trupa.

Walczyli, miecze dźwięczały, Benelux krzyczał z wściekłości i bólu. Ostrza poruszały się szybko - tak szybko, że Henry widział jedynie oślepiające błyski. Justicar atakował z furją, wirując i kopiąc przeciwnika, blokując go każde uderzenie. Zasypał go gradem ciosów, jednak nieumarły wojownik odparował je wszystkie, odpowiadając uderzeniem na uderzenie.

Jus trzasnął łokciem w martwą twarz i złamał ramię potwora. W odpowiedzi przyjął obrotowe kopnięcie, od którego zatoczył się do tyłu. Ciosy posypały się na jego połamane żebra, stracił władzę w lewej ręce, która zwisała pozbawiona krwi. Ledwo powłóczył zranioną nogą. Zablokował cios wymierzony w głowę, potem zatoczył się w bok, oszołomiony. Mruknął i w ostatniej chwili zdołał podnieść ostrze, by przyjąć kolejny deszcz ciosów. Wiedział jednak, że musi walczyć, by dać Henry'emu czas na ucieczkę.

Jego przeciwnikiem był Recca. Recca, który nauczył go szermierki i zawsze wyśmiewał toporny styl swego ucznia. Gdy mistrz przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, Jus wiedział dokładnie, skąd nadejdzie następne uderzenie. Przyjął cios i od razu ripostował, niezdarnie posługując się mieczem jedną ręką.

Już raz Recca go pokonał, teraz jednak, po dziesięciu latach walk, Justicar znał wiele nowych sztuczek. Brutalnie uderzył hełmem w czaszkę przeciwnika, łamiąc mu zęby i odpychając go w tył. Dostrzegł szansę i ryknął, zdając cios, który miał przeszyć kręgosłup potwora. Zobaczył czerwony błysk i obrócił się, skacząc. Benelux wbił się w pierś nieumarłego, a Justicar poczuł przeszywający ból w boku. Rzucił się do przodu, trafiając mieczem w ramię potwora, ale w tej samej chwili czerwone ostrze wbiło się w jego ciało.

Jus krzyknął i uderzył nieumarłego grzbietem dłoni, posyłając go w powietrze. Zatoczył się do

tyłu z ostrzem wystającym z dolnych żeber. Diabelski miecz wysysał z niego krew niczym wampir. Recca skoczył na równe nogi. Sycząc triumfalnie, rzucił się na Justicara. Nagle upadł.

Polk wypluł odgryzioną stopę potwora, akurat w chwili gdy Henry wyciągnął czerwony miecz z boku Justicara i całym ciężarem swego ciała popchnął go do przenośnej dziury. Borsuk podbiegł, chwycił brzegi czarnej materii do pyska i pędem pomknął przez trawę. Biegąc ze spuszczoną głową, gnał tak szybko, jak tylko zdołały go unieść cztery łapy wyposażone w pazury. Rzucając się w kurzu za jego plecami, nieumarły potwór warczał wściekle.

* * *

Biegli w mroku - najpierw Polk, a potem Henry. Gnali przed siebie zamroczeni zmęczeniem. Na karku Henry'ego wisiał Popiół, próbując prowadzić go pośród przeszkód i drzew. Luna, większy księżyc, jeszcze nie weszła, a jej służka, Celene, była tylko bladoniebieską poświatą na smoliście czarnym niebie. Polk zderzył się już z trzema drzewami i pokiereszował sobie pysk. Henry przewracał się o kamienie i wpadał w chaszczę, krwawił. Gdzieś za nimi został tropiący ich nieumarły potwór, a Tielle wpatrywała się w kryształową kulę, obserwując każdy ich ruch. Szalejąc ze strachu, Polk i Henry biegli, póki nie wpadli do skalistego wąwozu.

Henry zrobił, co mógł. Wnętrze przenośnej dziury było wysmarowane krwią. Ostrze czerwonego miecza przeszło Justicara na wylot, przechodząc pod żebrami z prawej strony. Przerażony chłopak obandażował ranę i próbował przypomnieć sobie wszystkie wiadomości dotyczące leczenia, które Jus cierpliwie wbijał mu do głowy w czasie spokojnych wieczorów. Ostrze ominęło płuco. Mężczyzna nie kaszlał krwią, ale oddychał płytko. Każdy oddech sprawiał mu ogromny ból. Poza tym był przeraźliwie blady. Wydawało się, że straszliwy czerwony miecz wysysał z niego całą krew. Henry zmusił go do picia, ucisnął rany, a potem przekazał opiekę nad rannym Polkowi i pognał jak szalony.

Okryty skórą Popioła, która tworzyła gorącą, dymiącą pelerynę na jego plecach, wpadł do wąwozu. Zdjął z siebie futro ogara i rozsznurował górne wiązania elfiej kolczugi, rozpaczliwie próbując złapać oddech. Przenośna dziura wylądowała na ziemi i po chwili wygramolił się z niej Polk.

- Wszystko w porządku, synu? - zapytał.

- T-tak! - Płuca Henry'ego bolały tak bardzo, że czuł, że zaraz zwymiotuje. - Czy... wszyscy... żyją?

- Mamy kłopoty. Enid zaczyna gorączkować z powodu rany, synu. Nic nie mogę zrobić.

Polk usiłował wspiąć się na krawędź dziury, ale był zbyt wyczerpany, żeby to zrobić. Henry wyciągnął go na zewnątrz i legł na plecach, skręcając się w skurczach. Borsuk drżał, zbyt słaby, by się poruszyć.

- W porządku, synu. Teraz ja pobiegnę. Potrzebuję tylko chwilki odpoczynku i...dobrego trunku.

- Całą whisky zużyliśmy do odkażenia ran.

Polk zmarszczył brwi, straszliwie rozczarowany.

- To straszne, synu - mruknął. - W takim razie daj mi wody i już mogę biec.

Leżeli razem, wyczerpani, w zupełnych ciemnościach. Noc była tak czarna, że nie widzieli nad sobą nieba. Ogon Popioła opadł w rozpacz.

- *Popiół martwi się. Popiół boi się.*

- Wyzdrowieją. Wyleczymy ich. Justicar będzie wiedział, co zrobić. - Henry sięgnął po manierkę i przekonał się, że jest pusta. - Wkrótce dojdzie do siebie i wtedy powie nam, co robić.

Popiół trzymał straż na szczycie skały, a jego sylwetką była tylko ciemniejszym punktem pośród nocy. Henry leżał obok dyszącego borsuka, zdumiony i przerażony, aż w końcu zamrugał, czując, że jego umysł się oczyścił.

- Wszyscy umrą. Jeżeli ich nie uratujemy, to wszyscy umrą.

Polk milczał. Wziął się do obgryzania pazurów i próbował myśleć rozsądnie. Henry wyteńczył wzrok, wpatrując się w ciemność.

- Znał go - rzucił nagle. - Justicar znał tego potwora.

- Zdarza się, synu.

- Nie. To nie przypadek. Walczyli w ten sam sposób, nie zauważyłeś? Mieli niemal identyczny styl walki! Nigdy nawet nie słyszałam o kimś, kto potrafiłby używać miecza tak jak Justicar.

Wyczerpany Polk ledwo miał siłę, by się sprzeczać.

- Jus to bohater, synu. Nie zadaje się z potworami.

- Ale ten stwór ruszył prosto na niego. Tylko na niego. - W jednej chwili Henry zrozumiał wszystko. Aż usiadł z wrażenia. - Nie sądzisz, że tego potwora ktoś nasłał na Justicara, tak jak Tielle na Escallę?

- Ale kto, synu? Kto?

- Lolth.

- Lolth jest półboginią, synu. - Zdumiony Polk obrócił się na bok. - Dlaczego miałyby zawracać sobie nami głowę?

Henry podniósł się, szukając w pamięci i po chwili wolno powiedział:

- Wyszliśmy jej ciało i... mogła wtedy spłonąć cała świątynia drowów. Czy to nie rozwścieczyłoby Lolth?

- Synu, po czymś takim latałaby, jakby osa ugryzła ją w tyłek, i ryczałaby z wściekłości. - Polk nagle zeszywniał, dostrzegając logikę spisku. Położył łapę na ramieniu Henry'ego i zapatrzył się w mrok. - To wspaniale, synu! Wiesz, co to oznacza? Jeżeli naszym wrogom zależy na naszej śmierci, to znaczy, że w końcu osiągnęliśmy sukces.

Henry z trudem powstrzymał się, by nie trzasnąć go w łeb.

- Polk! Nasi przyjaciele są ciężko ranni!

- Och, zaradzimy temu, synu! Wystarczy, że spytamy Jus... Ucichł w pół zdania i powrócił do nerwowego obgryzania pazurów. Od wejścia do wąwozu zawiał ostry wiatr, poruszając małe kamyczki. Henry zeszywniał i znieruchomiał, wyciągnąwszy rękę po Beneluxa, który wisiał teraz przy jego pasie.

- Popiół?

- *Wiatr. Nie trup. Nie faerie. Popiół nie czuje żadnych zwierząt.*

- *Henry, mój drogi* - odezwał się Benelux. - *Czy nie uważasz, że powinniśmy ruszać?*

- Za chwilę. - Henry ledwo siedział, a co dopiero mówić o chodzeniu, czy bieganiu. - Taak, za chwilę.

By zyskać jeszcze trochę czasu, otarł usta i próbował uporządkować myśli.

- Dokąd powinniśmy iść? Co zrobić? - Spojrzał na miecz. - Masz jakieś pomysły, Benelux?

- *Nasi towarzysze wymagają natychmiastowej pomocy.*

- Ale Justicar jest ranny! Jak ma użyć swej leczniczej magii?

Polk kaszlnął.

- Niedobrze, synu! Za dużo słuchałeś Justicara. Musisz myśleć samodzielnie. Improvizować! - Borsuk próbował wstać, ale zdołał się jedynie przetoczyć. - Wykorzystaj zdrowy rozsądek. Mamy przed sobą zadanie: musimy wyleczyć chłopaka i dwie dziewczyny. Jeżeli my nie mamy środków, żeby to zrobić, musimy pożyczyć je od kogoś, kto je ma.

- *Och.* - Benelux wydawał się być pod wrażeniem. - *Całkiem niezłe pomysły.*

- Uprzejmie dziękuję. Jestem człowiekiem myślącym, sir! - Polk podrapał się po brzuchu. - Tylko tak: Henry'ego nie nauczymy magii, nie możemy udać się do miasta do uzdrowiciela, a to znaczy, że potrzebujemy cudu.

- Cudu?

- Cóż. - Polk złożył łapy. - Cuda wciąż się zdarzają. Gdzieś w pobliżu jest pewnie jakaś lecznicza fontanna, wędrowny kapłan, magiczny eliksir, albo błogosławiony duch, który wprost pali się do tego, by uzdrowić naszych przyjaciół! Musimy go jedynie znaleźć!

- Znaleźć? - Henry rozpaczliwie przygryzł kostki palców. - To może potrwać tygodnie!

- Na pewno nie, synu! Musimy tylko obmyślić skuteczną technikę. - Wstał i objął Henry'ego futrzastym ramieniem. - Musimy zdobyć kryształową kulę, synu.

* * *

- *Głupcy!* Rozdzielcie się i poszukajcie tropu! - Tielle unosiła się nad łańcuchowymi mnichami. Była podrapana, przemoczona i zmęczona. Straciła połowę czarów, a poszukiwania okazały się trudniejsze, niż sądziła. - Dalej! Ruszać się! Już!

Noc była czarna. Około trzydziestu sług Tielle podzwaniało łańcuchami, podchodząc na wzgórze i przedzierając się przez krzaki. Faerie strzeliła palcami i jeden z mnichów podał jej dużą kryształową kulę. Tielle spojrzała w nią z ponurą miną. Po chwili wyprostowała się, najwyraźniej zadowolona z tego, co ujrzała. Przesadnym syknięciem nakazała swym sługom, by ucichli.

Kryształowa kula świeciła czerwono, pokazując obraz Escalli śpiącej przy ognisku. Tielle poderwała głowę do góry i wleciała wysoko, znajdując słaby blask ukrytego ognia za następnym wzgórzem. Opadła i pokazała swoim sługom obszar, który powinni otoczyć.

Mnisi zadzwonili łańcuchami i ze stukotem oddalili się w noc, zmierzając ku odległemu blaskowi małego ogniska.

* * *

Henry ukrył się tak, jak nauczył go tego Justicar. Leżał zagrzebany pod cienką warstwą ziemi i kamieni. Gdy Tielle i jej mnisi oddalili się, ostrożnie podniósł głowę.

- Chwyć ją przynętę!

- Doskonale.

Benelux zaakceptował Henry'ego jako swego tymczasowego właściciela. Giermek wojownika odstawał wprawdzie mocno od jego oczekiwań, ale tak krawiec kraje, jak mu materii staje.

Henry ostrożnie podniósł się z ziemi, starając się zgrabnie zsunąć ją z futra Popioła. Na próżno. Posypała się w dół z głośnym stukiem. Jak, u licha, robił to Justicar? Używał czarów ciszy czy magicznych pierścieni? Ten wielki mężczyzna, gdy chciał, potrafił poruszać się naprawdę bezszelestnie.

Świadomy każdej trzeszczącej gałązki pod stopami, Henry ruszył w pościg za łańcuchowymi

mnichami. Serce waliło mu jak oszalałe. Tielle mogła zabić go jednym skinieniem dłoni, a minisi zmiażdżyć swymi łańcuchami. Chłopak skradał się więc za nimi ostrożnie, wiedząc, że wystawia się na wielkie niebezpieczeństwo.

Udało mu się nie stracić z oczu Tielle. Cały czas migiała mu w mroku jej jasna sylwetka w negliżu. Piekielny rumor, jaki robili jej słudzy, zagłuszał jego kroki. Mnisi zatrzymali się na szczycie wzgórza, a potem z wrzaskiem rzucili się w dół w kierunku małego ogniska skrytego w kamienistym wąwozie. Posypały się łańcuchy, roztrzaskując skały i kamienie. Noc rozświetliły snopy iskiei.

Polk wybiegł z wąwozu, pozostawiając za sobą szalejących napastników. W pysku trzymał złożoną przenośną dziurę, do której wcześniej zdołał wciągnąć Escallę. Zatrzymał się ślizgiem i rozpląszczył za pryzmą ziemi, próbując dostrzec w mroku Tielle.

- Gdzie ona jest, synu? Te przeklęte borsucze oczy nie nadają się do niczego!

- Ciii! - Szept Henry'ego zagłuszało wycie mnichów. Złapał Polka za pysk. - Siedź cicho!

Mnisi roznieśli ognisko w drobny mak i poruszyli niemal każdą skałę. Henry dziękował bogom, że Tielle pojawiła się przy ogniu przed nieumarłym wojownikiem, co zawdzięczali zapewne temu, że trup nie znalazł sobie jeszcze nowej stopy.

Chłopak leżał na brzuchu i przyglądał się, jak Tielle usiłuje powstrzymać panujący w wąwozie chaos. Wściekła blondwłosa faerie wleciała właśnie nad swe sługi i zaklęciem rozproszyła ciemności.

- Przestańcie natychmiast! Tu ich nie ma! Rozdzielcie się i poszukajcie śladów! - Poprawiła pasek kostiumu, rzucając okiem na swych niewolników. - Ty! Przynieś mi kryształową kulę. Natychmiast!

Henry przyglądał się łańcuchowemu mnichowi, który wydobył z habitu kryształową kulę. Zewsząd otaczali go kamraci, a w dodatku nad nim unosiła się Tielle. Nie było sposobu, żeby wyrwać mu zdobycz. Henry przycisnął się do ziemi, gdy faerie obróciła się w jego stronę, aktywując kryształową kulę szybkimi ruchami rąk.

- Pokaż mi Escallę! - Jęknęła, wpatrując się w kulę. - Nie ma jej! Nic nie widzę. - Zaklęła, rozkładając ręce nad kryształem. - A teraz pokaż mi Justicara!

Kula najwyraźniej nie odpowiedziała. Tielle zaklęła. Spróbowała nią potrząsnąć, a potem rzuciła ją o ziemię. Wiedziała o istnieniu Henry'ego, ale najwidoczniej nie mogła przypomnieć sobie jego imienia, by spytać o niego kulę. Zaklęła po raz ostatni i spojrzała na wąwóz.

- Znowu wleźli do tej przeklętej przenośnej dziury!

Syknęła, gryząc kostki palców. Próbowała zebrać myśli. Znaleźć zwiniętą przenośną dziurę w środku nocy...Nie, to było prawie niemożliwe. Nagle faerie uśmiechnęła się złośliwie.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło! Wrócimy do wampirzej sadzawki.

Potrzebujemy więcej płynu i nowych czarów, żeby wykorzystać je jutro na naszych małych przyjaciółkach. - Skrzydła Tielle zatrzepotały wściekle. - Dalej, ruszamy! Idą piechotą. Do jutra rano nie zajdą daleko. Jutro przyjdzie czas na kolejną rundę tej gry. Będą wtedy zmęczeni po nieprzespanej nocy.

Tielle zdecydowała się więc zakończyć pracowitą noc. Kazała mnichom owinać łańcuchy wokół dwóch drzewek i nagiąć do siebie ich gałęzie, które potem sama powiązała sznurkiem. Zajrzała do księgi oprawionej w skórę, którą podtrzymywał dla niej jeden ze sług, i szybko narysowała symbole na ziemi, gałęziach i drzewach. Rzuciła garstkę jakiegoś proszku przez łuk, jaki tworzyły gałęzie, a wiatr pochwycił i rozwiął jej ofiarę. Przestrzeń wewnątrz łuku ożyła blaskiem, tworząc drżące błękitne przejście, i Tielle pognąła swych mnichów przez magiczny portal. Obrzuciwszy wzgórze ostatnim pogardliwym spojrzeniem, przeszła pod łukiem. Portal zgasł, gdy znikła.

Wróciły ciemności. Henry uniósł się nieco, mrugając powiekami, pod którymi wciąż jeszcze tańczył obraz magicznego przejścia. Trzymał pysk Polka, żeby go uciszyć, i próbował sprawdzić, czy Tielle zabrała ze sobą wszystkie swoje sługi. Wszędzie panowała cisza, a łańcuchowych mnichów trudno było posądzić o to, że potrafią poruszać się bezszelestnie. Henry zdecydował się więc zaryzykować. Wstał i pozwolił, by Popiół złapał wiatr. Piekielny ogar węszył długo i dokładnie, a potem wygładził futro.

-Nie ma potworów. Nie ma złej faerie. Jest magia. Dużo. Na drzewach.

- Dzięki, Popiół.

Kiedy Henry w końcu puścił Polka, ten zaczął pluć z wściekłością.

-Wypuściłeś ich, synu! Uciekli!

- Za dużo ich było, Polk! - Henry podszedł do łuku z gałęzi, starając się myśleć tak, jak zrobiłby to Justicar. - Wystarczy, jeśli pójdziemy za nimi i ukradniemy kulę. Weźmiemy ich z zaskoczenia.

- Bohaterowie tak nie postępują, synu! My walczymy twarzą w twarz, miecz przeciwko mieczowi!

- Cii! - Henry czuł, że Polk przyprawia go o ból głowy. Nagle zaczął współczuć Justicarowi. - W porządku. Zobaczmy, czy znajdziesz coś, co Tielle użyła jako klucz do portalu.

Popiół zabrał się za poszukiwania, węsząc, gdy Henry unosił jego głowę nad krzakami albo schylał ją do ziemi. Nagle pomachał ogonem.

- Zapach dziewczyny!

W końcu znaleźli dwa długie złote włosy zaplątane na krzaku głogu, niemal identyczne jak loki Escalli. Henry wziął je delikatnie i spojrzał w stronę łuku z gałęzi, a potem podniósł Polka i upewnił się, że bezpiecznie trzyma w pysku dziurę.

- W porządku. Wchodzimy tam i bierzemy kryształową kulę. Przyda się, kiedy zaczniemy szukać cudu!

Borsuk parsknął.

- Jeszcze nie jest za późno, żeby zdecydować się pojedynek na śmierć i życie, synu! Możesz walczyć z mieczem w dłoni ze sługusami zła! Pomyśl o swojej karierze!

Henry powstrzymał się od komentarza. Ruszył przed siebie, trzymając w dłoni złoty włos. Gdy ten błysnął i znikł, portal zajaśniał niesamowitym błękitem i chłopak znalazł się w rozległej, pustej jaskini.

Henry wyprostował się powoli, mrugając, nim jego oczy przyzwyczyły się do światła. Pozwolił, by Polk wyslizgnął mu się z uścisku i rozejrzał się wokół, mając nadzieję, że nie ściągnął niczyjej uwagi.

Stał w wapiennej pieczarze, której ściany błyszczały dziwnym srebrzystym blaskiem. Daleko w głębi tunelu przed sobą dostrzegł sylwetki i usłyszał rytmiczny szcęk łańcuchów. Z jaskini odchodziło mnóstwo tuneli i przejść. Niektóre z nich były małe i wąskie, inne szerokie. Magiczny portal otworzył się w jednym z tuzina identycznych wejść.

Henry uznał, że powinien w jakiś sposób zaznaczyć je w ciemności. Wyciągnął dłoń, by pogłaskać Popioła, i wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Polk! Sikaj!

- Co takiego, synu?

- Musimy jakoś zaznaczyć drogę, żeby Popiół mógł ją potem odnaleźć węchem. Borsucza uryna będzie jak znalazł! - Henry zniżył głos do szeptu. - No dalej. Zawsze chciałeś się czymś wyróżnić.

- Takie dowcipy ci nie przystoją, synu.

Polk podreptał dalej, by znaleźć sobie zaciszne miejsce, a Henry nie spuszczał oka z odległych, kiwających się sylwetek mnichów. Denerwował się coraz bardziej w miarę, jak potwory powoli znikwały w mroku.

- Skończyłeś już, Polk?

- Mam tremę, synu! Poczekaj chwilkę. - Westchnął. - No dobra! Zadowolony? To teraz w drogę.

Ruszyli. Henry szedł drobnymi kroczkami, zgięty w pół, jak gdyby zapewniało mu to jakąś osłonę. Polk truchtał za nim, szorując brzuchem po ziemi. Wędrowali po nienaturalnie czystej i zadbanej powierzchni, opadającej lekko w kierunku, w którym szli łańcuchowi mnisi.

Tunel doprowadził ich do jaskini niczym z koszmaru. Na ścianach wisiały kościotrupy, a na podłodze wałało się połamane i zbutwiałe łoże tortur. Szkielet ubrany w wór pokutny siedział w żelaznej klatce, która zwieszała się z sufitu. Jej na wpół otwarte drzwi pozwalały dłoni kościotrupa dotykać podłogi.

Szerokim łukiem omijając szkielety, Henry wysunął się do przodu, by sprawdzić trzy wyjścia z pieczary. Z każdego z nich dobiegało odległe pobrzękiwanie łańcuchów, echo pohukiwań i chichotów, jednak nie znalazł w nich żadnego śladu, który mógłby świadczyć o tym, że niedawno ktoś tędy przechodził.

Benelux zamigotał, dyskretnie zakasłał i oznajmił:

- *Wyczuwam przed nami zło, dziecko. Wielkie natężenie zła. Wybierz przejście na prawo.*

- Och! - Henry nigdy nie wiedział, jak odpowiadać Beneluxowi. Miecz zawsze budził w nim ochotę na to, żeby ściągnąć czapkę i nisko się uklonić. - Uh, dziękuję. Dziękuję, sir.

Nagle Polk, który stał przy wejściu do lewego tunelu, odskoczył z sykiem przerażenia.

- Synu! Nadchodzą! Są ich tysiące. Słyszę, jak maszerują tunelem!

Za ich plecami rozległ się stukot. Wyglądało na to, że mnisi szli tą samą drogą, którą wcześniej wybrali Henry i Polk. Borsuk śmignął pod łożo tortur. Henry rozejrzał się szybko dookoła, a potem podskoczył, otworzył drzwi żelaznej klatki i schował się do środka. Wyrzucił z pokutnego wora stare kości i owinał siebie i Popioła cuchnącą szmatą. Usiadł w kołyszącej się klatce, w chwili gdy pierwsi łańcuchowi mnisi wkroczyli do askini. Minęły go dwie kolumny tych stworzeń, które z hałasem ciągnęły po podłodze zwoje łańcuchów, chichocząc przy tym i wrzeszcząc jak opętani. Dwunastu innych pojawiło się z lewej, kolejny tuzin nadciągnął z tyłu. Henry ukrył się pod szmatą, ale mnisi nawet nie spojrzeli w jego stronę. Weszli w korytarz po prawej, pohukując na siebie w ciemnościach.

Chwilę później już ich nie było. Henry wyslizgnął się z klatki. Przycisnął drżące ręce do głowy, jakby sprawdzając, czy udało mu się przeżyć. Spoglądając na korytarz, którym odeszli mnisi, podbiegł do jednej ze ścian. Złapał za nogi dwa wiszące na niej szkielety i zdjął łańcuchy, które niegdyś związywały ich nogi.

- Polk, zostań tam! Otwórz dziurę i sprawdź, co z rannymi. Pójdę za mnichami i ukradnę kryształową kulę.

- Jasne, synu! - Polk zagrzebał się pod starym łożem i wcale nie zamierzał stamtąd wychodzić. - Będę osłaniał cię z tyłu i strzegł twoich pleców.

- W porządku. - Henry naciągnął szmatę na łeb Popioła, mając nadzieję, że wygląda teraz jak łańcuchowy mnich. - Niedługo wrócę.

Zataczając się, ruszył korytarzem. Z rękawów wypuścił dwa łańcuchy i starał się chichotać niczym wariat. Z przodu dobiegały go przerażające odgłosy, jakie wydawali mnisi. Próbując opanować drżenie kolan, szedł przed siebie, dopóki nie dojrzał pleców ostatnich z tych stworzeń, które tłoczyły się przy wyjściu z tunelu.

Przed sobą zobaczył srebrzystą poświatę. Dochodziła z szerokiej jaskini o łukowatym sklepieniu, która znajdowała się na końcu tunelu. Henry słyszał plusk wody, jak gdyby fale dużego, spokojnego jeziora uderzały o brzeg. Pomknął za mnichami. Rozglądając się dyskretnie, starał się rozeznac w położeniu jaskini.

W pieczarze zastał pięćdziesięciu chichoczących mnichów. Stali nad brzegiem wielkiego jeziora wypełnionego srebrnym płynem, który przypominał falującą rtęć i błyszczał intensywną

poświęta. Co jednak bardziej niepokojące, jezioro wyglądało tak, jakby było żyjącą istotą. Srebrzysty płyn poruszał się i drżał w rytmie jakiegoś przerażającego oddechu.

Nieopodal, na skalnym występie, stała Tielle. Mnisi ucichli, gdy zmierzyła ich groźnym spojrzeniem. Henry stanął z tyłu. Teraz, w obliczu tak wielkiego niebezpieczeństwa, właściwie nie odczuwał już strachu. Tielle rozejrzała się, sprawdzając, czy zebrali się przy niej wszyscy jej słudzy, a potem położyła dłonie na biodrach i spojrzała na nich z pogardą.

- Pozwoliliście im uciec.

Mnisi, a wraz z nimi Henry, skulili się. Wściekła Tielle rozłożyła skrzydła.

- Który z was, idioci, trzymał w mieście Escallę i sfinksa? Który?

Sześciu mnichów zadygotało i podniósł łańcuchy, wyjąc przeprasząco. Tielle parsknęła, machnęła ręką w kierunku najbliższego z nich i wypowiedziała czar. Jej ofiarę przeszyły lodowe odłamki. Mnich zatoczył się, tryskając krwią. Tielle strzeliła palcami i pozostali, wyjąc radośnie, wepchnęli rannego towarzysza prosto do sadzawki. Krzyczał i rzucał się, póki jezioro nie wyssało z niego krwi. Wysuszone ciało opadło na dno, a płyn przybrał ponury czerwony odcień.

Wpatrując się w sadzawkę, śmiejąc się i wyjąc z radości, łańcuchowi mnisi pochylili się nad brzegami. Rozłoszczona Tielle wyciągnęła dłoń i jeden z podwładnych podał jej róg, który zanurzyła w falach. Róg zaczął zasysać płyn, wypełniając się nim po brzegi.

- Zła krew, by palić dobro. Dobra krew, by palić zło! - Tielle strząsnęła ostatnie krople. - Teraz woda jest przeklęta. Który z was, idiotów, ma jakieś rany?

Niektórzy z mnichów odnieśli obrażenia - trafił ich miecz Justicara, mieli połamane kończyny, uszkodzone gardła. Zwykłą chochłą Tielle naląła na nie płyn. Po chwili rany zabłysły i zabiły się. Strząsnąwszy z chochli ostatnie krople, faerie odleciała. Za nią podążył mnich z kryształową kulą. Pozostali rozproszyli się. Część poszła za Tielle, a inni pomaszerowali do wnek po przeciwnej stronie jaskini.

Brzeg jeziora opustoszał. Henry zamrugał i stanął tuż nad powierzchnią, próbując dostrzec w ciemności, czy na pewno został sam. Obliznął spierzchnięte wargi. Ściągnął hełm i szybko podszedł do chochli, którą Tielle zostawiła na brzegu. Rozejrzał się, ukląkł i napełnił hełm gęstym płynem, po czym pieczołowicie ją odłożył.

Z tyłu rozległ się krzyk. Henry zostawił hełm i przetoczył się w bok. W chwilę później w miejscu, gdzie klęczał, w podłoże wbił się łańcuch. Nad jeziorem z wyciem pojawił się mnich. Zamachnął się jeszcze raz, celując w głowę przeciwnika. Chłopak przeturlał się, płynnym ruchem dobywając Beneluxa, tak jak podpatrzył to u Justicara. Ciął mnicha pod ramieniem i poczuł, że ostrze przebiło się przez trzy warstwy metalowych ogniwi. Potwór nie dał jednak za wygraną. Uniósł w górę łańcuchy i potężnym ciosem trafił Henry'ego. Chłopak poleciał w tył, poślizgnął się i padł na plecy. Włosami dotknął powierzchni jeziora, poczuł, że zaczyna ono ssać i poderwał głowę, unikając straszliwego losu.

Łańcuchowy mnich rzucił się na niego, próbując strzaskać mu czaszkę. Henry dostrzegł nieopodal zardzewiałe łańcuchy, które sam przyniósł. Chwycił je, upuszczając Beneluxa. Rzucił się w bok i wycelował w nogi napastnika. Poczul, że trafił i szarpnął gwałtownie. Mnich z hukiem poleciał w dół, rozkładając ramiona. Henry przygniótł go butem i pchnął, a potwór potoczył się tak, że ramię wpadło mu do jeziora.

Stwór krzyczał, gdy jezioro wysysało z niego krew. Wymachując łańcuchami, próbował rozbić Henry'emu głowę. Chłopak jeszcze raz pchnął go butem i mnich wpadł w toń jeziora z ustami otwartymi w niemym krzyku. Walczył dziko, próbując się wydostać.

Henry dyszał oszołomiony. Chwilę później poczul, że wokół nogi owija mu się łańcuch, który wyprysnął z jeziora. Mnich żył jeszcze i z niespodziewaną siłą starał się wciągnąć za sobą chłopaka. Szorując paznokciami po gładkiej kamiennej posadzce, Henry rozpaczliwie walczył, by znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Katem oka dojrzał Beneluxa, sięgnął po niego i z całych sił uderzył w pętające go ogniwa. Łańcuch pęk, a mnich wpadł z powrotem do jeziora, szarpnął się i poszedł na dno. Henry odpełził od brzegu, czując zimny pot strachu.

- *Och, dobre trafienie!* - Usłyszał radosny głos Beneluxa. - *Rozwijasz się.*

- *Dziękuję* - odpowiedział drżącym głosem.

Podszedł w stronę hełmu, który wciąż wypełniony był czerwonym płynem. W jaskini panowała cisza i spokój. Żaden z mnichów nie przyszedł, by sprawdzić, co się stało. Trzęsąc się, Henry chwycił swą zdobycz i puścił się biegiem w stronę tunelu, którym przyszedł. Przyłgął do ściany i z przerażeniem obejrzał się za siebie. Nikt go nie śledził. Nikt nie gonił. Tielle zajmowała się własnymi sprawami.

Czule obejmując hełm, Henry pobiegł długim korytarzem, minął z tuzin zakrętów i dotarł do starej izby tortur.

- *Polk! Pssst! Polk, szybko!*

Polk wynurzył się spod sterty zardzewiałych kleszczy, trzymając w pysku złożoną przenośną dziurę. Upuścił ją i z niepokojem popatrzył na Henry'ego.

- *Co się stało, synu? Jesteś blady!* - Zachmurzył się. - *Przyniosłeś kryształowa kulę?*

- *Prędko, myślę, że mam coś lepszego. Otwórz dziurę! Borsuk rozłożył materię na ziemi. Henry prześlizgnął się przez krawędź i wszedł do mrocznego pomieszczenia, które czuć było chorobą i gorączką. Zapalił latarnię i wszedł na posłanie z trawy, by uklęknąć między Enid i Justicarem.*

Jus był przytomny, jego gładka czaszka lśniła potem. Henry położył przed sobą Popioła i wykorzystał jego futro, by ustawić na nim swój hełm. Justicar po omacku wyciągnął dłoń i położył ją na ramieniu swego ucznia.

- *H-Henry? Co... się dz-dzieje?*

- Wszystko będzie dobrze, sir. Jeszcze tylko chwila. - Rozłożył bandaż i wyjął z pochwy Beneluxa. - Proszę leżeć spokojnie. Chyba będę mógł panu pomóc.

Podniósł miecz, skrzywił się i obnażył ramię. Zaalarmowane magiczne ostrze raptownie błysnęło światłem.

- *Stop! Spokojnie! Nie wolno ci się zabić!*

- I nie zamierzam tego robić!

Zaciął się w ramię. Nie udało mu się zrobić tego tak, jak zamierzał, więc zaklął, bo musiał ponowić cięcie. Tym razem rana szybko wypełniła się krwią. Trzymał rękę nad hełmem pełnym płynu i pozwolił, by krew kapłała do środka. Cały czas wpatrywał się wyczekująco w wirujący płyn.

Błysnęło i płyn przybrał słaby, błękitny kolor, chłodny i kojący. Henry nabrał powietrza i wsadził w niego swój mały palec. Mocno zacisnął powieki, oczekując, że płyn spali go aż do kości. I nic. Poczłł jedynie chłodne mrowienie i ulgę.

Teraz działał szybko. Rozerwał bandaż Jusa, nie zważając na ból, jaki mu zadał, i wylał porcję błękitnego płynu na ranę. Krew zasyczała, wielkim mężczyzną wstrząsnął spazm. Rana zamknęła się.

Henry podniósł się z wysiłkiem i popędził do Escalli. Nalał płyn na jej zranioną nogę i bok, a potem na spalone skrzydła. Resztką posmarował grzbiet Enid. Potem odrzucił hełm i owinął sobie bandaż wokół zranionego ramienia.

Żaden z jego pacjentów się nie obudził. Spali nadal, ale oddychali już dużo spokojniej. Rany zagoiły się z magiczną szybkością, zakażenie znikło bez śladu. Henry oparł się o ścianę przenośnej dziury i zamknął oczy, czując, jak wypełnia go uczucie ulgi.

- Polk, myślę, że mi się udało! - zawołał. - Możemy ruszać!

Wejście do dziury zamknęło się nagle, odcinając słabe światło z góry. Henry zamrugał, a potem usiadł, czując, że Polk złapał dziurę i zaczyna biec.

* * *

Na górze, w komnacie tortur, Polk zanurkował do kryjówki i wytrzeszczył oczy. Powoli z przejścia wychynęła potworna postać. Najpierw pojawił się zniszczony złoty hełm z wizerunkiem orła, a za nim reszta opancerzonego ciała, kołysząca się na kikucie jednej stopy. Potwór zatrzymał się i dokładnie przyjrzał pomieszczeniu. Polk zamarł, bojąc się nawet odetchnąć, gdy nieumarły węszył poszukująco. Do komory dotarł odległy dźwięk śmiechu i Recca odwrócił się. Jego krwistoczerwony miecz zaświecił w ciemności. Po chwili zjawa znikła.

Polk rozwinął dziurę i pozwolił wyjść Henry'emu. Ukradkiem podeszli do ujścia tunelu i popatrzyli za nieumarłym potworem. Potem wrócili do magicznego portalu. Złoty włos błysnął i chwilę później znaleźli się pośród drzew. Nad Flanaess wstawał chłodny świt, przynosząc odległy

swąd płonących domów.

- Aport! Przynies patyk! - Głos Escalli niósł się wokoło, dźwięczny i radosny. Poranne słońce oślepiło Jusa, który poczuł, że leży na czymś miękkim. - No dalej! Po prostu spróbuj!

- *Popiół nie biega.*

- Więc polec!

- *Popiół nie lata.*

- Ależ tak! Po prostu podskocz i zapomnij spaść. - Escalla rzuciła następny patyk. - *Wię-ę-ę-c... aport!*

Patyk uderzył o ziemię na lewo od Jusa. Poczucił, że coś małego, jędrnego i gładkiego siedzi mu na brzuchu. Otworzył jedno oko i ostrożnie dotknął rany po mieczu, ale nie znalazł nic poza gładką skórą. Potem poczuł inną gładką skórę. Podniósł głowę i zobaczył Escallę, która siedziała na nim w legginsach, długich rękawiczkach i krótkiej spódnicy. Oparła dłoń na jego włochatej piersi i spojrzała nań z uśmiechem.

- Sie masz, stary!

- Witam. - Usiadł ostrożnie, ale nie poczuł bólu. - Wygląda na to, że nic ci nie dolega.

- Absolutnie nic. - Wstała i zrobiła piruet. - Widzisz? Nikt nie rusza faerie! - Ukłoniła się, spoglądając w bok. - Dzieciak odwalił kawał dobrej roboty.

Jus powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem i dostrzegł Henry'ego, który siedział tuż obok, pomagając Enid zapleść włosy. Drużyna rozłożyła się obozem w gąszczu krzaków i było to miejsce tak przemyślnie wybrane, jak tylko Jus mógł sobie wymarzyć.

Henry spostrzegł, że Jus się obudził, zarumienił się i pomachał mu, po czym powrócił do pracy. Enid mruknęła i wyciągnęła pazury. Na ziemi obok Jusa leżał Popiół z wyszczotkowanym futrem, na którym widniało kilka nowych rozdarć. Ogar radośnie bębnił ogonem o ziemię.

- *Cześć!*

- Pomagałeś Henry'emu, Popiół?

- *Popiół pomagał! Fajnie! Pójść tam, gdzie mieszka zła faerie i nosić wielkie przebranie!*

- Henry dobrze się spisał. - Escalla usadowiła się w zgięciu ramienia Jusa, siadając na jego piersi. - Wygląda na to, że razem z Polkiem znaleźli wreszcie swoją przygodę.

- Pozwolimy Henry'emu ją opowiedzieć. - Justicar przetarł oczy. - Urośnie nam od tego na trzy metry.

Escalla uśmiechnęła się lekko.

- Najpierw pozwólmy mu opowiedzieć to Enid. Ona spije każde słówko z jego ust.

W końcu Henry musiał opowiedzieć wszystko trzy razy od początku do końca: raz do spółki z Polkiem, który jak mógł upiększał tę historię, raz na osobności Jusowi i Escalli, nie pomijając nawet najdrobniejszych szczegółów, i wreszcie Enid, która słuchała go z szeroko otwartymi oczami pełna podziwu, rzeczywiście spijając każde słowo.

Drużyna ruszyła dalej, ale często zatrzymywała się, by odpocząć. Jus zupełnie odzyskał siły. Maszerował w milczeniu, skupiony, porządkując w myślach zaklęcia. Escalla przycupnęła na jego ramieniu, przeglądając księgę czarów, i robiła dokładnie to samo. Założyła nawet okulary. Wyglądała w nich niezwykle dostojnie, jednak wizerunek ten klócił się z jej skórzaną spódniczką i głębokim dekoltem. Gdy schodzili ze zbocza, zsunęła okulary w dół małego noska.

- Dajcie mi jeszcze pięć minut, a przygotuję zaklęcie, które zablokuje kryształową kulę - oznajmiła. - Dzięki temu będziemy mogli przejść do ataku.

Henry, który właśnie zdejmował z kuszy cięciwę, spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- To przechodzimy do ataku?

Ach, rzeczywiście. - Wywalczywszy sobie na powrót miejsce przy pasie Justicara, Benelux promieniał samozadowoleniem. - *Atak to prawdziwie bohaterski czyn. Sir Polk się ze mną zgodzi.*

- Co? No pewnie! - Polk człapał nieco z boku. - Prawdziwie bohaterski czyn i to jeszcze zgodny z naszą taktyką. Zwrócimy się przeciwko tym, którzy ośmielili się podnieść na nas rękę!

Escalla spojrzała wilkiem na Polka i zatrzasnęła księgę.

- A do Baator z tym! Dopadnę Tielle, wytatuuję jej tyłek na czerwono i wsadzę ją do klatki z szalonymi pawianami! Potem zanurzę ją po szyję w wodę pełną tych małych tropikalnych rybek, które mają słabość do cewki moczowej! - Mocniej naciągnęła długie czarne rękawiczki. - Nikt nie rusza faerie!

Wszyscy wpatrzyli się w nią zdumieni. Escalla szeroko rozłożyła ramiona.

- No dajcie spokój! Jestem małą, złotowłosą faerie, ale to wcale nie znaczy, że muszę być miła.

Skoczyła w dół, szybko rozejrzała się po okolicy i zdjęła z pleców lodową różdżkę. Wykorzystując ją jako laskę, zaczęła kreślić w powietrzu magiczne symbole.

- Dobra. Nadchodzi tarcza przeciwko wrózeniu! - Odwróciła się do Popioła. - Czujesz gdzieś Tielle albo naszego kościstego przyjaciela?

- *Nie czuję! Nie słyszę!* - Popiół pomachał ogonem.

- Cóż, kiedy Tielle zobaczy ten czar, przyleci tu co tchu. Just obracał między palcami ostrze miecza i wyczekująco patrzył na krzaki. Nie wypatrywał jednak ani łańcuchowych mnichów, ani faerie. Czekał na znacznie groźniejszego przeciwnika. Escalla, powoli zataczając koła, działała szybko i zdecydowanie. Otworzyła dłonie, między którymi tworzył się czar, a wtedy glify, które nakreśliła w powietrzu, rozbłysły mocą. Wionęło magią. Escalla otworzyła oczy i klasnęła.

- Dobra! Ruszamy!

Jus, Polk i Henry zanurkowali do przenośnej dziury. Escalla złożyła ją, włożyła sobie pakunek pod pachę i śmignęła na grzbiet Enid. Mocno chwyciła sierść wielkiego sfinksa, który rozłożył skrzydła i wzbił się w górę. Leciał szybko, mocno machając skrzydłami. Escalla trzymała się kurczowo i piszczała z radości. Dla niej była to najwspanialsza zabawa na świecie.

Przez jakieś piętnaście kilometrów Enid leciała nisko, poniżej wierzchołków drzew, a przy tym tak szybko, że każdy potencjalny prześladowca w sekundę straciłby ją z oczu. Escalla odgarnęła kłębiące się warkoczyki sfinksa, próbując dostrzec coś przed sobą. Nagle krzyknęła, po trosze z radości, a po trosze ze strachu, bo Enid skręciła w bok i zanurkowała niczym jastrzęb do wąwozu, w którym płynęła rzeka. Wyhamowała zaledwie kilka centymetrów nad powierzchnią wody i pomknęła niczym strzała tuż nad rwącym strumieniem.

Starannie wybierając miejsce, wylądowała na skalnej wysepce, oddalonej po mniej więcej sześć metrów od każdego brzegu. Trzeba przyznać, że dokonała znakomitego wyboru, na wysepce znalazło się bowiem drewno na opał, krzaki i głazy, w których można by się ukryć oraz rozległy widok, który pozwalał dostrzec zbliżające się postacie w promieniu kilku kilometrów.

Escalla zeskoczyła na ziemię, znalazła przenośną dziurę i rzuciła ją na ziemię. Ostrożnie wyglądając na powierzchnię, po chwili wysunął się z niej Jus z Popiołem na hełmie, za nim Henry i wreszcie, przy pomocy chłopca, Polk. Wszyscy rozsiedli się między głazami i wydali z siebie chóralne westchnienie ulgi. Ostatecznie, mocny kamień wysepki i rwąca woda dokoła zapewniały jakie takie bezpieczeństwo.

Poza workiem mąki schowanym w pudle w przenośnej dziurze nie mieli żadnego prowiantu. Popiół rozpalił więc ogień i zajęli się pieczeniem podpłomyków. Jus znalazł gałąź, z której ciekła żywica i podał ją ogarowi. Ten położył się na skale i zaczął obgryzać szyszki, głośno narzekając przy tym na ich smak.

Zabrali się do jedzenia. Ciszę przerwał Justicar, który cały czas bacznie obserwował otoczenie.

- Skopali nam tyłki.

Cóż, choć była to prawda, myśl ta nie należała do przyjemnych. Najpierw dobrała się im do skóry Tielle. Potem nieumarły potwór zapewne zabiłby Justicara, gdyby nie pomoc Henry'ego, Polka i Popioła. Wszyscy siedzieli w ponurym milczeniu. Słyszeć było jedynie ogłuszający huk wody.

Jus rozgarnął ognisko i włożył w popiół patyki, żeby się zwęgliły. Piekielny ogar potrzebował

strawy i musiał ją dostać, by zachować swój płomień. Henry podał Jusowi wiązkę drewna na opał i usiadł przy jego boku.

- Sir? Kim był ten...ten stwór? - Nerwowo przebierał palcami - Znał go pan i już kiedyś na pewno z nim walczył...

- Walczyłem dla niego.

Jus wyciągnął szczotkę i grzebień i zaczął czesać futro Popioła. Escalla usiadła mu kolanie, opierając policzek o jego ramię. Mężczyzna w zamyśleniu wpatrywał się w kruczoczarne futro ogara.

- Nazywał się Recca - powiedział wreszcie.

Szyszki w ognisku trzasnęły. Escalla mocniej chwyciła ramię Jusa i słuchała w milczeniu. Futro Popioła szeleściło za każdym pociągnięciem szczotki, a Justicar mówił, nie podnosząc głowy.

- Elfy z plemienia Trawiastych Biegaczy zawsze cieszyły się dobrą sławą Wspólnie żyły na równinach i razem polowały. Były dobrymi wojownikami - szybkimi i sprytnymi. Wychowałem się w wiosce przy granicy Bandyckich Królestw. Często wymykałem się do Trawiastych Biegaczy. Chciałem się od nich wszystkiego nauczyć. Ich stary wódz był przebiegły i ostrożny. Nauczył mnie, jak się ukrywać, tropić i polować. Miał trzystuletniego syna, Reccę Szermierza, o którego przyjaźń zabiegały nawet elfy z wysokich rodów, ba, nawet książęta. Uczył jednak niewiele, tylko tych, którzy coś w sobie mieli. Ja także zostałem jego uczniem. Jednym z pierwszych, choć właściwie sam nie wiem, dlaczego mnie przyjął.

Zamyślony Jus znieruchomiał ze szczotką uniesioną tuż nad futrem.

- W tamtych dniach istniało pewne bractwo, sieć tropicieli, którzy patrolowali granice i strzegli osiedli przed bandytami. Mieli szlachetne ideały. - W głosie Jusa zabrzmiało rozgoryczenie. - Chciałem być jednym z nich. Recca prowadził mnie i pokazywał, jak to zrobić. Dał mi nawet listy i złoto, żebym mógł odbyć z nimi podróż i nauczyć się wszystkiego.

Jus skończył wyczesywać Popioła. Zebrał włosy, które wypadły z futra, i schował je do małej torebki. Nie było sensu wrzucać ich do ognia, a poza tym Escalla twierdziła, że uszyje sobie z nich ognioodporną bieliznę.

- Udałem się na południe do leśnych elfów i od tamtejszych pustelników nauczyłem się moich czarów. Walki wręcz nauczyli mnie napotkani mnisi. Taktykę poznałem dzięki Oleadom. Wyruszyłem do krasnoludów, żeby nauczyć się szermierki, a do Greyhawk, żeby poznać litery. Wróciłem, żeby zostać tropicielem, ale nie było mnie zbyt długo. Zaledwie miesiąc po moim powrocie rozpoczęła się inwazja.

Wtedy poznałem smak walki. Najpierw trafiłem na stado jakiś gigantycznych ptasich szkieletów. Tropiłem je aż do ich siedziby i znalazłem całą armię Iuza, która przetaczała się przez wioski i miasta. Zabijali wszystko - konie, krowy, psy, owce na polach, wszystkie jelenie w lasach, każdą wiewiórkę na drzewie... Podrzynali wieśniakom gardła, a potem ożywiali ich ciała. Szedłem

za nimi, jednego po drugim zabijając żołnierzy Iuza. Trwało to trzy miesiące. Potem wpadłem w tarapaty i nagle zjawił się Recca.

Justicar ostrożnie przełamał podpłomyk na dwie części i większą podał Escalli.

- Zebrał wokół siebie jakiś tuzin ludzi - tropicieli, Trawiastych Biegaczy... Plemiona elfów znikły, a wioski opustoszały, więc podjęliśmy walkę z Iuzem. Zabijaliśmy jego kurierów, robiliśmy zasadzki na oddziały wysyłane na poszukiwanie prowiantu. Zabrnęliśmy głęboko na ziemie Iuza. Stworzyliśmy nawet niewielką armię, około stu ludzi, którzy współpracowali ze sobą, gdy zaszła taka potrzeba.

Zaczęliśmy przeszkadzać Iuzowi. Żeby się z nami rozprawić, ściągnął oddziały z frontu. Jego żołnierze zaczęli organizować zasadzki, zabijali nas bez litości. Ale i my dopadliśmy wielu. Nocą wpadaliśmy do ich obozu, zarzynaliśmy ich we śnie i znikaliśmy...

Zaczęli się nas bać. Poruszali się tylko w wielkich kolumnach marszowych z latającymi w górze varrangoinami, tanar'ri, czy wyvernami. Nie mogliśmy nic zrobić, tylko patrzeć i iść za nimi.

Wtedy Recca wyszedł generała Iuza podróżującego z kilkoma nieumarłymi strażnikami. Chciał go dopaść. W całej wojnie nikt jeszcze nie zdołał zabić żadnego z dowódców Iuza.

Poprawił miecz i wzruszył ramionami.

- Nie udało się. To była pułapka. Czekwały na nas upiory o zmienionych postaciach, które wyglądały jak piechota. Złapali nas. Recca i ja osłanialiśmy ucieczkę, ale kiedy ja walczyłem, Recca zginął z rąk tanar'ri. Pochowałem go i dołączyłem do ocalałych. Zostało nas tylko pięciu. Pozostali odeszli do innej grupy. Ja postanowiłem walczyć samotnie.

- To o co mu chodzi? - zapytała Escalla. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kolanach Jusa, wpatrzona w jego twarz. - Dlaczego ten Recca cię ściga?

- To nie on! - Gniewny głos Jusa rozniósł się echem po wyspie. - To tylko ożywiona kukła, puste ciało, które się porusza. Ma umysł i umiejętności Recci, ale nie jest nim! - Złamał gałąź, by wrzucić ją go ognia. - Potwory Iuza zrobili to samo ludziom z wioski, w której wyrosłem, i ich też musiałem zabić. Nieumarli to nie są ludzie, których się znało!

Escalla rzuciła okiem na Henry'ego i Enid, którzy starali się stworzyć wrażenie, że są czymś niesłychanie zajęci, a potem położyła dłoń na ramieniu Jusa. Mężczyzna uspokoił się i podjął opowieść.

- Byłem prawą ręką Recci. Zawsze trzymaliśmy się razem, mistrz i jego uczeń. Ja zajmowałem się zwiadem. On prowadził nasze akcje.

- Tak... - Escalla bawiła się włosami. - I pewnie odradzałeś mu ten ostatni atak, co?

- Bo nie miał sensu! Miał być tylko pokazem siły. Chciałem, żebyśmy zamiast tego udali się na północ ziem Iuza, tam, gdzie nikt by się nas nie spodziewał. Recca sam mnie tego nauczył. - Justicar

nawet nie ukrywał wściekłości. - A potem z próżności porzucił własne zasady. Budził strach i to sprawiało mu przyjemność. Dawało mu władzę... - Wrzucił gałąź do ognia. - Jedynym powodem, dla którego walczył, była próżność.

Enid spojrzała na Escallę i cicho odchrząknęła.

- Więc... zginął pokonany w walce?

Jus sięgnął po miecz i wskazał na jego rękojeść, którą zabrał ze starego miecza Recci.

- My... on wyzwiał demona. Chciał zabić generała, ale nie przewidział, że będzie musiał walczyć, a generał zrobił mu to, co on zawsze robił innym: dostał się za jego plecy, ciął, a potem uciekł. Recca padł i nie zdołałem go już uratować. Zabiłem tylko tego tanar'ri.

- Jak umarł? - spytała cicho Escalla.

- Jak wojownik. Zginął w walce. Zaatakowaliśmy, żeby umożliwić ucieczkę tym, którzy ocalili. - Justicar wcisnął miecz na powrót do pochwy. - Odciąłem mu dłoń i stopę, żeby nekromanci nie mogli go ożywić, a potem go pogrzebałem. Zamieniłem się z nim na miecze, żeby jego broń mogła kontynuować walkę.

Escalla zachmurzyła się, Enid spojrzała w bok. Ścisnąwszy ramię Jusa, faerie delikatnie dotknęła jego policzka.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że tak. - Był spokojny, lecz blady, i nie chciał spojrzeć jej w oczy. - Wszystko w porządku.

- Recca teraz cię ściga.

- Lolth go do tego skłoniła. Pomogła Tielle, żeby zajęła się tobą, a Reccę wysłała przeciwko mnie. - Ostrożnie postawił Escallę na ziemi, wstał i odwrócił się. - Po prostu musimy po kolei stawić im czoła.

- Czy można go pokonać? To znaczy... - Zakłopotany Henry zawahał się. - Wygląda na to, że on po prostu... może się regenerować! I... i nigdy nie widziałem, żeby ktoś dorównał panu w walce na miecze.

- To nie jest Recca - powtórzył Jus i wrzucił patyk do ognia. - Recca był mi ojcem, bratem i nauczycielem, a to... To tylko trup, kukła z gnijącego mięsa.

- A jeżeli to naprawdę Recca? - Escalla popatrzyła na niego smutno.

Nie doczekała się odpowiedzi. Pozostawiwszy Popioła i pozostałych przy ogniu, Justicar odszedł samotnie w mrok. Escalla odprowadziła go wzrokiem, a potem wstała i zaczęła szperać w skrzynkach z zaopatrzeniem. Znalazła buteleczkę zawieszoną na sznurku, przez chwilę wahała się, a

potem ruszyła za nim.

- Hej! Miejcie oko na wszystko - zawołała w stronę ogniska.

- Gdzie idziesz? - dopytywał się Henry, który właśnie podsycił płomienie. - I po co ci ta butelka?

- Na wypadek, gdyby zachciało mi się pić. - Escalla podleciała do góry, niecierpliwie rozglądając się za Jusem. - Za chwilę wracam.

Odleciała. Zaniepokojony Henry wstał i zamierzał pójść za nią, mrużąc coś o niebezpieczeństwie. Enid chrząknęła i ułożyła Popioła na kamieniu, skąd mógł obserwować rzekę.

- A może sprawdzimy, czy w tej rzece są ryby? - zaproponowała. - I poszukamy gałęzi wierzby na bełty do twojej kuszy.

- Ale czy nic im się nie stanie? - Henry dał się poprowadzić, ale spoglądał jeszcze nerwowo w tył.

- Dadzą sobie radę.

Enid zaprowadziła go nad brzeg strumienia, weszła do wody i łapami zaczęła wyławiać ryby. Henry ruszył jej z pomocą, a Popiół przyglądał się wszystkiemu z wyszczerzonymi zębami.

- *Wszystko w porządku.*

Słońce odbiło się w wodzie i Popiół pomachał ogonem.

* * *

Escalla leżała naga na miękkim aksamitnym mchu, czując, jak wzbiera w niej uczucie nieskończonego spokoju. Na skórze lśniły jej kropelki potu i wody, która pryskała ze strumienia. Urosła, miała teraz dobre metr siedemdziesiąt i była tego wyjątkowo świadoma. Ociężała i senna ułożyła głowę na ramieniu swego mężczyzny i słuchała jego oddechu. Jej długie włosy, delikatniejsze niż najgładszy jedwab, rozpościerały się niczym złota szata na ciele Justicara. Pocałowała go i poczuła, że się uśmiecha, a wielkie dłonie pieszczą jej ostro zakończone uszy i delikatnie wędrują w dół pleców.

Powinni to zrobić dawno temu. Justicar najwyraźniej podzielał jej zdanie, bo znów ją pocałował, a potem trzymał ją w ramionach, obserwując błyszczącą w słońcu rzekę. Z uwielbieniem odsunął włosy z jej twarzy.

- Tak długo próbowałem poprosić cię, żebyś za mnie wyszła.

- A ja tak długo próbowałam cię do tego namówić. - Mocniej przytuliła się do niego. - Ależ z nas idioci.

- Co racja, to racja.

Podnieśli się, umorusani na zielono mchem, a Justicar wyłowił coś z sakiewki i podał Escalli na otwartej dłoni.

- Ocaliłem to ze skarbu drowów i już kilka razy chciałem ci ofiarować.

Był to pierścionek - dzieło elfów, misterny i piękny, srebrny z agatem i diamentem tak przejrzystym jak letnie niebo. Justicar położył go na dłoni Escalli. Pobladł, a głos mu zadrżał.

- Chciałem prosić cię...Chciałbym... żebyś za mnie wyszła. Bo... Kocham cię. Naprawdę.

Na tę okazję Escalla wymyśliła sobie tysiące odpowiedzi, teraz jednak nie mogła sobie przypomnieć żadnej z nich. Pisnęła tylko i poczuła, że płacze. Jej dłoń drżała jak liść, gdy wsuwała pierścionek na palec. Potem rzuciła się Justicarowi na szyję i uścisnęła mocno, przewracając go z powrotem w mech.

Błysnęło i Escalla poczuła, że nagle się kurczy. Chwilę później znowu miała sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i czuła się bardziej na miejscu, jednak płakała jak bóbr. Usiadła na udzie Jusa, spojrzała na niego w górę i roześmiała przez łzy, odgarniając z twarzy długie włosy. Uśmiechnęła się czule, i ponownie go uścisnęła, zerkając na pustą buteleczkę leżącą pośród mchu i kamieni.

- Znowu jestem mała - westchnęła. - No cóż, taki los.

- Ile jeszcze masz eliksirów? - Uśmiechnął się, pomagając jej dojść do ładu ze splątaną fryzurą, cały czas pod wrażeniem jej urody.

- Tylko siedem, ale mam też przepis, chociaż szczerze mówiąc, nie wiem, jak wydoić czerwonego robaka. Myślę, że zastąpię go krową. - Wyciągnęła się na piersiach Jusa. - Och, opowiem Enid o wszystkim, co właśnie zrobiliśmy!

Przetoczyła się na ziemię, pocałowała go, a potem leżała obok, słuchając jego oddechu. Z powagą przyjrzała się zbyt dużemu na jej małą dłoń pierścionkowi.

- Naprawdę za ciebie wychodzę?

- Wkrótce. Kiedy tylko będziesz chciała.

- I urodzę twoje dzieci. Pewnego dnia, kiedy już przyjdzie na to czas, zjawi się mały naburmuszony Justicarek...

- Albo dziewczynka. - Uśmiechnął się Jus. - Radosna jak koliberek.

Escalla westchnęła, myśląc o kłopotach, z jakimi jeszcze będą musieli sobie poradzić. Smutno popatrzyła na rzekę.

- Ślub.... Ale dopiero wtedy, gdy to wszystko się skończy. Jesteśmy odpowiedzialni za to, co

się tutaj stało. Zadarliśmy z Lolth i zobacz, co zrobiła z Zakolem Keggle.

- Nie, Lolth zabijała zawsze. - Justicar objął ją opiekuńczo. - My tylko sprowadziliśmy ją do tego świata. I musimy ją powstrzymać.

- Musimy.

Podzielili się kubkiem wody z rzeki. Pozbierawszy ubranie, Escalla usiadła na mchu z podkurczonymi nogami i zaczęła się głośno zastanawiać.

- Lolth nie zaatakowała Zakole Keggle tylko dlatego, że tam byliśmy.

- Prowadzi podbój. - Justicar przebiegł dłonią po delikatnym zaroście czaszki. - Jeżeli jej nie powstrzymamy, z innymi miastami robi to samo.

Pogrążona w myślach Escalla wyczesywała mech z włosów.

- W porządku, więc ruszamy na Lolth. Musimy powstrzymać ją, Tielle i Reccę. Bez Lolth jej wojska będą bezradne. Te jej potwory w minutę rzucą się sobie do gardeł.

- Dokładnie tak. I tu leży jej słabość. - Jus ponuro zapatrzył się w wodę. - Ale ona jest tanar'ri i to potężnym. Lordowie tanar'ri giną naprawdę tylko wtedy, gdy komuś uda się zabić ich we własnym świecie. Musimy zabić ją w Otchłani. - Wrzucił kamień do strumienia. - Kiedy wróci do Otchłani, my musimy tam na nią czekać.

Escalla popatrzyła na rzekę.

- Czy możemy zabić boga?

- Jak każdy inny bóg, Lolth jest bóstwem tylko dlatego, że sama tak twierdzi. Bogowie to zwykle stworzenia mające dość siły, by zastraszać i niszczyć innych. - Justicar zerknął na stary święty znak, który wisiał na jego szyi, wizerunek słońca przecięty ciosem jego własnego miecza, dawno, dawno temu. - Jeżeli żyje, może też umrzeć. Nadszedł czas, by bogowie zakosztowali Sprawiedliwości.

- Wspaniały miesiąc miodowy! - zachmurzyła się Escalla.

- Mamy jeszcze inny problem. Recca i Tielle będą próbowali znaleźć nasze ślady. Musimy poruszać się szybko, zanim odgadną, co zamierzamy zrobić.

- Chcesz schwytać w pułapkę tych, którzy sami szykują zasadzkę? - Escalla wzruszyła ramionami. - No to do dzieła! - Przeczesała palcami włosy i pomyślała przez chwilę. - W porządku. Wyruszamy do Otchłani. Czego potrzebujemy? Bełtów dla Henry'ego...

- Możemy zdobyć je na wrogu.

- Klejnotów dla Enid, żeby mogła zrobić z nich atrament do symboli ogłuszania.

- Polk chowa pięć szmaragdów - parsknął Jus. - Miał zamiar kupić za nie gorzałę.

- Dobra. - Escalla skreśliła ostatni punkt listy. - Przede wszystkim musimy chronić ciebie. Mogę rzucić czar kamiennej skóry, który powstrzyma pierwszych sześć ciosów, ale żeby to zrobić, muszę sproszkować diament.

- Diament... - Justicar syknął i zachmurzył się. - Nie mamy diamentu.

Escalla zbladła i pomachała swym pierścionkiem zaręczynowym. Wrzuciła go do zasobów drużyny.

- Niepotrzebny mi kamień bez męża. Załatwisz mi większy od Lolth.

Wstali, ubrali się i w milczeniu przytulili. W końcu Escalla zmierzwiła zarost Jusa i uśmiechnęła do niego.

- Ktoś w końcu naruszył faerie.

Jus odpowiedział uśmiechem. Przystanęli przy granicy głązów. Mężczyzna podniósł dwa palce, a Escalla chwyciła je w dłoń.

- Na zawsze?

- Na zawsze.

Rozdzielili się, na próżno udając, że są niewinni jak pierwszy śnieg. Escalla leciała wesoło z przodu, nagle straszliwie głodna. Pozostawiony z tyłu Jus nagle poczuł, że miękną mu kolana, i przytrzymał się drzewa, żeby nie upaść. Wiszący przy jego pasie Benelux był oburzony.

- *Sir! Jestem przejęty! Wiem, że broń wojownika zawsze musi być pod ręką, ale są granice tego, co udaje mi się nie podsłuchać!*

Zażenowany Jus zarumienił się.

- Więc, hmm, słyszałeś?

- *W rzeczy samej! Ależ to nieprzyzwoite!* - parsknął Benelux. - *O co właściwie ją pan zapytał, i dlaczego tak energicznie potakiwała?*

Justicar wcisnął głowę w ramiona i chwiejnie szedł wśród drzew.

- Nieważne!

* * *

Kiedy Escalla wyszła z zarośli, nad ogniskiem piekło się już około dwudziestu dużych ryb. Faerie szła prosto przed siebie, nie rozglądając się na boki, sztywno, jakby kij połknęła. Zabrała się

za przekładanie ryb na drugą stronę, czego zresztą wcale nie potrzebowały, a wtedy podeszła do niej Enid.

Stały trochę z boku, tak żeby Henry nie mógł usłyszeć ich rozmowy.

- Psst! Czy on... ? - wyszeptała Enid.

- Yhm!

- Czy ty...?

- Yhm.

- I jak to...?

Niewiarygodnie! - Escalla zabrała jedzenie i pociągnęła Enid tam, gdzie mogły spokojnie poplotkować.

We wszystkich legionach wszystkich armii sił Lolth nie znalazł się żaden oficer, który pomyślałby, żeby zaopatrzyć się w mapę Flanaess. Na Morąg spadł więc obowiązek grzebania w szczątkach spalonej biblioteki Zakola Keggla. Umorusana sadzą, przeklinając gorzko, próbowała rozeznąć się w popiołach i śmieciach pozostałych po tysiącach siejących zniszczenie demonów.

Przyzywała własnych wasali tanar'ri - skaczące demony o kształtach żab, sępów lub gnijących psów ze szczypcami krabów, jednak żaden z nich nie nadawał się do tej roboty. Po prostu przerzucali góry osmalonych półek i śmieci, wprowadzając jeszcze większy bałagan. Morąg, najwyraźniej jedyne stworzenie w Otchłani wyposażone bodaj w odrobinę inteligencji, sama zakasała więc rękawy, grzebiąc w resztkach cuchnących krwią i ogniem.

Wymuskana niczym kot, klęła na każdą smugę i plamę, jaką przy tej okazji zyskiwała. Gnijące ciała, porozrzucone wnętrzności, krew i odchody wzbudzały w niej odrazę. A przecież chciała mieć tylko mały domek, malutką wieżę z kości, która stałaby przy wodospadzie w jakimś spokojnym miejscu. Gdzieś, gdzie jest czysto, gdzie można zostawić otwartą księgę bez obawy, że quasit wydrze z niej kartki na budowę gniazda! W życiu powinno się mieć coś więcej, stabilizację, przyjaciół, kogoś, z kim można by porozmawiać, albo tylko zwinąć się przy nim w kłębek...Nie powinno w nim być bólu, krwi, strachu. Niestety, wpadła w pułapkę. Lolth odkryła jej tajne, prawdziwe imię i teraz Morąg musiała służyć jej przez setki lat. Nie mogła nic zrobić ani nawet marzyć o ucieczce czy wolności, bo Lolth trzymała w łapskach jej prawdziwe imię.

Morąg pochyliła się nad świeżą stertą ciał, spalonych ksiąg i połamanych dachówek, przeklinając na głos swoją pracę.

- Mogłam służyć Demogorgonie. Mogłabym być z Jubilex, ale ni-e-e-e-e! - Szukała w szalonym tempie, wszystkimi sześcioma rękami rzucając na wiatr zniszczone pergaminy. - Królowa drowów będzie miała dobre maniery! Królowa drowów będzie miała suche lokum. Intryga, spisek, przygoda! *Wszystko* to dostaniemy od królowej drowów - utyskiwała.

- Mora-a-a-a-ag? Morąg !- rozniosły się władcze nawoływania Lolth.

Przeklinając, Morąg doprowadziła do porządku eleganckie czarne ubranie, popęzła do wybitego okna i wyrzała na zewnątrz. Lolth już tam była, prawie naga, okrutna i wspaniała. Wyglądała na wypoczętą, odprężoną i pewną siebie. Szła po dywanie z przerażonych niewolników i konferowała z generałami.

- Morąg? Gdzie tym razem popęzłaś, ty oślizgła stara panno?

Ze znużonym westchnieniem Morąg wychyliła się przez okno.

- Tak, Wasza Wspaniałość?

- Morąg! - Lolth z pogardą popatrzyła na ruiny. - Co ty tam robisz? Wyglądasz jak piec węglowy.

- Szukam map, Wasza Wspaniałość.

- A po co? - Lolth skinęła w kierunku jakiegoś drowiego szlachcica, który kroczył za nią z wyrazem uwielbienia na twarzy. - Drowy mają mapy!

- Mapy sprzed dwudziestu lat, Wasza Wspaniałość. W tym czasie przeszła tędy wielka wojna.

Lolth westchnęła ze współczuciem.

- Och, Morąg, zwiadowcy już to sprawdzają, a nad wszystkim czuwają generałowie! Chyba ufasz moim generałom?

- Nie sądzę, żeby potrafili odnaleźć się w toalecie - wymamrotała Morąg, odwracając się od okna.

W końcu znalazła mapę, a przynajmniej jej kawałek. Chociaż ubrudzony i pełen zacieków, jasno pokazywał miasto leżące jakieś 150 kilometrów na północny wschód. Morąg wydarła papier i popęzła na ulicę. Miała zamiar przyzwać parę ciemnych elfów i kazać im zrobić czyste kopie, w trzech egzemplarzach, po jednym zestawie dla każdego dowódcy armii.

Prześlizgnęła się obok na wpół zjedzonego ciała gnijącego na ulicy. Znalazła zrujnowany dom, który wciąż miał zasłony i wytarła się materiałem. Gdy skończyła, dojrzała jakąś postać, pochylającą się ostrożnie nad śladami w błocie, wężącą niczym piekielny pies. Postać miała na sobie zbroję i hełm w kształcie orła. Jedna z jej stóp była zupełnie nowa, wyraźnie odróżniała się od reszty wyschniętej, zmumifikowanej skóry.

Morąg przyglądała się, jak wężący wojownik odchodził. Potem popęzła, by przyłączyć się do gwarnej świty Lolth. Varrangoiny, szkielety ze skrzydłami nietoperzy, klękały przed boginią, kolejno zdając raporty. Kiedy Lolth oddaliła je skinieniem dłoni, rozpierzchły się i ciężko wzbiły w powietrze.

Morąg wręczyła mapy królowej i stanęła przy jej boku. Wokół nich uformował się szeroki pierścień tanar'ri - poszarpanych stworzeń, które podskakiwały i łopotwały skrzydłami, potworów ze szponami tak twardymi, że mogły rozerwać bruk. Była to elita legionów Lolth, jej oficerowie i dowódcy, stworzenia, które zabiły dziesiątki tysięcy niewinnych.

Zachmurzona Morąg nachyliła się do Lolth, szepcząc cicho do jej ucha.

- Wasza Wspaniałość, widziałam nieumarłego tropiciela. Wrócił do miasta.

Znużona Lolth stała ze swymi demonicznymi generałami - wielkimi istotami spowitymi płomieniem. Wydawała władcze rozkazy, a jej ciało odbijało blask doradców. Z grymasem odwróciła się do sekretarki.

- Co? Widziałas go?

- Mniej niż sto metrów stąd, Wasza Wspaniałość.

- Absurd! Co robił?

- Szukał śladu, Wasza Wspaniałość. - Morąg elegancko wzruszyła wszystkimi sześcioma ramionami. - Bez skutku.

Lolth zawrzała, uświadamiając sobie, że nie powiodła się jej zaplanowana zemsta. Miała jednak armię, którą musiała dowodzić i wrogów, którzy czekali, by ich pokonać. Zemsta mogła poczekać. Zezwoliła niewolnikom, by zarzucili jej na ramiona pelerynę i nakazała, by jej pajęczy pałac podszedł do murów miejskich.

- Później się tym zajmiemy. - Oczy Lolth lśniły srebrem, a skóra hebanem. - Kiedy ten świątek będzie już nasz, przewrócimy każdy kamień i znajdziemy faerie i jej Justicara.

W nagłym wybuchu szału Lolth uderzeniem pięści zmiażdżyła czaszkę ludzkiego niewolnika. Trysnęła krew, a królowa znieruchomiała, ściskając ręce i patrząc na krew z dzikim wyrazem w oczach.

Atak minął. Lolth ruszyła dalej, obracając się, by sprawdzić, czy Morąg idzie za nią.

- No i co? Znalazłaś te mapy?

- Tak, Wasza Wspaniałość.

- To zanieś je do pałacu! - Lolth kroczyła wśród wyjących szeregów. - Chodź! Wracamy do Demonicznej Pajęczyny.

Odeszła. Morąg gestem wezwała skrybów i pomocników i pośpieszyła śladem królowej. Za jej plecami wybuchł chaos, gdy wielcy generałowi ustawiali żołnierzy w szeregi i kolumny, gotowe, żeby zgnieść Flanaess.

Drider - pół-drow i pół-pająk - maszerował drogą z Zakola Keggle. Przypominał centaury i rażno kroczył na ośmiu długich nogach, trzymając w dłoni ręczną kuszę. Na równinach za jego plecami setki gigantycznych pajaków owijały sparaliżowanych ludzi w jedwabne sieci. Skrzeczały przy tym i piszczały. Vinegaroony i skorpiony ciągnęły swe ofiary, by przechować je dla hord demonów.

Z armią Lolth za plecami pająk-centaur był daleki od uczucia strachu. Pragnął zdobyć. Naraz wyczuł coś w powietrzu - coś nikłego, prawie niewidocznego. Wycelował kuszę i cicho zszedł z drogi. Przebiegły i groźny, ześlizgnął się w zarośla, by ukryć się i poczekać.

Coś zawisło w powietrzu, zawahało się i nagle zaczęło cofać. Drider wypadł z krzaków, celując w to z kuszy. Chwilę później żdźbła trawy posypały się w powietrze i oślepiająco białe ostrze cięło zza pleców potwora. Pozbawione głowy stworzenie poleciało w przód. Ubrudzony ziemią i trawą Justicar podniósł się z ziemi i odciął mu rękę. Kusza upadła i niegroźnie wypaliła w piach. Ciało uszło jeszcze kilka kroków, a potem padło w zarośla.

W pobliżu nie było innych potworów, które mogły by zwrócić uwagę na to, co się stało. Jus zabrał pojemnik z bełtami i rzucił go Henry'emu, który wstał z kryjówki w trawie. W powietrzu między nimi rozległ się huk i Escalla ponownie stała się widzialna.

- Ten ośmionożny sukinsyn mnie widział! - Faerie była oburzona. To, że potrafiła stawać się niewidzialna, zawsze napawało ją dumą i radością. - Jak się to udało temu pełzakowi?

- Pajaki wyczuwają vibracje. - Jus zbadał naczynie z paskudnym zielonym płynem, które znalazł u pasa dridera, i rzucił je Henry'emu.

- Trucizna do strzał. Masz!

Wciąż oburzona, Escalla podleciała ze skrzyżowanymi ramionami.

- No, wspaniale. Jak wobec tego mam ich szpiegować?

Z przenośnej dziury wyłonili się Polk i Enid. Odeszli kilka kroków, żeby spojrzeć na zrujnowane miasto widniejące w oddali. Gigantyczne pajaki pełzały po całym widnokregu niczym w scenie żywcem wyjętej z nocnego koszmaru. Latające nad miastem groteskowe kształty tanar'ri rozpościerały przerażającą aurę. Enid zamruwała i zbladła pod piegami.

- O rany. Biedni ludzie.

Justicar wyprostował się, pysk Popioła zaczął dymić siarką i wydzielać płomień.

- Najlepsze, co możemy dla nich zrobić, to zabić Lolth. Na zalanych wodą polach piekielne legiony gromadziły się w szeregi i kolumny. Generałowie Lolth zamierzali ruszyć, rozprzestrzeniając masakrę i terror po całym Flanaess. Śmiałkowicie rzucili się w krzaki, gdy nad ich głowami z

przerażającym krzykiem przeleciały otchłanne nietoperze.

Wokół miasta zgromadziły się setki tanar'ri. Niektóre miały ponad dziesięć metrów wzrostu i były spowite płomieniem, inne miały ludzkie rozmiary i skakały niczym wściekłe insekty, niszcząc otaczającą je roślinność. Pola kipiały od gigantycznych pajaków i skorpionów. Ogromne czarne wdowy i tarantule wielkości słoni maszerowały obok ożywionych ciał olbrzymów i wijącego się dywanu mięsożernych robaków. Gdzieś wśród tych wszystkich stworzeń była Lolth, władczyni drowów.

Zamyślony Polk zmarszczył pysk.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, synu, nad zaletami wystosowania bohaterskiego wyzwania? Wyobraź sobie: pojedynek w słońcu, mężczyzna przeciwko bogini, twój miecz, ciało i kości przeciwko jej potężnym czarom..

- Polk - przerwała mu Escalla, nie odwracając oczu od maszerujących potworów, które wyły i walczyły ze sobą nawzajem. - Myśleliśmy raczej o tym, żeby dziabnąć ją w pęcherz podczas snu.

- Och - westchnął tylko zbity z tropu borsuk.

Armie pajęczej bogini dostały wsparcie. Magiczny krąg zmasakrowanych ciał pełnił rolę przejścia między sferami. Teraz wydostawały się z niego masy wrzeszczących, paskudnych stworów, które formowały nowe szeregi. Justicar obserwował to z ukrycia, leżąc obok Escalli.

- Wrota do Otchłani?

- Taak. Te paskudy to grzywacze. - Escalla była ich etatowym ekspertem. Jej lud zamieszkiwał zewnętrzne sfery. - Musieli przybyć prosto z Otchłani. Są powolni i głupi. Ten krąg to cel naszej wędrówki - dodała po chwili.

W sercu dymiących szczątków Zakola Keggle stał pałac Lolth. Sterczał nad zniszczonymi świątyniami i dachami, sięgając trzydziestu metrów. Metal budowli wyglądał niczym brąz, ale jej ściany zmieniały barwy, tak jakby była żywym stworzeniem. Szczęki gigantycznego pajaka tworzyły rampę strzeżoną przez demony, która prowadziła do prywatnej kwatery Lolth.

Escalla oparła się na swej lodowej różdżce i popatrzyła na ruchomy pałac.

- O rany! Spójrzcie na to! Super! Po co opuszczać domowe pielesze, kiedy można zabrać je ze sobą?

- Tam mieszka? - Henry z podziwem patrzył na pajęczy pałac.

- Spójrzcie na to. Pół-pałac i pół-machina wojenna.

- Tak. - Justicar z chłodną rezerwą patrzył na pałac swej ofiary. - Musimy się tam dostać i znaleźć sposób, żeby dopaść Lolth, gdy wróci do Otchłani.

- Wróci tam? - zapytał Henry, obgryzając paznokcie kciuka - Po co?

- Musi. To źródło jej mocy - odpowiedziała Escalla. - Jeżeli chce odzyskać magię, musi wrócić do domu i nasiąknąć atmosferą Otchłani.

Justicar wpatrywał się w miasto, planując uderzenie. Escalla usiadła na nim jak na krześle.

. - W porządku. Ten metalowy pajak jest wielki jak zamek, więc jeśli dostaniemy się do środka, na pewno znajdziemy sobie jakąś kryjówkę.

Armie Lolth zalewały drogi i ścieżki. W ruinach poruszały się cienie polujących kształtów. Enid przygryzła koniuszek długiego pazura.

- Więc... jak się tam dostaniemy?

- Bez problemu! - Escalla przyjęła pewną siebie pozę. - Zmienię się w quasita lub w tanar'ri i przelecę prosto przez frontowe drzwi Lolth. Zabijemy ją przed obiadem, a w domu będziemy w porze popołudniowej herbaty!

Enid zachmurzyła się i zmarszczyła nos.

- Uda nam się? Te stworzenia nie potrafią wykrywać dobra?

- W czym problem? - spytał Polk. - Polecą tam przecież Escalla.

- Wielkie dzięki! Ja jestem dobra. - Zerknęła na Justicara. - Cholernie dobra!

Enid zamrugnęła.

- A nie możemy się tam zwyczajnie wślizgnąć?

-Na boga, nie. - Benelux sprawiał wrażenie zniecierpliwionego. - Wyczują mnie. Cechy mojej energii są unikalne, a z pewnością nie zabijecie bogini żadną inną bronią.

Ignorując pozostałych, Justicar i Henry siedzieli nieopodal i dokładnie przyglądali się ukształtowaniu terenu, zalanym polom i zburzonym murom. Chłopak pokazał coś swemu mistrzowi, a ten potakująco skinął głową. Enid, Polk i Escalla w końcu zainteresowali się nimi i podeszli, żeby sprawdzić, czym się zajmują.

Escalla oparła się miękko o Justicara i uniosła brew.

- Dobrze się bawicie?

- Znaleźliśmy drogę do pałacu. - Justicar wskazał palcem szlak, wijący się przez pola zalane szlamem na wysokość człowieka i szczątki pozrywanych dachów. - Przepełniemy przez pola, a potem przeprawimy się przez rzekę w miejscu, gdzie mija mury miasta. Przemkniemy przez plażę i wejdziemy między domy. Potem postaramy się znaleźć drogę do pałacu.

- A w rzece nie ma potworów? - Enid pomachała ogonem w zamyśleniu.

- Stworzenia Lolth to głównie pająki i istoty ognia. Spójrz na nie, starają się unikać wody. Wszystkie, z wyjątkiem trolli.

- Ach, trolle.

- Możemy się nimi zająć. - Justicar nie obawiał się zwykłych szponów, łusek i kości. - Najlepiej będzie, jeżeli popłynie tylko jedno z nas. Zaniosę was do miasta w przenośnej dziurze i tam wyjdziecie, bo będziemy potrzebować całej drużyny.

Siedzący obok Enid Henry pobladł odrobinę.

- A potem - Otchłań? - zapytał.

- Otchłań.

Wszyscy zamarli. Strach przed tym mrocznym miejscem zagościł w ich umysłach. Escalla podleciała w górę i klasnęła w dłonie.

- Otchłań to tylko nazwa. Czy ktoś z was był kiedyś w Gospodzie Bez Powrotu w Greyhawk? - Promieniała entuzjazmem. - Piliście kiedyś kufel piwa bez dna? Ucałuję kuper kaczkę, jeżeli tak! - Rozpędziła wszystkie ich zmartwienia machnięciem dłoni. - To tylko brednie! Takie jak wypisuje Polk!

- Hej! - pisnął oburzony borsuk.

- Przykro mi, kolego. To przecież gadka motywacyjna. - Krocząca dumnie niczym trener przed drużyną, Escalla poklepała Enid po skrzydle. - Otchłań to dopiero miejsce! Żyją tam tysiące stworzeń. No dobra, większość z nich to tanar'ri, którym smakują ludzie, ale żyją, popełniają błędy i drzemią między posiłkami. Otchłań to świat jak każdy inny: wielki ekosystem, rozległe otwarte przestrzenie, miasta i miasteczka! Będziemy ich zresztą unikać i trzymać się pustkowi... To pestka! - Na twarzach Henry'ego i Enid dojrzała zwątpienie. - Hej, zaufajcie mi! Jestem faerie! Popiół, poprzyj mnie. Jesteś w końcu piekielnym ogarem. Co wiesz o Otchłani?

- *Zabawa!* - Wielkie kły piekielnego ogara błysnęły. - *Miła lawa. Chmury siarki, gorące płomienie! Wszędzie martwi!*

-I... i oprócz tego wiele ciekawych rzeczy, jakie nie zagrażają tym, którzy nie są ognioodporni! - Klepnęła Henry'ego w ramię. - Więc dalej! Jesteśmy drużyną śmiałków! Świat jest jak ostryga i zjemy go na surowo! - Obróciwszy się twarzą do ruin miasta, przyjęła buntowniczą pozę. Oparła piąstki na małych biodrach i zamruczała do Justicara. - Kupili to?

- Nie.

- A niech tam! Ruszajmy.

Zagoniła Polka, Henry'ego i Enid do przenośnej dziury.

- Powinniśmy postawić tu kanapę, a może prawdziwe łóżko... - Pomogła zejść Półkowi, kopiąc go butem w zadek. - Ruszajmy! Szkoda czasu!

W końcu zostali sami. Escalla objęła Justicara za szyję i wtuliła twarz w jego policzek. Przytulił ją, zamykając oczy i myśląc, że kocha tę małą, żywą istotkę całą duszą i ciałem.

- Wszystko będzie dobrze - mruknął. - Uda nam się.

- Oczywiście, że tak. - Trzymała go mocno. - Kocham cię.

- I ja cię kocham.

- *Popiół też was kocha!* - Ogar wyszczerzył zęby, machając ogonem. - *Zabawne!*

- *Cicho, Popiół* - Benelux parsknął w wyśzością. - *To prywatna rozmowa. Bądź dobrym psem i siedź cicho.*

Zmierzywszy ich złowieszczym spojrzeniem, Escalla poprawiła małą spódniczkę.

- Prawdziwa miłość byłaby łatwiejsza bez chóru podsłuchujących!

- *Podsłuchiwać? Nigdy!* - Oburzył się Benelux. - *To bezczelna sugestia. Jedyne słowa, jakie podsłuchałem, młoda damo, to twoje bezustanne potakiwanie* - prychnął. - *Bardzo energiczne potakiwanie.*

- Wiesz co, pewnego dnia spodoba ci się jakiś żeński miecz, a wtedy ci się odpłacę! Escalla musnęła pochwę miecza koniuszkiem palca. - A teraz uważaj na mojego narzeczonego, albo włożę coś paskudnego i mokrego na dno twojej pochwy.

Jus pocałował ją czule i mała faerie zanurkowała do przenośnej dziury. Tropicielek złożył materię i starannie ją zabezpieczył.

- Popiół?

- *Faerie zgadza się! Zabawne!*

- Bardzo zabawne. - Justicar padł na ziemię, poczekał, aż przeleci nad rzeką stado odciętych głów ze skrzydłami i ześlizgnął się w błoto. - Miej oczy otwarte. Ruszamy.

Z wnętrza przenośnej dziury doleciał głos. Escalla po raz dwudziesty tego dnia besztowała Polka.

- Polk! Co ty robisz?

- Uzupełniam kroniki. - Głos borsuka był przepojony radością. - Udajemy się do Otchłani! Kryjówki samego diabła! Najlepszego miejsca, o którym mógłby kiedykolwiek marzyć bohater, aby

wkroczyć tam z mieczem sprawiedliwości i prawdy! Czas wykonać tu jakieś ilustracje!

- Jesteś chory, Polk. Wiesz o tym?

Popiół pomachał ogonem. Jus pokręcił głową i rozpoczął ostrożne penetrowanie obronnych linii piekła.

- Na górę! Cicho i szybko. Idźcie w lewo i schowajcie się.

Leżąc w ruinach jakiegoś domu, mokry Jus ostrożnie pomógł przyjaciołom wyjść z przenośnej dziury. Znajdowali się w zniszczonym Zakolu Keggle, gdzie gigantyczne pająki porozwieszały pajęczyny pełne ciał. Na ziemi leżał gargulec, rozpołowiony od głowy do pachwin jednym ciosem miecza Justicara. Henry wyrzwał szybko przez krawędź dziury i wyslizgnął się, mierząc z kuszy w kierunku ruin. Enid wyskoczyła szybko niczym gigantyczna pantera i schowała się, jej piegi i brązowe futro znikły w mroku. Potem wyłonili się Polk i Escalla, a wtedy Justicar złożył dziurę i wepchnął ją do sakiewki. W tej samej chwili ustał zapach ryby, dobywający się z jej wnętrza.

Polk, z czapką zawadiacko wciśniętą na głowę, podreptał w stronę ruin.

- Gdzie jesteśmy, synu? I gdzie się podziały demony?

- Odchodzą. Nie zostawiają tu garnizonu. - Justicar pokazał poplamione krwią wieże cytadeli. Ponad blankami widać było pajęczy pałac Lolth. - Biorą ludność jako prowiant i ruszają dalej. Główne drzwi do pałacu są strzeżone, ale pozostałych nikt nie pilnuje. Jeżeli dotrzemy na górę, jakoś dostaniemy się do środka.

Henry dokładnie przyglądał się ruinom.

- A nie zobaczą nas z powietrza?

- Możliwe, jednak wszystkie latające stworzenia już odleciały. Opuszczają to miejsce i udają się na północ.

Wzruszywszy ramionami, Escalla ściągnęła rękawiczki.

- Wobec tego zajrzyjmy tam. Ja pierwsza. Wy zostańcie w ukryciu.

Za rękawiczkami poleciały spódniczka, legginsy i cała reszta. Naga Escalla wrzuciła ubranie w ręce Jusa. Zarumieniony Henry wbił wzrok w ruiny. Faerie cmoknęła go w ucho.

- Życz mi szczęścia, Hen. - Rozgrzała ręce i przygotowała się do zmiany kształtu. - To były tanar'ri, impy czy quacity? Nie pamiętam. Zaraz, zaraz... Quacity! Mam!

Błysnęło i Escalla znikła. Na jej miejscu stał paskudny mały demon, z rogami, szponami, żądłem na ogonie i ostrym pyskiem pełnym zębów. Zmierzając w stronę ruin, odezwał się

zniekształconym głosem Escalli.

- Za chwilę wracam!

- Niesamowite - mruknęła Enid, patrząc za odchodzącym. Escalla-quasit mocno ścisnęła swą lodową różdżkę, wskoczyła na kamienie i znikła.

Mijały długie, pełne napięcia minuty. Co jakiś czas w pobliżu rozbrzmiewały krzyki, którym towarzyszył dziwny szelest. Był to odgłos ogromnej ilości maszerujących stworzeń, dźwięk odchodzącej powoli armii. Po zniszczonym mieście hulał wiatr, unosząc żwir i kurz. Justicar trzymał w dłoni Beneluxa, a czerwone oczy Popioła uważnie wpatrywały się w ruiny. Henry stał na warcie. Panował spokój.

Z ruin wyszedł gigantyczny pająk, ciągnąc za sobą ciało spowite pajęczyną. Poruszał się wolno, zmagając z dużym ciężarem. Nagle z okna wyskoczył quasit i bez strachu przebiegł między nogami pająka. Zdenerwowana czarna wdowa syknęła, ale zostawiła quasita w spokoju. Znikła za rogiem, a quasit wślizgnął się w mrok i radośnie usiadł obok Justicara. Błysnęło i zamiast pyska quasita pojawiła się twarz Escalli.

- Już wszystko wiem! Do pałacu ładują zagrabione dobra. Przygotowują się do wymarszu. - Zamiotła ogonem demona. - Sądzę, że z zachodniej wieży cytadeli da się wejść na dach pałacu. Stamtąd możemy niepostrzeżenie wślizgnąć się do środka. - Wstała, wyjrzała z ukrycia i skinęła na pozostałych. - Wybrzeże jest puste. Dalej!

Twarz Escalli znikła, ustępując na powrót miejsca pyskowi quasita. Idący za nią Justicar poruszał się jak wielki, cichy niedźwiedź. Za nim ruszyła Enid z Polkiem, który co rusz następował na jej tylne łapy. Henry dostrzegł w ruinach kawałek węgla i schował go dla Popioła, a potem ruszył tyłem, osłaniając drużynę.

Miasto było opustoszałe. Bramy zniszczono, a kilka mniejszych wież zawaliło się pod ciosami zadanymi z demoniczną siłą. Na murach widniały brązowe plamy krwi, a dziedzińce czuć było śmiercią. Ale nie było na nich ciał, ani zabitych strażników, ani ciężarnych kobiet. Sługi Lolth do cna wyczyściły miasto, zabierając wszystkie zwłoki na prowiant.

Escalla-quasit stała pod strzaskanym łukiem, czekając na towarzyszy. Wyjrzała za róg, przemknęła przez niebezpieczny kawałek otwartej przestrzeni i skinęła na pozostałych, żeby do niej dołączyli. Jus przybiegł szybko, znikając w ciemnościach za drzwiami. Nerwowo popatrując na mury, inni poszli w jego ślady i wślizgnęli się do pustych korytarzy zamku.

Zeszli do kuchni przewróconej do góry nogami. Garnki i patelnie zmiażdżono i potrzaskano. Przy palenisku leżał spalony, poskręcany ludzki szkielet. Enid wyskoczyła do przodu i stanęła przy przeciwległych drzwiach, nasłuchując i rzucając ogonem. - Słyszę śpiew!

W powietrzu rozbrzmiewała dziwna jak na to miejsce muzyka: radosny śpiew beztroskiej dziewczyny, nieziemski i dziwnie niepokojący. Jeżąc futro, Enid popchnęła nosem drzwi i wyjrzała na długi, ciemny korytarz.

Śpiew stał się głośniejszy. Enid, węsząc, ruszyła przed siebie. Przemknąwszy przez kuchnię, dołączył do niej Justicar.

- Ostrożnie! - wyszeptał.

Rozległ się syczący pisk i gigantyczna czarna wdowa rzuciła się prosto w twarz Enid. Justicar zawahał się, ale sfinks szybko wyciągnął łapę. Jego wielkie pazury przygniotły pająka do podłogi, a potem zajęły się następnym biegnącym po ścianie. Enid podeptała potwory i wyszła na korytarz.

- To tylko pająki. Chodźcie!

Jus popatrzył na zgniecione stworzenia, napotkał spojrzenie Escalli i wzruszył ramionami. Poszedł za Enid, która kroczyła korytarzem w kierunku smugi światła. Śpiew z każdym ich krokiem przybierał na sile, radosny i piękny. Enid usiadła na tylnych łapach za potrzaskanym murem, ciekawie zerkając w kierunku miejsca, z którego dochodziło światło.

- Och! Popatrzcie na to!

Escalla podbiegła do Enid i spojrzała. Pod gołym niebem rozpościerał się dziedziniec. Ściany wokół ozdobiono zmasakrowanymi ludzkimi ciałami ponabijanymi na kamienie tak, że tworzyły potworną kolumnadę. Z gałęzi niegdyś przepięknych drzew obsypanych kwiatami teraz, niczym owoce, zwisały czaszki. Na przenośnym piecu skwierczał ser, a duża fontanna, ozdobiona mozaiką, pełna była mleka i olejku migdałowego. W kąpielni siedziała drowka o oszołamiającej urodzie. Jej srebrne włosy spływały po czarnej skórze, a oczy świeciły niby srebrne płomienie. Wokół niej unosiła się mroczna aura. Drowia piękność śpiewała, a śpiew ten brzmiał jak chór aniołów. Za jej plecami gapiowaci służący, trzęsąc się ze strachu, doili motyle w klatce, aby napełnić fontannę.

Na posadzce obok stała dziwna kobieta tanar'ri. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Szczupła, z ostrymi rysami twarzy, kręconymi czarnymi włosami i skwaszoną miną, zaglądała do notatnika i rzucała wymowne spojrzenia na dużą klepsydrę stojącą obok wanny.

W górze Escalla wycelowwała swą lodową różdżkę.

- Spójrzcie na to! Juhuu! Kąpiel w motylim mleczku! Ma gust dziewczyna! - Wróciła do własnej postaci. Była naga, lecz uzbrojona i groźna. - Oczywiście i tak będę musiała ją zabić.

Na dziedzińcu w dole czarnoskóra piękność powstała, by splukać włosy. Henry przyglądał się jej nagiej figurze ze zdumieniem.

- To znaczy, że to jest Lolth?

- Jasne! - Escalla przeciągnęła się i zrobiła mądrą minę.

- Spójrz na jej tyłek! Taką perfekcję osiągają tylko boginie i faerie.

- Twierdzisz, że to Lolth na podstawie jej siedzenia?

- Taak. No i jeszcze w oparciu o atmosferę zła, jaka się wokół niej unosi.

Escalla przycisnęła plecy do muru, zastanawiając się, jak zbliżyć się do Lolth.

- Chodźcie. Może uda nam się podejść bliżej. - Zaryzykowała kolejne spojrzenie w stronę królowej demonów. - U-łaaa! Naturalna blondynka!

Ruszyła do przodu.

- Myślałem, że Lolth wygląda jak pajak! - wyszeptał Henry, idąc tuż za nią.

- Więc powiedzmy - parsknęła faerie - że odrobinę poprawiła swój styl! A teraz chodź.

Na dziedzińcu w dole sześcioramienne demonka w końcu przekonała Lolth, że pora skończyć kąpiel. Musiała więc odłożyć notatniki, znaleźć ręcznik bogini i podać Lolth coś do picia. Justicar obserwował ją bacznie, niemal się nad nią litując. Mimo sześciu rąk najwyraźniej zawsze była zajęta.

- Zastanawiam się - mruknął - kto to jest?

- To proste. - Escalla pochyliła się i dała mu kuksańca w bok

- Ona jest pokojówką Łapiecie?

- Długo nad tym myślałaś? - Jus spojrzał się na nią groźnie.

- Jestem samorodnym talentem!

Lolth zbierała się do odejścia. Drużyna Justicara ruszyła za nią, bezszelestnie zakradając się do cytadeli. Słyszeli głos królowej demonów, która rozmawiała ze swoją sześcioramienne towarzyszką. Posługiwały się językiem tanar'ri, syczącym i szeleszczącym, który jednak w ustach Lolth brzmiał prawie pięknie.

Jus uchylił drzwi. Głos Lolth stał się głośniejszy, bliższy. Bogini znała wszelkie rodzaje magicznych sztuczek. Ich jedyną szansą na wyeliminowanie jej był atak z zaskoczenia. Jus ukradkiem przeszedł przez spryskane krwią pomieszczenie do następnych drzwi, pozwalając Popiołowi nasłuchiwać, i zasygnalizował Henry'emu, żeby przygotował się do strzału.

- Czekajcie!

Escalla zanurkowała do przenośnej dziury i powróciła z małą paczuszką. Posypała Jusa diamentowym pyłem, trzepocząc skrzydłami i zamykając oczy podczas przywoływania zaklęcia.

- Już! To zaklęcie kamiennej skóry. Zablokuje pierwsze pół tuzina ciosów. - Faerie spojrzała żałośnie na paczuszkę, oplakując stratę zaręczynowego pierścionka. - Jeżeli choć muśnie któregoś z nas, to koniec!

Escalla przygotowała czar, Enid wysunęła pazury, Polk poprawił czapkę, a Henry ukląkł, szykując do strzału magiczną kuszę. Justicar obdarzył towarzyszy krótkim spojrzeniem, skinął głową i ruszył przed siebie.

Dotarli do balkonu, na którym walały się ruiny zawalonego sufitu. Rozciągał się z niego widok na następny otwarty dziedziniec, gdzie mogli dostrzec koniec orszaku Lolth, który właśnie mijał odległą bramę. Dygoczący ze strachu niewolnicy nieśli wiadra z mlekiem i ubrania. Sześcioramienną asystentka królowej zabezpieczała tyły, a zza jej pasa wystawały trzy zakrzywione ostrza.

Świta Lolth znikła. Upewniwszy się, że nikt ich nie zauważył, Justicar bezszelestnie przeszedł wzdłuż balkonu.

- *W dół!*

Ostrzeżenie Popioła nadeszło na ułamek sekundy przed tym, zanim błysnął czerwony płomień. Jus upadł na jedno kolano, mieczem przechwytyjąc cios, który miał roztrzaskać mu głowę. Ostrza zadźwięczały, olśniewająca czerwień zwarła się z oślepiającą bielą. Z sufitu zeskoczył wojownik, okręcając się podczas lotu, i rozmazane błyski mieczy spotkały się ponownie. Czerwone ostrze cięło Jusa przez plecy, rozsiewając iskry, gdy odbiło się od czaru kamiennej skóry.

Wojownik w orlim hełmie wisiał do góry nogami z belek sufitu. Sycząc, walczył z piorunującą szybkością, a jego czerwony miecz poruszał się niczym promień światła. Jus blokował ataki, a Popiół wypuścił potężną chmurę ognia, która dotarła aż do krańca balkonu. Truposz odskoczył na chwilę przed tym, zanim trafił w niego ogień, i niczym nietoperz złapał się krokwi. Rozwścieczony piekielny ogar zionął ponownie, a nieumarły tym razem pomknął niczym strzała i skoczył nad głowę Jusa. Justicar okręcił się, blokując cios wymierzony w głowę. Płomień Popioła przemknął przez balkon, rozpraszając pozostałych. Wisząca w powietrzu Escalla wycelowała lodową różdżkę.

- Hej, kościsty! Spróbuj tego!

Justicar zaklął i zanurkował. Enid wpadła na Henry'ego i osłoniła go, rzucając się w bok. Chichocząc z radości, Escalla wypaliła z różdżki, okrywając balkon chmurą lodowych strzałek. Nieumarły potwór żwawo uciekał przed trafieniem. Faerie poleciała za nim, tworząc w locie burzę śmiertelnego zimna i przeraźliwie ostrych lodowych igieł.

- A masz, i jeszcze raz! Zadarłeś z niewłaściwą osobą. Nikt nie rusza faerie!

Chmury mrozu przeredziły się. Spoza nich wyłonił się truposz, z ustami wykrzywionymi w złym grymasie. Czerwony miecz w jego dłoni okrył go blaskiem chroniącym przed magią. Escalli zrzędał mina.

- A niech to szlag.

Justicar z oślepiającą szybkością uderzył zza pleców nieumarłego. Recca sparował cios. Z ostrzy posypały się iskry i Benelux krzyknął z bólu. Justicar uwolnił się, a na lśniącym metalu jego miecza pojawiła się blizna.

- *Czerwony miecz!* - Benelux zająknął się w panice. - *Ostatnim razem wpił wiele krwi! Myślę, że im więcej jej dostaje, tym staje się silniejszy!*

Enid ryknęła i skoczyła, a Jus zamachnął się na truposza. Próbowali zająć go z obu stron. Potwór sparował cios, który niechybnie przeciąłby mu kark niczym gałązkę, a potem zrobił salto nad dwoma potężnymi ciosami Enid. Wylądował obok niej i ciał mieczem, raniąc bok sfinksa. Ostrze natychmiast wessało krew. Enid stanęła na tylnych łapach, machając skrzydłem, by przewrócić Reccę. Nieumarły jednak bez trudu nad nim przeskoczył, a potem zatoczył się, gdy Henry wycelował kuszę i otworzył ogień.

Magiczna kusza jęknęła, wyrzucając w powietrze pięć bełtów, które sięgnęły celu. Potwór zachwiał się, zrobił krok w tył, potem w przód, trafiony w pierś, kark i czaszkę. Wyrwał bełt z oka. Rana zamigotała i zagoiła się. Wysuszone ciało świeciło, gdy piekielny stwór się regenerował. Ruszył na Henry'ego, potem zawirował i sparował cios, który Justicar wymierzył w jego kręgosłup.

Henry wyciągnął miecz i próbował walczyć, ale Recca wytrącił mu go z dłoni. Escalla podleciała z laską licza. Trup skoczył i zrobił unik, przelatując tuż nad faerie. Tylko Justicar dotrzymywał mu pola. Ostrza zwały się, Jus złapał mocno za przedramię potwora. Wyczuwając jego intencje, Popiół natychmiast otworzył ogień, trafiając w twarz Recci. Płomienie oślepiły nieumarłego i stopiły powierzchnię hełmu. Stwór poleciał do tyłu, potem zatoczył się i upadł, gdy Jus odciął mu nogę w kolanie. Enid zaatakowała ponownie, ale potwór wytrzymał jej atak i znów ruszył na Justicara.

Chybiony cios czerwonego miecza trafił w ścianę i twardy granit strzaskał się niczym porcelana. Justicar ryknął i skierował swój miecz w kolana potwora. Ostrza znów się spotkały i znów posypały się iskry. Ogromna siła Justicara powaliła wroga na ziemię. Mężczyzna kopnął Reccę w twarz ciężkim butem, gruchocząc mu kark, czaszkę i szczękę. Potwór przeleciał przez balkon i uderzył o ziemię osiem metrów niżej.

- Udało się! - pisnęła radośnie Escalla. - Mamy go z głowy. Nie ma to jak praca zespołowa!

Wszyscy wyjrzeli przez balkon. Na dole Recca uniósł ręce do czaszki i z trzaskiem nastawił sobie złamany kark. Z jego ran ciekła zielona krew. Tam gdzie dotknęła martwego ciała, rany znikwały. Oczy potwora jeszcze się regenerowały, kiedy na dziedzińcu zagrzmiały kroki strażników Lolth.

Jus wsadził Polka pod ramię i rzucił się w głąb cytadeli. Pozostali poszli w jego ślady. Osłabiona Enid zatoczyła się. Justicar przyłożył dłoń do jej rany i posłał do środka falę leczniczej magii. Po drugim zaklęciu szrama zablizniła się, a Jus pomknął w górę zniszczonych schodów.

Z dziedzińca dobiegły krzyki. Coś widocznie przeszkodziło Recce. Justicar pobiegł ciężko w górę kręconych schodów. Escalla wzbijała się w górę, a Enid zawałiła za nimi klatkę schodową. Biegli, póki schody nie skończyły się przy drzwiach. Jus rozwalił mocny dąb i stał jednym uderzeniem ramienia.

Drzwi prowadziły na dach. Szumiał tu wiatr i widać było całą okolicę. Wokół rozciągało się zrównane z ziemią, zrujnowane miasto. Za nim kilometrami ciągnęły się zalane wodą pola. Na

północy pod osłoną chmary otchłannych nietoperzy poruszała się wielka armia. Obok cytadeli stał gigantyczny ruchomy pałac Lolth. Ogromna machina przycupnęła niczym tarantula. Lolth i jej świta wchodzili po schodach do paszczki potwora. Między dachem cytadeli i lśniącym metalem pajęczego pałacu rozciągała się przepaść o szerokości piętnastu metrów.

Jus otworzył przenośną dziurę i wskoczył do środka. Henry poszedł w jego ślady, wpychając przed sobą protestującego Polka. Trzymając dziurę w pysku, Enid zebrała siły i wyskoczyła w powietrze. Skrzydła bez wysiłku przeniosły ją nad przepaścią. Obok leciała Escalla, która miała za zadanie osłaniać skok swoją różdżką.

Enid wylądowała na rozległym metalowym grzbiecie potwora i wtedy stało się coś, czego nie przewidzieli. Jej łapy rozjechały się. Metal okazał się śliski jak masło. Nie mogąc odlecieć, Enid bezskutecznie waliła skrzydłami. Zaczęła ześlizgiwać się w dół, w stronę znajdującej się trzydzieści metrów niżej ziemi. Wisząca w powietrzu Escalla, chcąc przyjąć jej z pomocą, także wylądowała na grzbiecie pajaka - z tym samym skutkiem. Gdy Enid prześlizgnęła się obok, faerie zamieniła się w węża i wystrzeliła niczym lina ratunkowa, by złapać sfinksa za łapę. Oczy wyszły jej z orbit - ogon owinał się wokół Enid, a szyja pozostała na wystającym kawałku metalu. Faerie zrzędziła więc, gdy Enid podciągała się w bezpieczne miejsce i próbowała chwycić się śliskiego metalu.

- Jus. Pomocy! Nie możemy latać!

Ciężar Enid rozdzierał Escallę na pół. Justicar wyskoczył z przenośnej dziury i ześlizgnął się w dół. Wyszarpnąwszy zza pasa magiczną linę, którą kilka miesięcy temu zabrał erynii, złapał Enid za skórę na karku i zamachnął się liną jak batem. Sznur owinał się wokół pokrywy luku. Justicar ryknął i próbował się utrzymać, ale Enid była zbyt ciężka.

Szarpnąwszy ociężałe, pałac poruszył się. Uniósł się z przysiadu, wyprostowując nogi. Wisząc rozpaczliwie na magicznej linie, Justicar miał wrażenie, że cały świat się zakołysał. Szarpiąc niczym statek na oszalałym morzu, pajęczy pałac kroczył przez ruiny Zakola Keggle. Jus mocniej chwycił wyslizgującą mu się Enid, czując, że magiczna lina przecina mu dłonie.

Dźwięcząc niczym potężne dzwony nogi pajęczego pałacu miażdżyły kamienie i z pluskiem pokonywały zalane wodą pola. Kiedy pałac ociężałe podchodził do bramy do Otchłani, Jus czuł, że dłonie zaczynają mu się ześlizgiwać z liny. Magiczny krąg rozbłysnął chorobliwym światłem. W powietrzu uniósł się odór śmierci, rozkładu i zła.

Mężczyzna ryknął i poprawił uchwyt, z rany na ręce przeciętej przez linę ciekła krew.

- Trzymajcie się!

Henry pojawił się w otworze przenośnej dziury i próbował wybić otwór w pokrywie pałacu. Escalla zmieniła się w ośmiornicę, ale przyssawki jej miotających się macek nie znalazły żadnej powierzchni, do której mogłyby się przyczepić. Jus znowu się nieco ześlizgnął. Powietrze wokół nich tężało siarkowym dymem, popiołem i śmiercią, i nagle cała drużyna poleciała w dół.

Gdy spadali, kadłub z brązu przemknął im przed oczami. Escalla zmieniła się w nietoperza.

Uwolniewszy się, Enid zamachała szaleńczo skrzydłami, ocalając życie pozostałych. Z szarpnięciem wylądowała na ziemi. Wszechświat zatrzęsł się, gdy olbrzymia metalowa stopa mijającego ich pajęczego pałacu wbiła się w ziemię.

Leżeli na polu popiołu. Niebo nad ich głowami było czerwone jak krew. Odległe kształty poruszały się i krzyczały do niebios, które czuć było śmiercią. Pajęczy pałac Lolth grzechotał i dzwonił, znikając w mroku z zastraszającą szybkością. I nagle śmiałkowie zostali sami.

Escalla zleciała na dół i powróciła do postaci faerie. Henry i Polk wylecieli z przenośnej dziury. Leżeli obok Enid, która mrugała w szoku, rozglądając się po nagle zmienionym otoczeniu. Jus usiadł powoli i popatrzył na mroczne, gęste powietrze. Siedzieli na tarasie szerokim na setki kilometrów, płaskiej powierzchni na brzegu ogromnej przepaści. Przed nimi rozciągała się Otchłań, niekończący się upadek do wieczności otoczony przez sześćset sześćdziesiąt sześć kręgów piekła. Widok był oszałamiający, zapierający dech w piersiach i potworny.

Powietrze falowało niczym krzyk umierającego. Mosiężna szarańcza skrzeczała i szeleściła w pyle. Drużyna Justicara mogła tylko patrzeć na rozległą przepaść Otchłani i drżeć ze strachu. Escalla z niezmaconym spokojem otrzepała popiół ze spódniczki i rozejrzała się wokoło.

Hej, patrzcie! To Otchłań! - Szczęśliwa, że naprawdę czynią postępy, klasnęła w dłonie. -
Dobra, jesteśmy na miejscu!

* * *

Odrobinę zmęczona Lolth, Królowa Pajęczych Otchłani, Pani Drowów i Władczyni Pajaków, weszła do sterowni pałacu. Za sterami stały tu dwa sukkuby. Jeden syczał ze złości, że musi pracować. Na jej powitanie przybiegło stado maskotek - pajaków, skorpionów i różnych arachnidów, łaszących się do swej pani. Lolth, pani wszystkiego, na co spojrzała, zezwoliła niewolnikom, by przynieśli tron, i leniwie usiadła.

- Morąg?

Sekretarka kroczyła za resztą orszaku. Patrząc, jak wchodzi, jak zwykle ponura, Lolth podniosła filiżankę i zażądała herbaty.

- Morąg, co to za zamieszanie za naszymi plecami?

Gdzieś pośród swych skarbów Lolth zapisała prawdziwe imię Morąg. Rozkaz poprzedzony tym imieniem musiał być wykonany, nawet gdyby był to rozkaz samobójstwa. Morąg z gracją nalała herbaty i znalazła adamanitową łyżeczkę do cukru.

- Nic ważnego, Wasza Wspaniałość. Bijatyka w ruinach miasta.

- Coś zaatakowało mych strażników?

- Nie, Wasza Wspaniałość. Po prostu poróżniły się niższe stworzenia.

Lolth nie rozpoznała kłamstwa. Przyjrzała się Morąg dokładnie, a potem rozparła na tronie, kładąc nogi na plecach klęczącego niewolnika i napiła się herbaty. Strzeliła palcami na sukkuby sterujące jej pałacem po ścieżkach Otchłani.

- Pełna prędkość do Pajęczych Otchłani. - Napiła się herbaty, stwierdziła, że jest bez smaku i oddała ją. - Morąg, nudzisz mnie.

- Tak, Wasza Wspaniałość. - Sekretarka złożyła ramiona. -W przyszłości postaram się być bardziej zabawna.

Paskudne powietrze drżało od niekończącego się ryku. Poobijani i oszołomieni członkowie drużyny Justicara ostrożnie podnieśli się na nogi. Ziemia pod ich stopami była niczym wulkaniczny popiół. Trzeszczała, lekka i gorąca, przylepiając się do skóry. Powietrze nie zdradzało śladów życia, przynosząc ciężką i gęstą mgłę sproszkowanego ołowiu.

Wstrząsający grzmot dochodził z gigantycznego wodospadu. Rzeka, zbyt szeroka, by dostrzec jej drugi brzeg, płynęła do krawędzi Otchłani i spadała prosto na dół. Całe oceany wody wpadały w pustkę, uderzając po drodze w każdy z sześciuset sześćdziesięciu sześciu poziomów tej krainy. Mgła nad wodospadem pełna była miotających się, krzyczących kształtów, zagubionych w czasie i umyśle duchów o twarzach pozbawionych skóry. Oszołomiony tym widokiem, Henry wypuścił z rąk kuszę.

- Co to jest?

Enid, Polk i Justicar przyłączyli się do niego i spojrzeli na rzekę. Za ich plecami Escalla czyściła odzienie, zerkając, co tak zafascynowało innych.

- Och, to? - rzuciła. - To Lete, Rzeka Zapomnienia. Nic wielkiego. Jeżeli chcecie zobaczyć coś naprawdę imponującego, powinniście pójść nad Styks! - Sprawdziła ułożenie paska. - Lete płynie przez połowę zewnętrznych sfer. Przemierza całe światy! To jej najbrudniejszy odcinek. - Skończyła czyszczenie legginsów. - Jest jeszcze jedna rzeka, jakieś pół tuzina światów stąd: Mnemos, która chyba właściwie płynie pod tą tutaj. Zawiera stracone wspomnienia i jest czymś w rodzaju przeciwwagi dla Lete. Tak czy siak, fajnie to wygląda! Patrzcie, jakie duże! - Podniosła klejnot zwalniania czasu, by uwiecznić scenerię. - Mam! Za jakieś dwa tygodnie będziemy mogli zobaczyć to znowu i zdrowo się pośmiać.

Enid, wciąż wpatrzona w rzekę, zamrugęła.

- Przeciwwaga? Po co rzece przeciwwaga?

- Mówiłam ci, to Lete! Jeżeli śmiertelnik wpadnie do tej rzeki, traci wszystkie wspomnienia. - Escalla trzymając jedną rękawiczkę w zębach, zakładała drugą. Ryk rzeki zagłuszał jej głos. - To zewnętrzne sfery! Wiele z tych miejsc to takie, o których mówicie, że są „życiem po życiu”. Kiedy umrzesz, odrodzisz się w jednym z tutejszych światów!

- Naprawdę?

- Hej, zaufajcie mi. Jestem faerie! - Escalla pomachała dłonią. - W tych sferach jest wszystko: Pola Elizejskie, Hades, Valhalla... i Otchłań! Tu zresztą trafiają tylko prawdziwe dupki! - Machnęła zwalnającym czas kryształem w kierunku rzeki. - Wyznawcy wielu bogów wynurzają się z niej, kiedy umrą. Wyczyszcza im umysł. Sprawia, że większość dusz staje się pustymi łupinami i doskonałymi sługami.

- Sługami? - Enid wyglądała na zdezorientowaną. - Co przez to rozumiesz?

Escalla wymieniała porozumiewawcze spojrzenia z Justicarem i wzleciała w powietrze.

- Jeszcze do ciebie nie dotarło, że ci tak zwani bogowie to istoty, które stoją na drabinie władzy nieco wyżej niż ty, i nic więcej? - zapytała. - Nie obchodzi ich nic prócz własnej potęgi. Jeśli w któregoś wierzysz, po śmierci stajesz się jego sługusem. Może będziesz żyć w spokoju, a może obrabiać święte pola i myć pałacowe podłogi... Za to jeśli byłaś niedobłą dziewczynką, możesz skończyć tutaj jako pożywienie dla demonów.

- Bogowie nie mogą być tacy! - obruszyła się Enid. - Życie wieczne jest nagrodą. Martwe sfinksy trafiają na dwór Totha na pustyni niekończących się snów!

Escalla uniosła brwi.

- A co dzieje się w pałacu Totha?

- No cóż. - Enid urosła z dumy. - Otrzymujemy tam dostęp do zagadek wszechświata! Do biblioteki Totha. Wiedzy wieków! Możemy wypełniać zwoje, odkurzać półki i przynosić księgi odwiedzającym... - Na twarzy Enid błysnęło zrozumienie. - O cholera!

- Tak jest. - Escalla trąciła ją palcem. - Załapałaś.

Enid przysiadła, a potem spojrzała z zakłopotaniem na Escallę.

- Ty nie wierzysz w bogów?

- W żadnego, z którym przywitałabym się na ulicy.

- To co się z tobą stanie, kiedy umrzesz?

Enid przyłożyła dłonie do twarzy i zamknęła oczy.

- Cóż, dobre małe faerie podobno zamieniają się w leśne światełka gdzieś w lasach Seelie. - Faerie uśmiechnęła się szyderczo. - To dlatego jestem złą małą faerie. Zamierzam zostać duchem mody. Nie żeby miało to znaczenie. Nikt z nas nigdzie się nie wybiera!

-Co?

- Hej! - Escalla rozłożyła ramiona, by objąć przyjaciół. - Jestem księżniczką faerie. Nie pozwolę śmierci popsuć doskonałej przyjaźni! - Wykręciła w powietrzu beczkę, lecąc plecami do ogromnej rzeki. - A teraz ruszajmy! Dorwijmy tę pajęczą dziwkę z zaskoczenia, tak żebyśmy mogli szybko wrócić do domu i odrobinę się zabawić!

Podeszli do brzegu rzeki. Grzmot wodospadu stał się teraz tak głośny, że musieli krzyczeć, by się usłyszeć. Instynktownie ruszyli w górę strumienia, z dala do mgieł rzeki i jej latających, krzyczących duchów. Escalla ciągnęła monolog dla nieuświadomionych śmiertelników.

- To jest Otchłań! Sześćset sześćdziesiąt sześć poziomów prowadzących prosto w dół. Każdy

poziom ma powierzchnię kilku światów i jest królestwem jednego lorda Otchłani. Nazywają się bogami, ale to tylko demony mające kilka osobowości! - Escalla machała laską licza, jak przewodnik prowadząc przyjaciół między wielkim śladami zostawionymi przez pałac Lolth. - Uczymy się o.tanar'ri w szkole. Wiemy, że są odporne na magię, ogień, mróz i błyskawice. Prawdziwe utrapienie.

Henry przygarbił się, usiłując przekrzyczeć huk wodospadu.

- Jak załatwimy Lolth?

- Stałą! - Justicar objął prowadzenie, wyszedłszy poszarpaną ścieżką ku rzece. - Z zasadki i w walce wręcz.

- Wręcz? - Henry słuchał uważnie. - Jak dostaniemy się tak blisko? Coś nam w tym pomoże?

-Tak.

Justicar maszerował z ponurym wyrazem twarzy i nie odezwał się więcej. Escalla podleciała do góry i wzięła Henry'ego pod ramię.

- Coś nam pomoże? Jasne! Justicar ma zakłęcie kamiennej skóry, a ja asa w rękawie, kilka zakłęb walki! Mamy też ogłuszające symbole Enid, przenośną dziurę, magiczną linę, lodową różdżkę, laskę licza, Beneluxa, twoją kuszę, twój miecz, pazury Enid i mój mózg! I pieska też! - Faerie grzmotnęła Henry'ego w plecy. - Hej! Mamy nawet klejnot zwalniający czas i nawet po wszystkim będziemy mogli to sobie przypomnieć i jeszcze raz dobrze się bawić!

Henry sięgnął po kryształ, upuścił go i omal nie nadepnął. Escalla z piskiem rzuciła się w dół i ocaliła swój skarb.

- Hej! Uważaj! Nie zniszcz go.

- Przepraszam! - Henry wyglądał na zdenerwowanego. - A co, stałoby się coś?

- Tak, do diabła. Gdybyś go zniszczył, to byłaby katastrofa. - Podekscytowana faerie machnęła rękami, niemal rozbijając klejnot o wystającą skałę. - Ten kamień zwalnia czas! Gdybyś go rozbił, złapałby nas w pole zwolnionego czasu. Dla nas potrwałoby to może ze dwie sekundy, a w rzeczywistości minęłoby pół godziny! Zanim byśmy się wydostali, wokół nas czekałoby już sześćset potworów chętnych do zabawy w doktora naszymi śledzionami! - Ostrożnie wepchnęła klejnot za dekolt. - Zupełnie mi to nie leży!

- Och. Ach, tak. - Henry zamrugał, nerwowo spoglądając na kryształ. - Zupełnie.

- Henry zrozumiał - pośpieszyła z odsieczą Enid. - Jak myślisz, gdzie jest Lolth?

- Hmm? Och, pewnie za rzeką. - Escalla podleciała w górę, wirując w ciężkim powietrzu Otchłani. - Musimy tylko przez nią przebrnąć.

Gdy faerie wznosiła się do góry, coś wyskoczyło z tyłu, niczym odłamek szkła i poleciało

prosto na nią. Justicar zauważył ruch kątem oka, wyciągnął miecz i okręcił się, w porę zdoławszy trafić stworzenie. Była to jedna z mosiężnych szarańczy z zatrutym żądłem. Escalla zanurkowała w bok i uderzyła laską w kolejnego owada. Szarańcza wybuchła, a siła eksplozji wyrzuciła faerie w powietrze. Enid skoczyła i złapała ją, uciekając przed chmurą szarańczy wyskakujących z ziem niczym kamienie z procy. Ostrzeżony Justicar osłonił sfinksa, mieczem posyłając jedną szarańczę w piach. Inne trafiły w ścianę płomieni Popioła i ich skrzydła stopiły się w żarze. Ocalałe odleciały, by przeprowadzić kolejny atak, ale Henry trafił ich przywódcę jednym strzałem z kuszy. Pozostałe uciekły, piszcząc niczym ukarane dzieci.

Zapadła szokująca cisza. Atak skończył się równie niespodziewanie, jak się rozpoczął. Trucizna z żądła martwej szarańczy kapiała w popiół, sycząc i stapiając piach w szkliwo. Justicar ze złością złapał Escallę za stopę i posadził sobie na ramieniu, tam gdzie powinna siedzieć od początku.

- Cicho! - nakazał. - I miej oczy szeroko otwarte!

Szarańcza nadleciała niepostrzeżenie i zupełnie ich zaskoczyła. Popiół, kurz i dym Otchłani były gęste jak mgła. Wszystko w tej krainie było zabójcze: ziemia, powietrze, owady. Justicar dostroił swe zmysły do polowania.

- Uwaga! - krzyknął. - Uważajcie na siebie, trzymajcie się razem. Recca wkrótce przejdzie przez wrota. Tutejsze powietrze działa jak powolna trucizna. Nie możemy pozwolić sobie na zasadzkę. - Spojrzał na rzekę, usianą wyspami, przez które wielki pałac Lolth przeszedł na drugą stronę. - Musimy dostać się do pałacu Lolth, zanim nas dogoni.

- Będzie szybki? - Sfinks zmarszczył piegowaty nos.

- Znowu ma jedną stopę. To, co bierze od innych stworzeń, najwidoczniej nie zrasta się z jego ciałem ani się nie regeneruje.

- Och. - Enid, jak zawsze dystygowana, wyglądała na odrobinę zde gustowaną. - Masz na myśli te części, które odciąłeś mu po śmierci?

- Zgadza się.

- *Zły kościsty człowiek śmiesznie chodzi!* - Popiół wyszczerzył zębiska, a blask rzeki odbijał się niebieskimi refleksami od jego futra. - *Popiół następnym razem dobrze go przypali!* *Spali mu nogi!* *Spali mu głowę!* *Spiecze go na węgiel!* *Palić!* *Palić!* *Palić!*

- Dobry piesek. - Jus wyglądał na zaniepokojonego. - Ale nie możemy lekceważyć jego umiejętności.

- Ha! - Escalla wydobyła z przenośnej dziury kawałek wędzonej ryby. - Tym razem lepiej sobie z nim poradziliśmy!

- Jednak to nie wystarczyło. - Justicar szedł w kierunku rzeki. - Wciąż za nami lezie.

Zatrute powietrze Otchłani było gorące i gęste, a jednak wionęło chłodem. Najgorsze ze wszystkiego było przytłaczające poczucie zła. Ziemia zdawała się wydzielać mgiełkę kościstych cieni, dziwaczne kształty kości, pazurów i rozdziawionych czaszek, które pojawiały się w sekundę po odwróceniu głowy. Wiatr niósł wspomnienia tortur i nieskończonego, rozdzierającego bólu.

Przy rzece rosły wielkie, gnijące, żółte drzewa, z gałęzi których wiły się żmije. Drzewa syczały z głodu, tworząc gęsty żywopłot, który blokował drogę do brzegów rzeki. Ziemia pokryta była poszarpaną, ostrą trawą, po której pełzały syczące larwy. Drużyna zatrzymała się i spojrzała w przestrzeń nad rzeką. Wysoko nad wyspami widać było stado latających kształtów. Być może były to gigantyczne otchłanne nietoperze, a może i coś gorszego.

Po drugiej stronie rzeki - ledwo widoczna - lśniła biel pajęczej sieci. Monstrualna pajęczyna wznosiła się ku niebu, niknąc w srebrnej magicznej mgle. Wspinał się po niej ogromny brązowy pajak - pałac Lolth zmierzał do domu. Escalla popatrzyła na rzekę i z namysłem potarła podbródek.

- Co myślicie o tych latających stworach?

- Mogą być niebezpieczne. - Justicar przyjrzał im się uważnie. - Przypatrz się. Trzymają się z dala od wody.

- Fajowo! Unikają rzeki. To nasz problem rozwiązał się sam! - Faerie promieniała radością. - Mamy tu drzewa! Musimy tylko zrobić tratwę i przepłynąć na drugą stronę!

- Escalla, te drzewa są z węży.

- Cóż, nie mogę myśleć o wszystkim!

Strudzony Justicar wskazał na ciemne kształty kłębiące się pod powierzchnią wody.

- Escalla, te latające stworzenia trzymają się z daleka od wody, bo coś w niej ma *zęby*.

- Hmm. - Faerie podleciała w górę. - Jeżeli zrobimy tratwę z żywych drzew, węże i żmije odstraszą to coś w wodzie....

- Zapomnij o tratwach! - Justicar popatrzył na nią ostro.

- Już dobra, dobra! - Pomyślała przez chwilę i klasnęła w dłonie. - Mam! Oto plan: wleziecie do przenośnej dziury, ja zmienię się w coś straszniejszego i przelecę przez rzekę.

- A te latające stwory? - Justicar jakoś nie palił się do takiego rozwiązania.

- Po prostuje ominę! Bagatela. - Nieskończenie pewna siebie, położyła mu dłoń na ramieniu. - Hej, zaufajcie mi! Jestem faerie!

Polk i Enid już pakowali się do przenośnej dziury, szczęśliwi niczym skowronki na wiosnę. Henry zabezpieczył bukłak, bełty do kuszy oraz miecz i również wszedł do środka. Niechętnie zostawiając Escallę bez opieki, Justicar pochylił się nad krawędzią dziury. Faerie ucałowała go i

spróbowała wepchnąć do środka.

- Dalej - ponaglała. - Musimy ruszać.

- Nie zrobisz niczego głupiego? - Popatrzył na nią badawczo.

- Ja? Ja? Hej! No coś ty!

- Jeżeli cokolwiek będzie chciało z tobą walczyć, ląduj na wyspie i wołaj o pomoc.

- Co takiego? Przecież wiesz, że nikt nie rusza faerie!

Wzdychając ciężko, Justicar rozejrzał się po przerażającej okolicy. Przekonał go jedynie fakt, że w Otchłani nie było nic, czego można by dotknąć, pożyczyć czy ukraść.

- Leć tak szybko, jak tylko potrafisz. Trzymaj się z daleka od wody i niczego nie ruszaj!

- Jus, włącz do dziury, bo ci przyłożę!

Escalla popchnęła go do środka i zmieniła się w potwornie brzydkie, łuskowate stworzenie. Złapała złożoną dziurę w jedną szponiastą łapę, łaskę licza w drugą i wesoło wzbiła się w powietrze.

W dziurze Benelux wprost promieniał dumą.

- *Kocham tę kobietę za jej odwagę!*

Jus spojrział w górę na zamknięte wejście do dziury, zacierając nerwowo wielkie dłonie.

- Ona nie ma pojęcia, jak bardzo to jest niebezpieczne.

- Spokojnie, synu! Po prostu patrz na nią i ucz się! - Polk pracowicie zajadał kiepsko uwędzoną rybę, której odorem przesiąkła cała dziura. - Tak wygląda prawdziwe bohaterstwo! Odwaga w obliczu niebezpieczeństwa, śmiałość w zwalczaniu przeciwności. I wiara w zwycięstwo, bez względu na to, jakie są na nie szanse!

- Zamknij się, Polk.

- Synu, ta dziewczyna jest jedyna w swoim rodzaju!

- Tak. - Justicar usiadł ciężko przy ścianie. - Niech dzięki będą Wielkiej Świętej Krowie!

* * *

Zamieniona w latającego impa, Escalla gwizdała sobie cicho, lecąc nad rzekę Lete. Daleko w dole szkieletowe węże kłębiły się w wodzie. Powietrze było koszarne - drażniące i ostre niczym szkło. Escalla nigdy nie widziała miejsca, które byłoby tak beznadziejnie paskudne jak to. Raczej

podekscytowana niż przestraszona, leciała radośnie między gejzerami wody z Lete, której przekłete krople miały ją o centymetry. Zaczęły gonić ją dwa przypominające nietoperze stwory, ale skrzyły przestraszone, gdy śmignęła parę centymetrów nad spienioną wodą. Jeden z nich zanurkował w kierunku Escalli, która przebiegle opadła w dół, wyhamowała tuż nad powierzchnią wody i wzbiła się w górę na ułamek sekundy przed tym, zanim potworny, gnijący wodny wąż wyskoczył z odmętów. Chybił Escallę o włos i zatrzasnął szczęki na ścigającym ją stworzeniu. Faerie spojrzała nań współczująco i wzruszyła ramionami.

- Bogowie, jak dobrze jest być mną!

Na dalekim brzegu lasy wężowatych drzew bezskutecznie pluły w nią trucizną. Z ziemi uniosła się brązowa szarańcza, żadna krwi Escalli. Rozzłoszczona faerie zawirowała w powietrzu i zdzieliła owada rojem złotych pszczoł.

- Spadaj, śmieciu!

Nie było sensu wyciągać pozostałych z przenośnej dziury. Escalla doskonale radziła sobie z tutejszymi niebezpieczeństwami. Lecąc za śladami pałacu Lolth, trafiła do szerokiej szczeliny w ścianie Otchłani. Pajęczyna wznosiła się na tysiące metrów i zwyczajnie znikwała w srebrnej mgle, najwyraźniej łącząc się z inną sferą. Rodzimą sferą Lolth.

Escalla wsadziła lodową różdżkę pod ramię, złapała laskę licza i przenośną dziurę w szponiastą łapę i pomknęła wzdłuż ogromnej liny pajęczej sieci. Zwolniła w pobliżu srebrnej mgły i powoli się w nią zanurzyła, mrugając oczami z powodu nagłej zmiany atmosfery.

To miejsce cuchnęło jeszcze gorzej niż Otchłań. Escalla znalazła kiedyś w pudle martwą tarantulę i ten zapach miał w sobie coś z tamtego wyciskającego łzy z oczu smrodu. Kaszląc i ocierając oczy, faerie wylądowała na paśmie sieci i rozejrzała się dokoła.

Sieci tworzyły gigantyczne drogi prowadzące do potężnego srebrnego muru. Jedno włókno wiodło wprost do wielkiej bramy o wysokości sześciu pięter - najwidoczniej wejścia do pajęczego pałacu. Escalla ruszyła do następnego włókna, szukając jakiegoś przyzwoitego miejsca do lądowania, i zauważyła małe drzwi w kolorze arszeniku.

Stały przy nich dwie postacie - kobieta z zasłoniętymi oczami i szalem na włosach oraz mały demon siedzący przy biurku i otoczony piórami. Wnęki po obu stronach drzwi skrywały przynajmniej dwudziestu uzbrojonych, opancerzonych drowów.

Żaden problem! Escalla poleciała prosto w kierunku impa, zupełnie lekceważąc drowy. Z wnętrza przenośnej dziury dobiegł syczący głos Justicara.

- Escalla, jesteśmy już za rzeką?

- Prawie! Teraz bądź cicho! Przed nami jest jakaś wielka ryba!

Zmagając się z przenośną dziurą, Escalla podleciała do małego demona i zahamowała. Jej znajomość języka tanar'ri brała się z tych zajęć, które przesypiała w szkole. Szarpiąc się magiczną

materia, wskoczyła na biurko przy drzwiach.

- Witam! Witam! Dostawa specjalnych przesyłek! Każda chwila się liczy. Hopla!

Mały demon skrzywił się i popukał w blat absurdalnie długim piórem. Kobieta z zasłoniętą twarzą pochyliła się, coś pod jej szalem zaczęło syczeć i wić się. Escalla udawała, że zмага się z przenośną dziurą, wyjąc panicznie i próbując ją trzymać z daleka od siebie.

- Należy do was! To nie moje! Spadam!

Założyła, że demon przestraszy się pakunku i szybko ją przepuści. Niestety, stworzenie wskoczyło na biurko i wskazało na przenośną dziurę, najwyraźniej domagając się wyjaśnień. Escalla wrzasnęła i straciła cierpliwość na sekundę przed tym, zanim zrobił to demon.

- Tak czy owak, była to nużąca rozmowa. - Grzmotnęła stworzenie laską licza, posyłając je pod biurko, tak że uderzyło w stertę papierów, a sama zmieniła się w piękną faerie. - Hej, brzydale! Widzicie ten tyłeczek faerie? Jedwabście delikatny! - Odskoczyła w tył, znikając we mgle. - Lolth to kupa gnoju! Loth to kupa gnoju! - krzyknęła.

Rozległ się wściekły wrzask, kobiecy krzyk i syk węży. Drowy wybiegły ze stanowisk, krzycząc na siebie nawzajem. Escalla uciekała na piechotę, dramatycznie powłócząc jedną nogą i skrzydłem. Metr za nią zasyczały węże. Roześmiała się i puściła pędem. W murze dostrzegła kolejną wnękę. Wskoczyła w nią i trafiła na krótki korytarz, który ostro skręcił w prawo. Szalony syk węży podążał za nią, cienie na ścianach pokazywały członków pościgu - kobietę z włosami w postaci wijącej się masy węży i tuzin rozwścieczonych drowów.

Escalla wypaliła w ścianę z lodowej różdżki i rzuciła się w przód. Obiła się od muru i skręciła za załom. Zatrzymała się, gdy korytarz wypełnił odgłos pękającego kamienia i szkła. Ze ściany na rogu posypało się kilka poszarpanych kawałków lodu, spadając na stertę potrzaskanej skały. Kobieta-Medusa spojrzała na ścianę lodu, a jej odbity od niego wzrok zamienił w kamień cały oddział strażników. Ci uderzyli o ścianę i połamali niczym sterta gipsowych figur. Escalla przeleciała nad tym pobojobowiskiem. Zauważyła, że jeden z drowów wciąż żyje i ogłuszyła go jednym ciosem laski licza. Z wnętrza przenośnej dziury dobiegł przestraszony głos Jusa.

- Escalla, co się stało?

- Ha! To, co musiało się stać! - Wystrzeliła sople z lodowej różdżki. - Faerie rozprawia się z niższymi umysłami! Wyłaźcie z dziury! Jesteśmy przy tylnych drzwiach pałacu Lolth.

Rzuciła przenośną dziurę na ziemię i usadowiła się na połamanych posągach, niecierpliwie czekając, aż zjawią się wszyscy jej przyjaciele.

- Hej, spójrzcie! Szczątki Meduzy! - W stercie kamieni Escalla zauważyła lśnienie klejnotów. - Fajowo! Tyle zabawy i jeszcze kasa!

- Escalla! - warknął zdenerwowany Jus, rozglądając się dokoła.

- Hej! Zostało po niej parę fajnych rzeczy, a my przecież nie mamy żadnego skarbu! - Znalazła bursztynowy naszyjnik. - Ooo! Hej, Enid! Łap! To powinno pasować do twoich oczu! - Pochyliła się, zapinając naszyjnik na karku przyjaciółki. - Wiesz, że dziewczyna powinna dbać o urodę.

- Tak? - Enid ukradkiem zerknęła na Henry'ego i zarumieniła się. - Dlaczego?

- Bez szczególnego powodu. - Lecąc, Escalla poprowadziła ich do tylnych drzwi siedziby Lolth. - Dobra! Uwaga, ruszamy z wycieczką po Pajęczych Otchłaniach.

Jus nie ukrywał złego humoru. Kopnął leżące na jego drodze szczątki skamieniałego drowa i poszedł za Escallą w górę korytarza.

- Obiecałaś mi, że tylko przelecisz przez rzekę.

- I jesteśmy za rzeką! Hej! Brzegi rzeki to pojęcie względne! Czym tak w ogóle jest brzeg rzeki? To miejsce, gdzie kończy się rzeka? A może, gdzie wyschła? Mokradła, bagna...

- Escalla!

- Hej! Jesteśmy na miejscu! Zaufaj swojej ulubionej faerie. - Przyjrzała się skamieniałemu demonowi i wepchnęła go do przenośnej dziury, zdecydowana zrobić z niego ogrodowy ornament. - Możemy wślizgnąć się do środka. Dobrze się spisałam.

Justicar popatrzył na Henry'ego i Polka, którzy radośnie ruszyli w kierunku drzwi.

- Tak się nie robi, synu! Powinieneś stanąć jawnie!

- Zamknij się, Polk, i nie dotykaj drzwi. Pewnie chroni je alarmowe zaklęcie albo pułapka. - Justicar dokładnie przyjrzał się biurku małego potwora. - Niech każdy rozejrzy się dokładnie. Uważajcie na pułapki. Gdzieś tu powinien być klucz albo hasło.

- A to co? - Enid przyłożyła policzek do ziemi, skąd mogła się lepiej przyjrzeć srebrnej kuli wielkości cytryny, która spadła z biurka. - Klucz?

- Och! Czy to ma jakąś wartość? - Escalla podbiegła do Enid niczym błyskawica. - To perła? Gigantyczna perła?

- Nie. Sądzę, że to raczej pajęcze jajko. - Enid dotknęła go łapą i jajko pękło. - O rany.

Kula była wydrążona w środku i zawierała kilka małych przedmiotów: metalową piramidkę, srebrną kulę, gwiazdkę z brązu i błękitny kryształ. Justicar podniósł je, zanim Escalla zdążyła wziąć je w swoje rączki i zepsuć.

- Klucze lub przepustki. - Zielone drzwi same w sobie stanowiły okropny widok. Metal, z jakiego były zrobione, wydawał się być odlany na torturowanych, krzyczących twarzach.

- Niech nikt nie dotyka drzwi. Polk, *nie* dotykaj drzwi! Polk!

Polk nie słuchał, oparł o nie łeb i pchnął. Drzwi natychmiast błysnęły diabelską zielenią, a korytarzem pomknęły cicho trzy błyskawice. Jus i Enid uchylili się. Sfinks z zainteresowaniem spojrzął w górę. Błyskawice znikły, a drzwi stały otworem.

Polk zerknął na Jusa złośliwie i z wyższością podreptał w miejscu.

- Co ty tam jeszcze robisz, synu? Przygoda czeka! Tędy! Pomieszało ci się w głowie, synu - Przeszedł przez drzwi. - Musisz bardziej się starać. Nie dajesz sobie rady.

Za drzwiami stała gęsta srebrna mgła. Cuchnąca i kwaśna, przypominała rtęć. Jus wyciągnął miecz i wszedł w nią ostrożnie. Z Escallą przy boku, Enid i Henrym za plecami, wkroczył do Pajęczej Otchłani.

* * *

Na brzegu rzeki Lete, pośród ryku przelewających się wód ogromnego wodospadu, nad zmasakrowanym ciałem stał wojownik. Złoty pancerz i orli hełm pokrywały plamy rdzy. Rozdarcie na piersi ukazywało poszarpaną ranę w miejscu, gdzie kiedyś biło serce. Jedna ręka kończyła się ludzką dłonią, druga była kikutem. Nieumarły przystanął, by uciąć stopę martwego, krwawiącego mieszkańca Otchłani. Przycisnął ją do kikuta nogi. Strzępki ciała przytrzymały stopę w nowym miejscu. Po raz kolejny warczący trup spojrzął przez sadzę Otchłani w kierunku gigantycznej pajęczyny.

Za Reccą leżała sycząca tratwa ze żmij. Truposz popatrzył na Otchłań, odwrócił się plecami do rzeki Lete i ruszył do przodu, szukając zwierzyny.

Stali na drodze z polerowanego kamienia, zawieszanej pośrodku ziejącej rozpadliny. Ścieżka była szeroka, płaska, bez ścian i stropu, niczym most w piekle mgły. W oparach tworzyły się i znikwały umęczone twarze. Rozrywały je porywiste wiatry, które jednak wcale nie poruszały powietrza. Na kamiennej powierzchni ścieżki kłębiły się spłaszczone i błagające zmiłowania postacie. Odrobinę przygnębiona Escalla rozejrzała się dokoła i naciągnęła kolczugę.

- Och, tu jest bardzo nefajowo. - Skrzywiła się i przesunęła stopę. - Jus, myślę, że depczę czyjąś duszę.

- *To tylko dusza grzesznika.* - Benelux leciutko błysnął z pogardą. - *Idź dalej, kochanie. Szuraj nogami. Ci nędznicy na to zasługują.*

- Ostry, lepiej wsadź głowę w brudny tyłek jakiegoś potwora. - Escalla zdecydowała się rozwiązać problem za pomocą walki i zatrzepotała wojowniczo skrzydłami.

Wpatrzony w mgłę, Henry wycelował kuszę w prawo, mierząc w krzyczące, wirujące kształty.

- Co to za miejsce? - spytał.

- Pajęcza Otchłań. - Wyglądało na to, że tylko na Justicarze to, co widzieli, nie robiło żadnego wrażenia. Pochylił się nad ścieżką, szukając śladów. - To przedsiemek do rodzimej sfery Lolth.

Henry rozejrzał się dookoła i powoli wyprostował.

- To gdzie jest pajęczy pałac?

- Wyglądało to tak, jakby przeszedł nad nami. - Justicar położył dłoń na ramieniu Henry'ego i spojrzał w górę. - Gdzieś tam...

- A nie moglibyśmy polecieć i sprawdzić?

Escalla stała obok nich, machając skrzydłami. Jej twarz nabrała rumieńców. Trzepotała z całych sił, a dźwięk ten ściągnął na nią, jednego po drugim, uwagę wszystkich z drużyny. Faerie podskakiwała jak oszalała, jednak nie udało jej się wzbić w powietrze.

Enid podrapała się lekko po uchu tylną łapą.

- Cóż, kochanie - mruknęła. - Ten plan, zdaje się, napotyka na kilka technicznych problemów.

- No, dalej, do licha, dalej. Chcę lecieć. - Escalla podskakiwała i podskakiwała, szybko tracąc cierpliwość.

- Przestań, Escallo. - Jus w końcu wpadł na to, skąd wzięły się kłopoty Escalli i chwycił rozłoszczoną faerie za fałdy ubrania. - Jesteśmy w sferze Lolth. Tutaj obowiązują inne prawa.

- Prawa?! - Escalla miała się i wierzyła nogami. - Nie znoszę praw. Ograniczają wolność, a utrata wolności oznacza tyranie.

- Miałem na myśli prawa fizyki - uspokoił ją Jus. - Takie jak choćby grawitacja.

- Chcesz przez to powiedzieć - faerie przysiadła wreszcie na ramieniu mężczyzny - że tutaj cały czas będziemy musieli chodzić? Ooo, to wyjątkowo nie fajowo! Ktoś może przecież pomyśleć, że jestem krasnałem, albo jeszcze gorzej.

- Żaden krasnał nie ma takiego krągłego i jędrnego tyłeczka. - Justicar uważnie wpatrywał się w kłęby mgły, które otaczały ścieżkę. - Kiedy byliśmy na grzbiecie pająka, żadna z was nie mogła latać. Tutaj jest pewnie tak samo.

Enid nagle zamrugła.

- To znaczy, że mamy przejść wszystkie te ścieżki?

- To znaczy, że te ścieżki pełnią rolę labiryntu, który strzeże wejścia: - Justicar wzruszył ramionami i rozejrzał się dokoła. - Tak Lolth pilnuje swoich drzwi.

Justicar i Popiół ruszyli dalej. Na ramieniu mężczyzny siedziała Escalla, a na jej kolanach kołysała się lodowa różdżka. Za nimi szli Enid, Polk i Henry. Maszerowali w milczeniu, a wokół nich we mgle unosiły się krzyki potępionych dusz. Ich kroki brzmiały dziwnie cicho. Nie było tu ścian, od których odbijałoby się ich echo, ani kamieni, które grzechotałyby, poruszone stopą. Odgłos wielkich, miękkich łap Enid, wysokich butów Henry'ego, stopek Escalli czy ostrożnych stąpań Justicara był zaledwie cichutkim dźwiękiem na przerażającej posadzce, po której szli. Widniały na niej krzyczące twarze i pełne pazurów dłonie, była ciepła i pulsowała jak żywe ciało.

Ścieżka skręciła ostro o dziewięćdziesiąt stopni, a potem jeszcze raz. Escalla podeszła do jej krawędzi tak blisko, jak tylko starczyło jej odwagi, i spojrzała w dół. Poprzez mgłę ledwie mogła dostrzec poniżej inną ścieżkę, identyczną do tej, którą wędrowali.

- Hej, spójrzcie - zawołała.

Wszyscy spojrzeli w dół i dostrzegli zarysy następnej ścieżki, która skręcała w prawo jakieś sto metrów poniżej, ledwie widoczna w przerażającej, pełnej duchów mgle. Escalla uważnie się rozejrzała i jej bystre oczka wyśledziły jeszcze inne kształty, zagubione w oparach pod nimi. Wokół nich rozciągał się labirynt ścieżek, połączonych ze sobą niczym elementy układanki.

- Pałac wznosi się na krawędzi otchłani - oświadczyła po chwili. - Spróbujemy się tam wspiąć?

- Nie kuś chłopaka. - Polk przysiadł na zadzie niczym mysz i usiłował przebić wzrokiem gęstą mgłę, widział jednak zaledwie na kilkadziesiąt centymetrów. - Musimy przejść przez labirynt i pokonać strażników! Nasza przygoda się nie skończy, dopóki nie wybijemy ich do nogi!

- Zamknij się, Polk. - Justicar zapatrzył się w otaczające ich opary, uważnie obserwując, jak

poruszają się i przepływają obok. - Jak możemy się tam dostać?

Escalla aż zatarła ręce z radości.

- Mamy przecież liną. Tę, którą Jus dostał od erynii.

- Nic z tego. Jest za krótka. - Popiół już dawno przepalił ją w jakiejś potyczce. Teraz miała zaledwie trzy i pół metra i zwieszała się zza pasa Justicara, przy którym nosił też miecz. - A poza tym, mgła pełna jest duchów.

Odwrócili się i zaczęli obserwować unoszące się wśród oparów przerażające kształty. Potem, jak na komendę, zgodnie ruszyli przed siebie, szukając jakiś schodów czy drabiny, które przecież musiały się gdzieś tu znajdować.

Milczący pochód powoli posuwał się do przodu - zakręt po zakręcie, metr po metrze. Idący na czele Justicar nagle cicho osunął się na kolana. Wszyscy zamarli.

- Henry.

Jus wskazał chłopcu ledwo widoczne na ścieżce cztery potworne kształty. Były to skorpiony wielkości wilków. Henry spojrzał, przyklęknął i wystrzelił. Magazynek jego kuszy trzasnął i wyrzucił salwę bełtów. Dwa skorpiony zatoczyły się w bok, zwijając się, gdy zatrute strzały dotarły do celu. Pozostałe dwa uniosły łapy w górę niczym psy, które znalazły trop, i pognały wprost na drużynę. Enid i Jus rzucili się do przodu, ale obok nich przeleciał rój złotych pszczoł, niszcząc chitynę i wybijając dziury w pancerzach skorpionów. Stworzenia zatoczyły się i wydały ostatnie tchnienie.

Z palca wskazującego Escalli unosił się magiczny dymek. Zdmuchnęła go i lekko wzruszyła ramionami.

- Henry i ja zajmiemy się takimi drobnymi paskudztwami po drodze. - Złapała ogon Popioła i wdrapała na Justicara. - Kamienna skóra Jusa zablokuje tylko kilka uderzeń. Lepiej, żebyśmy ją mieli, kiedy będzie walczył z Lolth.

Wszystkie skorpiony miały na ogonach srebrne opaski. Trzymały się razem, niczym celowy patrol. Drużyna ominęła ich ciała szerokim łukiem, obserwując, jak wiły się w przedśmiertnych drgawkach.

Droga prowadziła dalej. Mijali kolejne zakręty, aż w końcu dotarli do miejsca, gdzie we mgle lśniły drzwi. Z pozoru prowadziły donikąd. Jus zrobił ruch dłonią i drużyna rozbiegła się. Enid i Henry strzegli ścieżki, podczas gdy Jus, Popiół i Escalla ostrożnie podeszli do drzwi.

Wejście po prostu wisiało w przestrzeni, stojąc na ścieżce i otwierając się w mgłę. Escalla zajrzała za nie, wzruszyła ramionami i strzeliła palcami. Obejrzała drzwi dokładnie, spytała o zdanie Popioła, a potem przyłożyła do nich spiczaste ucho. Cicho wróciła do reszty i szeptem oznajmiła.

- Za drzwiami jest pomieszczenie. Słyszę tam jakieś duże stworzenia, które się ze sobą kłócą.

Jus pokiwał głową.

- Popiół?

Popiół zmarszczył nos i zaczął węszyć przy szczelinie pod drzwiami. Wielkie kły zaślinyły i pies pomachał ogonem.

- *Cuchnące trolle!*

- Och! - Escalla radośnie zamachała skrzydłami. - Fajowo!

- Strażnicy! - ucieszył się Polk. Otworzył mały notatnik, który nosił za pasem, i zaczął skrobać notatki do swoich niekończących się kronik. - Mamy szczęście, synu! Zabicie strażników to czyn bohaterski! Czekaj nas walka twarzą w twarz! Miecz przeciwko mieczowi! Szlachetna odwaga przeciwko sprytowi zła!

Reszta drużyna nie zwróciła na niego uwagi. Escalla zbliżyła się do framugi drzwi, dłońmi wytworzyła czar i skinęła na Jusa, który kopniakiem otworzył wejście. Faerie z radością wrzuciła do środka ognistą kulę. Wszyscy rozbiegli się na boki, tylko Polk stał mrugając ślepiami, dopóki Jus nie chwycił go za futro i nie odciągnął z drogi. Ognista kula detonowała, posyłając płomień na ścieżkę. Zza drzwi wysypały się kawałki gruzu, które zaraz pochłonęła mgła. Justicar zerwał się na równe nogi. Henry stanął przed drzwiami i wyciągnął miecz. Gdy płonący, oszalały troll wyskoczył przez przejście, lśniący miecz Jusa zdmuchnął mu głowę z karku, a potem wbił się w żołądek drugiego strażnika. Wielki mężczyzna kopniakiem wrzucił swą ofiarę z powrotem do pokoju i zrobił krok do środka, jednocześnie obcinając ramię kolejnego trolla.

Rany trolli zaczęły się zablizniać, a odcięte części ich ciała odrastać. Justicar rozejrzał się po pokoju, sparował cios szponów jednego ze strażników i wbił miecz w jego czaszkę.

- Popiół!

Fala płomieni spowiła trolle. Potwory wrzasnęły, cofnęły się i wyschły, umierając. Obserwując spalone na węgiel ciała, piekielny ogar wydał dziki ryk radości. Jus wytarł Beneluxa i jednym płynnym ruchem schował go do pochwy, odwracając się plecami do pomieszczenia.

Escalla trzymała przy oku klejnot zwalniania czasu, nagrywając tę chwilę.

- Mam. - Wrzuciła kryształ za dekolt i z westchnieniem spojrzała na płonący, zrujnowany pokój. - Na bogów, uwielbiam, gdy zaczynasz siać śmierć!

Popatrzyła na ścieżkę. Jus zdzierał futro ze spalonych ciał trolli. Enid umazała łapy w sadzy i wyszła na drogę z Henrym u boku. Nagle faerie zeszywniała, jakby w jej głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Zamarła, nasłuchując.

- Jus, Recca znowu tu jest. Zbliża się szybko.

- Słyszał, jak walczyliśmy ze skorpionami. - Jus strząsał spalone kawałki futra trolli. - Co

powiesz na zwój ogłuszania?

- Och, nie sądzę, żeby działał na nieumarłych. - Enid zachmurzyła się. - Przykro mi.

- Nie ważne. Ruszajcie. Polk, idź z nimi. - Justicar rozciągał w dłoniach kawałki futra. Pomieszczenie pełne było gryzącego dymu. - Zajmijcie miejsca. Biegiem!

* * *

Drzwi stały otworem, a na ścieżce widać było ślady ognia. Na środku leżała porzucona spalona głowa trolla. Demoniczna Pajęczyna wyglądała na opustoszałą. Unosiła się w niej jedynie mgła, duchy i niesamowite wiatry. Naraz coś poruszyło się na ścieżce.

Pojawił się szybko, biegnąc niezmordowanie potwornymi krokami. Zardzewiały hełm w kształcie orła miał otwartą w niekończącym się okrzyku przyłbicę. Martwe oczy niestrudzenie poszukiwały tropu zwierzyny.

Smród spalonego mięsa sprawił, że stworzenie zwolniło. Miecz potwora wyskoczył z pochwy. Czarna krew wewnątrz ostrza świeciła i kipiała gniewem. Ominąwszy martwe skorpiony, Recca podszedł do końca ścieżki, ostrożnie obracając czaszką na wszystkie strony.

Przed nim otwierały się potrzaskane drzwi w nicość. Spalenizna, zwęglone ciała trolli, dym i smród znaczyły ścieżkę. Ślady łap sfinksa i pojedyncze ślady butów wychodziły na drogę. Recca wciągnął powietrze i zza drzwi zerknął do środka.

Rzucił się przed siebie, wyskakując wysoko do góry i wykręcając salto w powietrzu. Wylądował z mieczem w pozycji obronnej, ale nagle zmienił postawę. Przeciął trzy ciała trolli, okrutnie przekręcając ostrze w ich trzewiach. Krew nie trysnęła. Justicar nie ukrywał się pod zwęglonymi ciałami. Potwór odwrócił się, błyskając martwymi oczami. Poruszając się wyjątkowo ostrożnie, wyszedł przez otwarte drzwi.

Cios, który nadszedł, niemal przeciął go na pół. Recca obrócił się z zabójczą szybkością, parując uderzeniem mieczem i białe ostrze przeszło tylko przez połowę jego talii. Potwór wyrwał się i uciekł na ścieżkę. W miejscu, gdzie trafił go cios Beneluxa, ciało płonęło mu i dymiło.

Justicar czekał w ukryciu obok drzwi. Wisiał pod ścieżką, zawieszony nad wyjąca mgłą, pod kawałkami skóry trolla skrywając dłonie przed spojrzeniem przechodzącego górą Recci. Teraz zbliżał się do zataczającego się potwora, z mieczem gotowym do ciosu. Rana Recci dymiła i tym razem Justicar dokładnie zobaczył, co się z nią działo. Zielona krew lejąca się na otwartą ranę błysnęła i zasklepiła martwe mięso. Jus chłodno ocenił możliwości przeciwnika. Zmienił pozycję szermierczą, a Recca zareagował w sposób, jakiego się spodziewał, przyjmując odpowiednią postawę. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, i znów dostrzegł odpowiednią zmianę pozycji. Recca reagował, żył. Justicar przyglądał mu się znad czubka miecza.

- Jesteś tam, Recca...

Escalla razem z resztą drużyny czekała, aż Recca wybierze sobie miejsce do walki. Justicar zmienił pozycję, wybierając taktykę, której nauczył się w setkach walk już po śmierci swego mistrza. Zobaczył, jak ożywione ciało odpowiada. Pamiętał jeszcze, jaki respekt i cześć czuł dla tego mężczyzny, pamiętał, jak mistrz go zawstydzał i pamiętał pogardę, jaką okazywał swemu uczniowi.

Jeżeli Recca był zazdrosny, dlaczego uczył go wiedząc, że pewnego dnia dorówna mistrzowi? A może uczeń miał nigdy nie osiąść wszystkich umiejętności? Może Recca postrzegał go bardziej jako zagrożenie niż triumf swoich zdolności edukacyjnych?

Justicar poruszał się wolno i ostrożnie, okrążając nieumarłego nauczyciela. Recca powoli odsuwał się, cały czas pozostając minimalnie poza zasięgiem Beneluxa. Tańczył z tą samą dawną zręcznością i szybkością, wykorzystując umiejętności, z których był tak dumny. Byli zbyt blisko, żeby Escalla mogła zaryzykować czar, a Henry i Enid wiedzieli już, że lepiej nie walczyć z Reccą wręcz.

Zmuszając przeciwnika do przyjęcia odpowiedniej pozycji, Justicar przygotował miecz.

- Ten tanar'ri wyrwał ci serce, ale go zabiłem. - Wzbierał w nim gniew. - Jesteś zazdrosny, Recca?

Trup zasyczał niczym kobra, szczerząc kły. Justicar czuł jego nienawiść i wiedział, że w tym tkwi jego słabość. Recca walczył z powodu dumy i ona także czyniła go słabym. Justicar mógł pokonać tego stwora, nawet, jeśli za życia był mistrzem szermierki. Wiedział to z całą pewnością. Pozwolił ostrzu miecza przesunąć się o kilka milimetrów i warknął:

- Przegrałeś Recca. Przegrałeś, bo nigdy nie miałeś honoru. Umyślnie dał Recce okazję do ataku. Ten krzyknął i ciął, dokładnie tak, jak to przewidział Jus. Tym razem mężczyzna przyjął cios płazem miecza, łapiąc Beneluxa w dwie ręce niczym drąg. Ostrza zwarły się i Justicar uderzył rękojęścią w szczękę Recci, powalając go na ścieżkę.

Złamana szczęką zgrzytnęła i zagoiła się. Recca skoczył na równe nogi i ruszył na Justicara wymachując mieczem, i tworząc nim wirującą sieć stali. Zwarli się mocno i szybko, a miecze za każdym uderzeniem krzeszały z siebie iskry i dźwięczały głośno. Recca wyskoczył w górę i przeleciał nad Justicarem, by zaatakować go z tyłu. Wylądował z gotowym mieczem. Justicar zdążył wykonać tylko pół obrotu, gdy z boku uderzył go grad lodu. Magia rozproszyła się, zablokowana przez aurę magicznego miecza.

- Hej, szkieleciaku! - Głowa trolla stała na dwóch kształtnych nóżkach, a z jednego jej ucha wystawała lodowa różdżka. - Hej! Pamiętasz mnie?

Recca otarł lód z twarzy i dostrzegł Henry'ego, który zza rogu mierzył doń z kuszy. Machnął mieczem, wyłapując ostrzem dwa bełty, ale trzy kolejne trafiły go w pierś. Impet zniósł Reccę ze ścieżki i truposz spadł w kłębiącą się mgłę. Podbiegłszy do krawędzi drogi, Escalla i Jus patrzyli, jak porywa go prąd mgły, uderza nim o ścieżkę nad ich głowami i unosi w górę.

Escalla zdjęła wydrążoną głowę trolla i zaklęła.

- A nich to cholera! Już go mieliśmy! Zdobywałeś nad nim przewagę! Nigdy nie byłeś tak dobry jak teraz!

- Znajdzie nas ponownie. - Justicar oczyścił ostrze. Był zmęczony i rozczarowany. - Następnym razem.

- Hej, Jus. - Escalla złapała go za kolano i spojrzała z niepokojem. - Przestań. To tylko potwór z mieczem. Możemy go pokonać!

Justicar schował Beneluxa do pochwy. Recca żył i ujawniał nienawiść, której, jak zawsze myślał Justicar, pomiędzy nimi nigdy nie było. Escalla złapała Jusa za rękę i spojrzała mu w twarz.

- Tym razem poszło nam lepiej.

- On jest doskonały. - Justicar wciąż czuł w powietrzu nienawiść Recci. - Dobry, jak zawsze.

- Taak, ale ty jesteś lepszy.

Nagle Justicar pojął, co różni go od Recci.

- Recca jest zbyt dumny, by się zmienić. - Odwrócił się, by spojrzeć w mgłę. - Tak, przez trzysta lat był mistrzem szermierki i wodzem Trawiastych Biegaczy. Chce zwyciężyć, by potwierdzić swą doskonałość.

Spojrzał na ścieżkę nad głową, potem odwrócił się, kładąc dłoń na rękojeści miecza. Drugą ręką chwycił Escallę i razem wrócili do przyjaciół.

Henry rzucił okiem na mgłę, a potem rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym walały się szczątki pokonanych trolli. Nagle zachmurzył się i podniósł dłoń.

- Justicarze, sir, proszę na to spojrzeć!

Pośród popiołów leżała czysta biała koperta. Drużyna popatrzyła na nią ze zdumieniem. Popiół wciągnął powietrze, poczekał, zrobił to jeszcze raz i wyszczerzył zęby.

- *Dziewczęcy zapach!*

- Dziewczęcy? - Escalla pociągnęła nosem, niemal dusząc się od dymu i smrodu zwęglonych trolli. - To znaczy czyj?

- *Duża dziewczyna. Miła skóra!*

- Tako rzecz koneser. - Escalla podeszła do koperty i trąciła ją laską licza, która rozrosła się do rozmiarów miotły. - Dobra, ludzie! Pozwólcie, że zajmie się tym profesjonalistka. Głowy w dół!

Enid ukryła się za drzwiami.

- Escalla? Czy naprawdę sądzisz, że powinnaś to dotykać?

- Pewnie, że tak! Hej! Wiem, co mówię! - Faerie wygładziła malutką spódniczkę. - Ukryjcie się i pozwólcie mi pracować.

Rozbiegli się, a Escalla otworzyła kopertę końcem laski. Nie wydostał się z niej żaden czar. Nie wystrzeliły zatrute igły, nie otworzyła się zapadnia ani nie pojawiły potwory. Wychodząc ostrożnie z kryjówek, pozostali zebrali się wokół faerie, by zobaczyć, jak rozczarowana potrząsa kopertą, jakby miała nadzieję, że mogą z niej wypaść złoto i klejnoty.

- Hej! Sądzę, że to mapa! - Rzuciła kopertę Jusowi. - W porządku! Znalazłam wyjście. Dajcie mi Lolth, albo pozwolę Popiołowi was polizać!

-Fuj.

- Nie mów, póki nie spróbujesz. - Wyszepiała, pochylając się w kierunku piekielnego ogara. Wskoczyła na plecy Jusa. - No i co, dobra jestem, co?

- Zgadza się. - Justicar popatrzył na otwartą kopertę. W środku znajdowała się płatanina linii, które zdawały się być ścieżkami we mgle. Ktoś rozmyślnie, ładnym charakterem pisma zaznaczył punkt ich wejścia, kropka pokazywała pomieszczenie z trollami, a duży czerwony X odległy punkt w labiryncie. Inne miejsca były oznaczone dyskretnymi czerwonymi cyframi - dwiema Jedynekami", dwiema „dwójkami" i dwiema „trójkami". Każdą z nich opisano runą „podróż". Miała oznaczać pułapki, drabiny, a może schody?

Mapa była darem niebios. Zbyt hojnym darem. Zapewne pojawiła się tu za pomocą magii. Wszystko to pachniało wyrafinowaną pułapką. Justicar rozważył w myślach taką możliwość, a potem zabrał za dokładne przeszukanie pomieszczenia.

Ktoś naruszył popiół. Ślady miały postać długich, ukośnych pasm. Justicar roztarł popiół między palcem wskazującym i kciukiem.

- Co to za ślady, sir? - zapytał Henry, kucając przy jego boku.

- Zostawił je wąż. Wielki wąż - Jus pokazał swemu uczniowi, jak rozpoznawać ślady dzięki ich kształtom i odległości między nimi. Popiół był mocno ubity, co znaczyło, że wąż ważył przynajmniej tyle, co człowiek. - Pomocnica Lolth.

Demony mogą się teleportować. To wyjaśniałoby, jak weszła do pomieszczenia, choć drużyna walczyła przed drzwiami. Na kopercie nie zdążył jeszcze osiąść kurz. Musiała zostawić ją na sekundę przed tym, zanim Henry zajrzał do pokoju.

Henry podrapał się po rzadkiej szczecinie świeżo zapuszczanej brody.

- Dlaczego pomocnica Lolth miałaby nam dawać mapę?

- Gdyby Lolth wiedziała, że tu jesteśmy, spodziewałbym się raczej okrutniejszej pułapki. - Jus

oddychał powoli i ciężko. Podniósł fragment zwęglonego ciała trolla i podał go Popiołowi, który zaczął radośnie zajadać. - Użyjemy mapy, ale będziemy ostrożni. - Położył palec na ramieniu Henry'ego. - Bardzo, bardzo ostrożni.

* * *

- Morąg! Mamy szczury! Paskudne, małe szczury!

Odzyskując magię, Lolth leżała z nogami w wannie wypełnionej krwią kilku nieszczęsnych ofiar. Błogo planowała podboje, wykorzystując niewolników jako pinezki na mapie Flanaess, kiedy Morąg weszła do sali tronowej. Ze zdumieniem kołysząc długimi warkoczami, sekretarka przystanęła w drzwiach.

- Wasza Wspaniałość?

- Intruzi, Morąg. Weszli do Demonicznej Pajęczyny. Czuję w tym coś dziwnego.

- To uciekinierzy z poziomów więziennych, Wasza Wspaniałość? - Morąg skłoniła się głęboko.

- Może. - Lolth dokładnie przyjrzała się sekretarce. - Mam nadzieję, że nie włamał się do nas nikt z zewnątrz.

Morąg przemówiła ostrożnie, wiedząc, że gra o bardzo, bardzo wysoką stawkę. Jedno potknięcie i Lolth każe jej wyciągnąć na zewnątrz wnętrzności - powoli, metr po metrze.

- Strażnicy przy drzwiach nie donieśli o żadnych kłopotach, Wasza Wspaniałość.

- Naprawdę? - głos Lolth, przebiegły i ostry, ociekał ironią. Z ukosa popatrzyła na Morąg. - Jak długo mi służysz?

- Sto jeden lat, trzy miesiące, trzy dni, sześć godzin i dwadzieścia siedem minut, Wasza Wspaniałość.

- Ach. To znaczy, że zostało jeszcze osiemset dziewięćdziesiąt osiem lat, dziewięć miesięcy, dwadzieścia siedem dni, siedemnaście godzin i trzydzieści trzy minuty, zanim nasza umowa ulegnie rewizji. - Lolth poruszyła stopami w wannie, wygodniej rozsiadając się na tronie. - Mam nadzieję, że te zmiany będą korzystne, Morąg.

Morąg wyprężyła długi ogon.

- Jestem pewna, że wszystko zostanie właściwie załatwione, Wasza Wspaniałość. - Dokładnie ważyła każde słowo. - Do otchłani wróciliśmy jak zwykle. Wszystkie posterunki zostały zmienione natychmiast po naszym przybyciu. Wypuściłam dodatkowo sto pajaków do Demonicznej Pajęczyny. - Morąg wyciągnęła rozkaz, który Lolth powinna podpisać. - Tutaj są raporty z wylęgarni w Pajęcznych Otchłaniach. Tu jest przysięga sojuszu z Ixitxachtlem ze śródlądowego morza Flanaess. A tutaj jest rozkaz egzekucji kapłanki, która ma czelność mieć większy biust niż ty, pani.

- Och, po prostu zmieńcie ją w coś nieprzyjemnego na jedno popołudnie. - Lolth podpisała wszystko, wyraźnie znudzona procedurami.

- Tak, Wasza Wspaniałość.

- Będę gotowa za jakieś dziesięć godzin, Morąg, więc niech palacze rozpalą pod kotłami. Poza tym przynieś mi obiad. Och, i tym razem niech nie będzie to nic żyjącego! Nic, co potrafiłoby mówić. Nie chcę, żeby popsuł mi apetyt kolejny idiota, obiecujący, że spełni moje trzy życzenia, jeśli tylko puszcze go wolno.

Morąg skłoniła się unizienie, rozkładając sześć ramion, a potem wyslizgnęła się z pokoju. Lolth wyczuła w powietrzu słabą woń sadzy, skrzywiła się i wróciła do planów podboju i rzezi.

Śmiałkowie przycupnęli na zakręci ścieżki, podczas gdy Jus, Polk i Henry głowili się nad mapą. Pozwalając chłopcom udawać, że kierują wyprawą, Escalla zabawiała się pajęczą nogą, rzucając ją przed siebie.

- Hej, Popiół! Aport!

Noga podskoczyła. Popiół leżał obok faerie, bębniąc ogonem. Escalla westchnęła załóżnie i schowała ją na później.

- Naprawdę próbujesz?

- *Popiół próbuje. Patyk jest zbyt szybki.*

- Och, w porządku! Spróbuję ją toczyć. Może powinna pachnieć węglem? - Escalla spojrzała na przyjaciół. - Wiecie już, co pokazuje ta mapa?

- Sądzę, że te ścieżki są na różnych poziomach, które nie łączą się ze sobą. Żaden poziom nie znajduje się całkowicie pod lub nad innymi. Z wyjątkiem jednego, zaznaczonego czerwonym X. - Justicar spojrzał na ścieżkę i zmarszczył brwi. - Więc nie ma sposobu na przemieszczenie się między poziomami, chyba że można to zrobić w miejscach oznaczonych ołówkiem. Pasujące numery mogą być łączącymi się punktami.

- Ale czy to pewne? - Henry podrapał się pod hełmem.

- To jedyne znaki na mapie. - Justicar spojrzał na poplątane linie pokrywające kartkę. - Pierwszy numer jest tam. - Pokazał palcem. - Przez drzwi i w lewo.

Enid ukucnęła obok Escalli. Złożyła łapy i zniżyła głos tak, aby tylko faerie mogła ją usłyszeć.

- Ten nieumarły tropiciel jest wyjątkowo nieprzyjemny. Mam nadzieję, że Justicar szybko go znajdzie.

- Taak. Cóż, dostaniemy go. Justicar po prostu ma z nim trochę problemów.

- Bo nie dajemy mu rady.

- Nie, ale jest na nas bardzo zły.

- Och. - Enid z namysłem ostrzyła pazury o ścieżkę. - Zastanawiam się, gdzie jest twoja siostra? Coś dawno jej nie słyhać.

- Och, Tielle jest damą. Nie pracuje, chyba że musi. - Escalla prychnęła i ponownie rzuciła Popiołowi pajęczą nogę. - O ile ją znam, pewnie siedzi przyklejona do kryształowej kuli, czekając, aż opadnie moje zaklęcie ochrony przed namierzaniem.

- Nie znajdzie nas tutaj?

- Nie ma się takiej jedwabistej skóry jak ona, włócząc się po wertepach i śpiąc pod drzewami. Nie. Żeby nas znaleźć, wykorzysta magię. Zapewne wciąż siedzi w swojej jaskini.

Popiół machał ogonem coraz bardziej szczęśliwy. Jus wrócił i podniósł piekielnego ogara, z uśmiechem czyszcząc futro z popiołu i szczątków trolli. Zrzucił Popioła na plecy i wsadził Escallę na grzbiet Enid. Rzucił okiem na ścieżkę daleko w dole i dojrzał potworne stado gigantycznych pajaków. Śmiałkowie przyspieszyli więc kroku, zgodnie z mapą mijając drzwi i boczne dróżki, zakręt za zakrętem, ścieżka za ścieżką. W końcu Justicar uniósł dłoń, gdy szlak doprowadził ich do kolejnych unoszących się w przestrzeni drzwi.

Escalla ześlizgnęła się z pleców Enid i ściągnęła długie rękawiczki. Oddała różdżkę i laskę przyjaciołom i szeptem nakazała:

- Zostańcie tutaj. Henry, odwróć się! Znowu wracamy do natury!

Henry spiekł raka i odwrócił się. Faerie ściągnęła czarną zbroję, rzuciła ją Justicarowi i zmieniła się w tasiemca. Przecisnęła połowę ciała pod drzwiami, pozostała tak przez jakąś minutę, a potem bezszelestnie się wycofała. Wróciła do normalnej postaci i pokazała przyjaciołom, aby odsunęli się kilka metrów od drzwi.

- W porządku - wyszeptała. - W środku są cztery demony. Wielkie sępy! - Miała czas, by dokładnie się im przyjrzeć. - Na podłodze jest pełno połamanych szkieletów. Demony siedzą na kolumnach w rogach komnaty jakieś trzydzieści metrów w górze i nic, tylko czekają, wpatrując się w podłogę. Pewnie czegoś pilnują.

- Cztery demony? - Justicar nie spuszczał oka ze ścieżki i mgły. - Wobec tego to musi być coś ważnego, bo w armii Lolth i Iuza demony mają istotną pozycję i kontrolują całe regimenty.

- Powinniśmy się nimi zająć?

- Tak.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Escalla zacisnęła zęby i próbowała coś wymyślić. Henry rozejrzał się nerwowo.

- Mają kształty sępów? - upewnił się. - Są niebezpieczne?

Justicar milczał, więc Escalla wzięła odpowiedź na siebie.

- Możesz założyć się o swój biały tyłeczek! - Cały czas mówiła ściszym głosem. - Tanar'ri są wyjątkowo wredne, odporne na magię, twarde jak żelazo, paskudne jak karaluchy, a w dodatku grają nieczysto. Potrafią wytwarzać ciemności, mają zdolność teleportacji i telekinety... Jeżeli mamy je sprzątnąć, musimy to zrobić szybko! Naprawdę szybko, bo inaczej teleportują się i podniosą alarm.

Enid rozpogodziła się.

- Mogłabym je zająć zagadką!

- To demony, skarbie. - Escalla wzruszyła ramionami. - Bawi je coś zupełnie innego.

- Och. - Sfinks złożył łapy i zmarkotniał.

Justicar wziął kawałek węgla, który zachował dla Popioła, i na ziemi narysował szkic komnaty.

- Czy szkieletów jest na tyle dużo, że mogą nam przeszkodzić w poruszaniu się? - zapytał Escallę.

- Nie, raczej nie. Jest ich może z tuzin.

- A wszystkie kości są połamane? - Justicar zerknął na nią wymownie. - Jak gdyby spadły z wysoka?

- Telekinezą! - Zdenerwowana Escalla odchyliła się do tyłu. - No, tak. Demony potrafią unosić przedmioty siłą umysłu. - Odwróciła się do Henry'ego i dodała wyjaśniająco: - To jest pułapka! Telekinezą! Za pomocą siły umysłu podnoszą wchodzących na 30 metrów, a później rzucają o ziemię. Proste.

Henry spojrzał na szkic i zbladł.

-Więc jak je zabijemy i to jeszcze szybko, skoro siedzą trzydzieści metrów nad nami?

- Och! - Wciąż naga, ale zdecydowanie pewna siebie, Escalla rozłożyła ramiona. - Chcesz zobaczyć, jak rozprawię się z tanar'ri, które pragną krwi i są cięższe ode mnie o kilkaset kilogramów? No to tylko patrz! Pod tą piękną główką pracuje wspaniały umysł.

Justicar uświadomił sobie, że faerie właśnie szykuje się na jakiś kolejny głupi wyczyn. Skoczył do przodu, by ją powstrzymać, ale spóźnił się o ułamek sekundy. Escalla tanecznym krokiem zbliżyła się do drzwi i hałaśliwie zapukała. Pozostali rozpierzchli się na boki.

- Hej, wy! - krzyknęła. - Halo, tam w środku! Czy ktoś tu zamawiał 60-centymetrową boginię w przepasce biodrowej? Hej! Jestem zbyt mała, żeby dosięgnąć klamki. Otwórzcie!

Trzasnęło i drzwi uchyliły się lekko, jak gdyby za pomocą magii - lub telekinezy. Escalla otworzyła je na oścież i krzyknęła wesoło. Wypaliła błyskawicą w sklepienie komory, niszcząc występ, na którym stał jeden z demonów. Stwór spadł, a Escalla krzyknęła, gdy rozpostarł skrzydła. Wbiegła do komnaty i rzuciła czar w stronę sufitu, który natychmiast przysłoniła różowa, pachnąca truskawkami mgła. Wszystkie cztery tanar'ri ryknęły z wściekłości.

Escalla zmieniała się w ogromy skałoczep i mocno przymocowała do podłogi. Jej jama gębowa miotła obelgi:

- Hej, sępy! Walczycie tak samo źle jak pachniecie? To nazywacie telekinezą? No dalej! Uruchomcie swoje płyty czołowe!

Tanar'ri porzuciły wszelkie starania, by zachować rozsądek. Oszalałe z wściekłości rzuciły się ze szponami na skałoczep, bębniąc w jego grubą skorupę i próbując oderwać od podłogi. Ogromne, śmierdzące, sępogłowe i paskudne demony wyły ze złości.

- To wszystko, na co was stać? - drwiła Escalla. - Hej, dziobaki, do was mówię!

Szczęk Beneluxa, którego ostrze przeszło przez ciało tanar'ri był muzyką dla uszu faerie. Wystawiła szypułkę z okiem i patrzyła, jak jeden z sępów zatacza się z białym mieczem wystającym z piersi. Justicar kopnięciem uwolnił ostrze, spadły jeszcze dwa ciosy i kolejne tanar'ri wylądowały na ziemi. Kusza Henry'ego wypaliła pięcioma feeltami w bok ostatniego demona, który okręcił się, ruszył do ataku i padł, gdy z tyłu skoczyła na niego Enid.

Walka rozgorzała na dobre. Justicar bronił się z furią przed szponami sępa. Henry rozwinął magiczną linę i posłał tanar'ri na ziemię, dusząc go sznurem. Escalla gwizdnęła, powróciła do swej zwykłej postaci i wybiegła na zewnątrz po ubranie. Wzięła laskę licza, popędziła za tanar'ri i jednym dobrze wymierzonym ciosem odrąbała mu nogę. Szpony oszalałego z bólu demona trafiły w powietrze, ponieważ faerie wykonała fantastyczne salto, opadła mu na plecy i grzmotnęła w czaszkę, podczas gdy Polk ugryzł go w tyłek. Ostatni ze stworów zatoczył się, gdy Enid rozdarła go pazurami. Poleciały pióra, a Henry wbił miecz w pierś potwora.

Drużyna wyniosła z potyczki mnóstwo ran i zadrapań, ale żadne nie było szczególnie poważne. Justicar wykorzystał leczące zaklęcia, a Escalla otrzepała dłonie.

- Tak właśnie robimy to w lesie faerie!

Zdyszany, ranny i odrobinę oszołomiony Henry oparł się o miecz.

- O rany! Już... wcześniej... walczyłaś z tanar'ri?

. - Kto, ja? Nie! Jestem bardzo grzeczną dziewczynką. - Escalla wzruszyła ramionami. - Ale powinieneś zobaczyć mnie w bitwie na poduszki! - Wzięła klejnot spowalniania czasu i obejrzała w nim pokój. - W porządku. Stoimy w gnieździe tanar'ri nad szczątkami czterech sępów!

- Przystaniesz w końcu to robić? - oburzył się Justicar.

- Hej! To cenne wspomnienia! Za dwa tygodnie będziemy to oglądać i śmiać się do łez!

Justicar chrząknął i szepnął w ucho Escalli:

- Większość z tego, co zobaczymy to zbliżenia twojego dekoltu.

- Ach, tak. - Spojrzała na swój biust. - Cóż, w tych momentach możemy nałożyć torbę na głowę Henry'ego. No, dobra. A teraz poszukajmy skarbu!

Nie zdążyli znaleźć skrytki. Malutka żelazna piramida, którą zabrali spod drzwi Lolth, zaczęła wyrastać z sakiewki Jusa. Zakręciła się, przez moment błysnęła światłem i znikła. W mgnieniu oka znikły też martwe tanar'ri, szkielety i krew, zostawiając śmiałków samych pośrodku ścieżki. Mgła

wirowała.

- Och, no cóż! - Starannie czyszcząc pazury, Enid przysiadła na tylnych łapach i rozejrzała się dookoła. - Dobrze pomyślane. Ja tam nie lubię schodów.

- Hej! - Zdumiona Escalla rozejrzała się z niedowierzaniem. - A mój skarb!?

- A sępy w ogóle mają skarby? - Enid zdmuchnęła z nosa sępi puch. - Sądziłam, że najbardziej lubią rozkładające się gnaty.

- Może zbierały złote plomby! - upierała się faerie. - To przygoda, do cholery! Domagam się wynagrodzenia za udział w samobójczych misjach!

Justicar schował miecz do pochwy i przykląkł, by zbadać mapę. Wskazał na dwa zakręty korytarza i popukał w znaki wykonane czerwonym kolorem.

- Jesteśmy tutaj. To skrzyżowanie ścieżek pasuje. Właśnie weszliśmy na wyższy poziom labiryntu. - Zwinął mapę i wepchnął ją za pas. - Ta mapa naprawdę się nam przydaje.

Odszedł, by popatrzeć w dół ścieżki. Za jego plecami Polk uniósł wzrok znad notatek, ściskając w łapie pióro.

- Czekaj, synu! Jak się pisze „smukła”?

- E-S-C-A-L-L-A. - Ubierając się, faerie pochyliła się radośnie nad notatnikiem. - A przy okazji, na pośladkach mam dołeczki, a nie wgłębienia.

- Och! - Polk wykreślił kilka słów. - W porządku, już poprawiam! Zresztą, wystarczy mi szkic. Dopiero kiedy zabiorę się za redagowanie, wstawię kilka krwawych szczegółów.

Borsuk pisał dalej. Enid wzięta go w zęby i niosła przed sobą. Byli już głęboko w Demonicznej Pajęczynie, a notatnik Polka wciąż był tylko w połowie zapisany.

Przez pół godziny szli wśród dźwięków łkań duchów i cichych kroków. Ich jedynym pożywieniem było kilka wędzonych ryb, których smak sflukali buklakami letniej wody. Najważniejszy był teraz czas. Musieli złapać Lolth, zanim wróci do Fłanaess. Tak więc nawet jedząc, nie przerywali marszu.

Posiłek nie przypadł do gustu Escalli. Ubrana w obcisłe, skórzane, jedwabiście gładkie i dziwnie przejrzyste ubranie oraz czarną elfią kolczugę lśniła niczym ryba, jadąc na futrzanym grzbiecie Enid. Od czasu od czasu, gdy machała skrzydłami, błyskała drobinkami elfiego pyłu. Po pewnym czasie zdecydowała się wzmocnić morale drużyny grą w zagadki, w której Enid zawsze sobie dobrze radziła. Sfinks miał niepojętą zdolność do zapamiętywania faktów i liczb, rymów i poezji, a także ogromną biblioteką zwojów schowaną w wodoodpornym pudle wewnątrz przenośnej dziury. W zamyśleniu machając stopami, ze szczupłymi dłońmi założonymi za plecami, Escalla przygryzła dolną wargę i próbowała ułożyć rym.

- W porządku, hm... mam!

„Niestrudzony wąż, wciąż poruszony

Nigdy nie syczący, zbytnio nastroszony

Dumny, chociaż wciąż się kłania.

Czyszcząc szlaki tam, gdzie się skłania.”

Enid uśmiechnęła się, spoglądając przez ramię.

- Proste. To mój ogon.

- Kurcze. Każde dobra odpowiedź daje ci trzy pytania. - Escalla wyciągnęła się radośnie na ciepłym futrze przyjaciółki. - Strzelaj!

Jedwabiście miękka, złoto-brązowa i dziewczęco nieśmiała Enid rzuciła zakłopotane spojrzenie na idących daleko na przodzie Justicara i Henry'ego. Kiwnęła na Escallę, która pochyliła się tak, aby Enid mogła szeptać jej do ucha. Faerie przez jakiś czas słuchała przyjaciółki, a gdy ta skończyła, podrapała się po podbródku.

- Hmmm. To byłoby dziesięć. Wątpię... i dwunożni nie gryzą w kark, kochanie. No chyba, że ładnie poprosisz.

- Och! - Enid ponownie ukradkiem zerknęła na Henry'ego. - Nawet odrobinę?

- Cóż, zdarzały się takie przypadki.

- Och, to dobrze. - Enid pochyliła się bliżej. - A czy on naprawdę ma dołeczki w pośladkach?

- Jasne! - Faerie uśmiechnęła się szeroko. - I ma niezłe futro, tam w dole, gdzie...

- Escalla! - Enid zarumieniła się.

- Ale tak jest! - Faerie rozłożyła się na grzbiecie sfinksa. - Czy z Henrym jest coś nie tak?

- Nie! On jest absolutnie dos... - Enid spiekła raka, przerywając w środku zdania. - Hm, nie, w każdym razie nic, o czym bym wiedziała.

- Yhm.

Escalla dobrze się bawiła. Henry rzucał w stronę Enid nieśmiałe spojrzenia, a ta zawsze starała się trzymać blisko niego. Faerie ułożyła się wygodniej i kontynuowała grę w zagadki.

- Dwa małe ptaszki na ptaszkowym drzewie...

- *C-A-L-O-W-A-Ć!*

- Dzięki, Popiół! - Leżąc na plecach, Escalla uniosła palec w górę. - Literujesz coraz lepiej!

- *Popiół mądry!*

- Więc przynieś patyk!

- *Popiół nie tak mądry.*

- Mięczak!

Escalla oparła się na łokciu i spostrzegła, że mijają następne drzwi. Justicar rzucił okiem na mapę i poszedł dalej. Faerie zeskoczyła z grzbietu Enid i żywo wskazała je palcem.

- Hej! A co z tym pomieszczeniem? Nie zajrzeliśmy tam!

- To nie jest częścią misji. - Justicar patrzył na drzwi kątem oka. - Interesujemy się jedynie drzwiami zaznaczonymi na mapie symbolami teleportacji.

Twarz faerie posmutniała.

- Ale *Ju-us!* A jeśli są tam potwory albo zasadzka, albo coś, co pójdzie za nami, jeśli to ominiemy?

- Pytasz, czy jest tam coś cennego, co mogłabyś dostać w swoje łapki?

- Jasne! To też! - Faerie nie wyglądała na zażenowaną. - Hej! Odebrać coś królowej demonów to nie jest kradzież! Skoro Lolth jest zła, wszystkie swoje bogactwa wykorzystuje do złych celów. Zabierając jej złoto, zmniejszamy zło! - Escalla zatarła dłonie, szykując się na wejście do środka. - Widzisz? Mamy obowiązek wyczyścić ją ze wszystkich skarbów! To jedyne społecznie

odpowiedzialne postępowanie.

- Urocze. - Justicar popatrzył na nią wilkiem. Przekonana moralną argumentacją Escalli, Enid przyjrzała się drzwiom.

- W końcu czeka nas wesele - burknęła - za które trzeba zapłacić.

Polk natychmiast odłożył pióro. Bazgrał właśnie rysunek do kroniki, na którym pozbawiał tanar'ri głowy jednym potężnym ugryzieniem.

- No dalej, synu! Gdzie twoje poczucie prawości? Bohater okazuje wyższość nad złem waląc je w łeb i opróżniając jego kieszenie!

- Polk, zamknij się! Zostawcie te drzwi w spokoju. - Justicar skinął na nich stanowczo, sygnalizując, że pora ruszać. - Kończycie się nam czas.

Escalla już zdążyła dopaść drzwi. Polk wyciągnął się wysoko, więc wykorzystwała go jako podpórkę, by zajrzeć przez dziurkę od klucza.

- Pusto. Nic tu nie ma. To po prostu wielki, ciemny pokój.

- Więc zostaw go w spokoju - westchnął zdenerwowany Jus, odwracając się, by ją ponaglić. - Ruszajże!

- Mimo wszystko to fajny pokój! - Escalla złapała za klamkę i otworzyła drzwi. Zeskoczyła z Polka i stanęła w przejściu. - Widzicie. Nic tu nie ma. Tylko wielka, płaska, błyszcząca ściana z żelaza.

Ze środka dobiegł głośny szum. Escalla przez sekundę robiła śmieszne miny, a potem wpadła do pokoju i z hukiem rozpląszczyła się pośrodku żelaznej ściany. Wisząc półtora metra nad ziemią, wytrzeszczyła oczy. Próbowwała się poruszyć, ale kolczuga mocno przylgnęła do ściany.

- Auu! Jus! Jus! Zdejmij mnie stąd!

Z komnaty dobiegł ryk, a dookoła otworzyły się ukryte drzwi. Do środka wpadły tuziny dzwiedziolaków - cuchnących goblinów o wzroście przekraczającym dwa metry. Wszystkie miały drewniane pałki i gałęzie. Jus i Henry pospieszyli na ratunek. Henry potknął się, stracił równowagę i przykleił do ściany centymetry od Escalli. Hełm Jusa zerwał paski i śmignął w powietrzu. Benelux pisnął, gdy wywinąwszy kilka młynków, uderzył w żelazną ścianę obok głowy faerie. Dzwiedziolaki spojrzwały na schwyte ofiary i krzyknęły z radości, ruszając z pałkami na Escallę i Henry'ego.

- Jus! - pisnęła faerie, rzucając się niczym mucha przyklejona do lepu. - Przydałaby się odrobina pomocy!

Kiedy Enid i Justicar wpadli do komnaty, natychmiast ruszyło na nich dziesięciu dzwiedziolaków. Mężczyzna chwycił pałkę jednego z napastników i okręcił się, waląc dzwiedziolakiem o ziemię. Okrutnym uderzeniem łokcia wybił zęby innego potwora. Przechwycił

kolejny cios, a potem kopnął dźwiedziolaka z siłą wystarczającą, by złamać mu kolano. Pałka spadła na ramię Jusa, ale zakłęcie kamiennej skóry rzucone przez Escallę odbiło cios rojem małych pszczół.

Enid wpadła w kłęb dźwiedziolaków. Poleciały w nią pałki, a ona jednym potężnym uderzeniem odrąbała głowę jednego z potworów. W tym samym czasie wiszącą na żelaznej ścianie Escallę zaatakował tuzin dźwiedziolaków. Faerie krzyknęła, zmieniła się w różową maź i wypłynęła z ubrania, które pozostało na ścianie. Pałki stworów trafiły w żelazo, a maź-faerie uniosła się, kipiąc gniewem.

- Sukinsyny! - wrzasnęła.

Jeden z dźwiedziolaków uderzył w hełm Henry'ego, tak że aż metal zadźwięczał. Chwilę później faerie zawirowała, krzyknęła i ziemia pod stopami chłopaka zagotowała się od ogromnych, czarnych macek. Macki śmignęły, by zgnieść i zadusić sześć potworów, które ruszyły im naprzeciw. Escalla-maż wytarła nieistniejący nos i wróciła do walki, akurat żeby przyjąć uderzenie pałką. Przez jakiś czas odbijała się od ścian niczym gumowa piłka. Wyładowała na ziemi jak budyń, wstrząsnęła się gniewnie i krzyknęła:

-Wystarczy!

Błysnęła moc i pojawił się płonący punkcik gorąca. Wykręciwszy ramię dźwiedziolaka, Justicar rzucił jedno przerażone spojrzenie i padł na płask pod ognioodporną skórą Popioła.

- Enid! - zawołał. - Kryj się!

Sfinks przeskoczył nad tuzinem dźwiedziolaków, lądując tuż za Escallą, w chwili gdy maź wypaliła. Ognista kula przeleciała przez pokój i eksplodowała z apokaliptyczną siłą. Dźwiedziolaki w centrum wybuchu wyparowały. Dymiące szczątki pozostałych rozprysły się na wszystkie strony. Escalla-maż zaniósła się śmiechem, a potem spojrzała zdumiona, gdy fala gorąca popędziła w jej kierunku.

Siła eksplozji wrzuciła ją i Enid do wnętrza dźwiedziolaków. Wciąż przyczepiony do ściany Henry krzyknął, gdy rząd czarnych macek przed nim wyparował. Osmalony, lecz żywy chłopak otworzył oczy i z niedowierzaniem popatrzył na dymiące zgliszcza. Popiół wyszczerzył zęby, wciągnął powietrze i radośnie zamachał ogonem.

- *Wielkie buuutn! Zabawne!*

-Rzeczywiście, zabawne. - Odrobinę osmalony, za to straszliwie wściekły Justicar wy dostał się spod futra ogara, kopnął płonącego dźwiedziolaka i wetknął głowę do wnęki, gdzie leżały Escalla i Enid.

Enid straciła całe futro i pióra, a kępka włosów na jej ogonie płonęła. Escalla-maż była zupełnie czarna, a jej dwoje białych oczu błyskało niepewnie. Justicar chwiejnie podszedł do Enid i zużył ostatnie zakłęcie leczenia, by zaradzić jej oparzeniom i przywrócić godność. Potem złapał Escallę za brzeg protoplazmy i otrząsnął ją z sadzy.

- Teraz nie mam już leczniczych zaklęć ani eliksirów. Ty osobiście wyrządziłaś nam więcej szkód niż cała Otchłań.

- Ja? - Faerie-maż wypuściła kółko dymu - F-fajowo! C-czy znaleźliśmy jakiś skarb?

Na podłodze w kłębie szmat leżał klejnot. Justicar podniósł go i wepchnął w usta Escalli, sadzając ją na podłodze. Wrócił do Henry'ego i siłą uwolnił go ze ściany. Zmagając się z przyciąganiem magnesu, wyniósł chłopca na zewnątrz, a potem wrócił po ubranie Escalli, swój hełm i Beneluxa. Magiczny miecz przeklinał i pałał oburzeniem.

- *No nie, sir! Nie wytrzymam! Nigdy, od dnia, w którym mnie wykuto, nie zostałem tak upokorzony!*

Z trudem wyciągając miecz z komnaty, Justicar tylko warknął. Zachęcony jego milczeniem Benelux szykował się do dłuższej tyrady, unosząc głos jak męczennik.

- *Nie, sir, tak być nie może! Władali mną królowie, sir! Półbogowie! Herosi!* - Miecz nie miał płuc, więc nie potrzebował przerwy na oddech. - *Żeby do tego doszło...Zostałem ofiarą zwykłej niezręczności. Upuścił mnie w walce wybrany wojownik...*

Justicar otworzył dłoń. Miecz śmignął w powietrzu i przylepił się do magnetycznej ściany. Zaskrzeczał z zaskoczenia i bólu i natychmiast się uspokoił.

- *No dobrze. Rozumiem, że tym razem zaistniały pewne okoliczności łagodzące.*

Nie kłopotując się z odpowiedzią, Justicar oderwał go od ściany i zaczął ciągnąć z powrotem ku wyjściu. Miecz obruszył się na takie szorstkie traktowanie.

- *Hm! Myślałem, że nasz romans mógłby zmienić twój stosunek do zwyczajów społecznych.*

-Nie.

- *Widzę.*

Drużyna zebrała się na ścieżce, czyszcząc poczerniałe broje, gasząc płomienie i starając się zreperować sprzęt. Justicar, który dzięki ognioodpornej skórze piekielnego ogara i smoczym łuskom zbroi nie odniósł poważniejszych obrażeń, wyczekująco popatrzył na Escallę.

Faerie właśnie powróciła do zwykłej postaci i przyglądała się spalonym resztkom bielizny. Dostrzegła spojrzenie Justicara i natychmiast przeszła do obrony.

- Jakby to była moja wina! - Wrzuciła błękitny klejnot dźwiedziolaków do przenośnej dziury. - A poza tym, to kto ich pozabijał? No? Ja!

Justicar nie spuszczał z niej ciężkiego spojrzenia, więc po chwili poruszyła się niespokojnie.

-W porządku - mruknęła. - To ja zasugerowałam, żeby wejść do tej komnaty, ale to nie znaczy,

że jestem odpowiedzialna za to, co się stało!

Potwierdzenie nie nadeszło, a Escalla wiła się jak na haczyku.

- Och, ludzie! Myślałam, że jeśli się kogoś kocha, nigdy nie trzeba mówić przepraszam! - Naciągnawszy ubranie, zmagła się z paskami i spódnicą. - No dobrze. Przepraszam! Żałuję, że przydarzyła nam się taka niefortunna przygoda, ale to nie znaczy, że poczuwam się do odpowiedzialności. Co jeszcze mam powiedzieć?

Justicar naprawiał pasek przy hełmie. Escalla czuła się coraz gorzej.

- Przepraszam wszystkich za to, że wysadziłam was w powietrze - krzyknęła wreszcie. - I obiecuję, że nie zrobię tego więcej... przynajmniej przez następny tydzień. W porządku, już wystarczy! Nie pastw się nade mną! - zwróciła się do Justicara, kopiąc dymiące szczątki dźwiedziolaka. - Cholera! Obiecuję, że nic nie zrobię przez cały tydzień. Dwa tygodnie! Zadowolony?

Zszokowana Enid zerknęła między tylne łapy.

- Co się stało z moim ogonem?

- Nic! - Escalla pracowicie oczyściła jej odrośnięte futro. - Weź sobie zapasowe ubrania z przenośnej dziury, skarbie. Ogień cię trochę...osmalił. Hej, ludzie? Mam wspaniały plan. Od teraz otwieramy tylko te drzwi, które pozwoli nam otworzyć Jus, a pozostałe zostawiamy w spokoju!

- Dobry plan - powiedział Henry, masując guza na głowie. Bielizna Escalli zamieniła się w popiół.

- Cholera! - zaklęła. - To był mój najlepszy jedwab!

- *Zabawne!* - Popiół wyszczerzył zęby z radości.

- Taak, przezabawne. - Dała zwęgloną bieliznę piekielnemu ogarowi. - Masz! Użyj sobie! - Zła, osmalona i śmierdząca sadzą pomaszerowała prosto przed siebie. - Lolth musi mieć jakiś przyzwoity skarb! Ta przygoda okrutnie rozprawiła się z moją garderobą. - Idąc, zostawiała za sobą chmury sadzy. - Ruszajcie! Dotrzyjmy do pałacu, póki jeszcze mam wyczucie stylu!

* * *

Ścieżki krzyżowały się przez następny kilometr. Zerkając w długą, pustą drogę, wychylony za róg Justicar szukał znaków i śladów. Ścieżka wydawała się być czysta, od dawna nikt tędy nie chodził. O tym, że w okolicy jest jakieś życie, świadczyło jedynie stado gigantycznych pajaków poruszające się miarowo na innej drodze. Justicar poczekał, aż odejdą, a potem pokazał przyjaciołom, by poszli za nim.

Henry stanął cicho obok Justicara, przyglądającego się wiszącym w przestrzeni drzwiom. Był to następny punkt oznaczony na tajemniczej mapie.

- Ani śladu Recci, sir?

- Nie. - Justicar skinął głową w kierunku drzwi. - Ale te drzwi są prawdopodobnie strzeżone. Nie zdołamy ominąć straży, nie zostawiając za sobą śladów walki.

- On nie może mieć kluczy, sir. A w każdym razie nie takie, jak nasze.

- Wie, że kierujemy się do pajęczego pałacu. Może znaleźć inną drogę.

Prowadząc za sobą pozostałych, Justicar podszedł do drzwi i dokładnie się im przyjrzał w poszukiwaniu pułapek. Escalla głośno wyłamała palce, zbliżyła się do wejścia, a potem zmieniła się w ślimaka morskiego z oczami na szypułkach. Wsadziła je w szczelinę przy framudze i dokładnie rozejrzała się dookoła. Jej głos dochodził z tuby do oddychania na końcu czerwonego ciała ślimaka.

- W porządeczku! Przed nami wielka, zalana wodą komnata, jakieś trzydzieści metrów kwadratowych. Wygląda na to, że od drzwi prowadzi grobla do jakiejś wyspy. - A... - Ślimak parsknął. - A na niej stoją iluzje dwóch tanar'ri. Fuj! Ależ są paskudne! Ktoś wymyślił niezłą zachętę dla odwiedzających. Obrzydliwość! - Pochodząc ze świata, gdzie iluzje często przedkładano nad rzeczywistość, Escalla miała co do nich wysokie wymagania. - Na suficie jest bezpiecznie. Może coś ukrywa się w wodzie... Och, co za smród! Coś tam cuchnie jak pranie lykantropa!

Ślimak cofnął się, odpełził w tył i zmienił w faerie.

- Przykro mi. To wszystko, co mogłam dostrzec. Nie wiem, jacy są tam strażnicy.

- To wystarczy. - Justicar przysiadł na piętach, rysując mapę zamkniętej komnaty szczątkami spalonego dzwiedziolaka. - Ostatniego pomieszczenia z teleportacją pilnowały tanar'ri. Jeżeli miejsca zaznaczone na mapie przybliżają nas do pałacu, to najprawdopodobniej wszystkie są strzeżone przez tanar'ri. Z tym, że im bliżej Lolth, tym strażnicy są groźniejsi.

Escalla westchnęła.

- Kurcze! Te ostatnie niemal nas zabiły, a ja nie mam przyzwoitych czarów! Muszę uzupełnić zapasy!

Próbując zrozumieć, na czym polega problem, Henry podrapał się w brew.

- To jakie czary masz?

- Kiepskie. Cóż, naładowałam się zaklęciami do walki. Pociski, sieci, ognista kula... nauczyłam się zaklęcia wampirzego dotyku! - Faerie obliczała czary na palcach. - Miałam czarne macki i mniejszą sferę niewrażliwości. Och! I przygotowałam mój czar smaru!

- Smaru? - zamrugnął Henry. - Po co?

- Och, to bardzo śmieszne. Zaufaj mi, jestem faerie!

- O-o-och! - Enid podeszła bliżej. Najwyraźniej była pod wrażeniem. - Co to jest wampirzy dotyk?

- Coś super fajowego! Zabiera energię życiową twojego wroga i daje ją tobie! Znalazłam to w starej księdze.

- Tej dużej, czarnej, która ostrzegała, żeby jej nie otwierać?

- Taak! Właśnie tam!

Ignorując wszystkich, Polk zajął się kopiowaniem mapy Justicara do swego notatnika. Na rysunku postacię prowadzone przez borsuka znaczyły szlak, który już przeszli.

- Synu, dlaczego ta komnata jest zalana? - zapytał nagle. - Co za strażnicy chcą stać cały dzień po kolana w wodzie?

Justicar zachmurzył się i spojrzał na drzwi.

- Tanar'ri, Polk.

Zerknął wyczekująco na Henry'ego. Chłopak zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi i nagle rozjaśnił się. Do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Odwrócił się do Polka i zaczął mu nieskładnie tłumaczyć.

- To kolejna pułapka telekinetyczna, rozumiesz? Atakujesz wyspę idąc groblą, a wtedy ukryte tanar'ri wykorzystują swoją moc, by ściągnąć cię ze ścieżki i utopić.

- Dobra robota - pochwalił go Justicar, stając twarzą w kierunku drzwi. W duchu zaś dodał: - Tylko co z tego, skoro nadal nie wiem, jak ich pokonać.

Nagle Henry chrząknął z radością i otworzył przenośną dziurę.

- Escalla ma coś, żeby się z tym uporać! Zanurkował w dziurze.

- Co? - Nagle zaciekawiona Escalla popędziła za nim. - Lodową różdżkę? Zamienimy wodę w lód?

-Nie!

- Zapasową bieliznę? Zostawimy ślad, by wyciągnąć ich tutaj?

- Nie-nie! Poczekaj! Mam! - Henry wyskoczył z dziury, ciągnąc worek pełen podzwaniających butelek. - Spójrzcie! Elixiry gigantycznego wzrostu!

Escalla wydała gniewny okrzyk i pochwyciła worek.

- Nie! Tylko nie eliksiry gigantycznego wzrostu! Nie! Nie! Nie! - Obejmując worek rękami i

nogami, panicznie trzepotała skrzydłami. - Nie! Została mi tylko jedna butelka! I to... tylko w razie nagłych wypadków!

- Ale przecież policzyłem je! Brakuje jednej, a więc wciąż jeszcze masz ich siedem. - Henry wskazał na butelki. - Plan jest taki. Wszyscy rośniemy do gigantycznych rozmiarów - ja, Justicar i Enid. Wtedy tanar'ri nie będą mogły nas przemieścić, bo będziemy zbyt ciężcy! Co więcej, jako giganci zabijemy ich, ot tak!

- Ale zmarnujesz mi aż trzy eliksiry! - jęknęła Escalla, załamując ręce.

- Zostaną ci jeszcze cztery! Tę samą sztuczkę możemy zrobić w następnym pomieszczeniu zaznaczonym na mapie!

- Nie-nie-nie-nie! - krzyknęła pobladła Escalla, chwytając za cenne eliksiry. - Zmarnowałbyś je wszystkie!

Henry zmieszał się.

- Po co nam tyle eliksirów wzrostu?

- Po-po-ponieważ to... to... lekarstwo! Tak jest! Lekarstwo! - Faerie schowała eliksir za plecami. - Moje lekarstwo! Tak! Potrzebuję go na...hm... kobiecą przypadłość!

- Często ci się zdarza?

- Cóż, z pewnością chcę, żeby zdarzała mi się często! - Escalla zgarnęła worek z eliksirami i schowała go za plecy. - Masz! Bierz! Możesz dostać trzy! I ani kropli więcej!

Jus, Enid i Henry podzielili się buteleczkami, kompletnie ignorując Escallę. Faerie tańczyła w kółko, próbując przyciągnąć ich uwagę.

- Hej! Gigantyczny rozmiar nie rozwiązuje problemu! Nadal potrzebujemy taktyki! Halo! Czy ktoś mnie słucha?

- Tak. Słuchamy, słuchamy. - Justicar trzymał w palcach buteleczkę, z namysłem patrząc przez szkło. - Musimy zapobiec ich teleportacji. To oznacza, że musimy zabić ich z zaskoczenia, lub rozwścieczyć tak, żeby chciały z nami walczyć.

- W porządku! - powiedziała zirytowana Escalla. - Faerie ma wszystko pod kontrolą! Najpierw ja wejdę tam z Jusem, a wy dołączycie za minutę. Zrobimy kanapkę z tanar'ri.

Henry wyglądał na zdumionego.

- Jak?

- Użyję zaklęcia mgły. Jus i ja wślizgniemy się do wody i zmienimy w rekiny, a potem wy zaatakujecie. My weźmiemy ich od tyłu, po tym, jak zwrócicie na siebie ich uwagę. - Faerie

wzruszyła ramionami. - To najlepsze, co mogę zrobić.

- Och? - Henry spoglądał podejrzliwie. -I nie będzie żadnych ognistych kul?

- Och, na miłość bos...! Zdarzy ci się kiedyś wysadzić parę osób i już nigdy nie pozwolą ci o tym zapomnieć. - Faerie straciła cierpliwość i ruszyła do drzwi. - Po prostu pilnujcie eliksirów i pozwólcie mi zająć się magią!

Zatrzymała się przy drzwiach i władczo strzeliła palcami. Justicar nacisnął klamkę. Gdy drzwi otworzyły się odrobinę, Escalla wpuściła do środka mgłę. Skinęła na Jusa, cicho podeszła do przodu i wtedy...cały plan diabli wzięli.

Gęsta mgła rozeszła się nad wodą. Justicar wślizgnął się do komnaty tuż za Escallą. W mgnieniu oka zawirował i wbił w wodę swój oślepiająco biały miecz. W mroku ostrze trafiło w coś, co wrzasnęło i warknęło. Jus zanurkował, rozcinając mieczem wielką ropuchę tanar'ri. Potwór krzyknął i rzucił się na niego ze szponami.

Mgła na powierzchni spowiła część pomieszczenia. Escalla kaszlała i dłońmi rozgarnęła ją na boki, a wtedy powietrze przeszył ryk. Wokół rozległy się pluski.

- Jus? Jus!

Enid i Henry wypili eliksir i rzucili się do komnaty. Puścili się biegiem po grobli, rozbłyśli, gdy rozpoczęło się działanie magii, a potem czterokrotnie zwiększyły się ich rozmiary. Ośmiometrowy Henry skoczył w wodę z sześciometrowym mieczem w dłoni i schwytał ropuszego demona. Ścisnął głowę potwora i pociągnął z olbrzymią siłą, by rozedrzeć go na strzępy. Za plecami chłopaka gigantyczny sfinks uderzał łapami w wodę, skacząc, dopóki nie zdeptał kolejnego tanar'ri.

W górze nad nimi Escalla machała dłońmi i próbowała przekrzywić piekielne wrzaski.

- Ludzie! - Strzeliła promieniem złotych pszczół w jakiegoś tanar'ri i patrzyła, jak zaklęcie odbija się rykoszetem. - Ludzie! Potrzebujemy trochę dyscypliny!

Demon z wielkimi kłami sunął przez wodę niczym głodny krokodyl, celując wprost w plecy Henry'ego. Przeklinając, Escalla wyciągnęła laskę licza i puściła się biegiem po grobli. Wyskoczyła w powietrze, wylądowała na grzbiecie tanar'ri i grzmotnęła go w łeb. Błysnęła moc i szczątki potwora rozprysły się po wodzie. Demon wrzasnął, wycofał się i zanurkował. Escalla trzymała się go z całych sił. Zmieniła się w minoga, przyssała do skóry stworzenia i zaczęła przebijać się przez jego cuchnące ciało.

Demon, z którym walczył Henry, znikł z pola widzenia, pojawiał się za plecami chłopaka i zaatakował go szponami. Henry zatoczył się, a potem zadał cios, którego nauczył się w bolesnych godzinach ćwiczeń z Justicarem. Prowadzony z gigantyczną siłą miecz przeciął potwora na pół, wrzucając jego szczątki do wody.

Ośmiometrowy Jus wyskoczył spod powierzchni, jedną ręką trzymając łeb tanar'ri. Zmiażdżył stwora o ścianę, gniotąc go niczym mrówkę. Enid zamęczyła swego potwora na śmierć, potrząsając głową, by rozrzucić jego szczątki.

Odgłosy walki ucichły. Nadal brzmiał jeszcze tylko krzyk jednego tanar'ri. Potwór przypominający ropuchę miotał się i wierzgał, grzbietem uderzając o ściany, a każdemu ciosowi towarzyszył zduszony krzyk. Z jego grzbietu tryskała krew, a w ranie widać było ogon minoga powoli zagłębiającego się w trzewia. Potwór szalał z wściekłości i bólu. Próbował sięgnąć za siebie i zniknął, pojawiając się kilka metrów dalej. Minóg jednak nadal tkwił w jego wnętrznościach i wgryzał się coraz głębiej, przeklinając od czasu do czasu.

Henry wynurzył się i rzucił na pomoc Escalli.

- Ma zamiar się teleportować! - ostrzegł. - Justicarze! Twój czar milczenia.

Magiczna cisza mogłaby powstrzymać demona przed wypowiedzeniem sylab potrzebnych do rzucenia czaru. Justicar jednak nie wypowiedział zaklęcia. Zamiast tego wyprostował się, wycelował i rzucił Beneluxem jak oszczepem. Siedmiometrowy miecz krzyknął z radości, przekuł plecy tanar'ri, przeszedł przez serce i kręgosłup i wbił się w ścianę. Martwy demon zawisł na nim, kołysząc się jak zepsuta pacynka. Gigantyczny Justicar przeszedł przez wodę sięgającą mu do piersi, rozerwał ciało demona i wyciągnął miecz.

W trzewiach potwora pojawiła się głowa minoga z twarzą Escalli, którą targały straszliwe torsje.

- Mało brakowało, a byś mnie zabił! Ostrze minęło mnie o centymetr!

- Ale cię minęło - odparował Justicar. - Nic ci się nie stało.

- Och, eeew! To najbardziej odrażająca, najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam! - Escalla wymiotowała, wyrzucając z siebie kawałki tanar'ri, które znalazły się w żołądku minoga.

- Wszystko w porządku?

- Och, nie! To zdecydowanie nie smakowało jak kurczak! No, może poza tym pieprzonym kurczakiem, którego kiedyś zostawiłam na słońcu przez całe popołudnie, a później zjadłam na obiad. Nie ma w tym nic śmiesznego!

Escalla wydobyła się z trzewi demona i wróciła do zwykłej postaci. Jus złapał ją usłuznie i potrząsnął w wodzie, by ją oczyścić. Miotana niczym kość w kubku faerie straciła cierpliwość.

- Wystarczy! Jako giganci jesteście jeszcze gorsi. - Wyrwała się z uścisku Jusa i odnalazła laskę i różdżkę.

- Popiół? Popiół, gdzie jesteś?

- *Tutaj!*

Pozostawiony przez Justicara na grobli piekielny ogar przyglądał się wszystkiemu szczerząc zęby. Polk siedział na nim, w skupieniu opisując walkę. Przygryzał przy tym język i kręcił głową.

Z przenośnej dziury wiszącej przy pasie Jusa dobiegł wysoki świst. Mała srebrna kula - kolejny z kluczy Lolth - wyłoniła się z wejścia i zaczęła świecić w powietrzu nad ich głowami. Naga Escalla ledwie na nią zerknęła, a już poderwała się na równe nogi.

- O nie, moje ubranie! Ta zbroja została wykonana na zamówienie! - Spojrzała w wodę i dostrzegła na dnie swoją czarną kolczugę. - To moje ostatnie czyste ubranie! Czeka! Czeka!

Wskoczyła do wody i zmieniła się w szczupaka. Właśnie miała zniknąć pod powierzchnią, gdy kula zaczęła szumieć.

Rozległ się oślepiający błysk i nagle gigantyczny sfinks, dwóch ogromnych mężczyzn, borsuk, skóra piekielnego ogara i rozwścieczony szczupak znaleźli się w nowym, suchym korytarzu. Escalla klęta i miotła się z wściekłości. Z jej przyjaciół woda lała się strumieniami.

- Jak, do diabła, dziewczyna ma szukać przygód, jeżeli nie ma nawet czystego ubrania? - Faerie była przemoczona i wściekła. - Jus! Otwórz tę przeklętą przenośną dziurę!

Parskając i przeklinając, znikła w dziurze. Rozległ się odgłos rozdieranego materiału. Po chwili pojawiła się ponownie, ubrana w dziwaczne paski białego materiału w czerwone grochy.

- Moje ubrania są mokre i pełne trzewi demonów! - Uświadomiła sobie, że stała się obiektem drwiących spojrzeń i poprawiła nową sukienkę. - Och, śmieJCie się! Wydarłam to sobie z szortów Jusa!

- *Zabawne, zabawne!* - Popiół zamerdał ogonem.

- Ciesz się, piesku. Następnym razem, gdy będziesz się kąpał, wypucuję cię jak puzderka królowej!

Escalla marzyła o tym, by splukać z ust smak tanar'ri, ale do tego celu została jej tylko manierka z wodą. Gdy prychała i parskała, Henry wyprostował się, a jego głowa znikła w wirujących kłębach mgły.

- Hm, jak długo to potrwa? - zahuczał.

- Nie na tyle długo, żeby to zrobić dwa razy.

- Co?

- Nic. - Rozzłoszczona, stąpnęła w kałużę. - W porządku, wielkoludy, w którą stronę idziemy: w lewo czy prawo?

- W lewo. - Gigantyczny Justicar otworzył mokrą mapę.

- Już niedaleko.

- Wspaniale. Cóż, jeżeli pobiegniemy, może zaoszczędzimy eliksiry. - Błysnęło i raptem wszyscy powrócili do zwyczajnych rozmiarów. - Oczywiście, że nie! - Ze zrezygnowanym westchnieniem faerie ruszyła do przodu. - Dalej, chłopaki. Ruszajcie się!

Popiół zachichotał.

- *Hii, hii. Kochana, zabawna faerie!*

- Śmieję się dalej, piesku. - Escalla spojrzęła na niego spod oka. Mimo komicznego wyglądu starała się zachowywać wyniośle. - Po prostu śmieję się dalej.

* * *

Jeszcze raz zamieniona w ślimaka, Escalla powoli ruszała ogonem w przód i w tył. Jej oczy tkwiły pod drzwiami i zagłędały do kolejnej komnaty teleportacji oznaczonej na mapie. Rozejrzała się uważnie i zaczęła szeptać do przyjaciół:

- Ech. Wyględa mniej więcej tak samo, jak ta poprzednia. Widzę długę ścieżkę, otoczoną płomieniami, reszta nie budzi podejrzeń. Myślę, że strażnicy mają ten sam stary plan. Ukrywają się i będą próbowali mocą telekinezy wrzucić nas w płomienie. - Zwinęła się pogardliwie. - Naprawdę sprytne chłopaki. W życiu tylko raz coś wymyślili i teraz w kółko to powtarzają.

Justicar przykucnął obok niej, gotów interweniować w razie najmniejszej oznaki kłopotów.

- Gdzie się chowają?

- Nie wiem. Może w ogniu? Jeżeli są ognioodporni. To chyba najbardziej prawdopodobne. - Naraz zamarła, bo do głowy przyszło jej pewne podejrzenie. - Aha, tu coś mamy. Co wiecie o tanar'ri?

- Myślałem, że ty wiesz o nich wszystko. - Justicar uniósł brwi.

- Hej, powiedzmy, że któregoś dnia nie uważałam! - Escalla wyciągnęła głowę spod drzwi.

Zmęczony i ranny po starciu ze szponami demona, Henry potarł oczy i spojrzęł na zamknięte wejście.

- A właściwie dlaczego o to pytasz? - mruknął.

- Po prostu zastanawiałam się, czy mogą zmieniać postać. - Faerie pociągnęła nosem przy krawędzi przenośnej dziury, wciągając zapach ryby. - Czy ktoś tu zauważył jakieś szkodniki? Czy ja wiem...muchę, szczura, karalucha...

Przez chwilę wszyscy głowili się i pomrukiwali. Wreszcie doszli do wniosku, że nikt nic takiego nie widział. Ścieżki i komnaty były nieskazitelnie czyste, żeby nie powiedzieć sterylne. Justicar zamyślił się i pokręcił głowę.

- Nie przypominam sobie. Dlaczego pytasz?

- Bo w przeciwległym rogu komnaty siedzi stado myszy. Wszyscy skupili się wokół Justicara. Popiół zjadał ostatni kawałek spalonego trolla, wydając przy tym odgłosy zachwytu. Jus próbował pożyczyć od niego bodaj kawałeczek zwęglonych szczątków, by narysować mapę, ale Popiół nadęsał się i zamknął pysk.

- *Dobry troll! Popiół zjeść!*

- Za chwilę damy ci coś lepszego.

Escalla zbliżyła się, by wyszeptać do ucha Jusa.

- Nie martw się. Ty przytrzymaj jego P-Y-S-K, a ja mu to W-Y-R-W-E.

- *W-Y-R-W-E?! - Piekielny ogar zamachał ogonem i zaczął szybko przeżuwać. - Nic z tego. Nie ma trolla, widzicie?*

- Ty i te twoje przekłete lekcje literowania. - Justicar zadowolił się kawałkiem przypalonej ryby. - Dobra. Więc w komnacie jest ścieżka, taka jak ta. - Narysował linię. - Otaczają ją płomienie. Nie ma innych drzwi?

- Nie. Żadnych nie widziałam. - Z powrotem w postaci faerie, Escalla zakładała na siebie straszliwą, własnoręcznie wykonaną sukienkę. - Myszy są w tym rogu. To prawdopodobnie jakiś rodzaj tanar'ri o zmienionej postaci, które próbują nas oszukać.

- Nie najmądrzejsze przebranie. - Spoglądając na mapę, Justicar potarł zmęczoną twarz. - Dobra. Tak więc musimy wyeliminować tanar'ri. To powinno uruchomić teleportację.

Drużyna w zamyśleniu pochyliła się nad prowizoryczną mapą.

- Może Escalla zaatakuje je zaklęciem. - Z uroczym zmarszczonym noskiem, Enid popukała mapę pazurem. - Nawet, jeżeli są odporni na magię, może usunie jednego czy dwóch.

- Jestem pusta, kotku. Chcesz wiedzieć, jakie zaklęcia mi zostały? - Faerie była wyraźnie poirytowana, jak zawsze, gdy czuła się zmęczona i zakłopotana. - Mam smar, wampirzy dotyk, ognistą tarczę, zabójczą chmurę, sferę niewrażliwości i zaklęcie sieci. Wszystkie jakby stworzone, by atakować tanar'ri.

- Tylko pytałam!

Gestem dłoni Justicar nakazał im spokój. Spojrzał w kłęby mgły nad ich głowami i ledwie widoczne kształty ścieżek wysoko w górze. Labirynt Lolth spełniał swoje zadanie, zużywał ich czary i magię i systematycznie ich osłabiał. Jak tak dalej pójdzie, nie będą mieli po co stawać przed pajęczą królową. Zawsze obieraj nieoczekiwaną drogę. Zawsze atakuj z zaskoczenia, zadźwięczało mu w głowie. Jeszcze raz spojrział na ścieżki w górze i wstał.

- Ominiemy tę komnatę - oznajmił.

Pozostali spojrzeli na niego pytająco. Justicar jednak nigdy nie rzucał słów na wiatr, zanim wszystkiego sobie nie zaplanował. Oderwał wzrok od ścieżek i rozłożył mapę.

- Jeżeli ominiemy jedną komnatę ze strażnikami, Lolth i Recce trudno będzie ustalić, na którym poziomie labiryntu jesteśmy. Potrzebujemy czarów Escalli i zdrowego Henry'ego.

- Pozostałe ścieżki są dwanaście metrów nad nami. - Enid pomachała przypalonym ogonem. -

Jak dostaniemy się tak wysoko?

- Pomogą nam eliksiry gigantycznego wzrostu. Wypijemy je: Enid, Henry i ja, a potem zrobimy drabinę na następny poziom. Henry weźmie Escallę i Polka do góry, a potem pomoże wejść tam Enid i mnie.

Wzmianka o eliksirze natychmiast przyprawiła Escallę o atak paniki. Zaczęła miotać się niczym mucha w butelce.

- Nie! Nie! Popatrz, możemy przecież pokonać te myszy! - Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Pozostali już wpatrywali się w mapę, szukając najlepszego miejsca na wspinaczkę. - Hej! Czy ktoś na mnie patrzy? Halo? Hej! Mogę ominąć te myszy. Gryzonie to moja specjalność, przysięgam! Mogę zamienić się w kota!

Próbując zachować cierpliwość, Justicar skłonił głowę w kierunku faerie.

- Tanar'ri nie przestraszą się kota.

- Te eliksiry przygotowałam na nasz miesiąc miodowy! - Starła się mówić szeptem, boleśnie świadoma, że Popiół, Enid i Benelux podsłuchują ich rozmowę. - Mam z setkę teorii, które chciałabym sprawdzić w praktyce!

- Escalla, potrzebujemy eliksirów.

- A nie możemy po prostu rzucić liny? - Zamachała rękami. - Dlaczego Polk nie ma już lin, haków i trzymetrowych tyczek?

- Bo za bardzo go o to męczyliśmy.

- No cóż, a od kiedy zaczął nas słuchać? - Escalla poddała się z niechęcią. - W porządku! Weźcie sobie te przekłete eliksiry! - Rzuciła worek z butelkami w kierunku przyjaciół. - Wiecie co, gdybym nie winiła za wszystko Lolth, naprawdę byście mnie wkurzyli!

Ścieżka, na którą chcieli się dostać, znajdowała się niedaleko. Drogi krzyżowały się nad i pod sobą, niczym układanka, jednak mapa pokazywała bardzo dokładnie wszystkie ich zakręty. Śmiałkowie wypili eliksiry i we mgle zbudowali niezdarną drabinę. Mgły wirowały i szarpały nimi niczym żywa istota. W oparach raz po raz ukazywały się krzyczące twarze, potworne kościste kształty, które rozdzierały prądy powietrza. Justicar z ponurą miną ignorował te zjawy, pracując w pocie czoła.

Największą przeszkodą niespodziewanie okazała się Enid. W końcu zdołali jakoś wsadzić ją na ścieżkę, bezceremonialnie podsadzając ją i ciągnąc. Zażenowany Henry zarumienił się przy tym jak panienka. Potem usiedli razem, dysząc z wysiłku. Escalla i Polk przeszli po piersi Jusa, która unosiła się i opadała w ciężkim oddechu. Borsuk rozejrzał się po pustych ścieżkach i zerknął na Justicara z irytacją.

- Jesteśmy na miejscu, synu?

- Jeszcze nie. - Ogromny Justicar podniósł głowę, by spojrzeć na Polka. - Ale już niedługo.

- No cóż, dalej, synu! Musimy ruszać, żeby zbić przeciwnika z tropu! Moje nauki taktyczne niczego cię nie nauczyły? - Polk zeskoczył na ziemię. - I znowu zwleka. Ciężko mi to mówić, ale ten chłopak nie ma za grosz inicjatywy.

Escalla zachmurzyła się, wyciągnęła z przenośnej dziury Popioła i rozciągnęła go na ziemi.

- Co wam jest? - zapytała.

- Enid jest większa, niż sądziliśmy - odpowiedział, siadając, Justicar.

- Na jakiś czas odpuść sobie żądłowce, kotku. - Escalla podskoczyła do zarumienionej Enid. - Musimy zatroszczyć się o twoją wagę.

Błysnęło ostrzegawczo i eliksir przestał działać. Gigantyczni przyjaciele zdążyli ledwie po sobie spojrzeć i już wrócili do swych zwykłych rozmiarów. Rozłożyli mapę, rozglądając się uważnie po nowych ścieżkach. Według diagramu był to ostatni, najwyższy poziom labiryntu. Na nieszczęście, to miejsce wyglądało identycznie jak tuzin innych. Justicar dokładnie sprawdził podłogę, szukając najmniejszych śladów życia, a potem skinął na pozostałych, by poszli za nim.

Idąc w dół ścieżki, zbliżali się do osobliwych marmurowych drzwi. Wejście było bogato inkrustowane, smoliście czarne i błyszczało nowością. Duże, przejrzyste okno na wysokości ramion pozwalało dojrzeć, co dzieje się w środku. Drużyna natychmiast schowała się, by nikt z zewnątrz nie zdołał ich zobaczyć. Postępując jak zwykle w setkach innych przygód, Jus i Popiół podkradli się do drzwi i poszukali pułapek. Popiół węszył, a Escalla nasłuchiwała przykładając do drzwi ostro zakończone ucho. Nic nie usłyszała, zrzuciła więc ubranie, położyła się na brzuchu i błysnęła, zmieniając się w ślimaka, który mógł zajrzeć w szczelinę pod wejściem.

Blask magii przybrał rażący kolor. Escalla zmieniła się w dziwnego, wielokolorowego ślimaka z czymś, co wyglądało jak kwiat umieszczony na jego grzbiecie. Szypułki jej oczu obróciły się dookoła, kiedy ze zdumieniem usiłowała przyjrzeć się swojej nowej postaci.

- Jestem nudibrachem! - oznajmiła zdziwiona. Benelux odchrząknął.

- Czym?

- Rodzajem morskiego ślimaka z zewnętrznymi skrzelami i barwną, trującą skórą. - Escalla pomachała kwiecistym grzbietem, jej anemonowe skrzela zafalowały. - Nie chciałam się w to zmienić! Dlaczego jestem nudibrachem?!

Henry podkradł się bliżej.

- Nie chciałaś tym być? - spytał, starając się mówić szeptem.

- Nie! - Escalla próbowała się poruszyć. - Cholera! Wyglądam śmiesznie. Poczekajcie, zmienię się z powrotem.

Błysnęło światło, coś zadźwięczało i Escalla zmieniła kształt. Tam gdzie znajdował się ślimak, stał teraz krasnal z ogromnym kartoflowatym nosem. - Stwór sięgnął po ubranie i rzucił niecierpliwe spojrzenie na resztę drużyny.

- Co? Na co się tak gapicie? Jak coś się wam nie podoba, wcale nie musicie na mnie patrzeć! - mamrotał zakładając małą sukienkę Escalli. - Tyłek faerie zawsze przyciąga spojrzenia.

Justicar sięgnął do sakiewki i bez słowa wyjął małe lusterko na rączce, które służyło mu do wyglądanego zza rogów. Escalla wzięła je do ręki, zerknęła i natychmiast dostała szału.

- W porządku! Myślicie, że to zabawne? - Gorączkowo pociągnęła się za nos. - Auu! Jestem krasnałem! To wcale nie jest śmiesznie. - Nagle cofnęła dłoń. - Fuj! Dotknęłam krasnała! Jestem krasnałem! Ohyda!

Zaczęła ponownie zmieniać kształt, ale Justicar skoczył, by ją powstrzymać.

- Zaczekaj! Coś tu nie gra.

- Jestem krasnałem, Jus! - Stworzenie o kartoflowatym nosie miało się w dzikim szale. - Muszę się zmienić, zanim zwymiotuję!

- Po prostu poczekaj. - Justicar pozwolił Popiołowi wciągnąć powietrze. - W tej komnacie lub na tym poziomie może być coś dziwnego. Pozwól nam to najpierw sprawdzić.

Podniósł się ostrożnie, żeby zerknąć przez okno w drzwiach. Kipiąc ze złości, Escalla usiadła, jedną dłonią podpierając podbródek, a drugą ogromny nos.

- To takie niemodne!

- To krasnale są niemodne? - Siedząca obok niej Enid zmarszczyła brwi.

- Ha! - Escalla strzeliła palcami. - Wiesz, jak wiele zaproszeń na przyjęcia otrzymują krasnale?

- Miliony?

- Żadnego!

- Och. - Sfinks wzruszył ramionami. - Cóż, kiedy zapytałaś, wiedziałam, że może być ich albo bardzo dużo, albo bardzo mało.

Justicar stał, spoglądając przez okno w drzwiach. Dokładnie przyjrzał się komnacie, a potem zasygnalizował Henry'emu, aby do niego dołączył. Razem wpatrzyli się w nieznaną im świat. Za oknem panował zmierzch. Zniszczone mury otaczały dziedziniec zamku zaśmiecony stertami starych, suchych liści. Na środku stała wyschnięta fontanna wypełniona rzeźbionymi potworami morskimi. Na niebie widniał niesamowity krwistoczerwony księżyc, który oświetlał kamienie potwornym purpurowym światłem. Henry przyjrzał się temu i ukucnął, by szeptem skonsultować się z Justicarem.

- Sir, czy wie pan, gdzie to jest?

- Nie. - Justicar zachmurzył się, gładząc dłonią zarost na podbródku. - Ale to przejście do innego świata. Akurat to jest oczywiste.

Benelux przypomniał o sobie donośnym chrząkaniem.

- *Czy mógłbym spojrzeć? Jak wiesz, jestem artefaktem wielosferycznym. Moja erudycja jest oczywiście jednym z atutów drużyny.*

Justicar wyciągnął miecz i uniósł krawędź ostrza do okna. Poruszył nim, tak żeby Benelux mógł coś dostrzec. Miecz myślał, tryskając mądrością i doświadczeniem.

- *Tak...tak, tak... z pewnością nie jest to Oerth - dumął głośno. - Podwójny księżyc, charakterystyczne krwistoczerwone niebo... Czy zauważyłeś architekturę? Niesamowicie oryginalna.*

Justicar trzymał miecz w górze.

- Czy rozpoznajesz to miejsce?

- *Hmm. Nie.*

Zdenerwowany taką stratą czasu Justicar popchnął drzwi. Otworzyły się na wnękę, która kończyła się przezroczystą, lekko opalizującą ścianą. Jus ostrożnie dotknął jej powierzchni i pchnął, a wtedy jego dłoń przeszła przez ścianę niczym przez wodę. Cofnął rękę, powąchał palce i skinął na pozostałych członków drużyny.

- Naprzód. Escalla, zatrzymaj na ścieżce nasze ślady. Henry, zamknij drzwi.

Strzeżeni przez zawsze czujnego Justicara, jeden po drugim członkowie drużyny przeszli do innego świata. Odetchnęli obcym powietrzem, stanęli na obcych kamieniach i szybko poszukali kryjówki. Polk z trudem przebrnął przez stertę liści. Odgłos jego kroków był jedynym dźwiękiem, jaki unosił się w tym zapierającym dech w piersiach mroku.

Znikła woń Demonicznej Pajęczyny, a wraz z nią ich dusze opuściło ponure uczucie depresji. Escalla spojrzała na swą dłoń, błysnęła i zmieniła kształt, tym razem powracając do postaci faerie. Głęboko westchnęła z ulgą. Próżna niczym kot, za pomocą lusterka Jusa dokładnie obejrzała swe nagie ciało z przodu i z tyłu, podejrzliwie szukając najmniejszego śladu po krasnalu, jakim była zaledwie przed chwilą. Sprawdziła skrzydła, odkrywając przy tym, że znów może latać, potem z radości stała się niewidzialna i wzleciała w powietrze.

Justicar spojrzał w górę w kierunku rzędu ponurych, pustych okien, które wyglądały na dziedziniec. Nic się nie poruszało, a jednak w zamku czuło się czyjaś obecność. Dokładnie przyjrzał się opadłym liściom, kurzowi i ziemi, klękając w cieniu rozpadającego się dziedzińca.

- Popiół? - mruknął.

- *Popiół czuje nieumarłych.*

Jus uniósł dłoń, nakazując przyjaciółom, by się nie poruszali. Rzucił się na ziemię i zaczął czołgać w wysokiej trawie, która porastała dziedziniec, poruszając się pod głogiem z ledwo słyszalnym szmerem. Po chwili znalazł stare, przeżute ludzkie kości. W pobliżu leżało ciało z wysuszoną, pozbawioną krwi skórą. Ten ktoś nie żył już od bardzo dawna, jednak pozbawione wnętrzości i nadgryzione ciało wciąż było niesamowicie blade. Justicar przewrócił trupa. Jego pleców nie splamiła krew. Ktoś wysssał ją, nim ten człowiek wydał ostatnie tchnienie.

Jus podpełzł z powrotem do przyjaciół, a obok niego wylądowała Escalla.

- Hej, Jus? - wyszeptała. - Jak sądzisz, co tu mieszka?

- Wampir.

- Och. Fajowo.

Oboje przyjęli to tak zwyczajnie, że Henry i Enid popatrzyli po sobie oniemiałi. Polk z zapalem pisał swoje kroniki. Benelux mamrotał coś do siebie. Justicar zebrał drużynę w cieniu wieży, w miejscu, skąd nie było ich widać z okien zamku.

- Zostaniemy tu i odpoczniemy. Musimy jednak być ostrożni. Wampir nie sprawi nam kłopotu, o ile nie dowie się, że tu jesteśmy. - Powiedział to tak, jakby właśnie zakomunikował im, że przyniesie wody czy narąbie drewna. - Escalla sprawdzi, czy nie wałęsa się gdzieś w pobliżu. Znajdziemy bezpieczne schronienie. Musimy odpocząć i odzyskać magię. Potem udamy się prosto do pałacu Lolth i rozwalimy go w drobny mak.

- Wampirzy zwiad startuje! Do zobaczenia za minutkę! -Faerie żartobliwie zasalutowała Jusowi, stała się niewidzialna i odleciała.

Henry ukląkł obok Justicara i spojrzał w ciemności panujące na zamkowym dziedzińcu.

- Sir. To świt czy mrok?

- Najprawdopodobniej tutaj jest tak zawsze. Nieumarli lubią ciemności. - Justicar podszedł ukradkiem do schodów. - Pilnuj pozostałych. Nie pozwól oddalić się Polkowi.

Ukląkł obok małej smużki na bruku, a potem poszedł za tropem do podstawy wieży. Na schodach zauważył w pyle niewyraźne ślady - długie, szerokie smugi. Dotknął ich, podniósł palce do nosa i powąchał, a potem podstawił pod nos Popiołowi.

- *Zapach węża.* **21**

Escalla pojawiła się z cichym trzaskiem, rozczesując włosy palcami. Była najwyraźniej podekscytowana faktem, że znów może latać. Usiadła między Jusem i Henrym.

- Znaleźliście coś? - spytała szeptem.

- Ślady węża. Tanar'ri. - Jus wskazał jej tropy. - Może to znowu nasza sześcioramienne przyjaciółka.

- Och, jeżeli to ci się spodobało, umrzesz z zachwytu, gdy zobaczysz coś, co znalazłam. - Nakazała wszystkim wejść na schody. - Chodźcie zobaczyć!

Wprowadziła ich do wieży, ostrożnie wyglądając zza każdego rogu. Drzwi otworzyły się, by ukazać komnatę z drewnianym stołem. Stała na nim butelka wina i dzbanek z wodą, obok leżał bochenek chleba i pęto suszonej kiełbasy. Obok torby z suszonymi owocami krwawiła goleń barana, postrzępiona, siłą oderwana od ciała i niewprawnie poprawiona. Krew była wciąż świeża.

Escalla pokazała wszystkim, żeby zignorowali jedzenie, a potem otworzyła następne drzwi. W ogromnej sali, gdzie wisiały zbutwiałe, stare sztandary, na podłodze leżał wampir, choć trudno było go rozpoznać. Ktoś zmasakrował jego ciało, pociął je na kawałki, odrąbał głowę, a dla większej pewności serce przebił drewnianym kołkiem. Kołek ten sporządzono z nogi krzesła, a ktoś wbił go w pierś wampira z siłą tak wielką, że przygwoździł go do podłogi. Escalla wskazała ręką zmasakrowane ciało.

- Ale ohyda. Poznajcie hrabiego Rozpłatańca, pana Morderczego Zamku.

Jus podszedł szybko do ciała i ukląkł, by zbadać obrażenia. Polk podreptał do stojącego na ziemi dzbanka, węsząc łakomie, ponieważ wyczuł woń starego jabłecznika. Popiół wyszczerzył błyszczące, wielkie zęby. Ostrożnie stąpając po podłodze i omijając dziwaczne kałuże czarnej, lepkiej cieczy, Escalla podeszła do Jusa, który dokładnie badał rany na ciele wampira.

- Co go wykończyło? - spytała.

- Zakrzywione ostrza. - Wykorzystując czubek myśliwskiego noża, Justicar otworzył ranę. - Cięcie zadano bardzo ostrym ostrzem, a ciało szło za ciosem, pchając nóż do przodu. Dobra technika.

- Fajowo! - Escalla odciągnęła go na bok. - Sądziś, że to ta wężowa dama?

- Prawie na pewno. Miecze, ślady... zabiła go w jednym podejściu. Trzy uderzenia zadane jednocześnie.

- Straszne. - Escalla przypomniała sobie wygląd tanar'ri. Miała niezłą fryzurę i niezły tyłek, jak na węża. - Polk. - Odwróciła się w stronę borsuka. - Ostrożnie! Nie wiesz, co tam jest.

Polk objął w posiadanie dzbanek, oblizując wargi. Każda komórka jego ciała pragnęła bodaj kropli alkoholu, a jabłecznik z pewnością zaspokoiłby jego apetyty. Złapał dzbanek w tylne łapy i odwrócił dnem do góry, żarłocznie otwierając pysk. Z dzbanka wy dostał się gęsty opar i stworzył mgielkę za jego plecami.

Escalla uniosła się w powietrze.

- Jesteś pewny, Jus? Jak można zabić wampira jednym ciosem?

Mgła za Polkiem nagle rozbiły się. W jej miejscu pojawiła się ubrana na czarno wampirzyca, która rzuciła się na Escallę i Justicara. Faerie pisnęła i poszybowała w górę. Zabrział świst ostrza i wampirzyca zatrzymała się, spoglądając ze zdumieniem. Justicar zamarł z wyciągniętym mieczem. Odwrócił ostrze i schował je, powoli wsuwając Beneluxa do pochwy.

Odcięta głowa wampirzycy spadła do tyłu, powoli spalając się w locie. Pozbawiony głowy tors stał chwiejąc się, aż nieumarłe ciało zaczęło obumierać od zetknięcia z metalem Beneluxa. W końcu upadło. Wpatrując się w nie, Henry mrugnął, a potem odłamał belt i wbił drewno strzały prosto w serce wampira.

- Hm... w porządku! - Escalla popatrzyła na martwego potwora. - To było dobre.

- Właśnie tak bym to zrobił, synu! - Polk nadal spokojnie zajmował się jabłecznikami. - Powinieneś tylko trochę popracować nad stylem.

Z dziedzińca dobiegł potworny krzyk, a potem dźwięk pazurów szorujących po bruku. Justicar gestem nakazał przyjaciołom, by odsunęli się od okien i drzwi.

- Henry, wróć na środek komnaty! Enid i Escalla w górę, między krokwie. Polk, leżeć! - Justicar wyciągnął miecz. - Nadchodzą!

Drzwiami i oknami wpadło wyjące stado ghouli - wychudzonych, cuchnących, kościstych stworzeń, które rzuciły się na Henry'ego i Justicara. Chłopak spokojnie otworzył ogień, jego magiczna kusza trzasnęła. Salwa pięciu beltów rozdarła jednego ghoula i posłała go na ziemię. Potem Henry wyciągnął miecz i gdy Justicar rzucił się na wrogów, ruszył za nim.

Popiół parsknął i posłał w stronę ghouli podmuch ognia. Stwory wiły się i krzyczały, padając w płomieniach. Justicar potężnie zamachnął się Beneluxem i ghoule stanęły w płomieniach niby papier. Zaklęcie kamiennej skóry na mężczyźnie błysnęło i wyczerpało się.

Henry sparował cios szponów ghoula i przebiegł obok stwora. Kolejny skoczył na niego wściekle, chwilę później rozdarł go jednak promień złotych pszczół, który nadszedł z krokwi. Enid spadła z góry na ostatnie trzy ghoule, jednego powaliła jednym ciosem, drugiego zmiażdżyła, upadając.

Ostatni ghoul rzucił się do ucieczki. Justicar rozwinął magiczną linę, tak że owinęła się wokół torsu potwora, pociągnął go do siebie i ciał Beneluxem w głowę. Ciało stwora zajęło się płomieniem.

Wciąż siedząc na krokwi, Escalla tuliła swą niewykorzystaną różdżkę. Wyglądało na to, że potyczka zrobiła na niej spore wrażenie.

- Fajowo! Jak to było: dziewięciu wlaźło, dziewięciu zginęło?

- Dziewięciu?! Dziewczyno, czy ty jesteś ślepa? Był ich przynajmniej tuzin! - Polk radośnie

skrobał w kronikach. - Na każdy przejaw zła następne trzy czają się za rogiem, więc pokonaliśmy cztery tuziny! Czterdzieści osiem ghouli! Nieźle, jak na minutę czy dwie.

- Zamknij się, Polk. - Justicar kopniakiem przewrócił ciało ghoulu i przyjrzał mu się uważnie. Potem dźgnął jeszcze raz, żeby się spaliło. - Padlinożercy służący wampirom. Jedzą ciała pozbawione krwi.

Wciąż dyszący i blady, Henry otarł usta.

- Dlaczego nas zaatakowały?

- Gdyby powstrzymały nas przed zabiciem wampirów, wciąż miałyby darmowe obiady. - Justicar spalił ostatnie szczątki czaszek wampirów. - Sprawdźcie dokładnie tę komnatę, a potem wycofujemy się do wieży.

Escalla już zaczęła przeszukiwanie. Szperając za malowanym tronem, krzyknęła i wyciągnęła brzęczący worek.

- Skarb. W końcu znaleźliśmy skarb! - Otworzyła swoje znalezisko. Ze środka wysypała się złote i srebrne monety, pogięte miedziaki, drewniane kulki, klejnoty, eliksiry i zwój. - Spójrzcie, ludzie! Skarb! Ktokolwiek pozbył się wampira, tym się nie zainteresował!

Ogarnięta radością, rzuciła się na górę złota i zaczęła w niej grzebać.

- Enid, chodź i przymierz to! Och, jak się cieszę, że jestem taka przewidująca! - Wyłowiła ze sterty butelkę. - Co to? Magiczny eliksir? O-o-och, eliksir regeneracji! - Wyjęła klejnot spowalniania czasu. - W porządku! Stańcie tutaj z pieniędzmi i pomachajcie. Uwaga, uśmiech!

Justicar znalazł porzucony opróżniony worek. Podniósł go do pyska Popioła, a piekielny ogar dokładnie go obwąchał.

- Tanar'ri?

- *Tanar 'ri wąż!*

- Tak. - Justicar przywołał do siebie Henry'ego. - Idź do pomieszczenia z jedzeniem. Zabarykaduj drzwi na dziedziniec. Ja przyniosę Escallę i skarb.

Zebrał skarb, otwierając przenośną dziurę i zagarniając go do środka. Razem ze złotem wpadła tam i Escalla. Pisnęła i wyjrzała zza krawędzi dziury, gdy Jus ciągnął ją po podłodze do drugiego pokoju.

- Hej, Jus! Spójrz! Skarb!

-Taak.

- Prawdziwy skarb! Złoto i eliksiry... i klejnoty! Jeden z nich to diament!

- Yhm - przytaknął. - Nadaje się do tego, żeby go użyć w zakłębciu kamiennej skóry?

- Tak - przyznała niechętnie. - A co, to już się skończyło?

- Właśnie przed chwilą.

- Ach. - Nagle zamyśliła się, wskoczyła do dziury i pojawiła się zjedna z butelek na eliksiry. - Elixir leczniczy w stylu Flanaess - parsknęła.

- Kielbasa leżała na torbie ze znakiem kupca z Zakola Keggle. - Justicar wszedł do pokoju, w którym Henry pracowicie zamykał na sztabę drzwi na zewnątrz. - Nasza kobieta-wąż to pracowita dziewczyna.

- Pracowita dziewczyna, która trzyma się planu zajęć. - Escalla wyszła z dziury. Zerknęła na jedzenie, a potem na drzwi prowadzące do dwóch małych pomieszczeń z posłaniami. - Chce, żebyśmy odpoczęli.

- Zajęła się tym, kto byłby dla nas największym zagrożeniem. Główny wampir byłby dużo bardziej niebezpieczny niż jego oblubienica. - Jus dostrzegł kominek i sprawdził go. Komin zabezpieczony był żelazną kratą. - Każde z nas potrzebuje co najmniej czterech godzin na odpoczynek i odzyskanie czarów. Polk i Popiół mogą pełnić wartę. A baraninę możemy ugotować.

Zmieszana Enid podniosła wzrok i szybko nakryła łapami ogołoconą kość leżącą przed nią na podłodze.

- Hm, a nie usmażymy tej smacznej kielbasy?

- Pewnie tak. - Escalla rozejrzała się i westchnęła. - Nie znaleźliście nic innego? Jakies ciastka, miód, dżem, cukier...Cokolwiek.

- Nie. Przykro mi.

- A niech to szlag. Kiedy spada mi poziom cukru, wpadam w ponury nastrój! - Chwyciła za ramię Justicara i zaciągnęła go do jednej z bocznych komnat. - Dobra. Ty medytujesz, ja zajmę się księgą czarów i możemy sproszkować diament. Ale teraz odpocznijmy.

Komnata była mała, ciemna, z jednym oknem zasłoniętym okiennicami. Rozłożywszy Popioła na krześle, żeby pilnował kuchni, Jus zamknął drzwi. Zszedł do przenośnej dziury, wyciągnął koce i poduszkę ze starego worka i ciężko wyszedł na zewnątrz. Znalazł Escallę otoczoną łupem i narzędziami do czarów - laską licza, lodową różdżką, księgą czarów i butelkami pełnymi eliksirów. Wciąż ubrana w sukienkę domowej roboty, słabo uśmiechnęła się do niego.

- Cześć.

Pocałował ją delikatnie, a ona wtuliła się w niego. Jej miłość była prosta, szczerą i nieskomplikowaną. Zarzuciła mu ręce na kark, oparła się o niego czołem i westchnęła. Trwali tak długo, bardzo długo. Wreszcie Escalla oparła dłoń na głowie Jusa i z uśmiechem podrapała

porastające ją króciutkie włosy.

- Szczecina. - Uwielbiała czuć ją pod palcami. - Ogólmy cię. Nie możesz stawić czoła złu z popołudniowym zarostem na głowie.

Był zmęczony, ale uśmiechnął się przyzwalająco. Usiadła na jego udzie i zaczęła przebierać w zdobytach skarbach, potrząsając przy uchu butelkami z eliksirami. Jus spojrział na napis na etykiecie i zachmurzył się.

- Elfi?

- Drowi - odpowiedziała. - Wszystko to pochodzi od drowów. Wygląda na to że jest tu pięć leczniczych eliksirów i pięć antidotum przeciwko pajęczemu jadowi: po jednym dla każdego z nas. Dobrze pomyślane, co? A do tego jeden eliksir regeneracji. Wszystkie mają takie same naklejki.

- Tak sądziłem.

- Więc co jest grane? - Escalla stopą potoczyła butelki. - Sądzisz, że Lolth się z nami bawi? Chce, żebyśmy dotarli do pałacu, a tam zdmuchnie nas z powierzchni ziemi?

- Nie. Pułapki, na jakie natrafiamy, nie są aż tak okrutne. - Westchnął, bo ogarnęło go zmęczenie. - Właściwie czekali na nas tylko strażnicy

- No, i jeszcze Recca i Tielle.

- Oni też - Rozejrział się ciekawie. - Masz jeszcze moc w lodowej różdżce?

- Tak. Niestety już niewiele. Laska licza również się wyczerpuje. - Nerwowo przeczesła palcami włosy. - Muszę się odprężyć! Oczyszczyć umysł! Nie mogę uczyć się czarów, kiedy jestem spięta.

Jus pochylił się, wziął znajomy flakonik i potrząsnął nim.

- Elixir gigantycznego wzrostu?

- Taak. Został ostatni. - Escalla podniosła butelkę i spojrzała na płyn opalizujący w buteleczce z przezroczystego szkła. - No cóż. Sądzę, że kiedyś sporządzimy następne. Zdobędę jakoś przepis...

Jus potarł oczy.

- Powinniśmy medytować. Mamy tylko cztery godziny. Czy faerie robią coś szczególnego, aby się odprężyć?

Escalla zaśmiała się. Popatrzyli na siebie i faerie wyjęła korek z flakonu. Benelux, zwisający z klamki nieopodal, zaczął lamentować.

- *Nie! Tylko nie to! Nie! Domagam się, żeby przeniesionomnie do innego pomieszczenia.* -

Zagrzebał się w pochwie i zaczął śpiewać, żeby zagłuszyć wszystkie dźwięki. - *La la la la la!*

* * *

W komnacie obok Enid nagle zamrugła zdziwiona. Dorzuciła dREW do ognia, mając nadzieję, że trzaskające płomienie i skwiercząca kiełbasa stłumią inne dźwięki. Henry siedział przy stole obok Polka i pilnie kroił kiełbasę. Zaciekawiony, popatrzył na drzwi.

- Co to za hałas?

- Mantra! - Enid zdołała jednocześnie zblednąć i zarumienić się. - Escalla medytuje.

- Mantra? - Polk nastawił uszu. - Słysząc, jakby ktoś raz po raz krzyczał „tak!”.

- To bardzo radosna mantra. - Enid chrząknęła - Mmm! Ładnie pachną te kiełbaski, co?

Zażenowana, zaczęła mieszać kiełbasę na patelni i oparzyła się. Henry skoczył jej na pomoc i uklęknął, tuląc w dłoniach wielką łapę. Spojrzeli na siebie, spiekli raka i pośpiesznie odwrócili wzrok, zachowując jednak niewielką odległość.

Przewieszony na krześle Popiół widział wszystko, słyszał wszystko i wszystko wiedział. Ssał kawałek świeżego węgla i powoli machał ogonem.

- *Zabawne!*

- Co to znaczy, że nie ma po nich śladu? Szukaliście?

Wściekła i zmęczona Tielle unosiła się nad wzgórzem, z furią machając skrzydłami. Była pewna, że ten dzień będzie dniem jej zemsty i założyła nawet na tę okazję najbardziej ekstrawaganckie ubranie. Składało się z kilku sznureczków i rzemieni, ściśniętych do granic możliwości. Wyglądało to tak, jakby śnieżnobiały budyń owinięto sznurkiem. A jednak, mimo tego, że pomagało jej trzydziestu łańcuchowych mnichów, zaklęcia, impy i psy myśliwskie, wciąż nie mogła znaleźć tropu Escalli! Kryształowa kula była bezużyteczna i godzina po godzinie ukazywała wyłącznie pustkę. Wyglądało na to, że Escalla zapadła się pod ziemię.

- A nich ją cholera! Nie może mieć tarczy przeciwko wrózeniu. Nie przez cały czas! - Tielle przysiadła na pniu drzewa, urażając przy tym nagie pośladki, i wyrwała kryształową kulę z rąk mnicha. - Gdzie ona jest? Jeżeli jest jeszcze w tej sferze, to dlaczego nie możemy jej znaleźć?

Mnich wyciągnął łańcuchy i zabelkotał, wymachując ramionami. Za wszelką cenę starał się być zrozumiany. Tielle wrzuciła bezużyteczną kryształową kulę w jego ręce.

- Nie bądź idiotą! Dokładnie wiem, co zrobić. Potrzebuję tylko więcej cierpliwości. Żywcem obedrę ją ze skóry i zrobię z niej kukiełkę! - Wstała, z irytacją otrzepała się i uniosła w powietrze. - Dalej. Zbierz tutaj tych idiotów. Wróćmy do wrót i do domu!

Łańcuchowy mnich wydał z siebie łagodny dźwięk. Tielle popatrzyła się na niego z zimną pogardą.

- Znam moją siostrę. Escalla jest dumna jak paw. Pokonaliśmy ją, więc pragnie zemsty! Musimy tylko poczekać, aż sama do nas przyjdzie.

Z góry obserwowała zbiórkę swoich sług. Poszukiwania trwały stanowczo zbyt długo i kosztowały ją za dużo nerwów. Jeśli Escalla uciekła, to znaczy, że ukryła się w najmroczniejszych otchłaniach ziemi lub najgorszych odmętach w jakiejś innej sferze.

Tielle wzbiła się jeszcze wyżej i ze złością rozejrzała po okolicy, na pocieszenie przywołując obraz mąk, jakie zada swej siostrze, gdy już ją złapie.

- Cóż, gdziekolwiek by nie była, przynajmniej cierpi!

* * *

Kilka godzin odpoczynku działało cuda. Zamek pozostał spokojny, w smażonej kiełbasie czuć było czosnek, a wino okazało się starym rocznikiem z Verboboncu i musiało kosztować z setkę koron. Escalla, którą trzeba było wynieść z łóżka, przelewała się przez ręce jak ugotowany makaron. Jus ubrał ją w nowe, miękkie suknie i ułożył sobie na ramionach niczym kołnierz. Gdy wyszli na dziedziniec, Henry kaszlnął grzecznie, by ściągnąć na siebie jej uwagę.

- Moja pani? Wyglądasz na mniej spiętą. - Pochylił się bliżej. - Czy studiowałaś zaklęcia?

- Hmm? Zakłęcia? Tak. I było super! - Uniosła do góry kciuk. - Mam teraz mnóstwo energii i jestem gotowa do drogi.

Powiedziawszy to, zwinęła się w kłębek, żeby znowu zasnąć. Nagle spostrzegła coś nowego i sennie popatrzyła na nowiutkie ubranie.

- Skąd się to wzięło?

- Zrobiłem je z sukna do polerowania - odparł Henry. - Enid i ja sądziliśmy, że będzie, ech, bardziej przyzwoite niż poprzednie, które nosiłaś.

- Henry! Jesteś słodki! - Uniosła głowę, a wtedy jej długie jasne włosy spłynęły po plecach Jusa. - Hej, właśnie zasłużyliście sobie na prezent od księżniczki faerie! - Ułożyła się wygodniej. - Jak tylko wrócimy do domu, zrobię dla was „pragnienie prawdziwych serc”.

Wejście do Pajęczych Otchłani wyglądało na nienaruszone, ale obok drzwi leżała malutka, błyszcząca łuska węża. Justicar uklęknął i schował ją ostrożnie. Przeskoczył przez barierę między światami, wkraczając w smród, niesamowite światło i bezkształtny koszmar Demonicznej Pajęczyny. Zatrzymał się, dokładnie zbadał ścieżkę, otworzył mapę i wskazał drogę przed sobą. Pozostali gęsiego ruszyli za nim.

Rozdzielni lecznicze eliksiry, bukłaki i sprzęt. Escalla usiadła na ramieniu Justicara z lodową różdżką w dłoniach i zaklęciami wyrytymi w pamięci. Dotarli do końca ścieżki, gdzie znajdowały się wielkie drzwi z brązu oznaczające wejście do innego świata.

W nich także było okno. Tym razem pozwalało dojrzeć ciemną równinę, wygładzone wiatrem obsydianowe głązy i popękane rzeki wulkanicznego szkliwa. Na niebie szalały błyskawice, oświetlając złowieszczy kształt pałacu Lolth znajdującego się na szczycie wzgórza zaledwie kilkaset metrów dalej.

Pałac wyglądał na opuszczony, jednak w jego ogromnych oknach widać było światło. Justicar pogrzebał w sakiewce w poszukiwaniu ostatniego klucza i wsadził go we wgłębienie w drzwiach. Otworzył je, a wtedy drużyna stanęła przed przezroczystą barierą prowadzącą do prywatnego, najbardziej sekretne go domostwa Lolth.

Justicar spokojnie jak zawsze sprawdził stan ekwipunku.

- To wewnętrzne sanktuarium Lolth - powiedział. - Nie dotykajcie niczego, jeśli nie musicie. Wszędzie może czyhać śmiertelna pułapka. Uważajcie na magię i na wrogów. Wasz wróg może zmienić postać, teleportować się, rzucać zaklęcia i tworzyć iluzję... więc zabijajcie pierwsi i uderzajcie mocno.

Przeniósł wzrok z Enid na Henry'ego, popatrzył na Escallę i Polka i sięgnął, by przywiązać Popioła na miejsce.

- Należę do was, a wy do mnie. Nigdy nie opuszcza się swoich towarzyszy. Jeżeli któreś z was wpadnie w kłopoty, musi pamiętać o jednym: przyjdę po niego. - Odwrócił się i gestem nakazał, by

poszli w jego ślady. - Naprzód.

Escalla stała się niewidzialna i ruszyła na zwiady. Pok i Enid bezszelestnie posuwali się do przodu pod osłoną gładów z czarnego szkliwa. Henry szedł za nimi, mierząc z kuszy w otaczające ich cienie.

Ledwie dotarli do progu, kiedy złożona mapa za pasem Jusa stanęła w płomieniach. Popatrzył na nią krzywo i wyciągnął, zanim uszkodziła mu pas. Rozgniół stopą popiół i rozejrzał się po równinie, żeby sprawdzić, czy ktoś zauważył ogień. Błyskawice zapalały się raz za razem, obsydian lśnił. Tutaj trudno byłoby zauważyć małe płomyczki płonącego papieru. Escalla rzuciła okiem na kilka ostatnich skrawków zgniecionej mapy i uśmiechnęła się złośliwie.

- Sprytna dziewczyna, co?

- Sprytna. - Justicar zostawił mapę i ruszył dalej.

* * *

W ogromnym i przerażającym pałacu Lolth zawsze ktoś czuwał. Metal jego pokrywy lśnił obrazami krzyczących twarzy i zaciśniętych dłoni zmarłych. Kominy wysoko na kopule dymiły w niebo, a ze złączy tryskała para. Korpus gigantycznego pajaka spoczywał tuż nad ziemią, a do środka prowadziły schody wychodzące z monstrowej głowy. Przypominały język zwisający z krwiożerczych szczęk. Pomiędzy gładami, niczym potworne szczury, maszerowały małe quasy, a ich demoniczne postacie rzucały przerażające cienie w niewyraźnym świetle.

Podnóża schodów pilnowały dwa gargulce. Te kamiennoskóre, paskudne potwory o skrzydłach nietoperza rozrywały właśnie na strzępy szczątki niziołka, klóćąc się o smakowite kąski. Walczyły, gdy przed nimi pojawiła się mała postać.

Escalla stanęła na ścieżce, skinęła dłonią i chrząknęła, przerywając strażnikom makabryczny posiłek.

- Hej, wy! Chciałam tylko powiedzieć, że się wam udało! Dopadliście mnie. Nie potrafię ominąć tak doskonałych strażników, więc się poddam. Myślę, że jeżeli ktoś ma dostać ogromną nagrodę za dostarczenie mnie szefowej, to niech będą to dwaj zawodowcy!

Gargulce zagapiły się przez chwilę, pozwalając, by krew ściekała im z pysków, a potem rzuciły się na Escallę. Jeden przygniół ją kamienną łapą, a drugi próbował pochwycić jej stopy. Oba warczały przy tym i szarpały swoją ofiarę, bijąc się nawzajem po łuskach. W końcu Escalla zdołała ich uspokoić.

- Prrr! Prrr! Prrr! Starczy! - Zamachała rękami, by ich rozdzielić. - Dobra. Ten, który mnie trzyma, może mnie popilnować. To chyba sprawiedliwe, co? Drugi niech idzie na górę i zamelduje, że złapaliście więźnia. Zgoda? Zadowoleni? - Odgoniła jednego gargulca. - No idź! Idź. Zamelduj na górze! Otwórz główne drzwi i idź!

Gargulec wgramolił się po schodach do zamkniętych głównych drzwi fortecy. Rozproszył czar strażniczy i podał hasło komuś po drugiej stronie przejścia. Wygodnie usadowiwszy się w pazurach oprawcy, Escalla z aprobatą przyglądała się wszystkiemu.

- Ooo! A to dopiero partnerstwo. Jest was dwóch, a działacie jak jeden. - Oparła łokieć na łapie gargulca. - Wspaniale jest mieć partnera, co? Kogoś, komu można zaufać. Od razu widać, że wy dwaj działacie jak drużyna. A dlaczego? Bo sobie ufacie. Dzięki temu jesteś pewien, że kiedy ty mnie pilnujesz, on mówi królowej, że złapaliście mnie we dwóch. I czeka was równa nagroda i wspólny awans. Prawda? - Westchnęła z podziwem. - Partnerstwo. Mówię ci, warto to zobaczyć.

Strażnik Escalli mrugnął, obrócił się, by spojrzeć na partnera znikającego w pajęczym pałacu, i ryknął z wściekłości. Pognał po schodach i przewrócił drugiego gargulca. Zaczęli się kłócić. Escalla przechodziła z rąk do rąk. W końcu jednak doszli do porozumienia. Faerie trafiła w łapy drugiego gargulca, a ten, który do tej pory jej pilnował, ruszył do pałacu. Zajadając kawałek czosnkowej kiełbasy, Escalla patrzyła za odchodzącym.

- Taak. Ma rację. Rzeczywiście, to on powinien iść. To on mnie złapał, więc powinien złożyć meldunek. Tylko tak będzie sprawiedliwie. W końcu szefowa wie, że twój kumpel jest mózgiem tej warty. Jeżeli ty tam pójdziesz, tylko spojrzysz podejrzliwie, prawda? Dobrze, że się dogadaliście. Skoro on jest ważniejszy, to on powinien dostać nagrodę.

Gargulec z wyciem pobiegł za partnerem, a po chwili dwa stwory wrzeszczały, skakały, waliły skrzydłami i popychały się nawzajem. W końcu strażnicy podjęli decyzję. Oba opuścili wartę i poszli złożyć meldunek, zabierając ze sobą Escallę.

Szczeknęły otwierane od wewnątrz zamki i zasuwki. Jeden z gargulców chwycił faerie i popchnął partnera w kierunku drzwi, wrzeszcząc na niego, żeby otworzył. Escalla przyłączyła się do potoku wyzwisk.

- Taak! Otwieraj te drzwi! I nawet niech ci przez myśl nie przejdzie, że twój przyjaciel dziabnie cię, kiedy odwrócisz się do niego plecami. To przecież wspaniały facet! Twój prawdziwy przyjaciel!

Gargulec przy drzwiach zawirował i z furią rzucił się na partnera. Escalla poleciała w bok, kiedy oba potwory szczepiły się w walce. Usiadła na balustradzie, wyciągnęła następny kawałek kiełbasy i jadła, obserwując, jak fragmenty ciał strażników wylatują w powietrze. W końcu westchnęła.

- To tragiczne, że faerie zawsze trafia na głupszych od siebie.

Zirytowany Justicar wychynął zza głazu i wszedł po schodach. Oba gargulce stanowiły teraz jeden krwawy ochłap. Jus jednak nie wyglądał na rozbawionego.

- Sądziłem, że powiedziałem ci wyraźnie, żebyś wślizgnęła się do środka i znalazła sposób na ominięcie strażników.

- Więc pszedostałam szie pszes straszników. - Escalla miała usta pełne kielbasy. Przełknęła ją i zeskoczyła na schody. -Widzisz! Nawet otworzyłam drzwi! No dalej, idziemy.

Ruszyła do przodu. Rozjuszony Jus odwrócił się i pokazał pozostałym, żeby przybiegli do schodów. Obejrzał się akurat, żeby zobaczyć, jak Escalla niknie za frontowymi drzwiami pajęczego pałacu. Po chwili dobiegł go jej cichy radosny okrzyk.

- Och! Hej, wy! Tak jest! Dopadliście mnie! Więc który z was chce iść i zameldować, że właśnie złapaliście więźnia?

Enid popatrzyła porozumiewawczo na Jusa. We dwójkę ruszyli po schodach i przekroczyli drzwi pałacu Lolth.

Za przedsionkiem, w którym leżeli martwi strażnicy i gargulce, znajdowała się obszerna komnata o śnieżnobiałych ścianach, obwieszonych malowidłami. Podłogę przykrywał gruby dywan. Wszystko tu było w dobrym guście i niewiarygodnie piękne. Za biurkiem siedziała szczupła, wyniosła brunetka z kręconym włosami. Jej sześć rąk żwawo poruszało się po blacie, gdy jednocześnie pisała, sortowała, kreśliła i wypełniała rubryki. Długie węzowe spłoty elegancko udrapowała na krześle. Gdy Justicar wbiegł do środka, odwróciła się do niego plecami i celowo skupiła wzrok na papierach.

- Witaj, Justicarze. Wejdz - powiedziała rzeczowo. - Dobrze się spisałeś. Wciąż nie wie, że tu jesteś.

Escalla stała się widzialna i powoli weszła do pokoju, łakomie spoglądając na jego wystrój. Enid przeskoczyła przez próg, wbiła wzrok w kobietę tanar'ri i wysunęła pazury. Polk i Henry stanęli w drzwiach, oniemiaли.

Sześcioramienne tanar'ri nawet nie spojrzała na gości. Zamiast tego skupiła się na dokumentach.

- Możecie mówić mi Morąg. To moje zwyczajne imię, nie prawdziwe. To zna tylko Lolth. Jeśli je wypowie, będę musiała zrobić wszystko, co rozkaże. Zawsze muszę mówić jej prawdę. Jeżeli zechce, może mnie nawet zabić.

Justicar, wielki i mroczny, z namysłem popatrzył na tanar'ri.

- Jeżeli Lolth umrze, twoje imię zginie i będziesz wolna. - Tak.

- Dlaczego mielibyśmy ci pomóc?

Morąg siedziała tyłem do niego, wyprostowana i sztywna.

- Nie pomagacie mi. Nigdy niczego z wami nie planowałam. Jeśli Lolth mnie o to spyta, spokojnie mogę jej powiedzieć, że nigdy przeciw niej nie spiskowałam. - Jedną szczupłą dłoń położyła na biurku dużą księgę. - Zapisałam was na dzisiejszą listę spotkań. W ten sposób w pałacu nie ma żadnych intruzów. Moje obowiązki wkrótce zmuszą mnie do opuszczenia tej sali, a wtedy będę mogła jej powiedzieć, że nie widziałam żadnych intruzów. I będzie to prawda, bo nawet na was nie spojrzę.

Escalla już zaczęła myszkować po pokoju. Usiadła na biurku i wzięła do ręki portret mężczyzny tanar'ri - przystojnego stwora z tęsknym wyrazem twarzy. Spojrzała na obrazek i gwizdnęła z zachwytem.

- Bomba! Och, to twój chłopak?

- Oddaj to! - Morąg zabrała obrazek i przycisnęła go do piersi. - I nie, nie jest moim

chłopakiem. To...to... - Jej policzki pokryły się szkarłatem. - To mój dobry znajomy.

- Och... - Idąc wzdłuż brzegu biurka Escalla podejrzliwie rzuciła okiem na tanar'ri. - Ale znajomy, który jest ci bliski. Znam się na tym! Ma wspaniałe oczy. - Rozejrzała się i splótła palce. - W tym obrazie naprawdę uchwyciłaś coś specjalnego. Czy pozostałe też sama namalowałaś?

Morąg wyprostowała się, poprawiając elegancką spódniczkę.

- Tak, namalowałam je.

- I założę się, że również piszesz! - Escalla usiadła teraz na krawędzi biurka tuż przy tanar'ri. - Zajmujesz się historią, tak? Ale pracujesz też nad powieścią?

- To trylogia! - Morąg usiadła prosto, a potem zwiesiła ramiona. - My... jestem sekretarką Lolth. Jej poddaną. Jej... jej niewolnicą. - Głośno przełknęła ślinę. - Nie powinnam... tracić czasu ani przywiązywać się do kogoś.

- Och! Moje biedactwo!

Escalla była wściekła. Uniosła wzrok do góry i napotkała spojrzenie Justicara, który wpatrywał się w nią z irytacją. Machnęła dłonią, żeby zmusić go do odejścia.

- Co? Hej, to że ona jest tanar'ri musi oznaczać, że nie możemy pogadać jak kobieta z kobietą? - Pstryknęła palcami. - Mamy tu problem! Trzeba pomóc kobiecie w potrzebie. Przecież właśnie tym się zajmujesz, prawda!

Morąg cały czas ścisnęła portret ukochanego. Escalla chrząknęła i przysunęła się bliżej, ale tak, by tanar'ri nie mogła jej widzieć.

- Hmm, dobra! Więc ten twój koleś... Hm... Czy chciałabyś go poznać bliżej? Przytrafił ci się błąd z Lolth i teraz musisz się płaszczyć! Żal prowadzi do frustracji, a frustracja do gniewu. Musimy uporać się z tym problemem, zanim na zawsze zrujnuje ci życie!

Morąg zwiesiła głowę. Wszystkie sześć jej dłoni było mocno zaciśnięte.

- Tak.

- Fajowo. Cóż, mówię to jak kobieta kobiecie, cieszę się, że mogę pomóc. - Escalla pomachała małą stopką. - Więc powiedz mi, jak dostać Lolth? Gdzie leży jej sekret?

- Nie mogę wam powiedzieć. Nie... Nie wprost.

- Ale możesz nam to podpowiedzieć. - Escalla wyciągnęła się na blacie. - Strzelaj!

Morąg ześlizgnęła się z krzesła. Zebrała teczki i dokumenty, sprawdziła zestaw zakrzywionych mieczy i obciągnęła spódniczkę. Ruszyła do drzwi i stanęła, by przemówić w powietrze.

- Kiedy myślicie o Lolth, pamiętajcie, że potęga rodzi poczucie wyższości. Wyższość rodzi pogardę. Pogarda rodzi potrzebę kontroli. - Tanar'ri minęła drzwi, a jej sploty pobłyskiwały, gdy się poruszała. - Sądzę, że to Święty Cuthbert powiedział, że „Zło jest jak brud. Im jest mroczniejsze, tym czystsza musi być woda, żeby je zmyć”. - Wyszła, poruszając się z godnością. - Statek jest już prawie gotowy. Ruszamy do Flanaess za godzinę.

Drzwi zamknęły się z hukiem, a Escalla usiadła z ponurym wyrazem twarzy.

- Właściwie liczyłam na coś bardziej w guście „za drugimi drzwiami po lewej jest wspiana sypialnia! Tam możecie zrobić na nią zasadzkę. Lolth chodzi spać o ósmej”. - Wzruszyła ramionami. - No cóż...

- Mogło być gorzej. - Justicar podszedł do Escalli, żeby przyjrzeć się biurku. - Mógł to być wiersz.

Polk przyczłapał do nich, szurając brzuchem po ziemi.

- To powinien być wiersz, do cholery! Czy ten wąż nie wie nic o szukaniu przygód? To powinien być sonet!

- Lunet? - zdziwiła się Escalla. - Co to? Coś jak luneta?

- Nie! Sonet, dziewczyno, sonet. Wiesz! Rymowana fraza, którą łatwiej zapamiętać.

- Flanaess zna pismo od kilku tysięcy lat, Polk. Niektórzy mogą sądzić, że uczenie się na pamięć jest żdziebko przestarzałe. - Escalla radośnie myszkowała po biurku. - Huh! No proszę. Jakieś stare plany urządzania pałacu. Napisali nawet nazwy pokoi, tak żeby robotnicy wiedzieli, gdzie wstawić odpowiednie meble. - Złożyła mapę. - Morąg jest taka nieuważna. To powinno być zaksięgowane!

Pajęczy pałac miał kilka pokładów, maszynownię w trzewiach i sterownię w głowie. Reszta pomieszczeń wyglądała na sale audiencyjne, komnaty tronowe i kwatery straży. Enid, która potrafiła czytać w każdym z istniejących języków, objęła w posiadanie diagramy i rozłożyła je na podłodze. Pazurem śledziła litery tanar'ri wypisane nad niektórymi z pokoi.

- Niech spojrzę. Prywatne komnaty są dokładnie na samym szczycie. Pokoje służby, pomieszczenia straży... - Enid ładnie zmarszczyła nosek. - A czego właściwie szukamy?

- Lolth. - Jus podrapał szeleszczącą szczecinę na głowie. Dokładnie i z namysłem powtarzał słowa Morąg. - Wyższość rodzi pogardę. Pogarda rodzi potrzebę kontroli...

- To proste. - Escalla zmieniała wpisy w terminarzu spotkań Lolth, zajmując jej porę obiadową na następnych siedemnaście lat. - Pogarda! Jest boginią i nie widzi w nas zagrożenia, więc jeśli ją wyzwiemy, możemy wciągnąć ją w pułapkę! Możemy na przykład umieścić ogłuszający symbol Enid nad drzwiami, a potem ją zdenerwujemy. Dokopujemy jej, kiedy przejdzie przez drzwi i trafi ją czar...

Justicar spojrział na faerie i westchnął ciężko.

- Lolth jest odporna na magię.

- No to schowamy się za drzwiami! - Droczyła się z cieniem między ogonami i nogami przyjaciół. - Zwiążemy ją magiczną liną i stłuczemy na kwaśne jabłko! - Własne słowa wprawiały ją w zachwyt. - To będzie prostsze, niż sądziłam! Hej, Popiół! Przynieś!

Rzuciła ołówek. Wszyscy patrzyli, jak przedmiot spada na podłogę i zaczyna się toczyć. Popiół zamachał ogonem, a jego zęby zaśniły w świetle.

- Co?

Wszyscy spojrzeli ciężko na faerie, która wzruszyła ramionami.

- Sprawdzam instynktowną reakcję! - Klepnęła Jusa w ramię. - W porządku, Jus! Masz plan? No to ruszajmy!

Justicar nie był jeszcze gotowy. Stał nad mapą, spojrzął na diagramy i oparł dłoń na ciepłym ramieniu Enid.

- Zmyć zło. Zmyć do czysta... - Popukał w wilczą głownię Beneluxa. - To wskazówka. Enid, ty jesteś naszym ekspertem od zagadek. Masz jakiś pomysł?

- Nic specjalnego. Chyba że chodziło jej o pokój, który powinniśmy znaleźć?

- Czy na mapie jest łaźnia? - Jus podrapał się po szczecinie policzka.

- Tutaj! - Enid bez trudu odczytywała piękne, krągłe pismo Morąg. - Tu jest napinane „Siedziba Czarnego Smoka. Proszę właściwie położyć glazurę.”

- To nie to. - Tropiciel westchnął ciężko. - Escalla? Henry? Pomyślcie!

Henry mógł tylko wzruszyć ramionami. Escalla wsadziła za pas lodową różdżkę i laskę licza.

- Będziemy się rozglądali po drodze - oświadczyła. - Co się martwisz? Masz czar kamiennej skóry, a faerie celuje z różdżki! Myślisz, że cokolwiek może się nam nie udać?

Ruszyli dalej w głąb pałacu, a Enid pochyliła się do Henry'ego.

- Za każdym razem - szepnęła - gdy tak mówi, przechodzą mnie dreszcze.

- Mnie też.

Próbowali znaleźć prywatne apartamenty Lolth, skarbiec, sale audiencyjne i dokładnie przygotowane linie obrony. Bogini długo planowała ucieczkę i taktykę w razie napaści. Justicar popatrzył na mapę i wybrał drzwi. Popiół przebiegle rozejrzał się na boki i warknął radośnie.

- *Idziemy znaleźć kobietę-pająka?*

- Nie. Sprawimy, że kobieta-pająk przyjdzie do nas.

- *Palić pająki! Juhuu!*

Uśmiech Popioła nie zniknął nawet wtedy, gdy drużyna weszła do siedziby pająka.

* * *

Lolth stała po środku komnaty audiencyjnej, przygotowując jeden ze swoich przebiegłych cudów geniuszu. Ołowianoszara podłoga była śmiertelną pułapką, pełną ruchomych piasków z bagien Otchłani. Przez środek prowadził ukryty most, schowany parę centymetrów pod powierzchnią piasku. Każdy, kto stanie na tej podłodze, a nie pozna ukrytej ścieżki, będzie martwy! Bogini patrzyła, jak jej giganci wnoszą ostatnie wiadra piasku, i radośnie kręciła na palcu pukiel włosów.

- Doskonale.

Otworzyły się drzwi i do komnaty dostojnie weszła Morąg. Zobaczyła, co się dzieje i otworzyła notatnik, zapisując szacunkowe koszty. Lolth zobaczyła ją przy pracy i uśmiechnęła się złośliwie.

- Morąg! Jak dobrze, że w końcu do nas dołączyłaś! Pochowałaś już wszystkie swoje teczuszki?

- Tak, Wasza Wspaniałość.

- Ach. - Pajęcza bogini przeszła po ukrytym moście. Aura wokół niej sprawiała, że moc wyładowywała się w powietrzu. - Widziałaś jakiś intruzów, Morąg?

-Nie, Wasza Wspaniałość. - Sekretarka włożyła ołówek za ucho.

Bogini zatrzymała się z rozłożonymi ramionami, a potworni bezkształtni służący popełzli spod drzwi i zdjęli luźne szaty swej pani. Królowa przygotowywała się do wojny. Jej słudzy rozebrali ją do naga. Zdjęli wszystko oprócz delikatnie szlifowanych klejnotów, które Lolth zawsze nosiła na szyi.

- Tak, Morąg. Wciąż jednak mam wrażenie, że coś nie gra. Myślałaś o tym?

- Twoja intuicja jest nadprzyrodzona, Wasza Wspaniałość. - Sekretarka otworzyła notatnik. - Wezwę strażę pałacową i każę im rozpocząć poszukiwania. To jednak opóźni wymarsz o przynajmniej dwie godziny.

- Żadnych opóźnień! - Bogini zawirowała wściekle. - Powrócimy do Flanaess! Muszę odnowić czary, które utrzymują moje wojska. Czy masz pojęcie, co zrobiliby ci głupcy, gdyby nie przewodził im mój geniusz? - Lolth odsunęła sługi na bok i przeszła po krawędzi basenu z ruchomym piaskiem. - Nie mogę ufać nikomu z was, idioci. Kiedy wyruszamy?

Sekretarka chłodno odłożyła mały zegarek ręcznej roboty, który bardzo sobie ceniła.

- Za trzydzieści minut, Wasza Wspaniałość. Wciąż trwa załadunek płynu do wytwarzania sieci. Na razie rozpalono pod trzema kotłami.

- Każ im się pośpieszyć!

- Powiem im, Wasza Wspaniałość. - Morąg zamknęła książkę. - Ale może się okazać, że woda i tak się szybciej nie podgrzeje. Nawet tutaj wchodzą w grę prawa fizyki.

Lolth spojrzała na Morąg z głębokim namysłem i dotknęła klejnotów zawieszonych na szyi.

- W tobie jest coś bardzo nie-tanar'ri, Morąg.

- Tak, Wasza Wspaniałość. - Sekretarka dumnie poprawiła ołówki i miecze. - Dlatego mnie zniewoliłaś.

Lolth obróciła się. Z satysfakcją spojrzała na ruchome piaski i złożyła ramiona.

- Tak. I dobrze się spisujesz. Kto by pomyślał, że takie małe, ponure, bezbarwne, nudne stworzenie jak ty będzie sobie tak dobrze radzić. Ale jeżeli możesz zmieniać postać, chciałabym, żebyś przynajmniej stwarzała pozory, że masz jakiś biust. Naprawdę zaniżasz wartość mojej drużyny. - Lolth pozwoliła, by słudzy założyli na nią ostatni element ubrania, cieniutką siateczką pajęczyny osłaniającą jej obfity biust. - Tkwię tutaj już od pół godziny! Jestem zdenerwowana, Morąg. Chciałam być w drodze wieki temu. Dzisiaj nie słyszę nic tylko opóźnienie, opóźnienie, opóźnienie! - Złapała za pasek stroju. - Cóż, więc będziemy tu jeszcze przez godzinę. Postaramy się to jak najlepiej wykorzystać. Morąg, czy wciąż mamy wystarczającą liczbę demonów wasali, których mogłabym zdeprawować?

- Jestem pewna, że Wasza Wspaniałość jakiegoś znajdzie. - Morąg kwaśno zrobiła notatki. - Czy to wszystko?

- Och, tak, Morąg, wszystko. - Lolth machnęła dłonią. - Sio sio sio! Idź, popełnij do swojej małej klitki i zacznij podliczać. Możesz przynajmniej być użyteczna, jeżeli nie nadajesz się na element ozdoby. Zmykaj!

Morąg bezszelestnie odpełzła i zamknęła za sobą drzwi. Lolth władczo skinęła na służącego, który otworzył przed nią wejście na korytarz. Królowa odwróciła się i spojrzała za siebie, a jej usta rozszerzyły się w przebiegłym, złym uśmiešku.

- Tak. Wszyscy mamy swoje małe sekrety. - Podeszła do postaci stojącej cicho w korytarzu, do koszmarnego stwora z gnijącym ciałem, wyschniętą skórą i kośćmi, który nosił hełm w kształcie orła i szargany pancerz. - Mam plan, jak rozprawić się z intruzami, więc, kochanie, uważaj na pułapki. Ale proszę, czuj się tutaj jak u siebie w domu.

Przylgnąwszy plecami do ściany, Justicar ostrożnie wyglądał zza rogu. Stojąca obok Escalla uparcie ciągnęła go za tunikę, usiłując zwrócić na siebie uwagę.

- Jus! Tędy schodzi się na dół! A właściwie po co tam schodzimy? Wszystkie naprawdę fajowe skarby są w komnatach Lolth!

Jus rzucił okiem na mapę Morąg, a potem pociągnął faerie za sobą, przechodząc za róg.

- Najbardziej wymyślne pułapki Lolth i najlepsi strażnicy będą wokół jej apartamentów. Musimy odciągnąć od niej ich uwagę. Musi być nieprzygotowana i zdezorientowana. - Znowu wyjrzał za róg i skinął Henry'emu, żeby strzegł tyłów. - Musimy wyjątkowo zdenerwować Lolth...

- O-o-och! Wkurzona pajęcza bogini? Fajowo? Tak, już to widzę!

Bezszelestnie wyciągając miecz, Justicar podszedł do drzwi. Gdzieś z przodu dobiegał do nich szum przenoszony przez metalową skorupę.

- Kontrola. To miała na myśli nasza współpracowniczka. Lolth pogardza innymi stworzeniami. Nie wierzy, że ktoś może coś zrobić dobrze. - Jus skinął głową w stronę drzwi. - Zgodnie z mapą na dole jest maszyna, która napędza pałac. Jeżeli zdołamy ją zniszczyć, królowa osobiście zejdzie na dół, żeby zobaczyć, co się stało.

- Ale synu! - Polk stanął na tylnych łapach, wyraźnie zdegustowany. - Tak nie dojdziemy do kryjówki zła! Nie będziemy zdobywali krok po kroku całego pałacu, mierząc się z każdą pułapką, strażnikiem i wreszcie z demoniczną królową!

Escalla zleciała na dół i poklepała borsuka po głowie.

- Nieźle brzmi. Nazwijmy to planem B. Zabierzemy się do niego zaraz potem, jak Lolth wyrwie nam mózgi i zastąpi je kapustą. - Wskazała na drzwi. - Więc zejście do maszynowni jest tutaj?

Justicar nasłuchiwał pod drzwiami, a po chwili skinął na Henry'ego, żeby przygotował kuszę. Potem wyważył drzwi potężnym kopnięciem, posyłając w powietrze odłamki drewna. Z wnętrza dobiegł ryk i ze sterty śmieci na podłodze wyskoczyły dwie ogromne postacie. Zaskoczeni giganci rzucili się po maczugi, mimo że bełty z kuszy Henry'ego wystrzeliły w powietrze. Jeden z nich parsknął pogardliwie, gdy trafiły go małe strzałki, jednak po chwili jego oczy rozszerzyły się, gdy usypiający wywar rozsmarowany na czubkach strzał zaczął działać. Justicar miał zamiar rzucić się do walki, gdy Escalla przemknęła między jego nogami, trzymając w dłoni lodową różdżkę.

- Juhu! Ten jest mój. - Wypaliła z różdżki. - Jus, cofnij się! Nie marnuj zaklęcia kamiennej skóry!

Podmuch lodowatego zimna trafił drugiego giganta. Stworzenie ryknęło i osunęło się do tyłu. Niewidzialna Escalla wpadła do pomieszczenia. Gigant na oślep zamachnął się maczugą, by

rozgnieść ją na miazgę, a wtedy lodowa różdżka wypaliła wprost między jego nogi. Zgiął się w pół i zamarzył. Pojawiwszy się znowu, Escalla zdmuchnęła obłoczek chłodu z końca różdżki, zakreśliła nią jak batutą i schowała pod ramię.

- A tak się to robi w krainie faerie! - Wyglądała na zadowoloną. - Hej! Kto chce poszukać skarbu?

Jus już zaczął działać. Szybko przepchnął resztę drużyny przez komnatę, popędzając Polka kopniakami. Ostrożnie otworzył drzwi prowadzące na tył statku.

- Ruszać się! Już! - Złapał mijając go Escallę. - Żadnego polowania na skarby!

- Żadnego polowania na skarby?

- Ruszajcie się, zanim nadejdą strażę! - Jus zatrzymał się przy drzwiach, otworzył je kopniakiem i przeprowadził drużynę przez schowek. Przystanął przed następnymi drzwiami prowadzącymi do klatki schodowej i mocno chwycił Beneluxa. - Naprzód!

Drzwi otworzyły się na oścież. Czterech ogrów podniosło się z legowisk przy spiralnych schodach. Salwa z kuszy i podmuch mrozu popędziły na ich spotkanie, i stwory zakończyły marny żywot, martwe, zanim jeszcze upadły na ziemię. Jus pobiegł do szczytu schodów, rozejrzał się i natychmiast popędził w dół. Poruszał się błyskawicznie i Escalla musiała biec, żeby go dogonić.

- Jus! Jus, powinniśmy być ostrożni!

- Będą nas ścigać strażnicy. Nie mamy czasu!

Musiał krzyczeć. Klatkę schodową wypełniał hałas dochodzący z dołu, metaliczne trzaski i łomoty, które rosły do ogłuszającego ryku. Powietrze było gorące i pełne pary. Ściany pokrywała sadza, skrywając twarze potępionych wewnątrz metalowej skóry. Enid przeciskała się po schodach za Jusem i Escalla. Polk i Henry schodzili z tyłu.

Stanęli w szerokim metalowym korytarzu pełnym dymu. Wzdłuż ścian pomieszczenia biegły ogromne piece, skrywające w swym wnętrzu szalejące płomienie. Ślepe, apatyczne i zżerane przez robactwo potwory z ogromnymi kłami wolno ładowały w nie węgiel. Niektóre z nich nawet łąziły wśród płomieni, układając rozpalone do białości skały gołymi dłońmi. Na suficie biegły rury, z jednych kapala woda, inne wypuszczały śmiertelne obłoki pary. Przewody drżały mocno z powodu pompowanej nimi pary. Wściekle gorąco uderzyło wchodzących.

Dygocząca maszyna wytwarzała piekielny hałas. Justicar pochylił się ku Henry'emu, Enid i Escalli i ryknął z całych sił.

- Czy ktoś wie, jak to działa?

Wszyscy popatrzyli na Escallę, która wzruszyła ramionami.

- Mnie interesuje moda! Co ja tam wiem o maszynach? - Machnęła w kierunku pieców. -

Spójrzcie! To napędza pałac. Zatrzymajcie to, a zatrzymacie maszyny!

- W porządku. - Jus wprowadził pozostałych do piekielnego pomieszczenia. - Trzymajcie się z daleka od rur! Wyglądają niebezpiecznie. Szukajcie czegoś, co trzeba zniszczyć. Czegoś ważnego!

Podłogę pokrywały kawałki węgla. Justicar podniósł jeden, by nakarmić Popioła, i pokazał drużynie, żeby się rozdzieliła. Enid i Henry szli po jego bokach. Escalla stała się niewidzialna i pomknęła prosto przed siebie. Zataczając się i potykając o węgiel na podłodze, Polk wyciągał swe krótkie nogi, aby nadążyć. Wskazał na stwory obsługujące piece i starał się przyciągnąć uwagę Jusa.

- Spójrz, synu! Tanar'ri! Demony wprost proszące się, żeby je zabić!

- Nazywa się je grzywaczami, Polk. Są jak zombie, tylko głupsze! - Jus przycisnął Popioła do hełmu, gdy z rury trysnął obłok pary. - Nawet nas nie zauważą. Robią tylko to, co im się powie. - Spojrzał na potężne piece i rury, szukając czegoś, co sprowadziłoby na dół Loth. - Benelux! Widziałeś kiedyś coś takiego? Jak to działa?

- *Jestem mieczem, sir, nie mechanikiem.* - Wiecznie nadąsany miecz błysnął w dłoni Justicara. - *Jeżeli potrzebujesz informacji, proponuję, żebyś zapytał o nie jaskrawoczerwonych dżentelmenów na końcu pomieszczenia.*

W ledwie widocznym przez dym i płomień krańcu sali wznosiła się platforma. Znajdował się tam las dźwigni, kół i korb, którymi zajmowało się trio paskudnych węzowatych potworów. Stwory miały kształt anakond z ludzkimi ramionami, ale zdawały się być spowite płomieniem. Jus pochylił się, przyczajony. Enid i Henry padli za stertą węgla. Zamarli, ale najwidoczniej nie zostali dostrzeżeni. Wężowe stwory parskały na siebie, obsługując mechanizmy i kręcąc kołami. Para wystrzeliła z rur na suficie.

Escalla znalazła świeży kawałek węgla dla wiecznie głodnego Popioła.

- Jus, co to za gady?

- Nie mam pojęcia. - Justicar zerknął na nich ostrożnie. - Salamandry?

- *Salamandra!* - Popiół przemówił z pełnymi ustami, miażdżąc węgiel między wielkim zębiskami. - *Głupia, samolubna, zła! Kradnie węgiel. Goni piekielne ogary. Zabija ludzi! Zła!* - Warknął cicho. - *Nie płonie. Zrobiona z ognia. Zabija ją zimno!*

- Juhu! Panienska Lodowa Różdźka ma dzisiaj dobry dzień! - Escalla poklepała swą ulubioną broń i hałaśliwie przeciwoczyła wyciąganie jej z olstra. - Fajowo! Podkradnę się do nich, zamrozę i będą martwe, zanim zdążysz powiedzieć „morderstwo z premedytacją”!

Stała się niewidzialna, nie dając Justicarowi szans na żadną dyskusję. Jus jednak do połowy wychylił się zza osłony, próbując ją powstrzymać.

- Escalla, uważaj na siebie!

- Hej! Zaufaj mi! Jestem faerie!

* * *

Wyglądała tak wspaniale, że aż żałowała, że tyle czasu spędza niewidzialna. Wciąż jednak... było w tym coś cudownie podstępного! Niewidzialna Escalla biegła radośnie przez maszynownię, pozostawiając ślady w węglowym pyłu. Wspięła się na schodki do platformy kontrolnej, stanęła pośrodku parzącej podłogi i uśmiechnęła do swej ofiary.

Salamandry przewyższały ją o ponad metr, a ich ogony były cztery razy dłuższe od niej, to jednak wcale jej nie zniechęciło. Była przecież faerie! Przyjęła swoją najbardziej wojowniczą pozę i wydała hałaśliwy okrzyk.

- Zapchajcie się lodem, wy obrzydliwe węzowe dziwactwa! Wystrzeliła z różdżki. Trysnął astmatyczny podmuch, a ponim rozległo się ciche pyknięcie. Małutka strużyna mrozu i lodu zabulgotała i natychmiast znikła. Wszystkie trzy salamandry szarpnęły głowami, wpatrując się prosto w Escallę, która poczuła, że się poci.

- O kurcze.

Jedna z salamander zamachnęła się ogonem. Escalla próbowała przelecieć nad nim, zapominając, że nie może latać. Trafiły ją rozpalone łuski, a cios wrzucił ją między masę dźwigni i korb. Faerie zapiszczała i spróbowała się uwolnić, w zamieszaniu naciskając przełączniki i kręcąc tarczami. Jus i Enid zaatakowali, a zza sterty węgla posypały się bełty. Salamandra spojrzała na napastników, zawirowała i przesunęła dźwignię, posyłając w powietrze przeszywający gwizd. Chwilę później bełt odbił się rykoszetem od czaszki stwora, niszcząc potencjometr. Buchnęła para.

Escalla wiła się między dźwigniami, raz po raz robiąc uniki, gdy rozwścieczona salamandra celowała w nią włócznią. Schowała się za pulpitem kontrolnym. Oszalała z wściekłości salamandra trafiła bronią prosto w panel, uszkodzając przewody i wielokrążki. Piszcząc z przerażenia, Escalla rzuciła się z dala od ostrza, wycelowała palec i trafiła błyskawicą prosto w przeciwnika. Salamandra ryknęła, otrząsnęła się i złapała faerie w uścisk swych palących splotów. Wtedy Escalla rzuciła czar odporności na gorąco i zaczęła wściekle szarpać się w uścisku. Na próżno. Potwór ścisnął ją coraz mocniej. Faerie zakłęta, wydobyła laskę licza i uderzyła salamandrę w ogon. Rozległ się huk i salamandra wybuchła, padając na ziemię.

Escalla zrzuciła z siebie pęta ogona, a potem rzuciła się w bok, gdy z wściekłością zaatakowały ją jeszcze dwie salamandry.

- Jus! Jus, przydałaby mi się pomoc!

* * *

Szarżując na salamandry, Justicar kątem oka dostrzegł ruch obok Enid galopującej naprzeciw drzwi do pieca. W kierunku jej boku leciała włócznia. Justicar krzyknął ostrzeżenie i Enid upadła, a włócznia przeleciała nad jej grzbietem. W stronę leżącego sfinksa poszybowała druga, ale Justicar

stała na jej drodze. Zbił broń z powietrza i rzucił się prosto na salamandrę stojącą wewnątrz płomieni w piecu. Potwór warknął tryumfalnie i cofnął się, by zmusić wroga do walki w białym żarze. Justicar jednak zatrzymał się przy piecu i kopnięciem zamknął drzwi, opuszczając zasuwę. Napatoczył się grzywacz, taszczący szufłę węgla. Jus przeciął go mieczem na pół, a potem obrócił się, by ściąć z karku głowę kolejnego. W środku pieca wściekła salamandra waliła w drzwi, marnując siły na prawie pięć centymetrów solidnej stali.

Na platformie kontrolnej Henry walczył na miecze z salamandrą. Stwór skoczył, chłopak sparował cios, a potem wbił miecz w ciało przeciwnika. Przekręcił ostrze w ranie, tak jak go nauczył Justicar. Salamandra krzyknęła i złapała go ciasno w sploty ogona. Henry puścił miecz, wyrwał zza pasa bełt i dziabnął potwora w gardło. Stworzenie upadło. Henry wyrwał miecz z jego piersi i zadał potężny cios, który przeciął czaszkę. Potem razem z Escallą rzucił się na ostatnią salamandrę. Potwór cofnął się do kąta, powstrzymując ich włócznią. Justicar pobiegł do przodu, przeskoczył Escallę i uderzył Beneluxem. Salamandra sparowała, ale Benelux przeciął włócznię i trafił w ramię stwora. Jus szarpnął i przekręcił ostrze, otwierając ranę.

Kaszląc i wrzeszcząc, salamandra poleciała w dół, a Jus jednym ciosem ściął jej głowę. Pochylił się, chwycił Escallę za skrzydła i odciągnął ją do tyłu, zanim z rozwalonego zaworu trysnął śmiertelny obłok pary.

- Masz! - Rzucił jej leczące eliksiry. - Daj je rannym, a później zniszcz cokolwiek, co zatrzyma pałac!

Gwizdek ciągle wydawał z siebie przejmujący pisk. Jus podszedł i uderzył go pięścią, zgniatając solidny mosiądz niczym papier. Gwizdek zagulgotał i ucichł, a Justicar pokazał Polkowi rząd rur i dźwigni.

- Polk, zniszcz to!

- Już się do tego zabieram, synu! Wiem, o co ci chodzi! Zawsze przewiduję twój krok! - Biegł, gubiąc po drodze czapkę. - Myślę, że ten gwizdek to jakiś alarm!

- Nie! Ty myślisz? - Escalla przemknęła obok, przestawiając dźwignie i zmykając zawory bezpieczeństwa na wszystkich pulpitach. - Polk, zniszcz coś! Szybko!

Między piecami biegła górą wielka rura. Gdy ciśnienie stawało się zbyt duże, jeden po drugim ich zawory otwierały się i para tłoczyła się do rury. Escalla zobaczyła pismo na ogromnym mosiężnym przewodzie i krzyknęła do Justicara.

- Jus! To zawór bezpieczeństwa! Jeżeli go zamkniemy, może coś z tej maszyny wybuchnie!

Zamiast szukać kontrolnej dźwigni, Justicar wybrał prostszą drogę. Popędził przez maszynownię, ściskając w dłoni olśniewająco białe ostrze Beneluxa. Grzywacze próbowały niezdarnie go powstrzymać, Jus jednak zabił dwa spośród nich, nawet nie zwalniając kroku. Ryknął głośno i uderzył płazem miecza w ogromną rurę. Rozległ się huk. Rura zadrżała, a warkot silnika przybrał na sile, przechodząc w ryk.

Buchnęła para, ale Justicar już zdążył zanurkować i odskoczyć. Zbiorniki zaczęły rzeźzić, potem puchnąć. Nity poleciały jak z procy, odbijając się rykoszetem od ścian. Daleko za Jusem Escalla spojrziała na zbiornik i rzuciła się za stertę węgla.

- Zaraz wybuchnie! Kryć się! - krzyknęła.

Zbiornik wybuchł jak wulkan, wyrzucając w powietrze obłoki pary i kawałki metalu. Parzące odłamki uszkodziły pobliskie rury i poszatkowały silniki. Maszyny stanęły, piszcząc i grzechocząc. Wybuchły kolejne rury z parą, inne z hukiem poleciały na podłogę. Jus, wciąż ściskając magiczny biały miecz, skrył się pod Popiołem. Korytarz przysłoniła chmura mgły. Justicar podniósł się spod kawałków potrzaskanych rur, jednak po chwili znów padł, kryjąc się przed parzącym podmuchem. Maszynownia zamieniła się w piekło pogiętych rur, wyjących silników i wszechobecnej pary.

Nagle w kłębach dymu pojawiła się szczupła, smoliście czarna postać. Wysoka, piękna i pełna pogardy kobieta elfów szła przez pobojuwisko, a w jej oczach płonął srebrny płomień. Otworzyła usta i przemówiła tuzinem głosów wyrwanych z gardeł ofiar:

- Tak jak myślałam. Dwa małe szczury, Escalla i Justicar. - Za Lolth pełzła blada i zdenerwowana Morąg. Królowa rozpięła pelerynę z pajęczyny i rzuciła ją sekretarce. - Szkodniki w maszynowni. A ja tak nie znoszę zajmować się taką mierzwą. - Skinęła na sekretarkę i uśmiechnęła się. - Morąg, zabij faerie. I upewnij się, że on zobaczy jej śmierć.

Jus, owinięty skórą piekielnego ogara skoczył przez płomienie i zamachnął się oślepiająco białym mieczem. Ostrze powinno było rozciąć boginię w pół, ale spotkało inną siłę. Posypały się iskry. Krwistoczerwone ostrze zwarło się z Beneluxem, a Recca, wyłoniwszy się z obłoku pary, wrzasnął z wściekłością i zaatakował. Justicar walczył mocno i szybko, parując ciosy czerwonego miecza, gdy Recca spychał go w tył.

Lolth popatrzyła, jak walczą, i wybuchła drwiącym śmiechem. Beztrosko weszła w parę, zmierzając do przyjaciół Justicara.

- Baw się dobrze, trupie elfa! Ach, zemsta jest taka słodka.

Walczący z Reccą Justicar cofał się. Recca zmienił pozycję, przewidując, że Jus spróbuje przyjść z pomocą przyjaciołom. Widząc jego ruch, Jus uderzył w miecz dawnego mistrza i zaczął wolno krążyć. Poruszał się niczym potężny, rozzłoszczony niedźwiedź, utrzymując miecz centymetry poza zasięgiem. Recca szedł krok w krok za nim. Justicar zakreślił Beneluxem, wpatrując się w trupa dawnego mistrza, starego przyjaciela i starego wroga.

- Nie jesteś zombie. Jesteś tam, prawda, Recca? - Nie spuszczał oka z meumarłego. - Więc chodzi o zemstę. Zostawiłeś ich na pewną śmierć, a teraz sądzisz, że przez nich straciłeś sławę. - Benelux skierował się w pozycję do ataku. - Nigdy, przenigdy nie opuszcza się swoich ludzi.

Zaatakował oślepiającym łukiem. Recca zawirował i sparował cios, skoczył, zanurkował, obrócił się i ciął. Justicar rzucił się do przodu i uderzył, trafiając w krwistoczerwoną stal. Walczył, by wygrać i musiał liczyć się z każdą sekundą. Rycząc, skoczył i zaatakował. Z wyschniętego ciała

potwora trysła fontanna zielonej krwi.

* * *

Ukrywając się za chmurami oślepiającej pary, Escalla czołgała się po ziemi. Znalazła Enid i Henry'ego leżących ramię w ramię. Oboje czyhali na stopy i łydki przechodzących wrogów. Polk zniknął, podobnie jak Jus. Syk pary, łomot maszynierii i wrzaski rozwścieczonych grzywaczy niemal uniemożliwiały rozmowę.

- Znajdźcie miejsce na zasadzkę na Lolth. Tam, obok pękniętej rury! - Faerie stuknęła Enid w tylną łapę. - Ja znajdę Jusa i ściągnę go z powrotem!

Enid krzyknęła coś, co mogło być odpowiedzią. Rzucił się na nią grzywacz, jednak Henry zabił go jednym ciosem miecza. Uniósł się do przykłęku i wskazał Enid drogę. Escalla nie zwracała już na nich uwagi. Niewidzialna, biegła przez dławiące opary, szukając znajomych butów. W końcu dostrzegła iskry, układające się we wzór, który znała aż nadto dobrze.

Miecze, jeden biały, drugi czerwony, uderzały o siebie. Escalla wyciągnęła laskę licza i chwyciła ją jak maczugę. Ruszyła prosto w kierunku walczących, zdecydowana, by rozwalić obie rzepki Recci. W jej kierunku mignęło ostrze, tak szybko, że ledwie zdołała je dostrzec. Potoczyła się do przodu, drugi i trzeci cios minął ją o szerokość komarzego tyłka. Chwilę później miecze pojawiły się ponownie, a Escalla skoczyła w bok, ratując życie wyłącznie dzięki szczęściu, które zawsze towarzyszy geniuszom. Rzuciła się do tyłu, robiąc salto z podpórką na rękach, zmieniła kierunek we mgle i usłyszała, jak ostrza wałają o podłogę za jej plecami.

Wylądowała na nietkniętej rurze i wspięła się po niej, gorączkowo rozglądając się we mgle. Rzucając ogonem przypełzła Morąg, trzymając w dłoniach trzy zakrzywione miecze. Ponownie zamierzyła się na Escallę. Faerie zrobiła unik i skoczyła na głowę sekretarki Lolth. Rozpaczliwie złapała włosy tanar'ri, nie chcąc zabić jej magiczną laską.

- Morąg! Co ty, do cholery, robisz?

- Muszę słuchać Lolth! - Tanar'ri miotła się między paniką a wściekłością. - Ona zna moje tajemne imię! Muszę jej słuchać! - Chwyciła faerie ogonem.

Escalla zmieniła się w dżdżownicę, uwolniła z uścisku i niczym sprężyna wskoczyła na rury. Wróciła do prawdziwej postaci i rzuciła na tanar'ri swoje najlepsze zaklęcie pajęczyny, przylepiając ją do podłogi. Morąg natychmiast się teleportowała.

Escalla biegła jak łasica, bojąc się, że Morąg znów pojawi się za jej plecami. Skierowała się na Reccę i walnęła go laską licza prosto w pieszczel. Noga eksplodowała i potwór upadł. Justicar obciął mu ramię. Recca prędko umieścił w kikucie nogi kawałek złomu i skrył się w kłębach pary. Escalla chciała rzucić zaklęcie, ale Justicar chwycił ją i pognął w mgłę.

- Lolth jest tam! Chce złapać pozostałych!

Pobiegli. Wokół nich kłębiła się para. Przyczajone grzywacze rzucały się z pazurami, ale Jus nie zatrzymywał się. Gnał ku słabym odgłosom walki. Ledwie przedarł się przez mgłę, a już uniósł miecz celując w Lolth. Królowa zrobiła unik, skłaniając się w przód i obracając na jednej nodze. Druga trafiła Jusa, a kopniak załomotał o zakłęcie kamiennej skóry z siłą zdolną do zmiążdżenia stali. Jus poleciał na bok, a Benelux odbił się od srebrnego ochraniacza na przedramieniu Lolth. Bogini obróciła się i zablokowała cios Enid, uderzając ją w tułów.

Enid wyprysnęła w powietrze. Lolth radośnie dmuchnęła na pięść i rozejrzała się we mgle.

- Następny!

Escalla rzuciła zakłęcia na podłogę pod jej stopami, przemieniając metal w grząski piach. Pajęcza królowa zrobiła salto i wylądowała z daleka od niebezpiecznego miejsca, cicho śmiejąc się z radości. Salwę bełtów z kuszy Henry'ego zablokowała szybkim gestem ręki. Strzałki rozsypały się na boki w deszczu iskier i wtedy z obłoku pary wyłonił się Justicar. Wykrzyknął zakłęcie milczenia, tworząc obszar zupełnej ciszy. Lolth znajdowała się w środku, nie mogąc rzucać czarów. W milczeniu klasnęła dłońmi. Teleportowała się za Justicara, wznosząc zatruty miecz. Cios wywołał błysk czaru kamiennej skóry. Escalla skoczyła na Lolth. Znowu błysnęło, laska licza trafiła w kark bogini.

Klejnoty rozsypały się naokoło, a ciało pękło. Lolth zatoczyła się w bok, jej krzyk bólu wyciszył obszar zakłęcia. Jeden wściekły cios dłonią rzucił Escallę w bok, ale faerie wytrzymała upadek niczym wojownik i wstała, trzymając pulsującą mocą laskę licza.

Ranna Lolth zerwała zniszczony naszyjnik i teleportowała się. Enid przetoczyła się na nogi. Henry wyciągnął miecz i rozglądał się w mroku. Nagle błysk czaru leczenia w kipiących chmurach zdradził pozycję bogini.

Jus zaatakował, Enid skoczyła, by pójść za nim. Henry i Escalla również ruszyli, lecz faerie rzuciła się na leżącą biżuterię Lolth i zaczęła zbierać największe, najbardziej błyszczące kawałki. Henry niecierpliwie stanął przy niej.

- Escalla! Rusz się! - zawołał rozpaczliwie.

- Czekaj! - Znalazła to, co chciała. - Ha! Mam! Złapała klejnoty i razem pobiegli w stronę walczących.

Szarża Jusa skończyła się niepowodzeniem. Wielki mężczyzna biegł na Lolth, a pajęcza królowa odrzuciła do tyłu długie włosy i zaśmiała się. Zebrała siły i zadała cios w powietrze. Znajdujący się pięć metrów od niej Justicar poczuł, jak Benelux wypada mu z rąk.

Telekineza!

Justicar nigdy się nie poddawał. Wymierzył w Lolth cios pięścią, chybił i zawirował w okrutnym kopnięciu. Jej ciało było twarde jak tek, ale i tak poleciała na ziemię. Warczał ze złości,

zaatakowała powietrze. Metry od niej Justicar zataczał się, gdy dzikie ciosy uderzały w jego ramiona. Trzymał gardę, uchylając się jak bokser. Czar kamiennej skóry błysnął, zamigotał i w końcu znikł. Lolth zaatakowała z wściekłą furią. Jednak Jus nadal bronił się przed trafieniami. Bogini wykonała szybką serię ciosów, zakończonych potężnym sierpowym. Jus uchylił się przed nim i przetoczył. Okręcił się, kopnął, zawirował i pięścią rozwalił rurę. Para wystrzeliła prosto w oczy Lolth.

Pajęcza królowa odskoczyła, lądując obok Beneluxa i robiąc unik, gdy zaatakowali Henry i Enid. Henry zamachnął się mieczem, przesywając powietrze, gdy Lolth schyliła się na bok, obróciła i kopnęła. Chłopak poleciał w tył, a Enid zaatakowała pazurami. Bogini warknęła, wciąż w polu czaru Jusa, zawirowała i jednym ciosem dłoni złamała przednią łapę Enid. Sfinks wycofał się w popłochu. Lolth wyciągnęła krótki miecz, zamachnęła się... i nagle rozwścieczony borsuk wbił szczęki poniżej jej pleców. Pajęcza królowa krzyczała jak oszalała, próbując pozbyć się Polka, wiszącego u jej pośladków.

Enid pokuśtykała w tył, otrząsnęła się i ruszyła z powrotem do walki. Polk upadł na ziemię, oszołomiony i ranny, plując krwią.

Przybywając na miejsce walki, Escalla zawahała się, szukając okazji do ataku i spostrzegła, że z pary wyłania się Morąg. Tanar'ri właśnie miała zabić Henry'ego od tyłu. Faerie gwizdnęła przesywając i pomachała nad głową klejnotami Lolth.

- Morąg! Twoje imię widnieje na klejnotach Lolth! - Rzuciła kamień sześcioramiennej tanar 'ri.
- Masz, jesteś wolna! A teraz chodź i pomóż nam!

Morąg złapała klejnot, spojrzała na niego z nieukrywana radością i...teleportowała się. Escalla zdezorientowana patrzyła chwilę w pustkę, gdzie jeszcze przed chwilą stała sekretarka.

- Dziwka - wycedziła.

Henry rzucił jej przez ramię rozpaczliwe spojrzenie.

- Jest zła! Czego się spodziewałaś?

- Taak, masz rację. - Escalla pomachała kolejną parą klejnotów i ryknęła z całych sił. - Ale Lolth trzyma wszystkie zapiski w trzech kopiach!

Jus szedł po swój miecz. Lolth spostrzegła, że się zbliża, wyciągnęła dłoń i Benelux, pchnięty za pomocą telekinezy, poleciał w kłęby pary. Gdy demoniczna królowa patrzyła na ostrze, Enid skoczyła, jednak Lolth powstrzymała ją telekinetycznym ciosem w ranną łapę. Sfinks upadł z hukiem i legł w agonii.

Escalla rzuciła zaklęcie, ale magia rozproszyła się. Zamieszanie pozwoliło jednak Henry'emu zamachnąć się na Lolth mieczem. Demoniczna królowa przyjęła ostrze na naramiennik, wyrwała je z uchwytu chłopaka i powaliła go ciosem srebrnej tarczy. Zaśmiała się triumfalnie i rozłożyła szeroko ramiona. Jej postać błysnęła i zaczęła się zmieniać. Z boków wyrosły jej nogi, czarne ciało

wybrzuszało się, a klejnoty zmieniały kształt, by dopasować się do nowej postaci. Wysoko nad podłogą pojawiły się ogromne zatrute kły.

Escalla podbiegła i uderzyła laską w stopę Lolth, tylko po to, by przekonać się, że magia w lasce się wyczerpała. Kopnąwszy faerie na bok, pająk podniósł się i skierował uwagę na Justicara. Wciąż otoczony czarem milczenia, Jus stał bez broni i oceniał szanse następnego ataku. Escalla pobiegła za plecy Lolth, chcąc zająć ją od tyłu. Polk kaszlał słabo, Henry leżał nieprzytomny, a Enid z trudem usiłowała się podnieść.

Justicar ruszył, żeby odciągnąć uwagę Lolth od leżących. Pobiegł ku gigantycznemu pająkowi. Zezując jednym okiem za siebie, Lolth cofnęła się i wypuściła sieć, dokładnie w chwili gdy Escalla rzuciła się do ataku. Faerie znalazła się w samym środku pajęczyny i poleciała trzy metry w tył, mocno uderzając o rozgrzaną rurę. Bezsilnie wiła się w sieci.

Justicar złapał monstrualne kły Lolth i pociągnął z siłą tak wielką, że zaczął rozrywać pająka. Bogini w szale miotła się na boki. Popiół spadł z hełmu na podłogę. Ułamek sekundy później Jus zatoczył się, gdy Lolth się teleportowała.

Gigantyczny pająk pojawił się znowu na stropie trzy metry nad ich głowami. Czar milczenia Jusa został w końcu przerwany, gdy Lolth rozproszyła go z daleka. W końcu mogła rzucać własną magię. Wyjąc z radości, wypowiedziała kolejne zaklęcie i natychmiast w maszynowni pojawił się tuzin pająków wielkości wilków.

Para powoli nikła, gdy w rurach kończyła się woda, a piece gasły. Lolth trzymała się sufitu, kołysząc się radośnie. Jej pająki zbliżały się ze wszystkich stron. Escalla zmieniła kształt i uwolniła się z sieci. Nagle pojawił się kuśtykający Recca. W jego ranach pulsowała zielona krew, zamykając je na ich oczach. Tylko jego pożyczona dłoń i stopa nie odrastały. Były jak zawsze jasnymi kawałkami ciała wyrwanymi innemu stworzeniu.

Lolth najwyraźniej doskonale się bawiła.

- Kocham mieć małych przyjaciół! - Zatarła przednie łapy, spoglądając na śmiałków wszystkimi ośmioma oczami, błyszczącymi wesołością. - Co dalej?

Reca stanął obok Beneluxa, spoglądając na miecz. Enid odczołgiwała się od niego, w oszołomieniu potrząsając głową. Justicar wyprostował się pod Loth i rzucił na dawnego mistrza dumne, ponure spojrzenie.

- Recca! Pragniesz honoru, który straciłeś? Pragniesz sławy? Więc walcz! Jeśli chcesz, by zapamiętano cię jako bohatera, zabij demoniczną królową! - Wielki tropiciel wyciągnął dłoń do nieumarłego potwora. - Stań przy mym boku! Tak jak to zawsze powinno być.

Recca spojrział na Benehuca, potem na Justicara. Zrobił krok w przód, z namysłem podrapał się po podbródku i... przeszył mieczem Enid.

Zrobił to powoli, precyzyjnie, wbijając krwistoczerwone ostrze za przednią nogę sfinksa

wprost w serce. Enid załkała. Escalla krzyknęła rozpaczliwie i rzuciła czar, który zwałił Reccę z nóg, ale jego miecz pozostał w ciele ofiary, świecąc potwornie i wypełniając się krwią.

Rycząc, Justicar rzucił się do Enid, desperacko próbując wyrwać mordercze ostrze. Właśnie na to czekała Lolth. Spadła ze stropu, obracając się jak kot. Wylądowała na ziemi za Justicarem i zagłębiła kły w jego plecach. Trucizna wylała się na podłogę i Jus kaszlnął, łapiąc końcówki kłów w dłonie.

Escalla krzyknęła, zamierając z przerażenia. Lolth stanęła dęba nad Justicarem. Henry i Polk leżeli krwawiąc, a stado pajaków skoczyło na niech w morderczym ataku. Bogini wyciągnęła kły z Justicara i zaśmiała się, gdy upadł na ziemię. Obróciła się, żeby stanąć przodem do małej, stojącej samotnie faerie. Escalla była kompletnie naga, oprócz klejnotu zwalniania czasu, który wisiał na jej szyi. Zerwała kamień. Rzuciła nim w pajęczą królową i wymówiła zaklęcie. Był to prościutki czar, jeden z pierwszych, jakie poznała. Salwa magicznym pocisków w kształcie małych złotych pszczoł. Lolth zaśmiała na widok tak żalosnej magii, ale pszczoły trafiły, uderzyły...i rozbiły klejnot zwalniania czasu na tysiąc kawałków.

Błysnęła magia. Z klejnotu wytrysnęła moc. Pole złapało Lolth i Justicara, a w jego wnętrzu wszystko rozgrywało się wolno niczym we śnie. Wewnątrz kuli czas się zatrzymał. Odłamki klejnotu zawisły w powietrzu, a krople trucizny zatrzymały się na pajęczych kłach.

Escalla, szlochając, pognęła do przodu, chwyciła Polka i zza jego pasa wyrwała przenośną dziurę. Poruszała się z gorączkowym pośpiechem. Pole z klejnotu objęło Reccę, Henry'ego, głowę Polka, a potem jego ciało. Pajaki Lolth po prostu zamarły w powietrzu.

Faerie zatrzymała się, gdy pole zwolniło tempo, w jakim się rozrastało. W końcu zatrzymało się i błysnęło, pokazując śmierć i zniszczenie wszystkiego, co Escalla kochała. Zapłakała więc, zagubiona i bezsilna. Ugryzła się w dłoń, w nadziei, że ból pomoże jej skupić. Miała trzydzieści minut. Potem pole czasowe zniknie, Lolth uwolni się i wszyscy zginą. Escalla cofała się, jej umysł pracował gorączkowo, gdy usiłowała wymyślić jakiś plan.

-Auuu!

Głos piekielnego ogara zabrzmiał w głowie Escalli. Obróciła się i spostrzegła leżącego do góry grzbietem Popioła. Pośpieszyła do przyjaciela, rozplątując go drżącymi dłońmi.

- Popiół!

- Popiół spadł. Pajęcza pani twarda. - Zdawał się być odrobinę oszołomiony. - Popiół chce, żeby faerie teraz wymyśliła plan, jak skopać pajęczy tyłek! A nie płakała.

- Tak. Tak, w porządku - Escalla otarła twarz. W jej umyśle w jednej chwili kłębiło się tysiąc myśli. - Jestem faerie. Faerie zawsze ma jakiś plan!

Jak do tej pory Morąg ich nie okłamała. Ale było coś jeszcze... Coś, co kołatało w pamięci Escalli. Słowa wymówione przez Morąg...

- Zmywać grzech... zmywać grzech!

Escalla błyskawicznie chwyciła jeden z klejnotów Lolth i uniosła go nad głowę, krzyząc w próżnię.

- Morąg. Użyję go! Przysięgam! Przybądź tu... *natychmiast!* Błysnęło. Pojawiła się Morąg, urażona i przestraszona, patrząc na zatrzymaną w czasie Lolth ze strachem w oczach.

- Co? Czego chcesz?

- Pomocy. - Escalla wepchnęła Popioła do przenośnej dziury. - Teleportuj mnie! Natychmiast!

Tanar'ri zamrugała ze zdumieniem.

- Dokąd?

- Wiesz dokąd! - Escalla złapała przenośną dziurę, wskoczyła na plecy Morąg i teleportowała się razem z nią.

Flanaess. Po martwym zaduchu Otchłani zapach trawy i ziemi uderzył zmysły niczym pięść. Escalla знаła cienie, światło i trawę. Nie urodziła się tu, ale teraz był tu jej dom.

Morąg przeniosła się do Otchłani, z Otchłani do Zakola Keggle, a potem do jaskini głęboko pod ziemią. Nawet wilgotne jaskinie miały świeży i czysty zapach w porównaniu do miejsc, gdzie byli. Spowita w mrok, Escalla wleciała z pleców Morąg. Zawisała nad podłogą z twardego bruku w miejscu, w którym słychać było odbite od ścian powolne odgłosy podziemnego jeziora. Otworzyła przenośną dziurę. Popiół leżał z nosem wystawionym w ciemność. Escalla szybko rozejrzała się po jaskini i dostrzegła tuzin korytarzy prowadzących w mrok.

- Morąg, którądy teraz?

- Najniższym korytarzem. - Niezdecydowana tanar'ri rzucała ogonem. - Nie mogę iść z tobą. Lolth dowie się, że ci pomogłam.

- Dobra, nie potrzebuję twojej zakichanej pomocy! - Escalla już ruszyła w drogę. - Po prostu tu zostań! Poruszysz jedną łuską, a użyję tego twojego tajemnego imienia, żeby cię rozwalić jak purchawkę!

Faerie poruszała się szybko, świadomą, że czas ucieka. Z prowadzącym ją Popiołem gnała korytarzem w ciemności pobrząkujące łańcuchami.

- Siostrzyczko! - Lecąc, krzyczała w ciemność. - Hej, siostrzyczko! Czekasz na mnie?

Odgłos jej krzyku odbijał się echem w tunelach. Gdzieś w tych jaskiniach czyhała Tielle, a przy niej koszmarna sadzawka opisana przez Henry'ego. Mknąc w powietrzu, Escalla skręcała jak oszalała do różnych tuneli i jaskiń. W Otchłani czas upływał szybko i nieubłaganie.

- Tielle! Mamy zjazd rodzinny! Wlecieli do długiej, niskiej jaskini i w głowie Escalli syknął głos Popioła.

- *W lewo!*

Dwaj łańcuchowi mnisi skrywali się za kawałkiem iluzorycznej ściany. Escalla zdetonowała między nimi kulę ognia, wysadzając ich w powietrze. Potwory poleciały w górę tuż przed nosem mijającej ich faerie. Sześciu kolejnych wyłoniło się z najbliższego tunelu. Wyrzucili przed siebie łańcuchy, wyjąc na myśl, że będą pić krew Escalli. Ta jednak posłała do tunelu błyskawicę, zamieniając łańcuchowych mnichów w miazgę stali i kości.

Dostrzegła za mnichami błysk światła i poleciała w tamtym kierunku.

- Tielle!

Wpadła do wielkiej jaskini, wypełnionej srebrzystym światłem. Wąski pas polerowanych

kamieni otaczał jezioro lśniące przyćmionym odcieniem srebra. Wolno poruszające się fale płynęły w kierunku faerie, tak jakby jezioro było gigantyczną amebą kierowaną pragnieniem żywego ciała. Escalla śmignęła nad powierzchnią ku przeciwległemu brzegowi i samotnemu łukowi z kamienia, który ostro odcinał się od lśniącej ściany. Był to portal do teleportacji, taki jak tysiące innych, które wykorzystywała Escalla.

-Pilnuj!

Rzuciła przenośną dziurę na ziemię, położyła głowę Popioła tak, żeby mógł trzymać wartę i zanurkowała do dziury. Przetrzęsła pudła schowane głęboko na dnie, znalazła pergamin oszołomienia Enid i osłabła, gdy przycisnęła go do piersi. Pergamin zachował ostry, koci zapach Enid. Dostrzegła eliksir regeneracji, najmniejszy z flakonów, i zważyła go w dłoni.

- Oto plan! Faerie zawsze ma jakiś plan. - Escalla wypadła z dziury i umieściła pergamin pod łukiem. - Zaufaj mi, jestem faerie!

Popiół nagle zmarszczył pysk, a jego oczy zapłonęły czerwienią.

- *Schyl się!*

Piekielny ogar posłał wielką chmurę ognia do szczeliny w skale. Łańcuchowi mnisi wyskoczyli z kryjówek, uciekając przed płomieniami. Escalla uniosła się nad powierzchnię jeziora, zostawiając na brzegu Popioła i przenośną dziurę.

- Nudzę się, Tielle! Jeszcze minutka i znikam!

Na przeciwległym krańcu jeziora coś się poruszyło. Wyłoniwszy się ze swych luksusowych apartamentów, Tielle zatrzymała się w powietrzu, przystrojona w skórę, muślin i klejnoty. W dłoniach trzymała magiczny puchar z rogu.

- Escalla! Przyszłaś mi podokuczać?

Błyskawica o ułamek sekundy chybiła, nie docierając do żołądka Tielle, która zdołała się uchylić, mocno uderzając o ścianę. Magiczny róg poleciał w mrok. Tielle otarła krew z ust. Na środku wampirzego jeziora unosząca się w powietrzu Escalla czekała wewnątrz swej antymagicznej tarczy. Naga i wściekła, patrzyła wyzywająco na siostrę. Nie miała laski licza, miecza ani sztyletu, a jedynie gołe dłonie, skórę i oczy błyszczące zielenią.

- Dalej, grubasie! - prowokowała. - Przyjdź tu i zdechnij wreszcie! Popraw mi humor!

Na brzegach jeziora tłoczyli się łańcuchowi mnisi, próbując trafić łańcuchami w Escallę. Tielle rozejrzała się, upewniła się, że żaden z przyjaciół Escalli nie czai się w ciemnościach i wzleciała nad jezioro. Srebrny płyn zafalował w jej kierunku, wyczuwając krew, i całe jezioro zadrżało.

Tielle ostrożnie zbliżyła się do siostry i przystanąła. Unosiła się tuż przed Escallą, przekrzywiając głowę i szukając ukrytych zagrożeń i pułapek.

- Żadnych garot, zatrutych pierścieni, sztyletów... - Tielle strzeliła palcami, nagle zamyślona. Zadrżała z radości na myśl, że będzie mogła zadusić siostrę własnymi rękoma. - A właściwie to jak planujesz mnie zabić, Escallo? Trenowałaś z mnichami?

- Nie. - Escalla zacisnęła dłonie w pięści. - Ale żyję z kimś, kto z nimi trenował!

Podleciała do Tielle i uderzyła z całej siły. Tielle poleciała w tył, potem zatrzymała się i zaatakowała gradem pięści i paznokci. Krzyknęła, opanowana żądzą krwi. Escalla nie zasypiała gruszek w popiele. Uderzała mocno i pewnie. Tielle złapała ją za gardło i zaczęła dusić. Szamocząc się, uderzyły o sklepienie, a Escalla ugryzła przeciwniczkę w rękę. Tielle wrzasnęła i zmieniła się w latającego węża, miażdżąc siostrę w swych splotach. Escalla błysnęła, zmieniła się w morskiego jeża, i przekuła ciało Tielle w setkach miejsc. Ranny wąż upuścił jeża, który zmienił się w latającą ośmiornicę i ścisnął gada setką macek. Zmieniwszy się w tasiemca, wąż uwolnił się z uchwytu.

Faerie walczyły zaciekle, zmieniając kształty tak szybko, że ledwie można je było dostrzec. Atakowały się i miażdżyły mackami, żądlami, ramionami i ogonami, bodły rogami i rozdzierały ciała szponami. Escalla zmieniła się w nadymającą się rybę i strzeliła salwą trujących kolców. Tielle przemieniała się w opancerzonego węża i trafiła Escallę ogonem. Obie zmagaly się w zamęcie krwi i krzyków, wysoko w powietrzu zmieniając się w jaszczurki, osy i rozgwiazdy. Walczyły nawet po tym, jak antymagiczna tarcza Escalli w końcu się wyczerpała. Uderzały o stalaktyty, objały się o ściany, aż wreszcie padły na brzeg, szamocząc się w pełnej nienawiści wściekłości.

Zszokowani mnisi zgromadzili się wokół walczących. Z płataniny ciał wydostała się ryba, która zmieniała się w Tielle. Wściekle wskazała na przeciwniczkę i wykrzyknęła mnichom rozkazy.

- Zabijcie ją! Szybko!

Łańcuchowi mnisi rzucili się na drugą faerie, która zawyła i... także zamieniła się w Tielle. Otrząsając się, Escalla porzuciła ostatnią postać, która budziła w niej najwięcej odrazy, i przestała udawać siostrę. Patrzyła, jak mnisi wściekle uderzają Telle łańcuchami. Skupili się ciasno, jak szakale kłębiące się nad padliną. Potargana i ranna, Escalla wzbiła się w powietrze.

- Hej! - zawołała.

Łańcuchowi mnisi obrócili się, zobaczyli Escallę wiszącą w powietrzu i po chwili już ich nie było, gdy zdetonowała między nimi ostatnią kulę ognia. Szczątki mnichów rozprysły się w powietrzu. Spod sterty zwłok wydostała się Tielle, która zdołała zmienić się w kamiennego żółwia, by ocaleć przed łańcuchami potworów. Krwawiąca i wyczerpana, rzuciła okiem na Escallę i poleciała do portalu w tyle jaskini. Wleciała pod łuk, a wtedy zwój ogłuszania Enid błysnął... i faerie spadła na dół, pozbawiona przytomności magicznym ciosem.

Escalla ledwie na nią spojrzała. Popędziła w mrok, przeszukując podłogę jaskini, i znalazła magiczny róg Tielle. Zanurkowała do przenośnej dziury i wyniosła ich skąpe przybory toaletowe: szczotkę do futra Popioła, własny grzebień, mydło i brzytwę, którą golił się Jus. Brzytwa była wyjątkowo ostra. Escalla próbowała o tym nie myśleć. Rozłożyła bandażę, brzytwę, eliksir regeneracji i magiczny róg Tielle na brzegu jeziora. Popiół leżał obok, obserwując ją i uderzając

ogonem w podłogę jaskini.

- *Faerie ma plan ?*

- Taak. Faerie ma plan.

- *Bezpieczny?*

- Może. Względnie bezpieczny. - Escalla przystanęła, wydobyła z przenośnej dziury klejnoty Lolth i włożyła je do pyska Popioła. - Jeśli to nie zadziała, wezwij Morąg. Powiedz jej, że jej prawdziwe imię wryto w kamieniu. Zmusz ją, żeby zabrała ciebie i Tielle do mojego ojca. On się tobą zaopiekuje, dobrze? Dobry piesek. - Trzęsa się, śmiertelnie przerażona. Objęła głowę Popioła i wtuliła się w jego futro. - Kocham cię.

- *Faerie? Co robi faerie?* - Popiół wpadł w panikę, widząc, że Escalla otwiera brzytwę. - *Faerie, nie!*

Escalla podcięła sobie żyły jednym pociągnięciem brzytwy. Próbowwała zachować milczenie, ale kiedy otwierała arterię, wymknął się jej jeden przerażający jęk. Krew lała się na kamienisty brzeg. Escalla wyciągnęła dłoń nad srebrnym jeziorem i pozwoliła, by krew ściekała do srebrzystego płynu. Krew płynęła szybko, a z każdą jej kroplą Escalla stawała się coraz bledsza. Wreszcie otworzyła eliksir regeneracji. Miała nadzieję, że Morąg zagrała uczciwie. Wypiła.

Eliksir smakował jak źródłana woda. Escalla zatoczyła się i poczuła, że pada. Ledwie uniknęła upadku do jeziora. Położyła się na brzegu z ramieniem wyciągniętym w stronę srebrnej powierzchni. Krew płynęła z niej coraz szybciej. Ziewając, poczuła, że traci czucie w nogach i wiedziała, że wykrwawia się na śmierć.

Obok niej Popiół pisał i rzucał się w miejscu, opętańczo waląc ogonem w ziemię.

- *Faerie! faerie!* - szlochał, bezskutecznie próbując się do niej zbliżyć. - *Faerie, nie umieraj! Nie umieraj!*

- *W porządku, Popiół.* - Escalla chciała mrugnąć, ale nie mogła unieść powieki. Czowała się jak stary dywan, sprany i zniszczony. - Nie płacz. Nie płacz...

- *Faerie, nie!*

Jaskinia znikła i Escalla przestała się bać.

* * *

Escalla poczuła, że coś łaskocze ją po twarzy. Był to nos Popioła, chłodny i natrętny. Mrugając, popatrzyła na swoje ramię. Krew płynęła z rozcięcia od nadgarstka do łokcia, było jej jednak dużo więcej, niż mogło pomieścić ciało faerie. Serce biło powoli, słabo, ale pewnie. Przez chwilę przyglądała się swoim dłoniom, a potem w jej umyśle zagościł obraz regenerującego się ciała Recci.

- Krew....Leczy się dzięki zielonej krwi.

Popiół łaskotał ją coraz bardziej natarczywie, więc w końcu usiadła. Oszołomiona, sięgnęła po bandaż i ostrożnie owinęła nim rękę. Przesiąknął krwią, ale owijała wokół rany kolejne, dopóki krwawienie nie ustało. Zranione mięśnie bolały, a ręka pozostała bezwładna. Dopiero teraz dotarło do Escalli, że siedzi, bezmyślnie patrzy na jezioro i klepie ciepłą, futrzaną głowę Popioła.

- Wszystko w porządku, Popiół. Już dobrze. Widzisz? Nikt nie rusza faerie.

Jezioro jaśniało miłym, kojącym odcieniem błękitu niczym płynny szafir lub pogodne poranne niebo. Escalia popatrzyła w dół na swoje drżące ramię. Odzyskała czucie w stopach, a serce biło jej coraz mocniej. Obok niej leżał połyskujący w świetle pusty flakon.

Morąg dała im prawdziwy eliksir regeneracji. Escalla potoczyła stopą pustą butelkę i poczuła, że jej małe ciało zaczyna się goić.

- Hej, Popiół.

- *Cześć, faerie.*

Morąg zdradziła Escalli tajemnicę. Jezioro było błękitne. Błękitne, bo uzdrawiające, błękitne, bo dobre, a jego błękit palił zło tak samo, jak wcześniej czerwień paliła dobro. Escalia podniosła magiczny róg i napełniła go, a potem włożyła do jeziora krawędź przenośnej dziury i załała japo sam szczyt. Złożyła dziurę, wzięła Popioła i położyła go na głowie, a potem ruszyła do Morąg czekającej w jaskiniach.

Tanar'ri stała bez ruchu i ze wszystkich sił starała się wyglądać na opanowaną. Emocje zdradzała jednak jej pociągła, piękna twarz. Nerwowo spojrzała na nadchodzącą Escallę.

- Co się stało?

- Mam ją. Wodę z wampirzej sadzawki naładowaną krwią dobrej istoty. - Escalia pokiwała głową. - Lolth jest podatna na święconą wodę.

- Zdumiewająco podatna! - Morąg wzruszyła ogonem. - W Otchłani to żadna wada. Nic tam nie pozostaje święte dłużej niż parę minut.

- Mam wszystko, co potrzeba, żeby wygrać. Mogę wracać. - Escalia zamyśliła się na chwilę, westchnęła i podała Morąg klejnot Lolth. - Zabierz mnie tam, a potem zrób, co chcesz. Jeżeli zabierzesz moją siostrę na dwór naszego ojca, zapewni ci schronienie i pomoże znaleźć dom. Są miejsca spokojniejsze niż Otchłań dla ciebie i twojego przyjaciela.

- Zwracasz mi moje imię? - Morąg popatrzyła na klejnot. - Ufasz mi?

- Na klejnotach nie było imienia. Skłamałam. - Escalla wzruszyła ramionami. - Przykro mi. Hej, jestem faerie.

Morąg wyglądała na zdenerwowaną. Chwyliła faerie za ramiona, potrząsnęła nią i warknęła.

- To znaczy, że Lolth wciąż ma moje sekretne imię. To znaczy, że teraz muszę wam pomóc.

-Tak jest.

- Jestem wściekła.

- Hej! - Escalla spojrzała kwaśno na tanar'ri. - Pamiętasz, jak znikłaś i zostawiłaś nas w środku bitwy?

- Dobra, dobra! - Morąg kipiała gniewem. Wyglądało na to, że nie mogła się wywinąć. - Ruszajmy.

- Fajowo.

Morąg przyzwała jednego ze swych pomocników, żeby zabrał Tielle.

- Więc to miejsce, które zna twój ojciec... jest dużo spokojniejsze niż Otchłani?

- Dużo spokojniejsze.

Morąg teleportowała się z jaskini, najpierw do Zakola Keggle, później do Otchłani, Demonicznej Pajęczyny i w końcu przez mosiężne drzwi do siedziby Lolth. Powróciły do pajęczego pałacu.

Bitwa z Lolth miała rozpocząć się na nowo.

* * *

Morąg teleportowała je do maszynowni. Zepsute zbiorniki syczały, rozbite w drobny mak. Escalla znowu straciła możliwość latania, kiedy zaczęły działać fizyczne prawa świata Lolth. Zeskoczywszy na ziemię, podbiegła do krawędzi pola czasu i popatrzyła na dziwaczne zmiany, jakie tam zaszły.

Grzywacze ruszyły z pomocą. Było ich może z sześć, wszystkie znieruchomiały w miejscu, gdzie weszły do pola czasu. Escalla przebiegła szaleńczo wokół krawędzi pola, przyglądając się scenie i próbując wymyślić, co powinna teraz zrobić.

Enid nie żyła. Henry i Polk leżeli nieprzytomni i właśnie miała zalać ich fala gigantycznych pajaków, które zatrzymały się w pół skoku. Recca do połowy podniósł się z ziemi i sięgał po miecz. Jus klęczał, przechylając się w przód z jedną ręką przyciśniętą do rany na piersi i wyrazem furii na twarzy zwróconej w stronę pajęczej królowej.

Escalla szybko rzuciła Popioła na podłogę.

- Ile czasu mi zostało?

Morąg wyciągnęła z kieszeni zegarek i otworzyła pokrywkę.

- Niewiele.

- Dobra! Szybko! - Escalla przeczesала placami włosy. - Owiń czymś dłoń, złap Beneluxa i rzuć go rękojęścią w stronę Justicara. - Ruszaj się!

Tanar'ri poszła w jedną stronę, a Escalla w drugą. Krzyknęła ze złością i rzuciła kilka pozostałych jej czarów w pole czasowe. Magiczne złote pszczoły zamaryły, lecąc w stronę gigantycznych pajaków. Macki znieruchomiały, gotowe, by zadusić Reccę. Escalla wzięła róg Tielle, zebrała siły i wycelowała. Strugi błękitnego płynu popędziły do pola i zmarły, skierowane w pierś Jusa, potem w Henry'ego, Polka i w końcu w Lolth. Faerie napełniła róg raz jeszcze i ponownie wycelowała w Lolth z innego miejsca. Wtedy spostrzegła, że postacie w polu czasowym drżą.

- *Kurtyna w górę, Morąg!*

Popiół leżał obok otwartej przenośnej dziury. Escalla odwróciła się, by napełnić magiczny róg, a Morąg łukiem rzuciła Benleuxa ku Justicarowi.

Maszynownia wypełniła się hałasem bitwy. Zaklęcia wypaliły. Rój magicznych pszczoł Escalli trafił skaczące pajaki, rozdzierając je na części. Macki wyskoczyły z podłogi i mocno zacisnęły się wokół Recci. Chlusnęła woda i strugi błękitnego płynu poleciały z tuzina kierunków na raz.

Złapana w pół kroku wielką łapą pająka, Escalla spojrzała dziko na Lolth, gdy wielkie błękitne strugi leciały w jej kierunku. Krzyknęła zwycięsko, ale jej krzyk zmienił się w wycie rozpacz, gdy bogini teleportowała się na ułamek sekundy przedtem, zanim błękitny płyn sięgnął celu. Faerie pochyliła się do przenośnej dziury i zaczęła napełniać róg błękitnym płynem. Zawirowała, gotowa do walki, i wtedy spostrzegła górujący nad nią ogromny kształt. Lolth zamachnęła się nogą i trafiła Escallę, która poleciała na podłogę. Magiczny róg wypadł jej z dłoni.

- Ty żałosny mały robalu! - Lolth wolno zbliżała się do faerie, która osunęła się po ścianie. - Sprawię, że twój krzyk będzie trwał wiecznie.

Morąg próbowała zaatakować, ale królowa odepchnęła ją na bok. Escalla rozejrzała się za magicznym rogiem. Leżał dziesięć metrów od niej. Pobiegnęła w jego kierunku, ale drogę przecięła jej ściana ognia. Rzuciła się bok, cofając się, gdy stanął nad nią ogromny pajak z odsłoniętymi kłami.

- Giń, Morąg! - wściekle wysyczała Lolth. Zaczęła wymawiać tajemne imię tanar'ri, ale zdołała wypowiedzieć ledwie pierwszą sylabę, kiedy nagle zatoczyła się, a z jej boku trysnęła krew. Krzyknęła, a jej gigantyczne cielsko pająka zadrżało, gdy spadł na nie cios.

Salą wstrząsnął potężny okrzyk. Justicar, z raną uleczoną przez magiczny niebieski płyn, stał zbryzgany krwią, wielki i dyszący gniewem. W dłoniach trzymał Beneluxa, którym przed chwilą ciął pancerz demonicznej królowej. Gigantyczny pajak obrócił się, a wtedy Jus trafił w jedną z jego nóg, przecinając chitynę. Lolth wykrzyczała zaklęcie zauroczenia, ale zablokował je magiczny pierścień Jusa. Królowa cofnęła się więc i wywołała burzę magicznych pocisków.

Czerwone ogniste strzały posypały się na Justicara. Ten ryknął i zamachnął się mieczem. Świecące strzały odbiły się rykoszetem od ostrza. Inne trafiły w cel, przedarły się przez pancerz ze smoczych łusek i zaplały podłogę krwią. Tropicielek jednak nie cofnął się.

Morąg zaatakowała zza pleców Lolth, tnąc na oślepie mieczami. Utoczyła jej nieco krwi, a wtedy królowa wypowiedziała kolejny czar. Ogromna fala uderzeniowa zmiotła sekretarkę aż pod sufit. Kobieta-wąż spadła na podłogę, ogłuszona i unieruchomiona.

Escalla rzuciła się na jedną ze stóp Lolth i próbowała wspiąć się na olbrzymiego pająka. Miała zamiar zmienić się w minoga i wgrzyźć mu się w trzewia. Bogini tupnęła i zrzuciła faerie. Obróciła się i z odwołką wypuściła pajęczynę, niemal zatapiając w niej biegnącego na pomoc Justicara. Escalla przetoczyła się po podłodze i zatrzymała, z trudem łapiąc oddech. Krwawiąc, zdołała unieść głowę, gdy Lolth stanęła tuż nad nią.

Błysnęło i pająk zmienił się w czarną kobietę elfów. Napawając się zwycięstwem, demoniczna królowa przeszła obok Morąg, Henry'ego i Polka, obok martwej Enid i skrępowanego pajęczyną Justicara. Podeszła do faerie, dysząc żądzą zemsty.

- Nie przygotowałaś sobie żadnej mądrej gadki, Escallo? Żadnych sprytnych planów? - W dłoniach Lolth, która cieszyła się już na myśl, że wkrótce zada swojej ofierze nieskończone cierpienia, formowała się magia. - Nie powiesz nic, co mnie powstrzyma przed zabiciem cię? - Bogini uniosła ręce i zasyczała zwycięsko. - Czy ktoś ma mi coś ciekawego do powiedzenia?

-Tak.

Głos dobiegł z tyłu. Lolth okręciła się z przerażeniem w oczach, gdy struga błękitnego płynu trafiła ją w pierś. Krzyknęła, a jej ciało zaczęło parować. Błękitny płyn wżarł się jak kwas w twarz i ramiona.

Popiół leżał przed nią na podłodze, z magicznym rogiem w pysku, radośnie szczerząc zęby. Przeczolgał się przez ścianę płomieni i ochoczo ruszył do ataku.

Błękitny płyn się skończył. Popiół zerknął na przyjaciół, zamachał ogonem i ścisnął magiczny róg w zębach.

- *Popiół przynióś!*

Justicar uwolnił się z sieci. Benelux załśnił bielą w jego dłoni, jednak Lolth zdążyła się teleportować. Escalla schyliła się, pochwyciła Popioła, przenośną dziurę i pognęła do Morąg. Potrząsała tanar'ri tak, że zadzwoniły jej zęby. Morąg szybko odzyskała zmysły.

- Lolth!

- Próbuje opuścić ten świat. - Escalla wspięła się jej na plecy, ciągnąc za sobą Popioła. - Udała się do drzwi do Demonicznej Pajęczyny!

Morąg sunęła po podłodze. Gdy zaczęła się teleportować, Escalla krzyknęła do Justicara.

- Zajmiemy się nią! - Kątem oka spostrzegła, że Recca wyrwał się z uścisku czarnych macek. - Zabij Reccę i wyrwij mu serce! Tak samo jak dłoń i stopa nie należy do niego. - Jej głos brzmiał jeszcze, choć sama już się teleportowała. - Jego serce...

Błysnęło. Morąg, Escalla i Popiół znikli bez śladu. Otarłszy krew z twarzy, Justicar odwrócił się, spoglądając na ciało Enid. Rozprostował potężne ramiona i wolno podszedł do Recci, by wymierzyć sprawiedliwość.

Truposz trzymał swój czerwony miecz, przyjąwszy pozycję do walki, i syczał jak wąż. Justicar nigdy się nie zatrzymywał. Jego krok przeszedł w szybki marsz, a później bieg, który skończył się ciosem w miecz Recci tak silnym, że obalił trupa na ziemię. Jus okręcił się i kopnął, posyłając truposza w powietrze niczym kukłę.

Recca uderzył o zniszczony piec, a Justicar wrzasnął wściekle, nieustępliwie zbliżając się do przeciwnika, który zatoczył się i przeszedł do ataku. Czerwone ostrze błyskało, uderzając w rury i dźwignie, gdy Benelux parował jego ciosy na boki. Stal dźwięczała o stal. Sypały się iskry.

Recca walczył jak zawsze. Styl jego walki był nienaganny, a akrobacje bez zarzutu. Przeskoczył nad swoim przeciwnikiem, dokładnie tak jak przewidział to Jus. Wtedy tropiciel odrzucił miecz i chwycił nieumarłego za gardło, uderzając hełmem w jego twarz. Powtórzył cios jeszcze dwa razy, ryknął i pięścią przebił słabo zasklepioną ranę między żebrami Recci. Krzycząc, otworzył dłoń i wyrwał krwawiące serce. Recca wrzasnął, a z rany trysnęła zielona krew, plamiąc podłogę.

Nieumarły zatoczył się, chwycił swój wampirzy miecz w obie dłonie i zamachnął się na Justicara. Mężczyzna rzucił się w bok, tnąc Beneluxem udo Recci. Zielona krew pociekła z rany, która już po chwili błysnęła i zagoiła się. Jednak w torsie Recci nie było już ani kropli krwi trolla.

Potwór zaatakował, wściekle tnąc na oślep. Jus przyjmował uderzenia na ostrze Beneluxa, a potem okręcił się i odciął ramię Recci. Kończyna poleciała w powietrze, zielona krew zamknęła ranę, ale tym razem ramię nie odrosło. Wyjąc z wściekłości, Recca cofnął się, niezdarnie łapiąc długi miecz w jedną dłoń, i ruszył prosto na Justicara.

Jus odwrócił się, zatrzymał pchnięcie i zgruchotał łokieć Recci. Wampirzy miecz wypadł z dłoni potwora, który teraz zamachnął się wściekle pazurami. Jus przechwycił cios, obrócił się, ściął wojownika z nóg i wygiął go do tyłu, by złamać mu kręgosłup na zgiętym kolanie.

Recca krzyknął i trzasnął niczym zepsuta zabawka, gdy Justicar podniósł go nad głowę. Krzyczał, lecz tropiciel nie zważając na to niósł go w stronę pieca. Zebrał się w sobie, zamachnął i zgiał ciało w rękach niczym patyk. Kości trzasnęły, skóra pękła. Recca rozpadł się na dwie części, obryzgując krwią trolla ściany i podłogę. Justicar wrzucił jego wierzgające nogi do pieca, gdzie natychmiast zajęły się ogniem. Górna połowa ciała wciąż szamotała się i krzyczała. Jus złapał ją za kark i popatrzył na ciało Enid.

- Tak wygląda sprawiedliwość - powiedział i wrzucił ciało Recci w płomienie.

Recca wył, płonąć niczym papier. Justicar zgniótł w dłoni jego serce i wrzucił szczątki w ogień. Płonąca czaszka zawyła raz jeszcze i rozpadła się w piekielnym żarze. Kości i zęby rozleciały się w popiele. Potwór zginął.

Justicar odwrócił się i podniósł Beneluxa z podłogi. Miecz wydawał się dziwnie spokojniały.

- *Dobra robota, Justicarze.*

- Nie zupełnie. Straciłem przyjaciela.

Podszedł do Polka i Henry'ego, których okrywały ciała martwych pajaków i błękitny płyn. Oszołomiony borsuk popatrzył na piec, gdzie płonął Recca.

- Synu...?

- Tak. Skończone. - Wielki mężczyzna postawił borsuka na nogi i pomógł podnieść się Henry'emu. - Odchodzimy.

Cały pałac nagle potężnie zadrżał. Podłoga rozwarła się i wyrzwała z pod niej pusta przestrzeń. Cokolwiek utrzymywało tę sferę w całości, teraz przestało działać.

Henry próbował podnieść Enid z podłogi i odciągnąć ją, ale była zbyt ciężka. Zrozpaczony chłopak spojrział na Justicara. Wielki tropiciel ukląkł i położył dłoń na warkoczykach Enid, wciąż miękkich, ciepłych i pachnących. Podniósł się, popchnął Henry'ego w przód - i jednym ciosem miecza odciął ogon Enid. Henry krzyknął z bólu. Ale Justicar już włożył okrwawiony kawałek ciała za pas. Strop pękł i do pomieszczenia wlała się pusta nicość.

Justicar porwał Polka i Henry'ego i popędził do schodów.

- Prędko! Do wrót z brązu! Odchodzimy!

Pajęczy pałac zadrżał, gdy poddały się jego nogi. Przedarłszy się przez rumowiska i złom, Justicar wyciągnął przyjaciół na zewnątrz, zostawiając ciało Enid na pastwę płomieni.

Szalejąc z bólu, Lolth kuśtykała drogą. Całe jej ciało płonęło. Syczało i odpadało od kości. Idąc, wszystkim swoim wrogom obiecywała wieczne tortury.

Brązowe wrota wiodące do Demonicznej Pajęczyny stały tuż przed nią. Kiedy tam dotrze, będzie mogła się schować, wyleczyć i porzucić uszkodzone ciało, przyjmując kolejne. W każdej sferze poza tą jedną była nieśmiertelna. Wszędzie, tylko nie tutaj, mogła powrócić, by walczyć raz jeszcze. Czując, że każdy krok rozdziera jej ciało, Lolth rzuciła się do biegu.

Przeklęty Justicar i jego beznadziejna faerie! Odwróciła się, przez mgłę agonii zobaczyła swój pajęczy pałac i wycharczała rozkaz. Pałacem wstrząsnęły wybuchy i zaczął się rozpadać na kawałki, ponieważ Lolth zniszczyła zaklęcie, które utrzymywało go w całości. Zdradziła służbę pałacową i

pomocników, ale była pewna, że jej wrogowie zginą w ruinach.

Brama była jakiś tuzin kroków przed nią, kiedy z pomiędzy skał rozległ się głos.

- Hej, pajęcza suko! Masz tu prezent od Enid!

Escalla!

Lolth zanurkowała. Błękitna święcona woda uderzyła w ziemię za jej plecami. Niewielka kropla spaliła jej ciało. Bogini na oślep rzuciła błyskawicę, niszcząc skały i ziemię, ale faerie znikła. Dziko rozglądając się dookoła, Lolth przygotowała czar, a potem odwróciła się i pobięła. Zobaczyła przed sobą brązowe wrota, roześmiała się dziko i pobięła przez mrok.

Demoniczna królowa skupiła całą uwagę na swym celu. Była tylko cztery kroki od ocalenia, kiedy ziemia pod nią zapadła się. Wyrwał się jej krzyk agonii, spowodowany tym, co zobaczyła pod nogami. Przed nią ziała przenośna dziura wypełniona lśniącem błękitnym płynem.

* * *

Rozległ się plusk i krzyk. Morąg wślizgnęła się na ścieżkę i zatrzymała przy dużych wrotach z brązu. Popatrzyła na Popioła leżącego na skale. Piekielny ogar miał nos skierowany w dół i machał ogonem. Escalla - brudna, zmęczona i wyczerpana - ocierała twarz. Popatrzyła w górę na Morąg, potem podniosła się, by zebrać przenośną dziurę leżącą na ścieżce.

Oczekując zaciętej walki z Lolth, Morąg przygotowała miecze. Rozejrzała się szybko wśród cieni i skał.

- No, gdzie ona jest? Znalazłaś ją?

Odpowiedzią był chichot i odgłos ogona Popioła uderzającego o skałę.

- *Pajęcza pani bierze K-A-P-I-E-L!*

Escalla w milczeniu złożyła przenośną dziurę, zamykając studnię z błękitnym płynem. Na wzgórzu ponad nimi pajęczy pałac Lolth eksplodował, a jego szczątki upadły w piach. Z otworu rozsypującego się pałacu wybiegł Justicar z Henrym pod jednym ramieniem i Pólkiem pod drugim. Wielki mężczyzna odwrócił się, popatrzył na ruiny pałacu, a potem spojrzał na Morąg, Popioła i Escallę. Popiół zapalił płomień, by pokierować przyjaciółmi.

Razem podeszli do bramy. Jus trzymał Escallę, kryjąc twarz w jej włosach, a Henry spoglądał smutno na zgliszcza pałacu. Morąg westchnęła z ulgą i otworzyła drzwi do Demonicznej Pajęczyny, w milczeniu kierując śmiałków do domu.

* * *

Armia na polach Flanaess zatrzymała się.

Długie kolumny pajaków, gargulców i trolli maszerowały razem z demonami otoczonymi cuchnącymi legionami nieumarłych. Wszyscy kierowali się w stronę miast Nyr Dyv, największego wewnętrznego morza. Armia liczyła teraz prawie milion żołnierzy.

I nagle świadomość celu opuściła ich umysły. Nierozumni drapieżcy zatoczyli się. Mnóstwo skorpionów i pajaków, nagle ożywionych odzyskaną właśnie wolą spostrzegło, że są złe, głodne i otoczone zdobyczą. Gigantyczne pajaki rzuciły się na wrzeszczące trolle. Gargulce zaatakowały stada skrzydlatych varrangoinów. Demony szalały i rozdzierały się na strzępy, a nieumarli rozpadli się na kawałki albo po prostu się rozpierzchli.

Milion żołnierzy, potem sto tysięcy. Sto tysięcy, a potem małe grupki napychające się padliną. Armia Lolth znikła jak mgła rozwiana wiatrem. Zaklęcia Lolth były przerwane, jej królestwo zniszczone. Zakole Keggle zostało pomszczone.

W dziwnej gorącej krainie piasku i palm niebiosa lśniły czystym metalicznym błękitem. Gładkiego nieboskłonu nie plamiły żadne chmury. Żadne wiatry ani burze nie psuły dokładnego porządku każdego dnia. Padało o z góry ustalonych porach, oznajmianych przez odpowiednie bóstwa jadące w powietrznych rydwanach. Krokodyle wygrzewały się w słońcu, ibisy kroczyły dumnie po wybrzeżach i wszystko świadczyło, że zewnętrzne sfery mają się dobrze.

Rzeka Lete płynęła tu wolno i uroczyście. Każdego dnia świt oznajmiała fanfara trąb. Mieszkańcy tego miejsca - czyste, białe istoty z ciałami ludzi i głowami ibisów - podchodziły do brzegów i ceremonialnie witały odrodzonych do życia. Ociekający wodami zapomnienia wyznawcy Totha, którzy umarli w materialnych światach, mrugając powiekami wychodzili z wody. Ich głowy ibisów były nowe i nieznanne, a ciała niezdarne. Pomocnicy owijali ich w białe togi i prowadzili do świątyni, gdzie miano ich nauczyć, jak służyć ich dobrotliwemu, mądrym bogowi.

Samej świątyni nie można było z niczym porównać. Ogromny kamienny posąg z białego marmuru wznosił się na kilkaset metrów w górę, a był to posąg Totha Ibisa w koronie, z pastorałem i koptyjskim mieczem. Kamienne skrzydła ocieniały aleję z dwoma tysiącami uzbrojonych i opancerzonych strażników. Jastrzębiogłowi strażnicy stali w milczeniu, w postawie na baczność. Za nimi ciągnęły się rzędy kamiennych golemów z głowami krokodyli.

Aleja biegła od rozległego portu nad rzeką do Biblioteki Wieków. Ów gigantyczny biały budynek mieścił miliony ksiąg. Tam odrodzeni słudzy Totha zbierali zwoje i pergaminy, kamienne tablice i gliniane tabliczki. Tam znajdowały się metalowe dyski pisma modronów, żelazne sześciiany z Acheronu i spięte pióra z ptasich królestw Hadiru. Tam pisane dzieła z każdego świata w każdej sferze były katalogowane i przechowywane. Toth, bóg mądrości, utrzymywał to uświęcone miejsce, chroniąc swe zbiory, ponieważ wiedza daje moc, a moc jest prawem bogów.

Królestwo to było miejscem, gdzie nagradzano wiernych Tothowi. Większość ze szczęśliwych mieszkańców miała przywilej pracy na polach. Setkami tysięcy przynosili wodę z kanałów irygacyjnych. Młócili, sadzili. Dzień po dniu bez końca. Stracili pamięć w Lete i nauczono ich wyłącznie tyle, by mogli cieszyć się tym, co mają. Ich miłosierny bóg podarował im szlachetną rozkosz trudu, handlując owocami ich pracy z bogami i demonami z innych sfer.

Niektórzy najbogatsi zmarli zapewnili sobie małe rzeźbione figury zaprojektowane tak, by wykonywały za nich ich obowiązki. Ci szczęśliwcy otrzymywali najbardziej wielkopańskie zadania. Służyli jako skarbnicy, skrybowie lub strażnicy. Grupa tych wyniosłych istot siedziała za alabastrowym stołem przy złotych drzwiach biblioteki, obserwując, jak na przeciwległym końcu alei z barki na rzece wysiada dziwna trójka pasażerów.

Ogromny, muskularny niewolnik niósł zwinięty dywan. Obok niego kroczył jeden z ibisogłowych pomocników Totha, stworzenie, które idąc rozglądało się nerwowo na boki. Przed nimi w powietrzu płynęła niesamowita kula światła. Tańczące wewnątrz niej płomienie miały taką moc, że aż ogrzały serca patrzących.

Trójka przybyszy ruszyła prosto wspaniałą, szeroką drogą, przechodząc przed oczami tysięcy

strażników. Z góry groźnie spoglądały na nich ogromne posągi. Weszli na schody, pokonali sto stopni z prawdziwego różowego marmuru i zbliżyli się do monumentalnego wejścia do Biblioteki Totha.

Przed drzwiami stali dwaj strażnicy, ogromne kamienne potwory z głowami hipopotamów. Na początku portalu oczekiwali ibisogłowi urzędnicy. Jeden powstał i skłonił się wytwornie w kierunku gości.

- Przybysze spoza błogosławionego królestwa! Wiedźcie, że ta wiedza pisana jest tylko dzieciom prawdziwej mądrości. Dlaczego przybyliście tutaj, gdzie błogosławieni umarli wygrzewają się w dobroci Lorda Totha?

W odpowiedzi świetlista kula rozbłysła i zaświeciła jak niewinne, anielskie słońce. Świeciła ciepłem, prostotą i prawdą, które sprawiały, że świat wyglądał czysto i świeżo.

- Dzieci Totha! Jestem zdumiewająco miłosierną energią z bardzo daleka! Dawno temu mój lud na skutek ewolucji porzucił przyziemną postać fizyczną. Nasze nieskończone żywota spędzamy rozmyślając o idealnej dobroci i filozofii prawdy. Wysłano mnie do waszego świata, żeby poznać życie i prawdy, jakie tu można odnaleźć.

Delikatnie promienie słońca pieściły ibisogłowego człowieka.

- Wy również docenicie mądrość. Dlatego też obdaruję was tym manuskryptem zawierającym najistotniejsze prawdy, spisane na tej oto uświęconej skórze piekielnego ogara.

Wielki ludzki sługa prychnął. Zbudowany z samych mięśni, ogorzały i ponury trzymał na ramionach zwiniętą skórę z głową piekielnego ogara, która uśmiechała się niczym rozradowany krokodyl. Obok stał drugi pomocnik z lekka pobladłym dziobem ibisa i zwichrzonymi piórami, trzymający dzbanek na wodę.

Energia podpłynęła nad zrolowaną czarną skórę.

- Wiedza w tym zwoju jest tak czysta, tak doskonała, że może być niebezpieczna dla prostych umysłów. Jedyne dzieci Totha mają horyzonty szerokie na tyle, że mogą pojąć piękno tego daru. Proszę, czy możecie nas odeskortować do, hm, jakiegoś miejsca, gdzie katalogujecie skarby wiedzy, tak żebyśmy mogli tam oddać ten święty dokument?

Skrybowie byli rozpromienieni. Popatrzyli po sobie i jeden ze stworów uklonił się, wziął majestatyczną buławę i podszedł do drzwi biblioteki.

- O miłosierna siło. W rzeczy samej twój zwój będą czytać umysły zdolne się nim cieszyć. Pozwól zaprowadzić się do kancelarii.

Przeszli przez Portal Czystości i Korytarz Koncepcji, skręcili w lewo do Sal Świątości, potem przeszli obok Katalogu Nieopisanej Iluminacji - który miał jakieś pięć pięter wysokości i półtora kilometra długości. Chłodne, szerokie korytarze pełne były ibisogłowych stworów. Widzieli tam emisariuszy od innych bogów i milczących, nieruchomych strażników. Powietrze miało zapach drzewa sandałowego, a mieszkańcy rajy śpieszyli się, by wykonać wszystkie przydzielone im

zadania. Przewodnik kłaniał się różnym mijanym po drodze luminarzom. Urządził swoim gościom wspaniałą wycieczkę, opowiadając im o skarbach i sekretach tego miejsca.

- Tu znajduje się sala Totha. Wasz podarunek może zostać ofiarowany samemu bogowi, ponieważ jego światłość niszczy kłamców i iluzje, oraz błogosławi dobro.

- Ach. - Energia schowała za siebie złotą kłamkę. - I, ach, gdzie wielki i potężny Toth przyjmuje nowe nabytki?

- W rzeczy samej! Na samym końcu tego korytarza znajduje się kancelaria, gdzie identyfikuje się i księguje nowe dary. Obowiązki te są nagrodą, jaka spotyka tych, którzy szczególnie wyróżnili się za życia: kapłanów, sfinksów i monarchów! - Długi korytarz dobiegł końca. - Ale chodźcie! Bóg czeka na wasz wspaniały podarunek! - Przewodnik wpuścił ich przez wspaniałe drzwi. - Teraz patrzcie i podziwiajcie, bo oto jest Tron Prawdy! W jego obecności można mówić tylko prawdę, tak żeby wszyscy mogli rozkoszować się czystością.

W sali tak wysokiej, że wokół szczytów najwyższych kolumn latały stada ptaków, stworzonej niestrudzoną pracą dusz, którym nie pozostało nic poza chęcią służenia, stał złoty tron wysoki na trzydzieści metrów. Siedziała na nim gigantyczna ibisogłowa istota, z koroną na głowie i berłem oraz bronią w dłoniach. Przed nią stały niewyobrażalne rzędy wyznawców, składających jej hołd w doskonale skoordynowanych ukłonach. Energia zatrzymała się, wyglądając na odrobinę zbitą z tropu. Po chwili alarmująco zamachała swymi pseudoczulkami.

- O kurcze.

- Kurcze? - Ibisogłowy sługa zmarszczył brwi, ale zbył komentarz milczeniem. - Teraz zbliżymy się do tronu. Tu jest kolejka dla petentów z trybutem. Będziecie mieli numer pięć tysięcy jedenaście, bardzo znaczący numer, jak bez wątpienia wiecie. - Ibisogłowy najwyraźniej oczekiwał odpowiedzi, ale żadnej nie otrzymał. - W każdym razie, jak mamy zaanonsować ten podarunek? Jakie rodzaje tajemnic zapisano na tym zwoju?

- Żadne! - Energia przemówiła z piskiem, nie mogąc się powstrzymać. - To ognioodporna świadoma skóra piekielnego ogara z pretensjami do dobrego humoru!

Ibis spojrzał na skórę piekielnego ogara, która uśmiechnęła się i radośnie pomachała ogonem.

- *Cześć!*

Szperając w swym niezbyt lotnym umyśle, ibisowaty popatrzył na gości z absolutnym zmieszaniem.

- A-ale dlaczego? Dlaczego dajecie skórę piekielnego ogara wspaniałemu bogowi Tothowi?

- Nie dajemy! - Energia miotła się panicznie, próbując powstrzymać się od mówienia. - To podstęp! Chcemy dokonać tu uprowadzenia!

- Uprowadzenia? - Ibis cofnął się ze strachem. - Ty? Miłosierna energia?

- Nie jestem energią! Jestem małą szczupłą faerie z najdoskonalszym tyłkiem we wszechświecie! - Energia nadal usiłowała zapanować nad sobą. - Jus! Pomocy!

Wciąż trzymając na ramieniu zrolowanego Popioła, Jus walnął przewodnika pięścią tak, że stwór poleciał za kotary.

- I tak była to nudna rozmowa.

- Ruszajmy! - Escalla powróciła do swej zwykłej postaci. - Chodźmy!

Hałas usłyszeli trzymetrowi kamienni strażnicy. Odwrócili się zmieszani i puścili biegiem, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Escalla wesoło pomachała im dłonią i wskazała na Henry'ego, który wciąż wyglądał zabawnie w poliformicznym przebraniu głowy ibisa i spódniczce. Spróbowała zbyć strażników następnym kłamstwem.

- Hej! Jesteśmy intruzami, którzy przybyli tu, by udowodnić, jakim oszustwem jest wasz raj! - Escalla zająknęła się i zaklęła. - Cholera. To mówienie prawdy tylko psuje moją najlepszą gadkę!

- Escalla! - Skrzydła Henry'ego trzepotały w panice. - To nie działa! Zmień mnie z powrotem! Zmień mnie z powrotem!

- Uspokój się, nabiorą się na to! - Escalla lekko wzruszyła ramionami, najwidoczniej nieświadoma, że w ich kierunku zmierzają dwa kamienne behemoty. - Zaufaj mi! Jestem faerie!

Jus wyciągnął miecz ze środka zrolowanego Popioła i wbił go w trzewia atakującego kamiennego strażnika. Benelux uderzył w kamień i posłał w powietrze odpryski i żwir, wychodząc z pleców olbrzyma. Kamienny stwór rozpadł się na dwie części, a obie zaczęły się panicznie miotać. Jus zawirował, odciął dłoń drugiego posągu, zadał dwa kolejne ciosy i odrąbał mu głowę i nogę. Złapał Escallę, która dopingowała go z powietrza, i rzucił się biegiem przez salę Totha.

Na ogromnym tronie wspaniały bóg Toth zaniepokoił się. Zamieszanie na przeciwległym końcu sali zwróciło jego uwagę. Strażnicy biegli w stronę małej grupki uciekinierów, padali rozcięci na części, a intruzi uciekali. Bóg Toth wskazał ich palcem i dziesięć tysięcy jego wyznawców, jak jeden mąż, odwróciło się, ryknęło i pognało za bluźniercami. Toht powstał i ryknął, ciskając piorunami, które wybijały w podłódze ogromne kratery.

Escalla spojrzała znad ramienia biegnącego Justicara na falę ścigających ich wyznawców boga.

- O rany! - zawołała. - Ci ludzie są naprawdę wkurzeni! Błyskawica zniszczyła ogromną kolumnę parę centymetrów od uciekających. Setki ton kamieni poleciały w powietrze, i sklepienie zaczęło się walić. Kolumna po kolumnie padała i uderzała w następną. Ściana kurzu i gruzu przysłoniła ścigający ich tłum. Justicar skręcił za róg. Wybił miecz z dłoni ibisa i obalił stwora ciosem pięści.

- Escalla! Czy ty w ogóle wiesz, dokąd idziemy?

- Jasne! Zaufaj mi! Jestem faerie! - Escalla otworzyła przenośną dziurę i wsadziła głowę do środka. - Hej, Polk? Polk? Sprawdź to!

- Sprawdzam! Ale nie można popędzać artysty. Wielu już próbowałem tego nauczyć, ale oni nigdy mnie nie słuchali. Sztuka pochodzi z duszy, dziewczyno! A tej nie można popędzać. Zrób to, a zepsujesz...

- Polk! Trochę nam się śpieszy! - Escalla rzuciła błyskawicę, która przebiła się przez tuzin strażników z krokodylimi głowami. - Czy mógłbyś wreszcie to sprawdzić?!

Mamrocząc, Polk siedział przy wielkiej misie zaczarowanej wody. Na powierzchni unosił się drewniany dysk, a na nim leżał ogon Enid. Ogon okręcił się, zadrżał i zatrzymał, wskazując jeden punkt. Polk prychnął, mrużąc jedno oko i spojrzał na faerie.

- Tędy! - Wskazał w kierunku, w który wycelowała motylek na ogonie Enid. - Czy ten chłopak cały czas się tak grzebie? Czy już tam jesteśmy?

Pochylając się do dziury, Escalla zmarszczyła brwi i przyjrzała się ogonowi.

- Skąd wiesz, że to nie w drugą stronę?

- Chcesz sztuki czy kłótni? - Polk władczo uniósł łapę. - Jestem czworonogiem. Znam się na ogonach! No idź już. Masz robotę gdzie indziej!

- W porządku! - Faerie rzuciła chmurę dławiącej mgły, żeby zablokować korytarz za ich plecami. - Rany! Borsuki są takie drażliwe przed poranną drzemką!

Składając łapy i mamrocząc, Polk popatrzył na tanar'ri, która schroniła się w przeciwległym krańcu przenośnej dziury. Ogryzała wszystkie sześć zestawów paznokci. Borsuk prychnął i pokręcił głową.

- Dzisiejsza młodzież nie ma oleju w głowie! Przestań się martwić, kobieto. To tylko korytarze bogów!

- Och, zabiją nas. - Morąg panicznie kołysała się w przód i w tył. Usłyszała detonację ognistej kuli i towarzyszący jej okrzyk wojenny tysięcy wyznawców Totha. - Co ja tu robię?

Escalla wsadziła głowę do dziury.

- Powiedziała ci! Teleportujesz nas i tata wybuduje ci bajeczny zamek, umebluje go, a nawet urządzi ogrody! Wokół cisza i spokój. Będziesz miała swoje gniazdko miłości z dala od wszystkich wojen. - Faerie lekko pomachała dłonią. - Więc uspokój się! Jesteś w przenośnej dziurze. Co złego może się wydarzyć? Zaufaj mi! Jestem faerie! - Znikła.

- Chciałabym, żeby już więcej tak nie mówiła - powiedziała Morąg kipiąc ze złości i rzucając

ogonem.

Na zewnątrz przenośnej dziury szalała bitwa. Tkwili głęboko w ogromnym labiryncie regałów z książkami, które wznosiły się na dziesiątki metrów. Bibliotekarze na drabinach gorączkowo walczyli o życie, gdy Jus i Escalla szaleli na dole, wpadając na regały i przewracając za sobą drabiny. Wciąż dźwigając ciężką mosiężną urnę i wciąż z głową i dziobem ibisa, Henry uklonił się przepaszająco mijanym bibliotekarzom i pognął za przyjaciółmi. Polk krzyknął z wnętrza przenośnej dziury. Escalla zatrzymała się przy następnym skrzyżowaniu i skierowała przyjaciół ku nowemu rzędowni regałów.

- Tędy! Szybko!

Odgłosy ścigających brzmiały jak zbliżająca się fala przyływu. Justicar biegł pierwszy, zostawiając za sobą dym Popioła. Skręcił za róg. Półka tuż nad nim rozleciała się, zniszczona ogromną lwią łapą. Gigantyczne stworzenie rzuciło się na intruzów. Był to potworny, wielki posąg z czarnego marmuru o wysokości trzydziestu metrów, krzyżówka hipopotama, krokodyla i lwa. Stwór ryknął i zamachnął się łapą. Półki połamały się i poleciały we wszystkich kierunkach. Escalla fiknęła kozła w powietrzu i wylądowała ciężko na siedzeniu, mocno je sobie objając. Skoczyła na równe nogi, szalejąc ze złości.

- Ty przeceniony worku wymiocin golema! - Rzuciła się na potwora z nieopisaną wściekłością.
- Dostanie ci się za to!

- Escalla! Nie! - Jus tupnął gniewnie na przelatującą obok niego faerie.

Escalla leciała na potwora jak rozwścieczony komar atakujący niedźwiedzia. Uderzyła go w grzbiet świeżo naładowaną laską licza. Poleciały kawałki kamienia, posąg zaczął pękać i zawirował niezdarnie niczym ogromny pies goniący własny ogon. Uderzył w regał wysoki na pięć pięter, który zachybotał się i przewrócił na kolejny regał, ten na następny...

Mądrość wieków padła na podłogę w wielkim hukiem. Tłumy ścigające intruzów zginęły pogrzebane pod regałami. Gdzieś w oddali rozległ się wściekły ryk boga Totha. Justicar zatrzymał się, rozłożył dłonie i rzucił czar. Drewniane półki najbliższego regału nagle ożyły, wypuszczając liście, gałęzie i pędy. Winorośle pochwyliło ogromnego potwora, zmuszając go do niezdarnej walki. Chwyając Beneluxa w dłoń, Justicar ruszył do najbliższej łapy behemota.

- Henry! Atakuj!

Benelux uderzył w czarny marmur, wywołując deszcz odprysków. Henry ostrożnie odłożył zamknięty mosiężny dzban. Ledwie zdążył to zrobić, gdy usłyszał uderzenie i zobaczył, jak Jus pada, powalony ciosem olbrzymiej łapy. Mężczyzna poleciał w jedną stronę, Popiół w drugą. Obaj potoczyli się po ziemi. Justicar podniósł się szybko i błyskając mieczem ciął z całej siły łapę posągu. Rycząc, potwór stanął na tylnych łapach. Na jego grzbiecie nadal siedziała Escalla, okładając go gradem ciosów. Gdy Henry rzucił się do biegu, usłyszał jej wściekły głosik.

- Noszę przepaskę biodrową! Czy ty wiesz, jak teraz będą w niej wyglądać? Czy ty w ogóle

potrafisz uszanować piękno? Co? Nie? Więc, uszanuj to! I to! I to! I to! - Moc laski znowu się wyczerpała i teraz Escalla waliła wściekle marmurowy pomnik zwykłym patykiem. - Ach tak, udajesz głupiego? A masz!

Czubek głowy potwora spowiła ognista kula, nie najskuteczniejsze zaklęcie przeciwko kamieniowi. Justicar zaklął, potrząsnął głową i rzucił się z powrotem w wir walki. Zanurkował i przetoczył się, zatrzymując się między tylnymi łapami potwora. Zamachnął się i ciął jedną z nich. Potem rzucił Henry'emu magiczną linę. Chłopak zarzucił ją na kark posągu, wspiął się do góry i zdał potworowi cios w oko. Ten potrząsnął głową i stanął dęba, zrzucając Henry'ego, który wpadł na regał i poleciał w dół, lądując obok Popioła, leżącego z wyszczerzonymi zębami na stercie magicznych zwojów.

- *Cześć!*

- Hej, Popiół - Henry zamrugął. Jego mosiężny dzban stał kilka metrów dalej, cudem nietknięty.
- Dobrze się bawisz?

- *Zabawa!*

Escalla w końcu zeskoczyła z potwora i zleciała na dół. Jus zerknął na Popioła, wskazując bok potwora, a piekielny ogar wyszczerzył zęby, ciesząc się z pomysłu przyjaciela. Podpełził do przodu, uniósł się i zionął ogniem, który rozgrzał marmur. Pęknięcia zadane laską licza Escalli rozgrzały się przy tym do białości.

Justicar cofnął się i poprzez dym krzyknął do Escalli.

- *Lód! Szybko!*

Faerie wyciągnęła lodową różdżkę i wypuściła z niej strugę zimna. Ciepło i lodowate zimno podziały. Popękany kamień wybuchł i posąg rozleciał się jak szkło. Justicar sparował gruz mieczem, zbyt rozwścieczony, by robić uniki. Kiedy osiadł kurz, przeszedł przez ruiny, wziął Escallę i pokazał Henry'emu i Popiołowi, żeby się przegrupowali. Piekielny ogar pełził po ruinach jak ogromna futrzana dżdżownica. Za nim setki wyznawców Totha nadciągało spomiędzy regałów. Niektóre większe stworzenia wspinały się na kopce zwojów, ksiąg, połamanych regałów i kamienia.

Escalla popatrzyła na mijającego ją Popioła i ze zdumieniem machnęła dłonią.

- Czy nie wydaje się to wam niepokojące?

- Musiałaś nauczyć go aportować. - Justicar zbił mieczem strzałę wystrzeloną spomiędzy regałów. - Polk, dokąd?

- W lewo synu! W lewo!

- Henry, Popiół, biegiem!

Popiół, który spieszył się, by dołączyć do Justicara, nagle zatrzymał się, popatrzył na rząd

regałów i zniknął z boku. W chwilę później przybiegł z powrotem, a rzędy półek za jego plecami eksplodowały w płomieniach. Piekielny ogar zachichotał, a Escalla pogroziła mu palcem.

- Popiół! Zły pies!

- *Z-A-B-A-W-N-E! Zabawne!*

- A niech to. Ukradnij coś, a nie spalaj!

Henry zerknął przez ramię na płomienie.

- Mam poczucie winy.

- Hej! - zaśmiała się Escalla. - Poprosiliśmy ich, żeby wypuścili Enid, a oni powiedzieli nam, żebyśmy się wypchali! Więc niech mają lekcję na przyszłość, żeby nie wkurzać faerie i nie używać ich najlepszych kumpli jako niewolników! - Wyciągnęła stosik ubrań zza pasa Justicara i właśnie naciągała nowe rękawiczki, pasujące do czarnej elfiej zbroi. - Henry? Masz jeszcze ten dzbanek?

-Tak.

-Fajowo!

Jus złapał piekielnego ogara i wsadził go na ramiona. Za nimi rozprzestrzenił się pożar. Słysząc było wrzaski skrzydlatych strażników, których wezwano, by zniszczyli intruzów. Drużyna wybiegła pomiędzy regałami do wielkiej spokojnej sali, gdzie setki postaci podnosiły zwoje, księgi i tabliczki z ogromnych nieuporządkowanych stert i sortowały je na stołach z kości słoniowej. Robotnicy nawet nie podnieśli wzroku, gdy śmiałkowie mijali ich pędem, dopóki z przenośnej dziury nie rozległ się wrzask.

- Do tyłu! Do tyłu, chłopcze! Biegniesz za szybko! - Polk grzmiał z głębin dziury. - Skręć w prawo, synu! Stop! Teraz prosto! Prosto! W tył! - Rozległ się szum i głowa Polka podniesionego przez Morąg wyłoniła się z dziury. - To tutaj! Ona musi być tutaj!

Przy pobliskim stole siedziała cicha postać odkurzająca manuskrypt. Ibisogłowe, androgeniczne stworzenie ubrane w spódniczkę miało smutny wyraz twarzy i wzdychało przy pracy. Escalla i Henry popatrzyli się na nie przez długą, milczącą chwilę. Faerie klepnęła Jusa w ramię i wysłała go do roboty.

- Chyba ją znaleźliśmy! Jus, broń nas! Będziemy z tobą za minutkę.

Wrogowie gnali korytarzem prowadzącym do sali. Justicar mocno przywiązał Popioła do hełmu i ruszył naprzód, wywijając Beneluxem. Miecz zdecydowanie nie był zadowolony.

- *Sir Justicarze, muszę zaprotestować! Czy nie możemy porozumieć się z twymi stworzeniami? To przecież wyznawcy prawdy i wiedzy.*

- Jeżeli są tacy mądrzy, to powinni wiedzieć, kiedy zaniknąć się i uciec.

- *Sir, naprawdę muszę prosić cię, byś zastanowił się nad ograniczeniem skali tego konfliktu!*

Justicar oparł grzbiet o ogromny regał pełen książek i zaczął pchać. Jego mięśnie napięły się, gdy z nadludzką siłą dźwignął go powoli i przewrócił. Książki i półki posypały się w dół i zablokowały korytarz. Pierwsi przeciwnicy próbowali przecisnąć się przez szpary, ale Jus wepchnął ich z powrotem, wykorzystując wielką półkę jako taran.

W sali Henry i Escalla powoli zbliżyli się do ibisogłowej postaci czyszczącej książkę. Escalla zdjęła z Henry'ego czar polimorfizacji i przywróciła go do zwykłej postaci. Oboje podeszli do stołu, przyglądając się smutnemu stworzeniu.

- Enid?

Ibisobłowa istota zamrugła i spojrzała na nich. Miała oczy Enid - uczciwe i zawsze odrobinę nieśmiałe, ale w spojrzeniu, którym obdarzyła Henry'ego nie pojawił się błysk rozpoznania. Zawahała się i nerwowo odwróciła.

- Nie mogę wam pomóc. Musicie zobaczyć się z moim przełożonym. Nie wolno mi pomagać ludziom.

- Nie. To my jesteśmy tu, by pomóc tobie - przemówiła uprzejmie Escalla. - Nie poznajesz nas? Widziałas nas przedtem?

- Nie. - Stworzenie wzruszyło ramionami i smutno spojrzało na stół. - Ja... może. Nie wolno nam wspominać.

- Wiem. - Escalla otworzyła dzban. - Masz. Coś ci przynieśliśmy.

- Och! Och, nie. - Ibisogłowa odwróciła wzrok. - Nie wolno mi teraz pić. Nie dostanę żadnego jedzenia ani picia, dopóki nie wyrobię normy.

- Nie-nie-nie! To fajowe. Tym razem ci wolno. - Faerie delikatnie zwróciła ku sobie dziób ibisa. - Posłuchaj. Toth powiedział, że warunki w jego raju są do bani i dlatego powinniśmy coś z tym zrobić. Tak więc przynieśliśmy ci coś do picia.

Stworzenie zerknęło nerwowo na mosiężny dzban. Ręce Henry'ego drżały, a jego twarz jaśniała miłością. Ibisogłowa popatrzyła na chłopca, faerie i dzban wody.

- Mogę mieć przez to kłopoty. Skąd mam wiedzieć, że naprawdę wolno mi to wypić?

- Zaufaj mi! - Escalla rozłożyła dłonie, stając się wcieleniem niewinności. - Jestem faerie!

Stworzenie zadrzało. Popatrzyło się na Escallę z namysłem i wolno wyciągnęło dłoń. Henry podał dzban. Płyn w środku cuchnął rzeczczą wodą. Ibisogłowa zawahała się i przyjęła naczynie. Zanurzyła w nim dziób i zaczęła powoli pić. Piła długo, a potem cofnęła się i spojrzała w przestrzeń.

- Woda z rzeki Mnemos - powiedziała Escalla.

Zdobyli ją mimo wielkich niebezpieczeństw w najbliższych miejscach zewnętrznych sfer, po to tylko, by przeżyć tę cudowną chwilę. Enid odwróciła dziób i popatrzyła na przyjaciół. Serce jej waliło, oczy zabłyły. Zobaczyła siedzącą obok Escallę i zaczęła płakać.

- Escalla... - Enid przycisnęła faerie do serca i zamknęła oczy. - Och, Escalla!

- Hej! Czeka nas wesele. Nie mogło się odbyć bez druhny. - Escalla płakała i co rusz wycierała oczy. - Wszystko dobrze. Znaleźliśmy cię. Już wszystko dobrze.

Enid zobaczyła Henry'ego i rzuciła się w jego ramiona.

- Henry! Henry!

Płakali i całowali się na przemian. Escalla usiadła nieco z boku, pozwalając kochankom nacieszyć się tą chwilą, i rozpłakała się jak dziecko. Pociągając nosem, odwróciła się.

Jusitar i Popiół podpalili barykadę i szli na spotkanie przyjaciół. Enid mocno objęła Jusa i pogładziła futro Popioła, który podskoczył i pomachał ogonem.

- Popiół!

- *Cześć, kocia pani!*

Polk pomachał łapą.

- Jak? - Enid spojrzała na nich, gubiąc się w domysłach, nie mogąc powstrzymać łez. - Dlaczego to zrobiliście? Dlaczego?

- Ponieważ nigdy nie opuszcza się swoich ludzi. - Jusitar złapał Enid za rękę i odebrał jej manuskrypt. - Przenigdy.

Od barykady, która próbowali sforsować wyznawcy Totha, dobiegł głośny huk. Enid spojrzała tęsknie na przyjaciół, a potem spuściła głowę i odwróciła się do nich plecami.

- Nie mogę odejść. Teraz jestem częścią tego miejsca.

- Ha! Nie ma mowy. - Escalla przycupnęła na czubku opierzonej głowy przyjaciółki. - Mamy dla ciebie nowe ciało! Sklonowaliśmy je z ogona. Jest w przenośnej dziurze. Musisz tylko wejść tam, przeczytać czar i z powrotem będziesz jak nowa! Więc do roboty!

- Klon? - Enid była wyraźnie przejęta. - Przez co musieliście przeze mnie przejść?

- Nic wielkiego! - Faerie radośnie wrzucała bezcenne zwoje do przenośnej dziury. - Cóż, musieliśmy ukraść czar klonowania czarodziejowi w Greyhawk, sprawić ci nowe ciało w pałacu taty, znaleźć rzekę Mnemos, pokonać paru złych tubylców, uciec przed szalejącymi wojskami, potem znaleźć to miejsce i wtargnąć do środka. Proste! - Escalla skończyła grabież. - Morąg! Czas na teleportację! Do dzieła, wężowa dziecino, bo miejscowi zaraz wpadną w szal!

Morąg nie chciała się tu znaleźć. Enid skusiła ją próbkami materiałów i rolkami planów wymarzonego domu, ale tanar'ri żałowała, że uległa pokusie. Zdenerwowana, wyjrzała na powierzchnię.

- Po co te łzy? Nie widzę powodu do płaczu.

- Widzisz, widzisz. - Escalla strzeliła palcami. - Dobra! Więc włazimy do dziury, a ty teleportujesz nas do naszej łodzi kilka tuzinów sfer stąd!

Morąg rzuciła ogonem.

-Nie.

Wszyscy oniemieli.

- Nie? - Escalla położyła dłoń na lodowej różdźce wciśniętej za pas.

- Nie mogę. Nie tutaj. - Morąg powąchała powietrze, tak jakby było trujące. - To święte miejsce Totha. Moja magia tu nie działa. Musicie wydostać się na dwór. Do ogrodu albo na pole.

Justicar mruknął coś pod nosem, złapał Enid za rękę i ruszył biegiem do przeciwległego krańca sali. Barykada za ich plecami padła. Znaleźli drzwi wychodzące na kolumnadę i pognali, szukając otwartego nieba. Gdy zbiegali z szerokich marmurowych schodów, Escalla leciała radośnie przy uchu Enid, promieniując szczęściem.

- Jak cię tu karmili? A czy w ogóle je się coś po śmierci?

- Puls. - Enid biegła niezdarnie, podtrzymując spódniczkę.

- Czy to jakieś kanapki?

- Nie zupełnie. - Zerknęła w tył. - O rany.

Górując nad dachami, biegł ku nim sam Toth. Gdy kolosalna postać przekroczyła kolumnadę i weszła na schody, Escalla spojrzała do tyłu i rzuciła jeden ze swych najstarszych, najprostszych czarów.

- Smar! - Wesoło podleciała do przodu. - Hej, Morąg! Co z tą teleportacją?

- Pracuję nad tym - odburknęła tanar'ri z głębin przenośnej dziury. - Czy zawsze musisz być taka natarczywa?

Wysoko nad nimi Toth śpiewał pieśń zemsty. Z mieczem w jednej ręce i berłem życia w drugiej, bóg przeszedł nad dachami i stąpnął wprost w plamę smaru, która nagle pojawiła się na schodach. Wysoki na kilkadziesiąt metrów, złoty i wspaniały, przewrócił się jak błazen na skórcie od banana. Escalla krzyknęła i wzleciała wysoko w górę.

- Punkt dla faerie!

Upadek Totha zburzył połowę świątyni. Jego berło spadło na ziemię obok uciekających śmiałków. Escaila natychmiast wyjęła z niego najokazalszy klejnot i wrzuciła go do przenośnej dziury. Polk wrzasnął z bólu.

- Auuu!

- Przepraszam! - Rozejrzała się dookoła. - Możemy tu coś jeszcze zepsuć? Myślę, że skończyliśmy!

Justicar zdążył już wepchnąć wszystkich pozostałych do przenośnej dziury. Widząc, jak Morąg stoi niecierpliwie na chodniku, złapał Escallę i skoczył do dziury. Morąg zwinęła ją, wsadziła pod ramię i teleportowała się.

Doskonale zakończenie

Tysiąc kilometrów dalej rzeka Lete rozdzielała się na labirynt nurtów. Narzekając na swój los, Morąg prześlizgnęła się po leżącej kłodzie do ukrytej wyspy, przechodząc przez niewidoczną kurtynę do innej sfery. Teleportowała się ponownie i jeszcze raz, najlepiej jak mogła zacierając ślady. W końcu pojawiła się na tylnym pokładzie podejrzanej, starej łodzi i wyciągnęła przenośną dziurę, by ze środka mogli wydostać się jej pracodawcy.

Łódź kołysała się na rzece w świetle pełnym piramid i pterodaktyli. Zebrawszy swój długi ogon, tanar'ri westchnęła i odbiła od brzegu. Musieli przepłynąć rzeką do innej sfery, aby mogła się ponownie teleportować i w końcu zabrać wszystkich do domu.

Płynęli wśród rzecznych mgieł. Z dziury wynurzyła się Enid - znowu jako sfinks. Jeden z najpiękniejszych klejnotów Lolth wisiał na jej szyi. Wielka kocica usiadła cicho na dziobie między Henrym, Escallą i Justicarem, podczas gdy z tyłu Morąg, mamrocząc coś pod nosem, popychała łódź.

Enid spojrzała na kochane, znajome łapy, a potem na rzekę. Brzegi zamieszkiwały dinozaury tańczące w pióropuszcach.

- Hm, gdzie teraz jesteśmy?

Justicar rzucił okiem na Escallę i westchnął ciężko. - Najwidoczniej takie szczegóły powinny wyjaśniać się same.

- Ach. - Enid elegancko zawinęła ogon wokół tylnych nóg i objęta skrzydłem Henry'ego. - Czy wy w ogóle wiecie, dokąd zmierzamy?

Escalla rzuciła pęto kiełbasy velociraptorowi, który pląsał na brzegu.

- Pewnie, że tak! Zaufaj mi! Jestem faerie!

- Tak. - Enid cicho zamruczała. - I nikt nie rusza faerie.

Królestwo Totha zostało daleko w tyle. Koszmar życia po śmierci stawał się odległym wspomnieniem. Enid obejrzała się i poczuła w sercu ukłucie bólu.

- Ocaliliście mnie, ale pewnego dnia to się powtórzy. Pewnego dnia wszyscy będziemy musieli się rozstać.

Siedząca na kolanach Jusa Escalla polerowała nowy pierścionek zaręczynowy.

- Nigdy w życiu! Jesteście ze mną!

- Starzejemy się - westchnęła Enid.

- Hm, nie. - Escalla popatrzyła na przyjaciół, jak gdyby byli niewiarygodnie tępi, a potem popukała kostkami palców w ich głowy. - Halo? Nie dotarło do was, że zadajecie się z faerie? Nie

zestarzejecie się! Nikt nie starzeje się będąc z faerie. Niby dlaczego jesteśmy tak popularne?

Justicar uniósł brwi.

- Sam się zastanawiam.

Łódź płynęła dalej. Escalla przeglądała skarby zabrane ze świątyni Totha. Czekały na nią nowe intrygi, planowanie wesela i emocje związane z romansem Henry'ego i Enid, który należało podsycić - wszystko, o czym marzy każda wścibska faerie. Escalla rozkładała magiczne zwoje, czarodziejskie tomy i kawałki pergaminu, zachwycona każdym znaleziskiem.

- Hej! Czar zmniejszania! To oszczędzi mi fortunę na eliksirach.

- Jak?

Escalla szepnęła do ucha przyjaciółki i Enid zarumieniła się.

- Ach, rozumiem.

- Hej. - Escalla znowu szepnęła do ucha Enid. - Obiecuję ci tysiąc użyć mojego czaru zmiany postaci jako prezent zaręczynowy.

Morąg ostrożnie wypęzła z ukrycia, rozejrzała się nerwowo i spostrzegła, że Justicar zrobił dla niej miejsce przy swym boku.

Usiadła, niepewna, czy zostanie mile powitana, a wtedy Henry wręczył jej kawałek ciasta.

- Więc czy mamy dokąd się udać? - spytała Morąg rozglądając się po rzece.

Wszyscy spojrzeli na Escallę. Faerie przewróciła oczami.

- Dobra! Dobra! Pozbyłam się aktu własności Hommlet! Zamieniłam go na rezydencję. Prawdziwą rezydencję! Jest tam cała osobna wieża dla Morąg i jej przyjaciela. Każde z nas może mieć całe skrzydło komnat, są tam ogrody, a nawet fajowa wioska w pobliżu...Sielanka!

Jus słyszał to pierwszy raz w życiu. Zdumiony, popatrzył na Escallę.

- Kiedy zamieniłaś akty własności?

- Kiedy byliśmy w Greyhawk! Dał mi to jakiś gość o imieniu Rump. - Escalla dumnie rozwinęła nowy akt własności i mapę. - Ma nawet nazwę, widzicie? Tegel! - Pomachała dłońmi, żeby towarzysze zgromadzili się wokół niej. - Trochę szkodników, które trzeba wyplenić i miejsce należy do nas! Morąg, witamy w drużynie!

Nawrócony demon wyglądał na odrobinę zde gustowanego.

- Szkodniki?

- To nie! Nie przejmuj się tym! - Escalla poklepała ją po łuskach. - Zaufaj mi. Jestem faerie!

Było to doskonałe zakończenie: rzeka, ciastka faerie i czekające na nich nowe przygody. Escalla przytuliła się do Jusa i westchnęła.

- Przygoda zakończona. I tym razem mamy skarb! - Poklepała górę łupów. - Widzisz? Ten klejnot jest od Totha! To musi być klejnot prawdy! - Przyłożyła kamień do czoła. - Hej, Jus! Kto ma najlepszy tyłek na świecie?

Wielki strażnik stał na dziobie i opierał się na mieczu. Popatrzył w tył na Escallę i uśmiechnął się.

- Ty.

- Fajowo! - Escalla nagle zmarszczyła brwi. - Hej! Jesteś pod moim urokiem, czy po prostu tak mówisz?

Justicar podszedł i usiadł przy niej, rozłożywszy pod sobą Popioła.

- Jestem całkowicie pod twoim urokiem.

Łódź mijała metaliczne bagna i pola kwiatów. Nikt z nich nie wiedział, dokąd płynęła ani gdzie skończy się ich podróż. Koniec końców, to przecież właśnie ona liczyła się najbardziej.